

ZABAWA W ŚMIERĆ

Pokryta kurzem mysz przebiegła koło jego stóp prosto do kryjówki żmii. Zabijanie było szybkie. Zapagnął tej szybkości i zdecydowania żmii, zapamiętał zimne, bezuczuciowe i mechaniczne uderzenie i postanowił przekazać to mężczyznom, którzy opuszczą obóz przed północą, odjadą jeepem w stronę granicy i pójdą dalej przez pola minowe do drutów i do wroga.

GERALD SEYMOUR

ZABAWA

W ŚMIERĆ

Przełożyła Beata Maciejewska

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK 1991

Tytuł oryginału

Glory Boys

Redaktor Maria Szrajber

Projekt okładki Jacek Witczyński

Opracowanie graficzne Bogdan Dams

© Gerald Seymour 1976

© Copyright for the Polish edition

by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDANSK 1991

Printed and bound in Great Britain Wydanie I

ISBN 83-85432-09-4

1.

Samochód sunął cicho, cała uwaga pasażerów była skupiona na reflektorach przeszywających ciemność. Mężczyzna siedzący na tylnym siedzeniu odwrócił się, przetarł zaparowaną szybę i badawczo przyglądał się pustce uciekającej drogi. Pasażer z przodu również odwrócił się i utkwiał wzrok w smudze oddalających się świateł, podczas gdy kierowca rzucał częste spojrzenia we wsteczne lusterko. Na ostrych zakrętach, gdzie wysokie żywopłoty rosły blisko jezdni, światła znikwały powracając, gdy znów wyjeżdżali na prostą.

Trzej mężczyźni jechali w napięciu przez ostatnie piętnaście kilometrów. Pierwszy odezwał się kierowca, ale już o wiele wcześniej jego towarzysze zauważyli pośpieszne i częste spojrzenia, jakie rzucał w lusterko. Mówił powoli, z piskliwym akcentem palestyńskiego Araba:

- Jedzie za nami od dłuższego czasu. Trzy razy przyśpieszyłem o jakieś siedem, osiem kilometrów na godzinę. Utrzymał tę samą odległość. Koło tamtej dużej farmy w lesie zwolniłem do dwudziestu kilometrów na godzinę. Nie zbliżył się.

Wtedy zaczęli go obserwować. Wpatrując się w dwa silne snopy światła sunące w pewnej odległości za nimi, czuli jak na ich twarzach występują zimne krople potu, a w samochodzie zalega pełna napięcia cisza. Pasażer z przedniego fotela otworzył wieczko schowka i przetrząsnął go w poszukiwaniu plastikowej torby z mapami, dostarczonej wraz z samochodem. Wymacał w kieszeni kształt zapalniczki, po czym zgiął się w pół, pochyliwszy się nad rozłożonymi na podłodze mapami i nikłym światłem, które zasłaniał ciałem. Wertował mapy pokryte zagmatwaną siecią dróg północnej Francji. Zatrzymał się nad jedną z nich i w chwiejnym świetle zapalniczki z wolna wodził palcem po linii.

- Właśnie minęliśmy Bethune - to było ostatnie miasto. Za następne dwa, trzy kilometry jest skręt w lewo. Droga biegnie przez kilka wiossek. Auchy... Estrees. Nie wiem dokładnie. Wygląda tak, jakby trasa

przebiegała pomiędzy wioskami. Na mapie jest przerywana unia - to droga tylko dla samochodów osobowych. Mogliśmy nią jechać. Mamy czas?

- Czasu mamy wiele - powiedział ubrany na czarno mężczyzna, wciąż wpatrując się w drogę za samochodem. - On ciągle tam jest.

Zgubiliśmy go na chwilę, ale znów się pojawił.

Droga była teraz prosta i gładka. Światła reflektorów przesuwają się po wysokich drzewach rosnących po obu stronach drogi, znikających szybko w ciemnościach pól. Tylko od czasu do czasu pojedyncze, oświetlone chaty i zagrody pojawiały się przy drodze. To wszystko. Była trzecia w nocy. Panowało przenikliwe zimno wczesnego poranka. Mężczyźni w samochodzie dygotali z z zimna i zdenerwowania. Pasażer siedzący z tyłu poprosił o włączenie ogrzewania wcześniej wyłączzonego przez kierowcę.

- Przed chwilą zeszła wilgoć z szyb. Nie chcę mieć znów zaparowanych okien. Muszę mieć dobrą widoczność.

Jakby dla podkreślenia swoich słów odkręcił szybę i przenikliwe, nocne powietrze wdarło się do samochodu. Pasażerowie zaprotestowali zgodnym okrzykiem.

- Spokojnie! - krzyknął kierowca ponad ich głosami. - Zjazd z głównej drogi jest już niedaleko. Wtedy mu uciekniemy. Szukajcie znaków i zapamiętajcie nazwy wiosek. - W jego głosie zabrzmiała nuta optymizmu, coś, czego wszyscy potrzebowali.

- Auchy i Estrees - to te wioski, o które nam chodzi - powiedział mężczyzna siedzący obok niego.

Podjechali do skrzyżowania ze zbyt dużą prędkością. Kierowca musiał gwałtownie zahamować, by nie wjechać na pobocze wąskiej drogi po prawej stronie. Samochód zaprotestował zawzięcie, zakołysał się, a opony zaryły w żwir. Mężczyzna siedzący z tyłu przewrócił się na bok. Aby się podnieść, chwycił mocno ciężką teczkę stojącą na siedzeniu. Odwrócił się - światła zniknęły.

Kręta droga opadała w dół. Powierzchnia była nierówna, wyłobiona przez traktory i ciężkie maszyny rolnicze. Pojedyncze kłosa zboża wplątane w gałęzie drzew, trzepotały na wietrze. Prędkość zmalała, kierowca co chwila zerkał w lusterko, ale drogę za samochodem okrywała ciemność.

- Nie widzę go, ale to nic nie znaczy. Zakręty są za ostre. Musiałyby wleźć nam w tyłek, żebyśmy mogli go zobaczyć.

Zaśmiał się i inni mu zawtórowali. Zbyt głośno, by nie można było wyczuć lęku przedzierającego się przez pojedyncze chichoty. Przez trzy dni przejechali tysiące włoskich i francuskich dróg. Zostało tak niewiele - dwie godziny do przystani promowej. Po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia podróży znaleźli się w trudnej, nieoczekiwanej sytuacji.

Mijały minuty. Kierowca patrzył uważnie na środek drogi. Mężczyzna siedzący z tyłu rozglądał się dookoła. Nie widział już potrzeby czuwania przy tylnej szybie.

- Mógłbyś już zamknąć okno? Marznę. Dobra, draniu, jak chcesz, ale zamarznię tu na śmierć.

- Jeszcze tylko parę minut. Muszę być pewien, że okna nie są zaparowane. A zresztą powinieneś być zahartowany. Podobno spędziłeś zimę w górach Jordanu, a tam przecież jest mróz i śnieg.

- Nie w górach Jordanu, ale w górach Palestyny.

Wybuchnął śmiechem. Kierowca odwrócił ku niemu uśmiechniętą twarz.

- Zgoda. W Hajfie nie ma ani gór, ani śniegu. Palestyńska Hajfa. To prawda, że nie jest tam zimno.

- Co ty możesz wiedzieć o Hajfie? Zbyt długo cię tam nie było, abys mógł ją pamiętać.

- Nie, nie, coś pamiętam - odrzekł kierowca. Wyjechaliśmy stamtąd cztery lata temu. Pamiętam co nieco, jak przez mgłę. Ale nie wiem, co jest prawdą, a co tylko wyobrażeniem. Za dużo mówiono o tym w obozie przyszełego życia.

- Ja byłem w Hajfie - powiedział pasażer siedzący z przodu. - Pojechałem tam ciężarówką do pracy na budowie. Każdego dnia zabierali nas z Jenin. Przedtem musiało być tam pięknie. Gdy przyjechalismy, rozlewali właśnie beton. Traktowałem tę pracę jako mały przerwany przed studiami w Bejrucie. Chciałem wypełnić czymś czas. Zjechali po łagodnej pochyłości w małą, rzadko zabudowaną wioskę. Duży kościół, ratusz, rynek po prawej stronie i rząd domów. Kilka świateł. Szare, zbite stadko jeży nastroszyło igielki, by ochronić się przed nieprzyjacielem. Długonogi pies przebiegł przez drogę. Za

śmiali się patrząc, jak popędził w krzaki i skrył na prywatnej posiadłości, gdzie na pewno właściciel niechętnie widziałby go w dzień. Poza tym wszystko zatopione było w bezruchu. Droga biegła prosto. Przejechali przez most, minęli wioskę i znów jechali pod górę. Kierowca mimo woli wciąż się uśmiechał, gdy spojrzął w tylne lusterko. Zobaczył dwa symetryczne snopy świateł. Wyteżył wzrok, patrząc jak zjeżdża ze wzgórza do wioski. Nic nie powiedział, ale jego nagły ruch głowy został zauważony przez pasażera z tylnej kanapy, który ciężkim ruchem obejrzał się do tyłu.

- Jedźcie za nami - powiedział. - Ten drań ciągle jedzie za nami. Wjeżdża do wioski. Jest jakieś trzysta, czterysta metrów za nami. Przyśpiesz, gdy będzie przejeżdżał przez wioskę. Zwiększ odległość między nami.

Samochód wyrwał do przodu, moc silnika pchała go po powierzchni drogi. Wystające korzenie i wyboje nie miały już znaczenia. Samochód podskakiwał i przechylał się na boki, gdy koła wpadały w głębsze doły, do połowy wypełnione kamieniami. Kierowca skupił całą uwagę na prowadzeniu samochodu. Ręce położył wysoko na kierownicy, stopami wciskał na zmianę pedały gazu i hamulca, ciało zagłębił w siedzeniu. Prędkość z jaką jechali, wzmogła niepokój pasażerów.

- Mów, gdzie mam jechać - powiedział chrapliwym głosem, nie odwracając wzroku od drogi. - Nie chcemy chyba ugrzęznąć na jakiejś cholernej farmie. Chcę wiedzieć, gdzie mam jechać, w którą stronę skręcić.

Sąsiad kierowcy znów położył mapę na podłodze i próbował zapalić zapalniczkę.

- Nie mogę. Przeciąg zdumuchuje płomień, a mapa jest za mała, żeby dostrzec coś na tych wybojach.

- Mogę zamknąć okno, ale nie zwolnię. Co tam z tyłu?! - krzyknął ponad ramieniem.

- Wciąż jedzie za nami. Światła zniknęły na chwilę, gdy wjechał do wioski, ale znów się pojawiły. Są za nami. Przyśpieszyli tak samo jak my. Kim oni są? Kim są te cholerne dranie?

Nikt nie odpowiedział.

- Nie trać czasu na takie głupstwa - powiedział kierowca. - To nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, na jakiej drodze jesteśmy i dokąd ona prowadzi. Więc jeśli masz dalej pieprzyć, to lepiej się zamknij. Mężczyzna z wysiłkiem wpatrywał się w mapę. Złożył ją w kwadrat, tak że była widoczna tylko ta sieć dróg, po której jechali. Zanim zostało zamknięte okno, trzymał mapę tuż przy oczach, ale teraz, gdy płomień zapalniczki był dość silny, mógł znaleźć drogę, o której mówili. Przy każdym podskoku wozu jego palec gubił trop na mapie. Zdawał sobie sprawę z narastającego napięcia. Wiedział, że czekają na jego informacje, ale nie mógł popełnić błędu. Możliwe, że byłby nie do naprawienia. Muszą poczekać, aż będzie miał pewność. Gdy nie miał już żadnych wątpliwości, wyjął z wewnętrznej kieszeni swojej zimowej kurtki kopertę i zaczął pisać. Miał kłopoty z przeliterowaniem nazw wiosek, druk był drobny i musiał kilka razy sprawdzać pisownię długich wyrazów. Zgasił zapalniczkę.

- Nie będę mógł już palić zapalniczki. Płomień niknie. Według mnie jedziemy dobrą drogą. Jesteśmy na trasie Fauquembergues. Najpierw musimy przejechać przez Estrees, ale to jest ta sama droga. W Fauquembergues są trzy drogi. My jedziemy tą na północ, pierwszą w prawo. Następnie Lianę i Samer. Tam powinien być drogowskaz na Boulogne.

- Jak daleko jest stąd Estrees? - zapytał kierowca.

- Dwa, trzy kilometry. Jedź prosto. Potem będzie Fauquem... - Urwał, bo znów nie mógł rozczytać swojej bazgraniny w półświecie tablicy rozdzielczej.

- Jesteś pewien? Żadnych wątpliwości?

- Żadnych - odrzekł. Był zirytowany.

"Prawie się nie znamy - pomyślał - choć jedziemy razem od paru dni. Nie ma między nami żadnego kontaktu psychicznego."

Nie znali się przedtem. Rozmawiali tylko o bardzo ogólnych sprawach - tak to było zaplanowane. Byli od siebie uzależnieni. Musieli ufać umiejętnościom i decyzjom innych, choć ich zaufanie nie miało głębokich korzeni wyrastających z przyjaźni czy długiej znajomości. Kierownica wymknęła się spod kontroli i o mały włos nie zjechali na wysokie pobocze porośnięte bujną trawą. Skupienie i lęk panujące

w samochodzie osaczyły kierowcę na chwilę i zapomniał o swojej głównej roli, jaka było prowadzenie wozu. Nastąpił między nimi pierwszy cichy zgrzyt, spowodowany przez mężczyznę siedzącego obok, który w milczeniu i zawzięcie okazywał swój brak wiary w kierowcę. Trzeci mężczyzna wpatrywał się w światła, które jakby przez nich holowane, utrzymywały się w tej samej, niezmiennej odległości.

Trzej mężczyźni wiedzieli, że mają większe szanse wykonać zadanie, jeśli pochodzą z różnych obozów i środowisk. To była stara, dobra metoda. Pouczano ich, by nie wypytywali współtowarzyszy o koleje losu ich życia. Posiadanie informacji o innych mogło spowodować załamanie w czasie przesłuchiwania. Zнали tylko swoje pseudonimy.

- Co więcej potrzebujemy wiedzieć? - pytali. Ale bez wzajemnego zrozumienia napięcie i lęk rosły.

Kierowca nacisnął na pedał hamulca. Wskazówka szybkościomierza gwałtownie opadła z ponad setki do niecałej czterdziestki. Obaj pasażerowie wbili się w siedzenia. Drogę tarasowało stado krów. Może szły na udój, może na inne, dalej położone pastwisko, może pędzono je na rynek, może...

- Cholera, co, do kurwy nędzy, mam teraz robić?!
- Rozwał rogaciznę. Wyciągnij starego głupca i załatw je.
- Są coraz bliżej.
- Wjedź na pobocze.
- Ten cholerny pastuch idzie na przedzie stada...
- Wjedź na pobocze, to jedyny sposób.
- Są już jakieś sto pięćdziesiąt metrów stąd. Zwalniają, ale i tak są coraz bliżej.

Wnętrze samochodu wypełnił gwar krzyków. Stado krów wydawało się stać nieporuszone. Wlepiały smutne i ciężkie oczy to w samochód, to w biało-czarnego psa, który przemykał z ujadaniem między krowami racicami.

- Zamknijcie się! Przestańcie do cholery pieprzyć! - ryknął kierowca. Gwałtownie wjechał w trawę. Koła natychmiast zaczęły buksować i zapadać się powoli w miękką ziemię.

- Powoli, spokojnie, bo inaczej ugrzęźniemy - instruowali kierowcę. Ale tylko on jeden z całej trójki zachował zimną krew.

Samochód ruszył, podskakując na rozmokłej ziemi wykopanej z rowu, który biegł przez gąszcz traw i przez pola. Zderzak trącił w bok jedną z krów, która pośpiesznie zaczęła szukać schronienia wśród swoich. Duże, ciemne cielska z chrobotem i sapaniem ocierały się o lakier samochodu. Ich odór wpełzał do szczelnie zamkniętego samochodu, ściągając twarze pasażerów w grymas.

- Są tuż za nami, o jakieś sześćdziesiąt metrów! - Krzyk z tyłu nagle zamilkł, ucięty przez błysk reflektorów, który wpadł do wnętrza samochodu. Pasażerowie błyskawicznie schylili głowy, tylko kierowca pozostał w nie zmienionej pozycji.

- Spokojnie, spokojnie. Prawie wyjechaliśmy. Teraz on będzie musiał przejechać przez ten tłum.

Zanim wydostali się na drogę, kierowca włączył niższy bieg i manewrował pomiędzy zwierzętami tak, aby nie najechać na któreś z nich. Przez ułamek sekundy dostrzegł kątem oka farmera, który wyprostowany i dumny kroczył na przedzie stada. Samochód popędził naprzód. Droga znikła w pustce, poza zasięgiem ich świateł. Po chwili trzech mężczyzn usłyszeli pierwszy ryk syreny policyjnej, gdy pojazd za nimi próbował wydostać się poza barykadę. Przeszywający, śpiewny lament wtargnął przez szyby, drzwi i dach samochodu, wypełniając go hałasem. Pomiedzy kotłowaniną krowich zadów i głów migotało niebieskie światło lampy policyjnej.

Mężczyzna siedzący z tyłu przyciągnął ku sobie teczkę, otworzył ją i zanurzył rękę pomiędzy koszule, książki i skarpetki. Wyczuł chłód pistoletu i wyciągnął go. Część zawartości teczki wypadła na skórzane siedzenie. Jakaś część garderoby zaczepiła się o muszkę pistoletu. Magazynek był pełny.

- Macie odpowiedź - powiedział cicho. - Teraz wiemy, kto za nami jedzie.

Nikt nie odpowiedział. Odbezpieczył broń.

Ze swojego biura w głównym posterunku policji w St-Omer, mężczyzna wydający rozkazy, przez ostatnią godzinę śledził trasę uciekającego samochodu. Była ona naniesiona na dużą, ścienną mapę, w którą jego asystent wpinał przez cały czas kolorowe pinezki. Pozycję samochodu, dokładnie ustaloną dzięki łączności radiowej z wozem policyjnym, wskazywały pinezki żółte. Tuż za nimi czerwone, ozna-

czające jego ludzi. Arabowie znajdowali się na jednej z podrzędnych dróg, oznaczonych na niebiesko, a prowadzących do portu w Boulogne.

Nie spodziewał się, że samochód zjedzie z głównej trasy wzdłuż wybrzeża, na której umieszczone były główne siły policji. Na podrzędnych drogach znajdowały się tylko pojedyncze wozy policyjne, w każdym po dwóch ludzi. Zgodnie z planem pasażerowie obserwowanego samochodu dopiero po zatrzymaniu przez jedną z blokad, będących teraz w stanie gotowości, musieli uświadomić sobie, że byli śledzeni przez policję. Użycie pościgowej syreny i lampy policyjnej zmieniło sytuację.

Bieganina rozpoczęła się, gdy do posterunku dotarł dalekopis z Paryża, niosący instrukcje o konieczności rozpoczęcia akcji. Późnym popołudniem, gdy w zwykły dzień myślałby tylko o zaciszu domowym i ciepłej kolacji, sznur czarnych citroenów wjechał na osłonięte tyły jego posterunku. To byli ludzie z ministerstwa, z wydziału bezpieczeństwa. Jeden z nich był bez krawata, ubrany w wymiętą kurtkę i marynarskie spodnie. To on kierował całą akcją. Mówił dobrze po francusku, choć nie biegle i ze środkowoeuropejskim akcentem. Na szyi miał zawieszoną gwiazdę Dawida. Traktowano go ze swego rodzaju respektem.

Szef posterunku nie został wtajemniczony w szczegóły akcji, ale przyjęto jego żądanie, by do działań na jego terenie zostali włączeni jego ludzie.

- Ugrzęźnicie na tych drogach - powiedział z całkowitą pewnością siebie. - Jeśli nie macie pojęcia, jak poruszać się po miejscowym terenie, tropienie ich będzie jak szukanie igły w stogu siana.

Argument był mocny. Przyjęto propozycję. Jeden z jego najlepszych kierowców przejął miejsce ludzi z wydziału bezpieczeństwa, którzy jechali za samochodem przez ostatnie dwie trzecie francuskiego terytorium. Wszystko szło dobrze, a wielcy ludzie z paryskiego biura zwiadowczego zasypywali go gratulacjami do czasu, gdy gwałtowny, szybki szczekot z radia powiadomił go o przygodzie z krowami. "Nic nie jest jeszcze stracone" - myślał. Śledzeni mężczyźni wciąż jechali w stronę zastawionych na nich sideł.

- Kiedy dojadą do blokady? - zapytał asystenta.

- Za cztery do pięciu minut. Nie dłużej. Blokada jest na drugim końcu Fauquembergues, na skrzyżowaniu. Tam, gdzie stacja benzynowa i kawiarnia.

- Dwóch ludzi?

- Tak, sir. Roben i Miniux. Jesteśmy z nimi w kontakcie. Są ostrożni i gotowi. Wiedzą, że ich zadaniem jest tylko zatrzymać "fedainów" przez parę minut. Większe siły już do nich dojeżdżają.

- Powiedz im, żeby byli ostrożni - powiedział, jakby trawiony troską i dodał na boku: - Nie planowaliśmy tego w ten sposób. Zatrzymaniem samochodu miało się zająć więcej niż dwóch ludzi.

To kierowca zauważył czerwone, unoszące się i opadające światło na środku drogi - międzynarodowy sygnał oznaczający nakaz zatrzymania się. Gdy zbliżali się, zauważył odblaskową opaskę żandarma, migocącą w świetle latarki.

- Tu, z przodu! - krzyknął do reszty. - Kontrola policyjna! Nastąpił moment, w którym jeden z nich musiał przejąć inicjatywę.

Pierwszy zareagował mężczyzna siedzący z tyłu, może dlatego, że to on trzymał w ręku broń. Ktoś musiał dowodzić. Zbyt wiele niezdecydowania i podniesionych głosów, jego również, miało miejsce w ostatnim czasie. Pochylił się do przodu, głową i ramionami przyłgnął do grzbietu przedniego siedzenia. Odezwał się przenikliwym, rozkazującym tonem:

- Przejeźdź obok niego. Nie wahaj się, nie zwalnij. Podjedź z lewej strony i omiń go z dużą prędkością. Będzie uzbrojony, więc schylcie głowy. Nie wahaj się... i gdy będziesz już bardzo blisko wyłącz, światła, a potem znów je włącz.

Samochód pędził na samotnego policjanta z prędkością dwudziestu siedmiu metrów na sekundę. Kierowca widział bladość jego twarzy pod osłoną munduru i przeciwdeszczowej peleryny, widział kształt latarki, strumień światła, teraz poruszony, i odbłask opaski na prawym ramieniu. Widział, jak strach wypełnia jego twarz, oczy robią się coraz większe, stopy wrosnięte w ziemię, sparaliżowane.

- Zgaś światła!

Kierowca instynktownie wykonał polecenie. Zbyt wiele położono wcześniej na jego barki. Teraz był tylko zdolny do posłuszeństwa, do

reakcji. Pięćdziesiąt metrów przed nim policjant zniknął w ciemności. Prawie natychmiast padło następne polecenie. - Teraz włącz światła! Kierowca zadrżał z przerażenia. Na drodze, dziesięć kroków przed samochodem stał policjant, z opartym na biodrze podręcznym pistoletem maszynowym, wymierzonym w przednią szybę. Nie zdążył wystrzelić.

Chłodnica samochodu uderzyła w jego uda. Ciało jak podcięte nożem wystrzeliło do góry. Uderzenie szarpnęło samochodem, a po chwili wóz zatrzęsł się znów, gdy ciało policjanta uderzyło w dach, koziołkując nad nim. Kierowca w ostatniej chwili skreślił w bok, unikając kolizji z niebieskim wozem patrolowym, zaparkowanym po drugiej stronie jezdni. Mężczyzna przy kierownicy poczuł, jak coś wzbiera w nim i podchodzi do przelęku. Trzeci mężczyzna zamknął oczy tuż przed tym, jak krucha, podobna do kukły postać została zmieciona na bok i próbował wymazać z pamięci otwarte w niedowierzaniu usta policjanta.

Gdy Roben spadł na powierzchnię drogi, gruchocząc kręgosłup i niszcząc tym samym ostatnią nić łączącą go z życiem, Miniux otworzył ogień. Mężczyźni w samochodzie nie widzieli policjanta, który przykucnął koło rowu. Przy ramieniu trzymał żelazną kolbę pękatego MATa 49. W magazynku znajdowały się trzydzieści dwa dziewięciomilimetrowe naboje, które wystrzelił w samochód, zwalniając palec ze spustu, gdy tylko ustał grad wystrzałów. Kule przebiły silnik, a potem wdarły się do wnętrza. Pierwszy zginął od czterech postrzałów w klatkę piersiową pasażer siedzący z przodu. Kierowca też został trafiony - ból rozchodził się od lewego ramienia do szarpanej rany w boku. Tylko do mężczyzny siedzącego z tyłu, chronionego przez karoserię i przednie siedzenie, nie dotarły kule.

Samochód odbił w lewo, znów znalazł się na środku drogi, a kierowca bezskutecznie próbował utrzymać kierownicę, nie zdając sobie sprawy z faktu, że układ kierowniczy jest zniszczony. Jego głowa opadła, ale nagłym ruchem szarpnął ją do góry i objął wzrokiem kontury drogi, żywopłot i pola. Może jeszcze parę metrów, może, ale to już koniec podróży. Wiedział, że już po wszystkim. Miał tylko tyle siły, by uwolnić umysł od przerażającego odgłosu strzałów, zapachu,

który przyniosły i obłądnego strachu, który go ogarnął, gdy kule rozbiły przednią szybę i boczne okna.

Przejechał jeszcze trzysta metrów w dół drogi. Z wysiłkiem nacisnął pedał hamulca, ale nie miał już dość siły, by zatrzymać samochód. Krew wzbijała się cynobrowym strumieniem i ciekąc po kolanach, zalewała gumową wycieraczkę u jego stóp. To była śmierć, rozpoznał ją. Nie był już w stanie zatrzymać wyciekającego zert życia. Patrzył na to obojętnie, chcąc już tylko spotkać się z Najwyższym. Tylne drzwi otworzyły się i przez szybę zobaczył jakąś twarz, a po chwili i jego drzwi otworzyły się. Poczuł, jak jego ciało wymyka się ku surowej ziemi, idącej mu na spotkanie. Czyjaś ręka chwyciła go, nie pozwalając upaść.

- Dani, Dani, słyszysz mnie? - szeptał mu do ucha jakiś znajomy głos.

- Musimy stąd uciec. Bouchi nie żyje, nie rusza się. Syreny są coraz bliżej. Ale mogę ci pomóc...

Kierowca pokręcił głową, bardzo powoli i bardzo stanowczo.

- Idź sam. - Zamilkł jakby sącząc powietrze, którego nie chciały już przyjąć jego podziurawione płuca. - Za Palestynę, za wolną Palestynę. Zapamiętaj to, gdy go spotkasz. Pamiętaj Palestynę i mnie, gdy spotkasz Człowieka Grzyba

Zamknął oczy. Nie miał już sił, by się zaśmiać, poruszył tylko delikatnie i miękko brązowymi powiekami. Umarł. Syreny nie zbliżały się.

"Musieli zatrzymać się przy blokadzie" - pomyślał i sięgnął do wnętrza samochodu po teczkę. Luger znajdował się teraz w jego kieszeni. Podbiegł do tyłu samochodu, odkręcił korek wlewu paliwa i zdecydowanie włożył rękę do kieszeni. Wyjął paczkę papierosów, zmiażdżył kartonik, tak by zmieścił się w otworze, podpalił go zapalką, wrzucił do otworu i popędził w bezpieczną osłonęciemności. Usłyszał wybuch za plecami, ale nie odwrócił się.

Czarny, rządowy samochód przywiózł oficera izraelskiego tajnego wywiadu do skrzyżowania.

Roben wciąż leżał na skraju drogi, tam gdzie upadł po zderzeniu z samochodem. Policyjny płaszcz przykrywał jego twarz. Trochę wyżej stał zaparkowany wóz patrolowy, otoczony zwartą grupą mężczyzn.

Podali Miniuxowi butelkę brandy, którą zaczął pić łapczywie. W oddali majaczył dymiący szkielet spalonego samochodu.

- Hu ich tam było? - zapytał Izraelczyk, wskazując palcem w stronę osmolonych resztek samochodu.

- Dwóch. Będą trudności z identyfikacją ciał. Policjant, który strzelał mówi, że gdy samochód się zatrzymał, nastąpił wybuch. Tego można się było spodziewać - władował w niego parę kul.

Izraelczyk odwrócił głowę, spojrział na detektywa, potem przeszedł parę kroków w stronę ciemności, która wkrótce miała zniknąć w pierwszych blaskach świtu.

- To dziwne - powiedział. - Dwóch. Informacje, które otrzymaliśmy z Paryża, mówiły, że było ich trzech. Jednego więc zgubiliśmy.

Wymknął się nam gdzieś po drodze.

Młody Arab całą duszą pragnął oddalić się od swoich prześladowców. Wiele wysiłku kosztowało go przebiegnięcie kilkuset metrów po rozmokłych polach i błotnej kipieli, w którą zapadały się jego nogi. Po chwili zwolnił. Nie dlatego, że nie chciał tracić sił, ale dlatego, że nie był w stanie poruszać się w szybszym tempie. Pięciami torował sobie drogę przez gęste krzaki, drąc płaszcz na strzępy. Upadł, gdy próbował siłą rozpędu przeskoczyć przez wyschnięty rów, ale cały czas nie zbaczał z drogi.

Myślał o tym, że jeżeli będzie miał szczęście, żandarmi zadowolą się szczątkami samochodu i nie zorganizują rannego pościgu. Zwęglone ciała, między którymi będą grzebać, powinny upewnić ich, że nie ma sensu wszczynać dalszych poszukiwań. Jeśli będzie miał szczęście. A jeśli tropią go teraz, to znaczy, że ludzie w jadącym za nimi samochodzie zauważyli w świetle swoich reflektorów trzy sylwetki, zanim oni zdążyli schylić głowy lub ten, który strzelał zza samochodu, mógł zauważyć ich, gdy przemknęli obok niego. Jeśli widział, że było ich trzech, to zbierają się teraz z psami i mapami. Torba, pod którą uginał się do ziemi, miała być jego ratunkiem. Zawierała ubrania i dokumenty podrózne - wszystko, co było potrzebne do pojawienia się na przystani promowej jako inny człowiek.

Tylko raz, gdy przemykał koło pogrążonego w ciemności prostokątnego i starego domostwa, zaszczekał pies. Poza tym szedł otoczony ciszą. Gdyby zaszła potrzeba, nikt na tych zimnych i wilgotnych terenach nie udzieliłby mu pomocy. Musiał biec, mimo że przeszywający ból brzucha, spowodowany wysiłkiem i głodem, zwalniał jego ruchy. Jeszcze gorzej będzie, gdy za jego plecami - tam gdzie stał samochód i leżeli Bouchi i Dani - wzejdzie słońce. Ale do tego czasu musi biec dalej.

To dlatego tak ich trenowano. To dlatego popędzani i okładani pięściami rekruci musieli wbiegać na wzgórze Fatehland, to dlatego krzyczano i kopano do granic wyczerpania, zmuszano do dalszego

wysiłku, gdy upadali, a potem, kiedy nie mogli już ruszać się, zostawiano ich, aby sami znaleźli drogę do obozowych namiotów. I następnego dnia to samo, i znów, i znów... Tak trenowano młodych mężczyzn, których brzuchy z czasem twardniały, płuca rozrastały się, a zbite mięśnie drgały przy najmniejszym ruchu. Po tym, dopiero po tym nauczono ich, jak obchodzić się z bronią i jak sobie radzić na otwartej przestrzeni. Doszli do najwyższego stopnia wtajemniczenia i wyszkolenia.

Kiedy po raz pierwszy pojawił się w obozie, był atrakcyjnym, inteligentnym młodym człowiekiem. Ale gorycz w jego oczach zdradzała nienawiść do Izraela, którą oni przemienili w obsesję. To nie zabrało im wiele czasu. Wystarczyło siedem tygodni intensywnego treningu. Produkt był gotowy. Determinacja zasklepiła się, zjadłość zaostrzyła - stał się potencjalnym mordercą. Taką też rolę wybrali dla Abdela-El-Famy. Zadowoleni z końcowego efektu i ufni w sukces, wydali mu rozkazy.

Mężczyzna, który teraz z trudem brnął przez pola północnej Francji, idąc blisko krzewów, aby nie wpaść w oczy wieśniakom, którzy wkrótce opuszczą swoje posiadania, był mało znaczącym pionkiem w całej zawilej walce sił Środkowego Wschodu. Sam nie znaczył nic, tak jak wszyscy inni. Jego imię było jednym z dziesiątek tysięcy innych, znajdujących się w kartotekach przechowywanych przez izraelskie i zachodnioeuropejskie służby wywiadowcze.

Dawno temu, w Nablusie - mieście rozciągającym się w dolinie na okupowanym przez Izraelczyków Zachodnim Brzegu Jordanu - rzucał kamieniami w izraelskich żołnierzy, którzy każdego popołudnia, na parę minut przed pierwszą, gromadzili się przy szkolnych bramach. Nie było w tym nic szczególnego. Wszystkie dzieciaki na pewnym etapie były łapanie przez biegających żydowskich żołnierzy, grzmoczone po głowie i ramionach gumowymi pałkami i zabierane w ciężarówkach do otoczonych drutem kolczastym baraków, gdzie ustawiano je na parę godzin, by ochłoneły. Przeszedł przez to, więc wiedział, że gdy oficer i "doradca polityczny" przychodzili, by przeprowadzić przesłuchanie, nie należało zgrywać twardziela. Siedział cicho i, by nie zgubił drogi, kopniakiem wojskowego buta wysyłało go do domu. Nikt

nie wypełniał kartotek takich dzieci - robota papierkowa przeciągnęłaby się w nieskończoność".

Ale to codzienne popołudniowe rzucanie kamieniami i uciezki w bezpieczny labirynt alei i piwnicznych sklepów "cashab", w różny sposób wpływały na młodych ludzi. Jedni wyrastali ucząc się trzymać na wodzy swoją niechęć do okupantów i gdy z wiekiem rosła ich odpowiedzialność, potrafili żyć w takiej rzeczywistości. Niewielu, bardzo niewielu, drażył ból nienawiści. Abdel-El-Famy był jednym z nich. Półświadomie, lecz z przekonaniem uciekał od biernej akceptacji. W wieku osiemnastu lat opuścił Nablus. Wsiadł do autobusu, który przez czternaście godzin pełzył od doliny Jordanu poprzez syryjskie i jordańskie równiny aż do opadających, wijących się wzgórz w okolicach Bejrutu.

Na uniwersytetach o orientacji palestyńskiej zawsze były miejsca dla tych, którzy przybyli zza okupowanego Zachodniego Brzegu. Ci, którzy wcześniej żyli pod okupacją Izraela i nie chcieli się do tego przyznawać, byli traktowani lepiej niż inni. Zapisał się na kurs angielskiego. Był dobrym studentem, ale najważniejsza była dla niego styczność z nauką polityki rewolucyjnej, którą tam, w Nablusie, zarządca wojskowy skutecznie stłumił.

Przez wiele długich, gorących wieczorów po wykładach, studenci zbierali się w kawiarni na Comiche, rozprawiając o sposobie odzyskania Palestyny. Dusili się w oparach spalin fordów i cadillaców, które, wypełnione turystami, paradowały po ulicach miasta. W odległości kilkuset jardów w dół od drogi wyłaniało się cielsko ambasady Stanów Zjednoczonych, wypełnione dobrze uzbrojonymi libańskimi żołnierzami. Krążyli koło młodych ludzi odkrytymi jeepami, squadami 16, w założonych na bakier purpurowych beretach, uzbrojeni w podobne do zabawek karabiny Armalite, patrząc im prosto w oczy, aby nie mieli wątpliwości, że są w obcym kraju i nie mają żadnych praw i przywilejów. Byli tu obcy - tolerowani, ale na pewno niemile widziani. Mogli sobie pozwolić tylko na parę butelek pepsi-coli, które wypijali bardzo wolno, delektując się każdym łykiem, gdyż nie stać ich było na kupno następnych. I gdy tak siedzieli, przyglądając się otaczającej ich masie obcych, znienawidzonych ludzi, kłócili **sie** spierali o to, jak odzyskać własne państwo. Kiedyś jedynym znanym im wyjściem był

gwałt i przemoc. Składali się na kupno gazet arabskich w języku francuskim i angielskim; te ostatnie niosły opisy działalności Czarnego Września i Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Siedzieli przez cały wieczór przy dwóch butelkach coli, czytając gazety i słuchając radia, które donosiło o ataku na wioskę olimpijską w Niemczech. 5 września 1972 roku - to był długi i zwycięski dzień. Uwielbiany przez nich "fedain" zginął z rąk "perfidnej policji niemieckiej" na przedpolu hangaru lotniska Fürstenfeldbruck, ale wcześniej, ku ich radości, zginęło też jedenastu izraelskich sportowców - dzieło "fedaina".

Ale poza popieraniem zbrodni w Monachium rodziło się też poczucie odpowiedzialności za sprawę Palestyny. Przywódcy oczekiwali dużych, czarnych samochodów, które zabiorą ich do otoczonych skórzanymi fotelami stołów konferencyjnych, gdzie wezmą w swe palce pióra o złotych stalówkach i podpiszą wstępne traktaty. Dyskusje na ten temat, w jaskrawym upale dnia i blaskach morza, stawały się coraz bardziej zaciekle i gorzkie. Byli tacy, którzy twierdzili, że Republika Palestyny, gdyby nawet miała być tylko geograficznym doświadczeniem dyplomacji, zawsze coś znaczyła. Byli inni, których zadowalał jedynie powrót całego poprzedniego terytorium Palestyny. Do tych należał Abdel-El-Famy. Wkrótce zrozumiał, że dyskusje przy stole mogą tylko zachwiać jego postanowienie i chęć zemsty. Zaczął coraz rzadziej pojawiać się w kawiarni. Odnalazł ludzi niesplamionych słabością, przygotowanych do walki niezależnie od wszelkich posunięć uchodźców palestyńskich, którzy dążyli do połowicznego pokoju.

Wstąpił do Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny - Zjednoczonego Dowództwa - małej, lecz groźnej organizacji w tzw. Froncie Od-mowy. Stał się jednym z dwudziestu pięciu młodych mężczyzn w wieku od siedemnastu do dwudziestu pięciu lat, którzy złożyli uroczystą przysięgę na wierność i milczenie, i którzy wiedzieli, że zostaną wysłani do akcji, z której najprawdopodobniej nie powrócą. Właśnie tego chciał.

Osiem dni temu został wywołany z porannej musztry i otrzymał rozkaz udania się do namiotu szefa Zjednoczonego Dowództwa. Gdy odchylił poły namiotu, ujrzał trzech ludzi w świetle rozproszonej jasności przenikającej przez szary brezent. Poza człowiekiem, który kie-

rował operacjami Zjednoczonego Dowództwa, byli tam Bouchi i Dani
23

- nowo przybyli, trenowani wcześniej w innych obozach. Nie znał ich wtedy. Powiedziano im, że mają jechać do Londynu, a ich misja ma ogromne znaczenie dla całego ruchu arabskiego. Podano im kryptonimy, plan akcji i cel. Abdel-El-Famy nie był już biednym uciekinierem z nędznego bungalowu, stojącego na odkrytym wzgórzu ponad rynkiem w Nablusie. Jego życiu nadawano nowy sens i nie dałby się już od niego odwieść jak żądny krwi wilk od stada owiec. Stanowił ogromne zagrożenie dla pokoju na Środkowym Wschodzie. Jego misja, jeśli zakończy się sukcesem, miała się odbić echem w całym zachodnim świecie.

Famy leżał wysoko, pomiędzy belkami, tuż poniżej dachu stodoły. Była ósma, a on odpoczywał już od dwudziestu minut, wciąż nie mogąc złapać oddechu. Jego włosy były mokre od potu, który spływał na twarz i ramiona. Zdjął ubranie, pozostając jedynie w żółtych slipach, i leżał tak na twardych, drażniących skórę wiązkach siana. Przebiegł ponad dwadzieścia pięć kilometrów. Jeszcze raz tyle i dotrze do Boulogne, na prom. Postanowił znaleźć się w Anglii dzień później. Wolał znosić niewygodę pieszej przeprawy, niż ryzykować jazdę autobusem lub łapanie okazji na drodze, co groziło mu wpadką. Zostanie w stodole przez cały dzień i ruszy w dalszą drogę, gdy tylko ciemność wzejdzie nad polami.

Usłyszał piskliwe głosy bawiących się gdzieś w oddali dzieci i gdy podniósł się, by spojrzeć przez dziurę w desce, zobaczył je ubrane w jasne, szkolne mundurki, z tornistrami na plecach, podskakujące i bawiące się na drodze. Niewinne i niczego nieświadome nie stanowiły żadnego zagrożenia. Zasnął skuliwszy się na twardym pościeliu.

Zbudziło go natarczywe szczekanie psa; z tego samego punktu obserwacyjnego przyglądał się przez chwilę idącemu przez pole chłopu i biegnącemu za nim psu. Później już nic nie mąciło jego spokoju. We śnie powędrował daleko: na wzgórze nad miastem, w którym się urodził, gdzie bawił się, rzucając kamieniami w stojące w dole nie poruszone kozły i gdzie pracował w soboty z ojcem w walącym się garażu.

Nadchodził już wieczór. Słońce zaszło, zabierając ciepło ze spróchniałych bel jego pościeliu. Sen nagle opuścił szczęśliwe dzieciństwo i przywołał wspomnienie wydarzeń na drugi dzień po jego cztemas

tych urodzinach, kiedy ogromne czołgi wjechały na rynek w Nablusie. W jego pamięci znów zabrzmiał dźwięk wystrzałów z karabinów maszynowych i pistoletów, lament syren, karettek pogotowia Czerwonego Półksiężycy i strach na twarzach ludzi zgromadzonych za zaryglowanymi drzwiami. Wtedy po raz pierwszy ujrzał strach na twarzach dorosłych ludzi. Nigdy tego nie zapomni. Już nie spał, ale potrzebował paru minut na dojście do siebie i zrozumienie, gdzie się znajduje i dlaczego.

Gdy ruszył, w stodole było już ciemno.

Na początku biegł z trudem. Kolana wciąż miał odretwiąłe, a ciało przesiąknięte wilgocią poprzedniej nocy. To będzie znów ciężka praca, ale o świcie, jeśli uda mu się wykrzesać z siebie siły i energię, znajdzie się niedaleko promu, gotów zrzucić obłocone i przemoczone szmaty i zastąpić je kompletem czystych ubrań, które niósł ze sobą. Wystąpi wtedy jako nowy człowiek, jako Saleh Mohammed, urodzony 2 sierpnia 1953 roku w Oranie, okaziciel algierskiego paszportu o numerze 478625.

Jest pewna restauracja, której specjalnością są przysmaki z ryb, a widok z jej okien rozciąga się na morze w Sidonie. Leży mniej więcej w połowie drogi między Bejrutem a skupiskiem namiotów, daleko na południe, gdzie Zjednoczone Dowództwo strzeże swej siedziby. Zanim Palestyna rozpoczęła wojnę z Izraelem i zanim nadeszła fala odwetu, a komandosi napadli na te tereny, były one oblegane przez turystów. Później okazało się, że turyści nie szukają mocnych wrażeń wydając dolary, franki czy marki. Nie byli zainteresowani wakacjami w strefie objętej wojną. Nawet loty izraelskich phantomów na Daleką Północ nie były w stanie ich przyciągnąć.

Restauracja jest więc opuszczona, a plac pałacu Crusade, mieszczący się naprzeciw stołów ubranych w białe obrusy, nie cierpi już od potopu sandałów i półbutów. Taras, jak w żadnym innym mieście, jest wygodnym i dyskretnym miejscem, w którym można porozmawiać o poufnych i tajnych sprawach.

Szef Zjednoczonego Dowództwa rzadko przyjeżdżał do Bejrutu. Jego niezależna postawa przysporzyła mu wielu wrogów w całym ruchu palestyńskim. Jego obecność w stolicy libańskiej mogła przykuć uwagę agentów izraelskich, którzy po kilkugodzinnej obserwacji nie

chybnie wezwaliby morderców zza morza. Figurował wysoko na liście śmierci, prawdopodobnie na trzecim miejscu po Georgu Habashu i Anonie Iyyad. Rankiem zadzwoniono pod jego zastrzeżony numer w małej wiosce niedaleko obozu, nalegając na spotkanie. Telefonował dziennikarz solidaryzujący się z polityką Zjednoczonego Dowództwa i należący do personelu największego bejruckiego dziennika, którego biuro i wydawnictwo znajdowały się na eleganckiej Rue Hamra, w sercu najbardziej wytwornej dzielnicy libańskiej stolicy.

Gdy mężczyzna o głębokim spojrzeniu, siedzący naprzeciwko niego zdierał skórę z małego, ościstego kiełbisa, dziennikarz podał mu kawałek papieru, wyrwany z dalekopisu jego biura, a zawierający tajne informacje AFP. Znał główne szczegóły dotyczące działań organizacji, zdawał więc sobie sprawę z wagi tych ośmiu linijek tekstu. To była pierwsza wiadomość, jaką otrzymało Zjednoczone Dowództwo od czasu odlotu grupy z Bejrutu do Aten i rozpoczęcia podróży do Londynu.

- Czy to solidna agencja? - zapytał szef Zjednoczonego Dowództwa ustami pełnymi ryby.

- Należy jej ufać. Zbierają najważniejsze informacje ze wszystkich francuskich źródeł, ale większość z nich pochodzi bezpośrednio z komunikatów suretć. Trudno jest popełnić błąd. Inne agencje, Zrzeszona Prasa i UPI podają te same informacje, tak jak BBC i Służba Zamorska. Fakty są niezaprzeczalne.

- Jest tu mowa o blokadzie drogowej, która ich zatrzymała. I że samochód został ostrzelany z broni maszynowej. Dlaczego miejscowa policja była uzbrojona w karabiny maszynowe? Chyba się zgodzisz, że jest tylko jedno wyjaśnienie tego rodzaju środków bezpieczeństwa. Dziennikarz skinął głową i powoli zaczął przelewać wodę z butelki do wąskiej szklanki.

- To musieli być Izraelczycy - powiedział spokojnie. - Nasi ludzie zostali zdradzeni. Francuzi nic by nie zrobili na własną rękę. Gdyby nasi jechali prosto przez Francję, nikt by im nie przeszkodził. To Izraelczycy wmieszali do tego Francuzów. Czy nasi ludzie byli uzbrojeni? - To było śmiałe pytanie. W zwykłych okolicznościach nie wtajemniczono by go w takie szczegóły.

Szef uśmiechnął się.

- Tak, ale słabo. Mieli pistolet, nic poza tym. Żadnych granatów, materiałów wybuchowych czy karabinów. Możesz ten fakt wyeksponować, prawda?

- Nie ma żadnego problemu. "Dwóch nie uzbrojonych Palestyńczyków zastrzelonych przez francuską policję" - to będzie dobry tytuł. Możliwe, że paryskie biuro naszej gazety odkryje powiązanie izraelskiego tajnego wywiadu z tą sprawą. - Dziennikarz zaczął robić notatki w kieszonkowym bloczku.

Dwaj mężczyźni rzucili się na jedzenie, wyciągając palcami co większe ości, wypluwając mniejsze i zatapiając palce w miskach. Poza nimi na tarasie nie było nikogo. Kiedy szef skończył jeść, pochylił się w stronę dziennikarza. W promieniu kilku metrów nie było nikogo, ale stare przyzwyczajenia pozostają.

- Raport mówi o dwóch ludziach znalezionych w samochodzie. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości?

- Nie. Żadnych.

- A jeśli by zaaresztowali trzeciego mężczyznę, czy opublikowałiby tę informację?

- Najprawdopodobniej tak - odrzekł dziennikarz. - Nie jest to fakt, który trzyma się w sekrecie. Nie ma ku temu żadnych powodów.

Uśmiech zamajaczył na ustach szefa Zjednoczonego Dowództwa i zniknął. Nie był wyznawcą konwencjonalnego poczucia humoru. Zresztą nikt by się tego nie spodziewał po człowieku, który był odpowiedzialny za poranną rzeź na lotnisku Fiumicino w Rzymie, gdzie zginęło trzydzieści jeden osób, i którego rozkazy przyniosły śmierć siedemnastu osobom w północnym Izraelu - w Kirya Shmona. Jednak ironia losu rozśmieszyła go. To byłaby prawdziwa farsa, gdyby śmierć tych dwóch ludzi przyniosła bezpieczeństwo trzeciemu. Rola dziennikarza w organizacji była zbyt mała, by mógł być tego świadomy.

- Chcę, żebyś mnie powiadomił, jeśli usłyszysz o dalszych aresztowaniach, poszukiwaniach lub... - urwał. Powiedział już wystarczająco wiele.

Dziennikarz kiwnął ręką w stronę kelnera kręcącego się koło drzwi kuchennych, gestem oznaczającym zakończenie posiłku i czas zapłaćenia rachunku.

- Zanim się rozstaniemy - powiedział dowódca - dam ci pewną wiadomość, którą przekażesz do rąk własnych człowieka, którego imię ci podam. To jest bardzo delikatna sprawa. Ten człowiek mieszka w Bejrucie i musi otrzymać tę wiadomość dziś po południu.

Sięgnął po plik kartek do wewnętrznej kieszeni wojskowej kurtki koloru khaki, odsłaniając na chwilę błyszczącą, jasnobrązową kaburę rewolweru, który zawsze miał przy sobie, i zaczął pisać. Gdyby kelner, który podszedł właśnie z rachunkiem, chciał podejrzeć treść kartki, zobaczyłby tylko osłaniającą ją dużą dłoń. Długopis poruszał się pośpiesznie i zdecydowanie, nanosząc na papier arabskie znaki.

Gdy kelner odszedł do kasy, dowódca odezwał się:

- To musi dotrzeć do rąk sekretarza handlowego ambasady, którego nazwisko napisałem na kopercie. Powiem ci, co zawiera ta koperta, bo inaczej ją otworzysz, a nie chcę, żeby przy jej doręczeniu wyglądała, jakby przeszła przez połowę "souk" w Bagdadzie. - Roześmiał się, a dziennikarz drgnął zażenowany i zaprotestował, mamrocząc coś pod nosem. - Przecież wiem, że wszyscy jesteście tacy sami. A jeżeli chodzi o zawartość tej koperty, to napisałem, że mamy te same siły, ale o mniejszych możliwościach. Proszę - podał mu kopertę - to powinno ci mówić wszystko albo nic. Tobie, drogi przyjacielu, z pewnością nic nie mówi. Nic. I powinieneś być z tego zadowolony.

Wstał i poszedł dużymi krokami pomiędzy stolikami w stronę parkingu, gdzie czekał na niego fiat. Uniósł jeszcze dłoń na wysokość głowy, definitywnie żegnając się ze swoim gościem. Jeden z jego go-ryli, który stał dotąd przy frontowych drzwiach budynku, teraz poszedł za nim. Dwóch innych siedziało w samochodzie. Gdy tylko wsiadł, kierowca przekręcił kluczyk i samochód ruszył.

- Musimy być cierpliwi - powiedział dowódca. - Dwóch ludzi z operacji europejskiej wpadło w pułapkę. Nie żyją. Nie ma ani słowa o trzecim, nawet nie wiadomo, czy Francuzi wiedzą o jego istnieniu. Jeśli przeżył jeden, to jak sądzisz, który? - zapytał siedzącego obok starszego mężczyznę, z którego opinią się liczył.

- Z tych trzech? - zamilkł, zastanawiając się przez chwilę. - Myślę, że ten o pseudonimie Saleh. Saleh Mohammed. Ten, który nazywał się Famy.

- Wydaje mi się, że masz rację. Módlmy się, żeby żył. Oni wszyscy byli świetni, ale ten był najlepszy. Najmłodszy, lecz najlepszy. Ma do zgryzienia twardy orzech, jeśli żyje.

Jego towarzysz pieścił gładki, stalowy magazynek Kałasznikowa, leżący na kolanach, przesuwając wzrokiem po oślepiających światłach samochodów jadących z przeciwka. Dowódca mówił jakby do siebie, nikt mu nie przerywał:

- Wiele będzie zależało od ludzi, których tam spotka. Będzie musiał oprzeć się na tych Irlandczykach, z nie znanego mi bliżej ugrupowania. Nie wystarczy załatwienie broni, materiałów wybuchowych, transportu i bezpiecznego lokum. Trzeba będzie wtajemniczyć ich w szczegóły. - Zamilkł.

- Czy ci ludzie zorganizują to wszystko? - zapytał drugi mężczyzna.

- To nie ma znaczenia - odpowiedział. - Najprawdopodobniej tak, ale nie dałbym za to głowy. W Trypolisie odnosili się do nas nader przyjaźnie. Chcieli z nami współpracować - palili się do kupna broni. To oni wyciągnęli do nas rękę. Wiele razy zabijali w swojej sprawie, ale przeraził ich zasięg naszej akcji. Może w ich przypadku warto tylko walczyć, ale już nie ginąć. Wiele nam obiecywali w Trypolisie, bardzo wiele. Jak powiedziałem, musimy być cierpliwi. - Uśmiechnął się.

Po kąpieli młody chłopak i dziewczyna zawinęli się w ręczniki i położyli na trawie, z dala od basenu, tuż przy drewnianym ogrodzeniu, za którym znajdował się parking i droga. To był upalny wieczór; w południowo-wschodniej dzielnicy Londynu ludzie wylegli z domów, zapełniając baseny, ulice i parki. Dwoje ludzi chciało być sam na sam, więc znaleźli odosobnione, zacienione miejsce.

Pięć i pół mili w dół drogi znajdowała się główna arteria prowadząca na lotnisko Heathrow. Co parę sekund głosy młodych ludzi tonęły w unoszącym się nad nimi hałasie przejeżdżających rolls-royce'ów, rattów i whitney'ów. W krótkich chwilach między jednym a drugim samochodem mogli jednak porozmawiać o zupełnie nieważnych sprawach, o których zawsze rozmawiają młodzi ludzie, leżąc na trawie. Ona miała siedemnaście lat, nosiła imię Norah i od 8.30 do 17.15 pracowała jako kasjerka w domu towarowym. Mieszkała razem z rodzicami i nieczęsto spotykała takich chłopców jak ten, którego pozna

ła wczorajszego wieczoru. Nosiła bikini, w którym zeszłego lata spędziła dziesięć dni pod hiszpańskim słońcem nad Morzem Śródziemnym, a które dziś było opięte i ciasne, jakby nie mogło pomieścić dorodnych kształtów uwypuklonych w ciągu ostatniego roku. Jemu to się podobało, rzadko odwracał wzrok od jej ciała.

Leżeli na plecach, rozluźnieni i odprężeni, dotykając delikatnie swych dłoni.

Ostatniej nocy, po wieczorze spędzonym w kinie z jej przyjaciółmi, na podwórzu domu, w którym mieszkała, pocałował ją delikatnie i z czułością. Obejmował miękko, nie tak jak chłopcy, którzy przyzwyczaili ją do tego, że po kawie, dyskotecce, czy kinie mogą rościć sobie prawo do szarpania i obmacywania za te parę funtów, które musieli wydać na dziewczynę

Ten był inny. Nie wpychał ud pomiędzy jej kolana, nie próbował wkładać rąk pod bluzkę ani rozpiąć spodni. Całując ją długo i spokojnie, zdawał się myśleć, że oboje pragnęli, by odbyło się to właśnie w ten sposób - i miał rację. Powiedział, że spotkają się następnego dnia w tym samym miejscu. Przyszła na basen, a on już był w umówionym miejscu i cieszył się, że znów ją widzi.

Właściwie to tylko ona mówiła, zarówno tego, jak i poprzedniego wieczoru. Wydawało się, że jest z tego zadowolony, nie przerywał, wyglądał na zainteresowanego. Mówił o sobie bardzo niewiele, więc ona trajkotała o swoich wakacjach, przyjaciółach, ojcu i matce, pracy, cenach, programie telewizyjnym i filmach. On nie rewanżował się. Ostatniej nocy, leżąc w łóżku, w domu położonym półtorej mili od basenu, winiła za to siebie. "Oczywiście, że nic nie mówił, bo nie dałam mu nawet dojść do słowa" - myślała.

Wkrótce rosa zacznie osadzać się na trawie. Chłód wieczoru objął jej nagie ramiona. Drżała lekko, więc sięgnęła po golf, który zabrała ze sobą. Tym razem zabezpieczyła się przed chłodem, podniecona i niepewna, co przyniosą następne godziny.

- Zaraz umrę, jeśli się nie ubiorę - zachichotała i odwróciła głowę w stronę chłopca, czekając, że odpowie z uśmiechem. Ale on siedział teraz z głową odchylną do tyłu, z wyciągniętą, naprężoną szyją, z długimi, jasnymi włosami opadającymi na plecy i oczami zawzięcie

wpatrzonymi w wielkie, huczące cielsko boeinga 747, lecącego jakieś tysiąc metrów nad nimi.

- Spóźniłeś się, wielki ptaku - powiedział bezdźwięcznie do ryczącej maszyny. - Nie spóźniaj się następnego tygodnia na odlot Człowieka Grzyba.

- Co mówisz?! - krzyknęła przysuwając się ku niemu, aby usłyszeć odpowiedź.

- Nic, nic. Mówię tylko, że późno dziś leci - przystawił usta do jej ucha i szeptał miękko, z delikatnym, irlandzkim akcentem.

- Co to za samolot? - zapytała, obserwując ponad jego ramieniem majestatycznego kolosa ozdobionego linią o kolorze głębokiego błękitu na całej długości kadłuba, z uniesionym ogonem i widniejącą na nim gwiazdą na jasnym tle.

- To, moja mała dziewczynko, boeing 747, wyprodukowany w Seattle w stanie Waszyngton w USA. Jego wartość szacuje się na około 15 milionów funtów. Ten lata w barwach Izraela. Do El Al i z powrotem.

Wstał i wciągnął spodnie na suche już kąpielówki. Zanim założył koszulę na ramiona, znów zobaczyła bliznę po ranie w dolnej części klatki piersiowej, szeroką na około półtora centymetra. Spytała o nią poprzedniego dnia, a on odpowiedział, że dawno temu na farmie miał mały wypadek.

- Robimy coś dzisiaj? - zapytała z wahaniem, choć już przed wyjściem powiedziała matce, że wróci później od koleżanki.

- Przykro mi - odpowiedział, patrząc na rozczarowanie malujące się na jej twarzy. - Naprawdę mi przykro, ale nie mogę dzisiaj. Muszę się spotkać z pewnym człowiekiem...

- W bardzo ważnej sprawie - przerwała.

- Nie, nie kłamię. Muszę się dziś spotkać z takim jednym facetem. Już dawno się z nim umówiłem, a teraz przyjeżdża z zagranicy, żeby się ze mną zobaczyć. Naprawdę. Muszę załatwić pewien interes, co zabierze mi parę dni. Potem na pewno się zobaczymy. Na pewno. Chodź, odprowadzę cię na przystanek.

Z trudem udało jej się powstrzymać łzy gdy poszedł, a ona czekała na czerwony piętrowy autobus, który miał o tak wczesnej porze zawieźć ją do domu.

Ciaran McCoy od dwóch godzin czekał na peronie stacji Waterloo na człowieka, który miał się tu zjawić. Zastosował się do instrukcji -czerwony krawat, jasny płaszcz pod pachą, znak Avis Rentacar w ręce. Bezmiernie morze twarzy przelewało się obok niego, wpływając i wypływając falami z pociągów, masa ludzi marzących tylko o tym, by jak najszybciej wydostać się z tej przepastnej stacji końcowej. Ci, którym stał na drodze, popychali go i szturchali, nie zauważając nawet i nie przepraszając. Gdy zbliżyła się północ, przeszedł przez wyludnioną już halę dworcową do budki telefonicznej i wykręcił siedmiocyfrowy numer. Jego telefon odebrano w centrali, za edwardowską fasadą ambasady Północnej Afryki, w eleganckiej dzielnicy SW7, z widokiem na Rotten Row i połacie Hyde Parku. McCoy podał wewnętrzny numer, zdziwiony, że telefonistka nie oponuje mówiąc, że o tak późnej porze nikogo już nie ma. Jeszcze bardziej zdziwił go fakt, że telefon prawie natychmiast został odebrany. Nie pamiętał hasła, które miał podać. Za długo czekał w napięciu, żeby je pamiętać. Cholerny obcy wyraz, którego znaczenia nawet nie znał.

- Mówi McCoy. Ciaran McCoy. Miałem zadzwonić pod ten numer. Nasz przyjaciel nie pokazał się.

Głos po drugiej stronie był łagodny, kojący. Nie zwrócił uwagi na brak hasła. Nastąpiło opóźnienie. Sytuacja była niepewna. Akcja mogła być odwołana lub też nie. Oczekiwano dalszego rozwoju sytuacji. Ma zadzwonić jutro wieczorem, ale trochę wcześniej. Głos życzył mu dobrej nocy i rozmowa została przerwana.

Pięć sekund po tym jak McCoy odłożył słuchawkę, taśma zatrzymała się. Wszystkie rozmowy pod tym numerem były nagrywane automatycznie od czasu, gdy został on udostępniony przez drugiego oficera ambasady w zamian za nieujawnianie przez Biuro Zagraniczne jego ciągłot do alkoholu. Dyplomata zrobił dobry interes. Konserwatywny rząd muzułmański, który on reprezentował w Londynie, mógłby potępić jego brak dyscypliny pracy.

Taśma była jednym z zapisów rozmów tego dnia, przechwyconym przez stenotypistki pracujące w piwnicy pokaźnego budynku na Curzon Street, Mayfair, w odległości mili od ambasady.

David Sokarev zawsze trzymał swojego mausera w przednim schowku samochodu. Pistolet leżał na pliku map i paczce słodyczy, które kupiła mu żona, i które miały mu pomóc w rzuceniu palenia. Na pistolecie leżała szmatka, którą każdego ranka przecierał zaparowaną przednią szybę samochodu. Pistolet był naładowany, ale zabezpieczony; używał go tylko dwa razy w roku na strzelnicy znajdującej się na wschód od Beer Szewa. Gdyby to od niego zależało, wetknąłby pistolet w głąb szuflady i zapomniał o nim, ale miał rozkaz nosić ze sobą broń, więc najłatwiej było po prostu trzymać ją w samochodzie. Gdyby miał okazję użyć jej w akcji, z pewnością by chybił. Grube szkła okularów w metalowej oprawce zdradzały jego słaby wzrok. Nigdy nie ruszał więc pistoletu, tak jak i słodyczy. Sugerowano mu, że za bardzo przejmuje się pracą, że powinien wziąć kierowcę, który zabierałby go z domu do laboratorium, a wieczorem wiozł z powrotem do Beer Szewa. Uważał tę sugestię za bzdurną i zapytał, czy rzeczywiście mają w nadmiarze sprawnych mężczyzn, że mogą sobie pozwolić na poświęcenie jednego z nich do takiej pracy. Wygrał. Prowadził sam. Był uważnym i systematycznym człowiekiem i w odróżnieniu od swoich kolegów prowadził ostrożnie i zawsze jechał powoli. Czas, jaki zabierało mu przebycie drogi z mieszkania na trzecim piętrze do bramy Dimony, wynosił czterdzieści siedem minut. Kumple, którzy jechali tą samą drogą, wyprzedzając go, naciskali na klaksony i kiwali wesoło do starego "Żółwia", jak go nazywali. Był już znudzony tą jazdą prawie każdego dnia tygodnia, prawie każdego tygodnia i prawie każdego miesiąca przez ostatnie szesnaście lat. Ale ruch uliczny nie zajmował go zbytnio. Problem plutonu, masy krytycznej, rozszczepienie, oddzielenie izotopów, neutrony - tym zaprzątnięte były jego myśli, gdy mały samochód mozolnie przebywał odległość dwudziestu czterech mil pustyni Negew. Często czytał podczas jazdy, trzymając książkę na kierownicy. Jego podzielność uwagi pozwalała

na jednoczesne zagłębienie się w lekturze i uniknięcie zderzenia ze śmiałkami mknącymi z dużą prędkością.

Gdy zaczynał pracę w Dimonie, znajdował się na szczycie tajnej listy izraelskiej. Żadnemu ze swoich przyjaciół nie mógł zdradzić dokąd i po co jeździ każdego dnia. Budynki, ukryte za wydymami i oddalone od drogi, znane były światu zewnętrznemu jako fabryka włókiennicza i nikt, kto znał Davida Sokareva, nie mógł nie powiązać jego osoby z wyrobami tekstylnymi. Ale Beduini, którzy apatycznie prowadzili wielbłądy przez wydmy, donieśli zarządcy wojskowemu egipskiego miasta El Arish o dźwigach, betoniarkach i buldożerach. Do Kairu doszła wiadomość o budowie, osadzonej głęboko w dalekich piaskach pustyni Negew, o wyrastających drucianych ogrodzeniach i uzbrojonych patrolach wojskowych. Informacje te dotarły też do amerykańskiego Departamentu Stanu w Waszyngtonie. Tu również wyrażono zaniepokojenie i uruchomiono sprawny system międzynarodowego wywiadu. Z bazy amerykańskich sił powietrznych, położonej w północnym Iranie, odleciał samolot U2 z misją sfotografowania nowego kompleksu budowlanego Dimony?. Pilot naruszył izraelską przestrzeń powietrzną na wysokości powyżej piętnastu mil. Ludzie na polu IAF, ponoszący specjalną odpowiedzialność za Dimonę, mogli tylko obserwować na radarze punkt, oznaczający amerykański samolot rozpoznawczy i jakoś przeżyć zawód, że był poza zasięgiem ich mocy. W gorący, listopadowy dzień 1960 roku sfotografowano Dimonę.

Sokarev pracował wtedy w swoim prowizorycznym, wykonanym z półfabrykatów biurze, oczekując właśnie na potwierdzenie obietnicy dyrekcji, że znajduje się wysoko na liście oczekujących na dogodniejsze lokum do pracy. Zarówno on, jak i wszyscy inni pochyleni nad wykazami i diagramami, nie był świadomy fotografowania z wyższych rejonów stratosfery.

Po wylądowaniu U2 w Turcji rolka filmu została w ścisłej tajemnicy wyjęta z aparatu w dziobie samolotu i przeniesiona do drugiego, czekającego już z pełnymi zbiornikami, który odleciał do Waszyngtonu. Zdjęcia przedstawiały małą, drewnianą budę, a raczej dach budy, w której pracował Sokarev, ale zainteresowanie nią było małe, w porównaniu z zainteresowaniem okazanym ogromnej masie, leżącej na piasku w odległości stu jardów i otoczonej ciężarówkami, przewożą

cymi materiały budowlane. Ekspert rozpoznał na zdjęciu reaktor atomowy średniej wielkości oraz położoną obok fabrykę do produkcji plutonu, będącego sercem każdego wybuchu atomowego.

Kiedy działalność Dimony wyszła na jaw, gazety zaczęły opisywać postać Sokareva. Tajemnica, chroniąca istnienie projektu stała się fikcją. Rząd izraelski wydał oświadczenie o pokojowym użyciu energii atomowej, obejmujące energię elektryczną i przedłużanie życia warzyw na półkach sklepowych. Sokarev był zadowolony. Przyjaciele przestali przypatrywać się mu z niedowierzaniem. Wszystko wróciło do normy. W bezwietrzne dni po czerwcowym zwycięstwie 1967 roku, kiedy oddziały obrony narodowej wypchnęły poturbowanych Arabów poza ziemię izraelską, poza ogromne buforowe strefy Synaju, Dolinę Jordanu i Wzgórza Golan, nikt nie interesował się tempem prac Sokareva. W wieku czterdziestu jeden lat był młodym specjalistą w swoim fachu, uważanym za bystrego człowieka, który skupia swą energię na projekcie, dowcipnie nazywanym agroatomowym: miliony galonów wody morskiej destylowane przy pomocy energii atomowej. Projekt załamał się.

Wojnę "na wyczerpanie" w Kanale Sueskim przyplacono zarówno życiem wielu ludzi, jak i upadkiem słabej gospodarki izraelskiej. Wzdłuż granicy egipsko-syryjskiej rosło nowe źródło napięcia. I pewnego dnia 1973 roku, gdy Sokarev wraz z rodziną poszedł na modlitwę w dzień Yom Kippur, arabska armia przełamała wielką linię obrony wzdłuż kanału, rozciągającą się po obu stronach Golanu. Tym razem zawieszenie broni nie było powtórzeniem triumfu z 1967 roku. Przekazywano raporty zagranicznej prasy o nowych rakietach rosyjskich dalekiego zasięgu, zainstalowanych na równinach pod Damaszkiem i strzeżonych przez antyrakiety: o rakietach, które mogły dolecieć do dowolnego miasta izraelskiego, zarówno o głowicach konwencjonalnych jak i jądrowych. Dla Sokareva i większości jego ludzi nadszedł czas na podjęcie wzmożonych prac nad tym, co w świecie fizyki nazywano opcją atomową. Już mogło być za późno.

Dni w Dimonie rozpoczynały się wcześnie, kończyły późno. Sokarev i skupieni wokół niego ludzie borykali się z problemami skrócenia czasu i zredukowania wydatków na pracę nad bombą. Wzrastało wydobycie uranu z rudy fosforu w Negew, gdyż fabryka połykała dwa

dzieńca pięć ton na rok. Kilku najzdolniejszych ludzi w departamencie zostało wysłanych do Stanów Zjednoczonych, a następnie do Niemiec Zachodnich na studia w Europejskim Centrum Jądrowym. W rezultacie, na przestrzeni ponad trzystu mil umieszczony został system wyrzutni raketowych "Jerycho", i tylko w ten rodzaj wyrzutni kraj był zaopatrywany.

Politycy rozpoczęli negocjacje.

"Możliwość wystawienia broni jądrowej na teatrze działań wojennych na Środkowym Wschodzie powinna być brana pod uwagę"

-powiedział Mosze Dajan. Prezydent Izraela oświadczył dumnie, że kraj zgromadził specjalistów i wyposażenie do budowy bomby. Z reaktora położonego na pustyni dostarczano małe ilości plutonu 293, trochę ponad osiem kilogramów na rok, w ładunkach rozmiarów pomarańczy. Wkrótce mogły one spowodować wybuch o mocy dwudziestu kiloton. Niemożliwe było przetestowanie bomb o skali rażenia równej tym, które przed ponad trzydziestu laty zrzucono na Hiroszimę i Nagasaki.

Dla Sokarewa było to dwadzieścia ciężkich miesięcy, wypełnionych zawziętą pracą, wyklócaniem się bez końca o rządowe pieniądze, których ilość nie stanowiła nawet niezbędnego minimum na kontynuowanie prac, nakreślonych przez Sokarewa. Zabierał swoje papiery na noc do domu i ciągle zapełniał je kolumnami cyfr określających finanse programu, powiększające się wraz ze wzrostem postępującej inflacji izraelskiego lira. Tęsknił za tymi dniami, kiedy zaprzątnięty był problemem poziomu bilansu cieplnego.

Był coraz bardziej zmęczony. Jego twarz poszarzała od ciągłego przebywania w zamkniętych pomieszczeniach, braku słońca i nieustannego, dokuczliwego niepokoju. Spodnie wisały na nim, podobnie jak koszule na brzuchu. Rzucił tenis, który kiedyś stanowił dla niego podstawową formę wypoczynku. Ale strażnik, który tego czwartkowego ranka zatrzymał go przy bramie i który znał cały personel wjeżdżający i wyjeżdżający z fabryki, zauważył, że zwykle porana bruzdami twarz Davida Sokarewa pojaśniała i ożywiła się trochę. Gdy patrzył na naukowca, czekając na okazanie przepustki, zauważył błysk sympatii w jego oczach. Uczony nawet skinął nieznacznie głową, jak przy konwencjonalnym przywitaniu.

- Dobrze pan dziś wygląda, profesorze - powiedział strażnik, kładąc plastikową kartę na wyciągniętej w oczekiwaniu ręce.
 - Powinienem. Od jutra biorę parę dni wolnego.
 - Wakacje? - zapytał strażnik, zanim podniósł czerwono-biały szlaban strzegący wjazdu do fabryki.
 - Powiedzmy. Jadę na parę dni do Londynu, Nowego Jorku i może później do San Francisco. Jeszcze nie wiem. Dam parę wykładów i spotkam starych przyjaciół. Coś w rodzaju wakacji.
- Jeszcze dwa razy samochód został zatrzymany przez strażników ubranych w szaro-brązowe mundury. Gdy podchodzili, aby sprawdzić przepustkę, pistolety maszynowe kołysały się na ich plecach. Wszyscy trzech zauważyli w czasie tej porannej rozmowy z profesorem, że jego twarz ożywiła się.
- Spóźniłem się - powiedział do sekretarki, wchodząc do biura.
 - Rozmawiałem chwilę ze strażnikami.
- Nie odpowiedziała. Była minuta po ósmej.
- Co mamy na dzisiaj w planie?
 - Prawie same spotkania. Dyrektor też chce się z panem widzieć, najchętniej po południu. Rano mamy dwa półkomitety, więc po lunchu jest czas na spotkanie z dyrektorem. Aha. Przed paroma minutami był telefon z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przyjadą z Jerozolimy, żeby się z panem zobaczyć i proszą o wyznaczenie godziny na popołudnie i oddzwonienie. Proponuję szesnastą, po wizycie u dyrektora.
- Była śliczną dziewczyną: wysoka i zgrabna, ubrana w przykuwającą wzrok spódniczkę mini, odsłaniającą brązowe uda. Każda jej wizyta w wydziale wojskowym powodowała zamieszanie. Była dobrą pracownicą.
- Czego chcą ci ludzie z Jerozolimy? - spytał. Siedząc już za swoim biurkiem, wygrzebując papiery z szuflady i rzucał je na drewniany blat.
 - To był wydział bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wydział Ochrony. Powiedzieli, że chcą porozmawiać o pańskim wyjeździe.

Dochodziła szóstka i wielu pracowników Dimony było już w drodze do domu. David Sokarev uporządkował już swoje biurko na tyle, by mógł się z nim rozstać na trzy tygodnie i pojechać do Europy i Ameryki Północnej. Nie pozostały już żadne listy do podpisania, wykresy do sprawdzenia, żadne notatki do napisania na marginesie raportów. Nie było już żadnej wymówki od spotkania się z dwoma mężczyznami oczekującymi w sekretariacie.

Gdy weszli, zauważył, że obaj byli bardzo młodzi. Wysportowani i przystojni. Uścisnęli jego dłoń. Nie przeprosił ich, że musieli tak długo czekać, ale oni wcale tego nie oczekiwali. Joseph Mackowicz przybył, by porozmawiać, Gad Elkin, by posłuchać.

- Cieszę się, że mógł się pan z nami spotkać, profesorze - powiedział Mackowicz. - Obaj będziemy towarzyszyć panu podczas pańskiej podróży. Przez cały czas będziemy bardzo blisko pana. Woleliśmy więc spotkać się z panem przed wyjazdem, a nie dopiero w chwili odlotu. Sądzę, że nieczęsto jeździł pan za granicę z ochroną i nie ma pan w tym dużego doświadczenia.

- Nie wyjeżdżałem od paru lat, a wtedy podróżowałem z moją sekretarką. - Ujrzał uśmiech na twarzy Elkina. - Nie, zapewniam pana, że nie z tą, która tu obecnie pracuje. Z bardzo potężną damą. Gdy chciałem, żeby Anna pojechała jutro ze mną i zajęła się moją korespondencją, przepisywaniem na maszynie moich przemówień i tego rodzaju rzeczami, odmówiła. Powiedziała, że za mało jej płacą. Nie sądziłem, że jeśli nie są w stanie znaleźć paru lirów dla Anny, to będzie ich stać na przysłanie mi takich dwóch dżentelmenów jak panowie. Nie lubię podróżować sam.

- Ambasada postara się o to, by ktoś zajął się pańskimi przemówieniami. - Mackiewicz nie reagował na dowcipy, nawet tak subtelny jak ten. - Mamy listę miejsc, do których pan pojedzie. Będziemy kontrolować pański program. Teraz chcemy tylko otrzymać od pana słowną gwarancję, że zaszczyci nas pan swoją współpracą i będzie traktował nasze rady poważnie.

Profesor spojrział na niego surowym wzrokiem, poprawił okulary i wepchnął je na nasadę nosa.

- Nigdy świadomie nie łamię zasad współpracy.

- To wspaniale, profesorze. Nie każdy o takiej pozycji jak pan jest zadowolony z naszej obecności. Niektórzy czują się skrepowani i wstydzą się tego przed znajomymi z zagranicy. Zapewniam, że niestety, nawet kiedy jest się bez eskorty, trudno pozbyć się zażenowania.

- Nie sądziłem, że jestem taki ważny - powiedział powoli profesor z nutą smutku w głosie. - Nie sądziłem, że może mi grozić jakieś niebezpieczeństwo. Nie myślałem o tym.

- My też o tym nie myśleliśmy, gdy nasi sportowcy polecili do Monachium. Wydawało się nam, że nie mają żadnego politycznego znaczenia i nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. - powiedział Mackowicz. -1 choć poinformowano nas, że ma nastąpić arabski atak z frakcji Czarnego Września, gdzieś w Europie, na jakimś międzynarodowym zgromadzeniu, nie połączyliśmy ze sobą tych dwóch spraw. Zginęli bezbronni ludzie i nie możemy pozwolić na to, by wydarzyło się to jeszcze raz. Nawet jeden izraelski pływak czy biegacz musi mieć ochronę, nie mówiąc o polityku, dyplomacie, czy naukowcu pańskiej rangi. To zostało ustalone po wydarzeniach w Monachium. Anna wniosła tacę z kawą. Gruby cukier zbity w grudy, brak śmietany - za droga. Mężczyźni zamilkli, gdy podawała kubki. Profesor podziękował jej, powiedział, że przyśle pocztówkę i spotka się z nią po powrocie. Powiedział, że powinna już iść do domu. On wszystko pozamyka. Zanim zamknęła za sobą drzwi, pomachała do niego delikatnym, kobiecym gestem.

- Panowie - powiedział Sokarev. - Jestem tylko naukowcem, może tylko technikiem. Nie wspomina się o mnie poza terenem Dimony. Czytam gazety, rzadko, ale czytam, słucham radia wieczorami. Nie robiłem tego, zanim nie pogodziłem się z możliwością zagrożenia. Ale nie poczytywałbym go za duże. To małe ryzyko. Dlatego zadaję sobie pytania. Po pierwsze: dlaczego przyjechaliście tu dzisiaj z tak daleka, i, jak dotąd, nie rozmawialiśmy o niczym ważnym? Po drugie: dlaczego potrzebnych jest dwóch ludzi do opiekowania się mną? Dlaczego nie mogą tego zrobić nasi koledzy z ambasady, kiedy będę wysiadał z samochodu, lub policja krajów, do których mam jechać? W pokoju zapanowała cisza. Sokarev nie spuszczał wzroku z Mackowicza, czekając na wyjaśnienia. Patrzył jak ten zapala papierosa, bez pośpiechu, cierpliwie, ignorując spojrzenie Sokarewa. W oddali

słysząc było hałas ruszającego samochodu. Inni naukowcy wkrótce też wyjdą i po pokojach zaczną rozchodzić się sprzątaczkę. Już teraz dochodził do nich odgłos włączonego odkurzacza, gdzieś na końcu korytarza. Nad głową profesora latała mucha, więc odpędził ją packą. Tym razem odezwał się Elkin:

- Miał jechać tylko jeden z nas. Sytuacja się zmieniła, więc i my musieliśmy zmienić plany. Rząd określił pańskie zagrożenie jako bardzo poważne. Jest pan specjalistą w dziedzinie fizyki jądrowej. Stoi pan na czele ważnego zespołu. Te wszystkie fakty powodują, że jest pan ważnym celem, ale o tym wiedzieliśmy już kilka tygodni temu, gdy wypełnialiśmy pański plan podróży. Od tego czasu otrzymaliśmy informację, że pańska ochrona powinna być pewniejsza. Nasza praca w pewnym sensie może być uważana za równie delikatną jak pańska. Sądzę, że nie chciałby pan, bym mówił dalej.

- Nic pan nie powiedział - rzekł ostro Sokarev.

- Mamy informatorów - włączył się Mackowicz. - Mamy ludzi, którzy słuchają i ludzi, którzy w odpowiedni sposób interpretują to, co usłyszeli. To trudny, długi proces i często popełniamy pomyłki.

Często w tym samym czasie dowiadujemy się o wielu pojedynczych sprawach, które rzadko łączą się ze sobą. Ale to, czego się dowiadujemy, próbujemy połączyć w całość, aby odgadnąć wrogie zamiary. To właśnie teraz robimy. Plan w pańskim przypadku nie jest jeszcze gotowy, ale ma już formę i zarys.

- Czy jestem szczególnie zagrożony? - w głosie Sokarewa zabrzmiało zakłopotanie. Pewność siebie topniała.

- Tego nie możemy jeszcze stwierdzić z całą pewnością - odparł Elkin. - Wiemy, że grupa jednej z palestyńskich organizacji terrorystycznych podążała na północ przez Europę. Za naszą radą zostali zatrzymani przez władze francuskie. Co najmniej dwóch z nich nie żyje. Od naszych informatorów wiemy, że było ich trzech. Jeśli tak, to pozostał jeszcze jeden. Jechali do Boulogne, gdy wpadli w zasadzkę. Rozsądne jest więc rozumowanie, że celem ich podróży był prom przez kanał La Manche do Anglii. W następnym miesiącu żaden z naszych polityków czy wojskowych nie jedzie do Anglii. Tylko pan, profesorze.

Sokarev siedział cicho, pokonany w obliczu tych chłodnych argumentów. Rósł w nim gniew z powodu tego, co usłyszał. Cisza, długa

i napięta, wypełniona tylko nerwowym szuraniem butami, została przerwana przez Mackowicza.

- Nie mógł pan o tym czytać, ani nie powinien pan tego nikomu powtarzać. Sześć dni temu ta sama grupa, która przykuła naszą uwagę w Europie, wyjechała z ich głównej bazy w Lebanos, w kierunku Ramat Naftali na południe do Kiryat Shmona. Wpadli w zasadzkę naszych wojsk patrolowych. Było ich razem pięciu, a my ujęliśmy jednego. Resztę zabiliśmy w akcji. IDF podało tego wieczoru, że jeden z terrorystów uciekł, choć tak naprawdę był w naszych rękach. Podczas przesłuchiwania doszliśmy z nim do porozumienia. Oni często tak robią w zamian za życie. Przetrawanie w zamian za to, że miał wziąć radionadajnik. Miał dostarczyć nam dalszych informacji o operacji. Zgodził się. Nie nadeszły od niego żadne informacje i okazało się, że nie żyje. Wiele widzi się i słyszy w Fatahland, i wczoraj powiedziano nam o tym. Nie umarł zwyczajnie, ale w bólu, uduszony własnymi jądrami wepchniętymi w usta. Nie powinien pan lekceważyć tych informacji. I kiedy ma się możliwość, to należy słuchać, co do nas mówią

Sokarev poczuł, że wszystko podchodzi mu do gardła. Wstał niepewnie i chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój. Włączył kontakt przy drzwiach, wypędzając mrok i zanurzając pokój w świetle podłużnej lampy jarzeniowej, umocowanej u sufitu. Poza fotografią i mapą, która przedstawiała trasę ich długiego, corocznego wyjazdu, ściany były puste. Chciał, żeby tak wyglądał jego gabinet - prosto i skromnie. Fotografia przedstawiała trójkę jego dzieci: dwie młode kobiety w wojskowych spodniach i przepisowych granatowych swetrach oraz syna stojącego między nimi, o głowę wyższego, w jasnym, letnim mundurze wojskowym, z odznaką lotniczą na piersi. Byli wtedy wszyscy razem, pod koniec szabasu, i jutro też będzie taki sam dzień. Oczekiwali, że będą walczyć, potrafili zrozumieć tę nowoczesną wojnę. Walczyli przeczołgując się pod drucianymi ogrodzeniami poza granicami kraju. Sokarev miał niejasne i złe przeczucie, że ci dwaj ludzie z ochrony, którzy zostali wprowadzeni do biura, byli wrodzy i obcy.

- Czy może zamierza pan mi zdradzić, co powiedział ten terrorysta podczas przesłuchań? - zapytał, nadal stojąc w drzwiach.

Mackowicz i Elkin wstali.

- Powiedział nam, że planowali atak w Europie - odparł Mackowicz. - Nie znał ani miejsca, ani celu akcji. Znał tylko hasło operacji. Złamał się podczas "intensywnego" przesłuchania i podał nam ten wyraz. Zjednoczone Dowództwo NFWP jest ugrupowaniem terrorystycznym. Nazwę akcji stanowił wyraz "kima", którą właśnie podało mu to ugrupowanie. To arabskie słowo, z dialektu palestyńskiego. Oznacza "grzyb". Nie taki zwykły, mały, brązowy kształt, ale większy, rozrastający się i pęczniejący. Dlatego właśnie uważamy, że człowiek z Dimony jest w niebezpieczeństwie. I dlatego będzie nas dwóch w czasie pańskiej podróży.

Gdy wyszli, Sokarev długo siedział w gabinecie. Potem zebrał papiery, które były mu potrzebne w czasie podróży, włożył je do starej, wytartej teczki i zamknął za sobą drzwi.

Na budynkach biurowych i laboratoryjnych paliło się zaledwie kilka lamp, ale dookoła świeciło jasno druciane ogrodzenie. Wieże obserwacyjne były obsadzone po nastaniu ciemności i gdy szedł do samochodu, widział w górze mężczyzn na platformach, wspartych na wysokich palach, a pod nimi ludzi z wytresowanymi owczarkami alzackimi. To była oaza, którą znał jak własną kieszeń, bezpieczna, odgradzona.

Kiedy sięgnął po klucze, zauważył, że drżą mu ręce. Nie od razu wybrał klucz pasujący do drzwi. Wszedł do samochodu i siedział przez parę minut, próbując uspokoić szybki oddech i duszności. Potem przejechał przez bramy, jadąc do drogi prowadzącej do domu. Na trzech punktach kontrolnych strażnicy wykrzyknęli za nim pozdrowienia, tym razem bez odpowiedzi.

Jechał do domu szybciej niż kiedykolwiek, przyjeżdżając o pełne osiem minut wcześniej niż zazwyczaj. Żona zauważyła jego ściągniętą twarz i napięcie w oczach. Pierwszy raz w swoim dorosłym życiu doświadczył strachu. Strachu przed nieznanym. Przed dziwnym miastem milionów ludzi, gdzie jeden człowiek lub dwóch, trzech, czy czterech miało swój cel, nieodwołalny cel, którym było zabicie Davida Sokarewa. Widział zdjęcia tych ludzi w "Jerusalem Post". Leżeli na plecach, zabici ogniem karabinów, otoczeni kołem podnieconych żołnierzy. Oni zawsze umierali, ich misje zawsze kończyły się tak, że

ciągnięto ich ciała do wojskowego jeepa, rzucono na okrwawione nosze jak rzuca się wór ziemniaków albo śmieci. Ale nie było żadnej przyczyny, dla której Sokarev miałby wątpić w ich poświęcenie nawet w obcej stolicy.

Żona przyniosła talerz. Trochę wątróbki, za którą zapłaciła pieniędzmi wygrzebanymi z głębi portfela. Patrzyła, jak bawi się jedzeniem, by nie zrobić jej przykrości. Nie powiedział jej nic o Mackowiczu i Elkinie ani o tym czego się od nich dowiedział.

4.

Londyńskie City jest jak krucha i słaba tarcza broniąca się przed terroryzmem. Olbrzymie, zabiegane i obojętne. Jest wymarzoną terenem łowów, szczególnie, gdy myśliwi podchodzący zwierza stanowią małą grupę o silnej motywacji, a jej członków można policzyć na palcach jednej ręki. W czasie wojny City może być zmobilizowane, przebrane w mundury, przeznaczone do wykonania określonych zadań. Ale gdy panuje pokój, tłumi poczucie zagrożenia, nadstawia drugi policzek, nie zdaje sobie sprawy, że jest drażnione przez robactwo, które niszczy każdy organ jego ciała.

Tymczasowa IR A bezspornie udowodniła, jak bezbronna jest wielka, międzynarodowa stolica. Sto czterdzieści osiem bomb w ciągu dwudziestu dwóch miesięcy w tym majestatycznym, potężnym kolesie, który zaledwie zdawał sobie sprawę, że jest atakowany. Samochody załadowane nitroglicerynowymi materiałami wybuchowymi, zaparkowane pomiędzy kupującym tłumem, eksplodujące na ruchliwych dworcach kolejowych; okaleczone ciała przewożone karetkami lub transportowane barkami. Za każdym razem, gdy odzywał się głos syren, zbiegały się tłumy gapiów przyglądających się wszystkiemu, czasem z rozbawieniem, zawsze z zainteresowaniem lub z obojętnością.

Tam, gdzie na przestrzeni około czterystu kilometrów kwadratowych żyje osiem milionów ludzi, wszyscy są sobie obcy. Stwarza to dogodną dla terrorysty anonimowość, pozwalającą mu na wejście w jakiegokolwiek wybrane środowisko bez żadnego problemu. Jeśli ma forszę, może wynająć przytulny pokój w hotelu "Mayfair" czy "Belgravie", gdzie portier kłania się przy wyjściu, ale nigdy nie zadaje pytań. Może też zamieszkać w jednym z setek małych hotelików, za dużym terminalem kolejowym w północnym Londynie, zapłacić z góry za pokój i pozostać bezimiennym dla otaczającego świata. W dużym mieście ten, kto jest cierpliwy i wprawny w sztuce partyzantki, powinien przetrwać. Jeśli przegra, może za to winić tylko siebie.

Wrogie siły są niewielkie i słabe. Podstawowym i najbardziej oczywistym zadaniem jest unikanie policji cywilnej, której główna kwatera mieści się w Scotland Yardzie, niedaleko stacji Victoria. W obliczu rosnących problemów zbrodni klasycznej, drobnych przewinień i poważnych przestępstw, apatii społecznej i braku służby wojskowej, funkcjonariusze policji stołecznej zostali zmuszeni do przejścia intensywnych kursów do walki z przemocą międzynarodową. Nie mieli żadnego doświadczenia, nie była więc to dla nich łatwa sprawa, tym bardziej, że czas gonił nieubłaganie. Cała koncepcja walki z wrogiem daleka była od wyobrażeń oficerów, kiedy przenieśli swoje biura, kartoteki i laboratoria do ogromnej szklanej konstrukcji, w żaden sposób nie zabezpieczonej przed samochodami-pułapkami. Policjanci zmuszeni byli patrolować chodnik przed budynkiem, by uniemożliwić parkowanie jakimukolwiek prywatnemu samochodowi w promieniu piętnastu metrów od budynku. Z setek detektywów przechodzących przez główne drzwi wahadłowe i okazujących legitymacje komisarzom, z przypiętymi na piersi odznakami, stosunkowo niewielu podejmuje się uczestnictwa w operacjach antyterrorystycznych. Niewielu też jest chętnych do Oddziałów do Zadań Specjalnych - grupy utworzonej prawie sto lat temu dla przeciwdziałania groźbie ze strony członków tajnej organizacji walczącej o wyzwolenie Irlandii. Problem irlandzki ciągle góruje nad innymi - zostają zaprzęgnięci do nadzoru ogromnych budynków, miejsc spotkań, pubów, lotnisk i domów, a jednocześnie wciąż szukają niezawodnych, zaufanych informatorów. Ludzie z oddziałów muszą też zdawać sobie sprawę, że w każdej chwili mogą pożegnać się ze swoją pracą, wykonują więc skrupulatnie robotę papierkową na temat skrajnych ugrupowań anarchistycznych, najbardziej bojowych członków związków zawodowych, poczynań dyplomatów zza żelaznej kurtyny. To oni są odpowiedzialni za głowy wysoko postawionych Brytyjczyków, począwszy od premiera i ważnych obcokrajowców. Generalnie rzecz biorąc, nie mają wielu ludzi i dostatecznych funduszy. Niecałe pięćset osób na cały kraj.

Zostali poinformowani o planowanej wizycie Davida Sokareva w Wielkiej Brytanii, ale na cztery dni przed przybyciem nie byli jeszcze świadomi jego znaczenia dla Izraela i stopnia jego zagrożenia. W nor

malnych okolicznościach przeprowadzono by rozmowę telefoniczną pomiędzy biurem Środkowego Wschodu a attache" bezpieczeństwa w ambasadzie Izraela na dzień przed przylotem profesora i podjęto by decyzję o konieczności ochrony, biorąc pod uwagę możliwości oficerów i istnienie ważniejszych spraw.

Ale nad zapewnieniem bezpieczeństwa Davidowi Sokarewowi w czasie jego podróży przez Londyn, czuwała inna grupa ludzi, o wiele bardziej ważna niż oficerowie Służby Specjalnej. Pracowali na mało znanych obrzeżach miasta, w jednej z najbardziej modnych dzielnic stolicy. Niedaleko klubu Playboya, londyńskiego "Hiltona" i hotelu "Londonderry" znajduje się posępny, pięciopiętrowy budynek. Konieczne jest jego wyremontowanie i odnowienie. Okna w jednolitych, żelaznych rzędach ram, tak faworyzowanych przez architektów lat dwudziestych i trzydziestych, zasłonięte są koronkowymi firankami. Te na niższych piętrach zabezpieczone są półtoracentymetrową żelazną siatką. Boczne wejścia do budynku zostały zabudowane ceglami, a koło górnych okien, na rogach budynku, wciąż widnieją ślady kul karabinowych, pośpiesznie zamurowane w 1940 roku. Przy głównym wejściu nie ma żadnej tablicy, która mogłaby zdradzić charakter pracy ludzi tu zatrudnionych. Parking przy chodniku, na zewnątrz głównego wyjścia, osłonięty jest czerwonym, plastikowym parkanem, co zapobiega parkowaniu tu przez przypadkowych kierowców. Nad drzwiami widnieje szary i przybrudzony napis "Leconfield House". Budynek nie ma żadnych innych znaków identyfikacyjnych. Jest to centrum systemu nerwowego kraju, najbardziej tajnej organizacji odpowiedzialnej za działalność kontrwywiadu i operacji antyterrorystycznych - siedziba Brytyjskiego Wywiadu Bezpieczeństwa.

Jedenaście godzin po rozmowie Ciarana McCoya z arabskim dyplomatą, szpule taśmy leżały na biurku mężczyzny, którego biuro mieściło się na drugim piętrze "Leconfield House". Dyżurni urzędnicy, którzy pierwsi przesłuchali taśmę, przekazali transkrypcję rozmowy, która teraz leżała na wypolerowanym, dębowym blacie biurka. Pokój zajmowany przez Phillipa Whilloughby-Jonesa był całkowicie Pusty. Przydziałowy kwadratowy dywan, należący mu się ze względu na stanowisko w administracji państwowej, leżał na środku podłogi,

pokrytej stosunkowo starym, lecz systematycznie polerowanym linoleum. Drzwi znajdowały się naprzeciw jedynego okna. Na ścianie wisiał kalendarz, przysłany przez firmę sprzedającą żarówki ogrodowe za zaliczeniem pocztowym. Naprzeciwko biurka stały cztery krzesła, ustawione w półkole, wykonane z metalowych rurek, o siedzeniach pokrytych żółtym tworzywem sztucznym. Były jakby specjalnie wykonane dla tych, którzy wejdą tu na chwilę, by załatwić swoje sprawy i opuszczą biuro, jak tylko zostanie zakończona dyskusja przy biurku. Krzesło za biurkiem przyzwalalo na odrobinę luksusu w formie dwóch miękkich oparcí na łokcie. Naprzeciwko, przy ścianie stała żelazna szafka.

Jones - nie cierpiał tego dwuczłonowego nazwiska, które przybrał jego ojciec po wstąpieniu do wolnomularzy w małym, przemysłowym mieście we wschodniej części Midlandów - był niskim i szczupłym człowiekiem. Miał ostry, orli nos, sterczący ponad szczecinę krzaczystych wąsów spuścizną po służbie w wojskach Królewskich Sił Powietrznych. Jego szczupłe i zapadnięte policzki nie miały koloru i były znakiem rozpoznawczym człowieka, który większość czasu spędził w czterech ścianach. Włosy, słabe i siwiejące, były pośpiesznie i niedbale czesane każdego ranka i układały się we fryzurę tylko wtedy, gdy zwilżane były grzebieniem. Blask bił z jego oczu wąskich, głęboko osadzonych, czujnych i ruchliwych. Broda odróżniała go od innych z powodu gładkiej skóry bez zarostu, przeszczepionej z prawego pośladka dla pokrycia oparzonego wiele lat temu miejsca. Jones był odpowiedzialny za naczelny nadzór nad działalnością ambasad Środkowego Wschodu w Londynie.

Duggan - z wydziału do spraw irlandzkich i Fairclough - z wydziału do spraw arabskich /palestyńskich/ przybędą na rozmowę za parę minut. Zanim przyjdą, będzie miał czas na ponowne przeglądnięcie akt ambasady w Princes Gate. Ogromna część jego pracy zależała od akt. Dokładność przeprowadzenia akcji i jej powodzenie w dużej mierze zależne są od ciągłego zapisywania najdrobniejszych szczegółów - taka była opinia dyrektora naczelnego, który tego samego oczekiwał od swoich podwładnych.

Jones przekręcił klucz w środkowej z trzech szuflad i wysunął ją. Zawierała setki różnego rodzaju raportów. Obserwacje, szacowania,

biografie, transkrypcje nagranych rozmów telefonicznych. W pewnej ambasadzie kilka linii telefonicznych było na podsłuchu, każdy numer wewnętrzny zaopatrzony był w oddzielną, brązową teczkę. Przerzucił je, znalazł tę, której szukał. Było tam parę kartek. Dopiero niedawno dowiedzieli się o numerze, pod który, jak zauważyli, nie było dużo telefonów. Wrócił do biurka i zaczął czytać szybko i rzeczowo, od czasu do czasu zapisując w notesie parę słów zgrabnym, wprawnym pismem. Teraz czas na fajkę, zanim tamci przyjdą. Zapalił ją wciągając głęboko dym z cybucha z wiśniowego drzewa.

- Poczekaj, aż zaczną się schodzić, potem idź - powiedzieli mu.

Abdel-El-Famy spóźnił się na odprawę celną i imigracyjną, czekając, aż grupa studentów otoczy ubranego w niebieski mundur oficera.

Stanął najpierw z boku grupy, po chwili znalazł się w jej środku. Ale odprawa w Boulogne była dorywcza Raport z St Omer nakazywał wyrywkowo rozglądać się za oblepionym błotem, prawdopodobnie nie ogolonym mężczyzną. Famy spóźnił się niepotrzebnie. Jego prawdziwą ochroną była pomarańczowa, starannie wyprasowana koszula, którą miał na sobie, wyprane džinsy i sięgająca do bioder sztruktowa kurtka. Był też ogolony, co zupełnie oddaliło go od rysopisu wysłanego do przybrzeżnej policji. Pistolet i uwalane ziemią ubranie zasypał liśćmi w lesie na wschodzie miasta Kiedyś pewnie to znajdą, ale do tego czasu on zdąży wykonać zadanie, które mu powierzono.

Na przejściu granicznym Famy próbował zamienić parę słów z kimś z grupy. Nie mówił płynnie po francusku, ale dość dobrze, by nawiązać rozmowę. To był początek wakacji, co przyprawiało wszystkich o wyśmienite humory. Nie brakowało śmiechu i dowcipów młodzieży.

Wykładowca, który przez osiem dni pobytu w Londynie miał opiekować się studentami, miał niejasne przeczucie, że ten wysoki, śniady mężczyzna trochę starszy od reszty, nie przyjechał z nimi z Paryża. Zdziwiło go to, ale znał tylko kilku studentów z grupy, bo nie miał zbyt wiele czasu, by zapoznać się z nimi na odcinku Paryż - Bou-logne. Otrząsnął się z tych myśli - może to przyjaciel ze szkoły, albo stary, dobry kumpel któregoś ze studentów...

Famy ujrzał wstęgę białych klifów, gdy prom kołysząc się wpływał do portu koło długiego falochronu. Nie były śnieżnobiałe, jak tego

oczekiwał ani nie tworzyły potężnej ściany, jak dowiedział się na uniwersytecie w Bejrucie, lecz niskie, otoczone polami, podchodzącymi tuż pod brzeg morza. Jego uwagę przyciągnął opustoszały zamek, władczy i staromodny.

Uśmiechnął się do siebie, delektując się tym widokiem. To był jego wróg - zmęczony, niemodny, niezdolny do konkurowania z nowoczesnym światem, którego on szukał, niezdolny do ogarnięcia magicznej mocy ruchu palestyńskiego, niezdarny do obrony przed nową filozofią rewolucji i ataku.

Dwie dziewczyny z Orleanu i chłopak z St-Etienne niezdarnie i wolno zbierali swoje bagaże po skomplikowanym procesie przybijania promu. Famy okazywał wiele cierpliwości, reszta trochę mniej.

Wykładowca i pozostali studenci ponaglali ich. Famy'emu było to na rękę. Opóźnienie mogło spowodować obawę, że spóźnią się na połączenie kolejowe z Londynem, a to oznaczałoby nerwowy pośpiech przy odprawie paszportowej i okienku oficera imigracyjnego.

Tak też się to odbyło. Gdy przy odprawie paszportowej, zaczęto zadawać pytania pierwszej czwórce, zdenerwowany wykładowca zaczął krzyczeć i wymachiwać biletem kolejowym. Studenci dołączyli do niego, świetnie ubawieni przedstawieniem. Oficerowie mieli na tyle poczucia humoru, że pozwolili przejść całej grupie. Famy wręczył przy biurku białą kartę imigracyjną, starannie wypełnioną, a gdy przechodził koło ludzi ze specjalnej ochrony portu, wyglądał na bez reszty pochłoniętego dyskusją z dwiema dziewczynami. Nie zaszczycili go nawet jednym spojrzeniem. Nikt nie żądał okazania paszportu, który wciąż spoczywał w wewnętrznej kieszeni kurtki.

Dla Famy'ego nastąpił teraz moment niezdecydowania. Rozkazy, wydane przy opuszczaniu przez nich Bejrutu, określały następny etap podróży całej, trzyosobowej grupy. Instrukcje surowo zakazywały jazdy pociągiem z Dover do Londynu.

- Jeśli rząd ma co do ciebie jakiegokolwiek wątpliwości lub podejrzania - powiedzieli - zostawisz im dwie i pół godziny czasu na podjęcie decyzji i zablokowanie dworca Victoria.

Nie było od tego żadnych odstępstw; byli w tej kwestii nieugięci i na tyle dokładni, że zaopatrzyli ich w rozkład jazdy autobusów, które

jechały wzdłuż wybrzeża do stacji kolejowej, nie posiadając bezpośredniego połączenia z ruchem przez kanał.

Famy przypuszczał, że chód podróży jego przeciągnęła się o jeden dzień, to jednak rozkład spotkań pozostał ten sam. Z grupą studentów czuł się bezpiecznie i nie chciał ich opuszczać, ale instrukcje nie zezwalały na żadną osobistą inicjatywę w tej fazie. Gdy dziewczęta zaczęły się za nim rozglądać, zniknął.

Wieki trwały postoje na przystankach autobusowych, wyznaczających kolejne etapy nudnej podróży. Z Dover do Folkestone - siedem mil, z Folkestone do Ashford - siedemnaście mil, z Ashford do Maidstone - osiemnaście mil. Przez cały ten czas nikt, z wyjątkiem kontrolera biletów, nie zamienił z nim ani słowa, nie pozdrowił, nie uśmiechnął się, nie wymówił do niego jednej sylaby.

W Maidstone, sennym, nieciekawym jak na jego gust miasteczku, którego ulice zapełnione były robiącymi piątkowe zakupy ludźmi, przesiadł się na pociąg osobowy do Londynu. Wchodząc na stopnie wagonu, zauważył z satysfakcją, że od miejsca przeznaczenia, w którym miał uśmiercić Davida Sokareva, dzieliła go zaledwie godzina. To spotkanie w "Leconfield House" nie należało do łatwych - trzech mężczyzn siedzących przy biurku nad tekstem transkrypcji, próbujących wyczytać ze źle odbitych słów coś więcej niż w rzeczywistości było tam napisane. Milczenie, przerwa w obradach, spowodowana koniecznością powrotu Duggana i Fairclougha do swoich biur w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby rzucić więcej światła na tę jedyną, krótką rozmowę, której zapis im podano. Po godzinie, poświęconej problemowi, Jones postanowił, że nadszedł czas na streszczenie i wnioski. - Zatrzymajmy się na chwilę - powiedział, chcąc wrócić do sedna sprawy. - Ustalmy najpierw, co dają nam nasze własne materiały, zanim udamy się na poszukiwanie innych. Po pierwsze: numer, pod który zadzwonił nasz przyjaciel McCoy, jest rzadko używany, ale został uznany za ważny, albo ten mały skurwysyn, który nam go podał, nie domyśla się, że naprawdę robi nam grzeszność. Gdy ostatnio z nim rozmawialiśmy, wydawało się, że sądzi, iż zrobiliśmy dobry interes. To nie rozwiązana sprawa. Następny jej delikatny aspekt, to sama roz

mowa telefoniczna Różni się od innych rozmów na tej linii. Tamte były zaszyfrowane, ale jeszcze za mało znamy szyfr, by go złamać. Sięgnął po swoje papiery i wyjął z jednej z teczek cztery arkusze papieru kancelaryjnego, z trzema linijkami tekstu na każdym.

- Nie można z tego wiele wyczytać, ale tylko to mamy: "Zakwaterowanie 1-7-3,6-5,1-6-2". To zdobyliśmy trzy dni temu. Angielski akcent, prawdopodobnie wyuczony. Następnej nocy coś w podobnym stylu: "Miejsce spotkania umówione 77,1,6". Za każdym razem telefonujący pod ten numer przekazuje informacje. Do czasu rozmowy z ostatniej nocy. Moim zdaniem oznacza to, że nie doszło do spotkania. Oczywiście wiadomo, że nie odkryłem niczego nowego. Ale tym razem nie ma hasła a głos, który słyszeliśmy w poprzednich rozmowach, podaje tym razem imię. Przedstawia się. Nie używa hasła, wali prosto z mostu.

- Spróbujmy to wyjaśnić bardzo prosto - powiedział Fairclough.

-McCoy, nazwisko, które mamy, i które najprawdopodobniej jest autentyczne, wałęsa się bezczynnie ostatniej nocy. Z niecierpliwością czeka na kogoś. Przykrzy mu się to po pewnym czasie. Chce wiedzieć, co się dzieje i dzwoni pod podany numer, numer kontaktowy. Korzysta z budki telefonicznej. Ale jest wściekły. Zbyt zdenerwowany, by przypomnieć sobie hasło. Jakiego hasła użyto w dwóch pierwszych rozmowach?

Zirytowało go to, że zapomniał. Fairclough był zasadniczym i zorganizowanym człowiekiem i zawsze chciał mieć wszystko w zasięgu ręki.

- To było jedno słowo - powiedział Jones. - Tylko jedno słowo - "Grzyb". Potem przeszedł od razu do podania informacji. Żadnego wahania. Bardzo profesjonalnie. Tak krótka wymiana zdań nie pozwalała na umiejscowienie numeru.

- To zupełnie niemożliwe - wtrącił się Duggan, któremu sposób interpretacji faktów całkowicie nie odpowiadał. - Spójrzcie na realizację. Jest zbyt złowieszczą zbyt dobrze przygotowana Kto mógł zaplanować nawet tak nieważne drobiazgi?

- Powróćmy do faktów - Jones dobrze wiedział, jak łatwo temat tego spotkania mógł zjechać na boczne tory, na tematy teoretyczne, i zakończyć się dopiero wraz z nadejściem wieczoru.

- Ustaliliśmy, że w rozmowie z ostatniej nocy nie podano hasła. Ustaliliśmy również, że nasz mały dyplomata jest przeświadczony o korzyściach wynikających z pozostawania w swej klatce przez pół nocy, czekając na połączenie, na długo po tym, jak ci, dla których pracuje, są już po wypiciu paru napojów chłodzących i soku pomidorowego w wesołym miasteczku. Gdy zadamy sobie pytanie, czy jest w tej sytuacji coś podejrzanego, to do cholery, wszystko jest podejrzanе. Jest tu nowy - od paru miesięcy. Pozornie mało pracy - wizy i paszporty. Ludzie od ropy i paru biznesmenów, nie za wielu, ale dość, by mieć własne połączenie telefoniczne. Odbiera telefon o każdej porze, czyli albo umawia się na określoną godzinę, albo tam śpi. Zamilkł. Mówił zbyt dużo, tonem dyrektora szkoły, przemawiającego do pierwszoklasistów. Nie powinien się tak zachowywać w stosunku do kolegów, ale czuł chłodne myślenie Duggana i nie chciał, by ono umknęło. Nawet wśród przyjaciół człowiek bije się z obawami i wątpliwościami. Cholernie idiotyczna myśl, prawda? Trzech dorosłych mężczyzn bawiących się w rozwiązywanie szkolnych zagadek, łamiących sobie głowy nad rebusem. Zabawne jest to, że nawet jeśli w końcu uda ci się znaleźć odpowiedź, to i tak nigdy nie wiadomo, czy jest prawdziwa. W każdej chwili, gdy jesteś już przygotowany, mogą zmienić taktykę. To oni mają inicjatywę, zawsze te cholerne dranie muszą zrobić pierwszy krok. A oni trzej siedzieli tu, próbując dojść do jakiejś konkluzji i znów szukając usprawiedliwienia na kolejny stracony weekend. Ktoś, kto pracuje z własnej woli osiemdziesiąt godzin w tygodniu, narażający się na setny z kolei telefon do domu, grożący katastrofą, powinien udać się do psychiatry. Cholernie głupie.

- No i sprawa się skomplikowała. Tajemniczy irlandzki głos, magiczny akcent, który przyprawia nas wszystkich o nocne koszmary.

Na twarzy Duggana zamajaczył ból, Fairclough uśmiechnął się.

- Co robi McCoy? - kontynuował Jones. - Czeką na swojego kumpla i kiedy nie dochodzi do randki z nieznajomym, dzwoni pod tajny numer w ambasadzie. Tak myślicie, panowie?

Zamilkł. Niech teraz inni też się pomeczą nad tą działką. Sprawa była śmierdząca, jeszcze niewyraźnie, ale na tyle dokuczliwie, by "zrobić go czujnym."

Kolej na Duggana. Jak do tej pory nie był zbyt aktywny. Strefa jego działalności różniła się od pozostałych. Ich zakres działania był szeroki, oni pracowali nad hipotezami, nad możliwymi, ale mało prawdopodobnymi sprawami. Jego praca dotyczyła spraw prawdopodobnych, dokładnie określonych i powszechnie znanych, których groźba była ukryta w skrócie PIRA - Tymczasowa Irlandzka Armia Republikańska. Przed spotkaniem udał się do biura swojego przełożonego, sprawdził własną listę podejrzanych i wszelkich ich powiązań w poszukiwaniu jakiegokolwiek wzmianki o Ciaranie McCoyu. Nie było żadnej. Zadzwoił do sztabu Wywiadu Wojskowego w Lisburn, County Down w Północnej Irlandii. Rozpoczęli poszukiwanie informacji, aby dostarczyć je potem do komputera. Najwcześniej koło pory lunchu, najpóźniej około szesnastej nadejdzie teleks ze słowami "negatywne" lub "pozytywne".

- Jeśli chłopak jest z PIRA, to trudno to wyjaśnić. Mieli kontakty z rządem. Kupili tam broń. Claudie i kałasznikowy, które przechwyciliśmy, pochodziły z tego źródła. Dyskutują, mają spotkania, ale ich polityka rozciąga się głównie na Saharę. Jeśli jest między nimi a PIRA jakiś związek, to wynika z czystej konieczności. Jedna wspólna akcja i potem zapomną o sobie. Nie mogą trzymać się razem, dla długotrwałej współpracy. Ale musimy dowiedzieć się czegoś o tym chłopaku, musimy go gdzieś umieścić.

- Od tego powinniśmy zacząć - wtrącił się Fairclough - właśnie od tego cholernego McCoya powinniśmy zacząć układankę. Ale jeśli jest mowa o współpracy, to może się okazać efektywna. Kiedy się spotkają, z pewnością nie będą tracić czasu na głupstwa, a przejdą do konkretów. To metoda Arabów i musimy o tym pamiętać, jeśli wierzymy, że istnieje pomiędzy nimi jakiś związek. Pojawiając się w ostatniej chwili, zadają cios i wycofują się. Monachium było najlepszym tego przykładem. Grupa przybyła do wioski olimpijskiej na dwa, trzy dni przed atakiem, ale wszystko było starannie zaplanowane, każdy szczegół. Przed atakiem pracowali nad tym przez siedem miesięcy.

- Nie wiem, dlaczego tak nas to dręczy? - stwierdził Duggan, chcąc zmniejszyć napięcie.

- Może w ogóle się nie pojawią - mruknął Jones, a uśmiech zagrał na jego ustach, zahamowany przy linii przeszczeputu.

- Widziałeś poranne gazety. Zastrzeleni w pobliżu Boulogne. Dwóch Arabów zabitych, ale żadnych informacji z "Firmy", jak na razie.

- Słuszne spostrzeżenie - zgodził się Fairclough.

Delikatne pukanie do drzwi. Dziewczyna, która weszła, wysoka i pulchna, o długich, jasnych włosach do ramion, w spódnicy o parę centymetrów za długiej, w swetrze o parę centymetrów za ciasnym to Helen Anders, osobista sekretarka Jonesa przez ostatnie osiem lat

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir - powiedziała cicho.

"Nie przeszkadzasz, do cholery - pomyślał Duggan. - Prowadzisz to pieprzone biuro, możesz wchodzić i wychodzić, kiedy chcesz. To ja przepraszam, że w ogóle istnieję."

- Przepraszam, sir - powtórzyła. - Był telefon do pana Fairclougha z Biura Zagranicznego. Izraelczycy skontaktowali się z naszymi ludźmi na Cyprze. Raport wkrótce nadejdzie telegraficznie. Tak szybko jak tylko znajda odpowiednią książkę szyfrową, wiadomość zostanie przesłana. Powiedzieli, że powinien pan czekać.

Skinęła głową i już jej nie było.

- I w ten oto sposób mamy ten cholerny, piątkowy wieczór z głowy - powiedział Fairclough. - Ty będziesz z niecierpliwością oczekiwał na telefon, Duggan będzie szukał innego tropu, a ja na próżno będę męczył się nad swoją działką.

Roześmieli się. Każdego piątkowego wieczoru, klnąc i narzekając zostawali w pracy, gdy okazywało się, że mają dodatkową robotę. Tylko paru biznesmenów, którzy wpadli na jednego głębszego do "Białego Słonia" czy klubu "Curzone House" na drugiej stronie ulicy, wraz ze swoimi żonami, sekretarkami czy kochankami, mogło mieć jakieś przeczucia co do pracy ludzi w ponurym domu naprzeciwko, gdzie światła paliły się do późnej nocy.

Do bazy Królewskich Sił Powietrznych w Akrotin w północno-zachodnim Cyprze przyleciał Izraelczyk na osobiste polecenie szefa wywiadu wojskowego w Tel-Awiiwie. Był jedynym, anonimowym pasażerem samolotu Aero Command, przystosowanego do przewozu dziewięciu osób. Większość rozmów i wymiany informacji między przedstawicielami różnych sekcji izraelskiej służby bezpieczeństwa.

a przedstawicielami Brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej - SIS, lub, jak ją potocznie nazywano, "Firmy", przeprowadzano w ogromnej, przestrzennej bazie RAF. Jeden z członków rezydujących tu oddziałów brytyjskich, po otrzymaniu przez wyższe władze brytyjskie wiadomości telefonicznej z ambasady Izraela, przejechał siedemdziesiąt pięć mil z Nikozji, aby się z nim spotkać. Brytyjczycy zanotowali ostrzeżenie, które natychmiast przekazano z wyspy do Londynu. Rezultatem prawie połowy rozmów, przeprowadzonych na chropowatej, szerokiej powierzchni pasa startowego w Akrotiri było wysłanie oddziałów wojskowych na lotnisko Heathrow.

Tego wieczoru dwaj mężczyźni nie stracili wiele czasu i po dwudziestu pięciu minutach rozmowy Izraelczyk znów był w powietrzu. Zawarł wszystko w pięciu podstawowych punktach. Po pierwsze: grupa palestyńskich zamachowców została zatrzymana w drodze przez północną Francję. Po drugie: przedstawiciel służby bezpieczeństwa w Paryżu nie był zadowolony z kroków władz francuskich powziętych po tym incydencie, jak też nie był pewien, czy wszyscy członkowie grupy zostali zlikwidowani. Po trzecie: Izraelczycy zdobyli informacje, że kryptonim operacji brzmi: "Grzyb". Po czwarte: jeden z najważniejszych specjalistów kraju w dziedzinie atomowej, prawie w ogóle nie znany, opuści w poniedziałek Tel-Awiv, lecąc do Anglii z odczytami, których termin ustalono już wcześniej. I po piąte: reakcja jego rządu będzie bardzo nieprzyjemna w skutkach, jeśli wizytę tę zmąci jakiś nieprzewidziany incydent. Ostami, piąty punkt powtórzył trzy razy.

- On jest dla nas bardzo ważny, bardzo ważny w pewnych dziedzinach, które uważamy za najbardziej istotne dla naszej obrony narodowej. Rozumie pan, co powiedziałem?

Anglik spojrział na grupę załogi lądowej, stojącą poza zasięgiem słuchu, ale z ciekawością przyglądającą się im.

- Jeśli jest dla was taki ważny i rzeczywiście istnieje zagrożenie, to dlaczego nie odwołaliście wizyty i nie zapomnieliście o całej sprawie? - zapytał.

- Gdybyśmy mieli tak robić za każdym razem, gdy istnieje zagrożenie, musielibyśmy całkowicie odizolować się od reszty świata. Nie

damy się złamać tym draniom i oczekujemy poparcia waszych agencji w Zjednoczonym Królestwie.

- Co jeszcze mogłoby wam pomóc? - zapytał Anglik. Wiedział, że cała ta sprawa bawi tego małego skurwysyna. Zawsze kiedy tylko mogą, wciągają innych w swoje nie kończące się problemy.

- Nic więcej. Po prostu dobrze pilnujcie naszego profesora. Jak to mówicie: pilnujcie go tak, żeby nawet mysz się nie prześliznęła "Zawsze to samo - pomyślał Anglik. - Rozkoszują się tym, że reszta świata na każde ich skinienie." On też będzie miał spieprzony wieczór, pisząc i zaszyfrowując raport, ale w odróżnieniu od ludzi w Londynie przejdzie mu koło nosa impreza koktajlowa. Duża dziewczyna z Chancery będzie miała., cholerny świat.

Informacje, których zażądał Duggan, nadeszły z piwnic banku przez dalekopis o godzinie szesnastej. Przeczytał uważnie tekst i zmarszczył brwi, przesuwając wzrokiem po niebieskich, drukowanych literach.

Czas: 15.52., piątek, 28.06.

Temat McCoy, Ciaran Patrik Aloysius.

Adres: Ballynafeigh fm, nr Crossmaglen, Armagh, NI.

Wiek: 22 lata, 14.03.54.

Akta bezpieczeństwa Przez ostatnie trzy lata McCoy jest członkiem PIRA. Po roku zanotowany w oddziałach służby czynnej w rejonie Cullyhanna. Przypuszcza się, że jest wyśmienitym strzelcem, dobrym przywódcą. Aresztowany przez Sł. Bezp. 8.12.74 r. ICO i nakaz osadzenia w więzieniu. Więzienie HM - został więziennym komendantem PIRA. Zwolniony z polecenia państwowego. 3.07.75. Od tego czasu aktywny w działalności polit., jeśli znów powróci do przemocy, syt. pogorszy się. Ostatnio notowany przez Wywiad Wojskowy SB. Przypuszcza się, że jest odpowiedzialny za strzelaninę w rejonie South Armagh, tzn. ostrzelanie wozu patrolowego RUC -17.08.74 r., strzelał z zasadzki do grupy patrolowej - zabici -10.10.74 r. Poszukiwany.

Charakter wiadomości: Niżej podane informacje są osobiste i tajne, przekazywane przez Wywiad Wojskowy WO 3BDE Lurgan, NI.

Zakaz przekazywania informacji poza departament.

Zdziwiło nas zwolnienie McCoya, protest komendanta Sił Lądowych skierowany do odpowiedzialnych za to oficerów politycznych.

Odpowiedź brzmiała: "McCoy ma zostać tylko aresztowany, ze względu na zawieszenie broni z lokalnym PIRA - zwolniony." Krzykacz. Uważany za człowieka wysokiego kalibru i, w odróżnieniu od innych członków, ma dobre wykształcenie - szkoła średnia w Armagh City. Zwodniczy w sposobie bycia, łatwo dostosowuje się do innych. Odnośnie twojej specjalnej prośby:

1. Ostatnim razem widziany w okolicy dziesięć, dwanaście dni temu.
2. Nic nie wiadomo o jego pobycie w Londynie. Jego siostra pracowała tam w szpitalu Św. Marii, Paddington, Londyn NW.
3. Trudno go rozpoznać. Długi proces poszukiwań.
4. Ostatnim razem przesłuchiwany przez mjra Stewarda, Korpus Wywiadowczy, adres w Ministerstwie Obrony /domowy/.

Podsumowanie: Twardziel. Cholerny szczęściarz.

Duggan zrobił trzy fotografie tekstu. Jedną dla Jonesa, drugą dla Fairclougha i dla szefa swojego departamentu. Oryginał włożył do nowej teczki, z widniejącym na jej grzbiecie nazwiskiem McCoya, która do tej pory zawierała tylko transkrypcje rozmów telefonicznych z ambasadą.

Przeczytał informację jeszcze raz, w odpowiedni sposób interpretując jej oficjalny ton. To ukryte znaczenie budziło obawy. Czołowy człowiek w hierarchii Tymczasowej IRA, jeden z liderów w oddziałach służby czynnej, przebywał w areszcie tymczasowym, oczyszczony z zarzutów i zwolniony przez jakiegoś cholernego polityka pod przykrywką utrzymania zawieszenia broni, podczas gdy wszyscy wiedzieli, że ci dranie błagali na kolanach o pokój. Odpowiedzialny za co najmniej dwa morderstwa. Biedacy, byli bezsilni, nawet nie mieli tej satysfakcji, by móc widzieć go do końca życia za kratkami. Nawet generał nie był w stanie zmienić tej decyzji. Ma się ochotę rzucić to wszystko.

Bo co niby robił teraz McCoy, biegając po Londynie, telefonując do ambasad, zajmując się nie swoją działką?

Duggan pośpieszył do windy, jadąc nią piętro niżej, do biura Jonesa.

5.

Stan Sokareva budził troskę jego żony. Zobojętnienie, unikanie rozmowy, jego ciągle przesiadywanie przy biurku nad zamkniętymi książkami. Często przychodziły takie chwile, gdy wydawało się, że praca spycha go w dół, że dosłownie uginają mu się ramiona pod ciężarem tempa, skomplikowania i postępu w badaniach nad akcją nuklearną.

Zawsze dostrzegała te oznaki skrajnego wyczerpania i depresji u męża i wtedy oboje rozmawiali o jego problemach, zmniejszając tym samym napięcie. Ale nie tym razem. Na jej delikatne próby uzyskania jakichś informacji wzruszał ramionami, pozostawiając ją w jeszcze głębszej trosce i przeświadczeniu o swojej zbyteczności. Miała nadzieję, że popołudniowy przyjazd "dzieci", jak je ciągle nazywała, ożywi go.

Sokarev myślał nieprzerwanie o tym, co powiedzieli mu mężczyźni z ochrony, zastanawiając się, dlaczego uważali za stosowne ujawnienie mu swoich tajemnic i żałując, że to zrobili. Nie był przyzwyczajony do strachu i nie pamiętał podobnego uczucia o takiej intensywności. Jak dziecko, bojące się pozostawienia go w nieznanym pokoju, tak on, przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny przeżywał lęk przed swoją londyńską wizytą.

Kiedy przed zapadnięciem zmroku żona zaproponowała spacer, pokiwał przecząco głową. Usłyszał westchnienie zawodu, gdy tak stała niespokojnie ze ścierką do kurzu za jego krzesłem.

- Mamy czas - powiedziała - zanim przyjadą dzieci. Moglibyśmy Pójść do tego nowego basenu, zaledwie paręset metrów stąd, parę minut. Wrócimy, zanim przyjadą.

Znów pokręcił przecząco głową. Wyszła. Siedział samotnie kilka minut, potem nagle wstał.

- Chciałbym wyjść - powiedział cicho. - Ale chciałbym pójść sam. Chęćbyśsam.

Jej twarz spochmurniała i dostrzegł na niej ból. Zacisnęła usta, przymrużyła trochę oczy.

- Jest jeden problem. Muszę go przemyśleć'. Nie chcę cię w to mieszać. To nie potrwa długo. Wkrótce go rozwiążę. Przykro mi. Ulice wypełniało gorące, suche powietrze. Na chodniku dzieci grające w piłkę zrobiły przejście profesorowi. Gorące, nafaszerowane przyprawami zapachy dochodzące z kuchni, mieszały się z zapachem obsypanych kwieciem drzew, które zasadzono jeszcze w trakcie budowy domów. Dobiegł go hałas; wysoko, ponad nim jakaś para zaciekle obrzucała się wyzwiskami.

Trudno było skoncentrować się na pytaniu, które dominowało w jego myślach - zbyt wiele obcych widoków i zapachów wdarło się do jego umysłu. Przeszedł niecałe pół mili, po czym powoli zawrócił. Kiedy doszedł do klatki schodowej na parterze, która prowadziła do jego mieszkania, ujrzał swojego syna w samochodzie mini, przejeżdżającego przez park przed domem. Przeszedł na tył budynku, gdzie znajdowały się garaże. Otworzył drzwi garażu, następnie drzwi samochodu, po drugiej stronie kierowcy, i wsunął się na siedzenie. Zanim otworzył przedni schowek, jego dłoń zawahała się przez chwilę. Pod szmatką do przecierania szyb leżał pistolet mauser. Sokarev wyjął go i przez chwilę ważył w dłoni, czując ciężki i twardy kształt kolby w swojej ręce. Magazynek był załadowany. Naboje - siła zdolna zabić lub chronić.

- Oni cię wloką na dno, stary człowieku - powiedział do siebie.

-Wciągają cię we własne piekło, gdzie brutalna, potężna przemoc stanowi o wszystkim. Jakich kwalifikacji, jakich myśli, jakich intelektualnych zdolności wymaga zwolnienie twardej zapalki zabezpieczającej i tym samym przeobrażenie małego kawałka mechaniki w przyrząd do zabijania? Takie to wulgarne, takie obce.

Dla tych mężczyzn, którzy mieli towarzyszyć mu do Londynu, broń znaczyła tyle samo co sznurowadła, pasta do zębów, czy paski przytrzymujące ich spodnie na biodrach. Weźmie go ze sobą. Czy będzie im się to podobało, czy nie, ci dwaj młodzi mężczyźni będą musieli to zaakceptować. Częstkę swojego przeznaczenia będzie trzymał w swoich własnych rękach. Włożył pistolet z powrotem do schowka i przykrył ścierką. Gdy na chwilę zatrzymał się pod drzwiami mieszka

nia, szukając w kieszeni klucza, usłyszał głos żony, niespokojny i podekscytowany oraz cichszy głos swojego syna. Od razu poczuł się spokojniejszy, bardziej opanowany. Kiedy wszedł do mieszkania, jego twarz rozpromieniał uśmiech powitania.

Na stacji Victoria Arab przepychał się do budki telefonicznej przez rozkołysany tłum wracających do domu pasażerów. Począł na swoją kolej i, kiedy budka zwolniła się, skinieniem głowy podziękował mężczyźnie, który przytrzymał mu drzwi i wszedł do wewnątrz. Pachniało tu jak w wilgotnej toalecie. Patrząc na tablicę nad telefonem, Famy przeczytał instrukcję, znalazł monetę dwupensową i wykręcił numer, który wciąż pamiętał. Usłyszał wibrujący głos, instruujący go o wrzuceniu monety. Moneta prześlizgnęła się przez otwór i pojawiła się w małym okienku poniżej. Przez chwilę ogarnęła go panika, niezdarnie wyjął monetę i znów wrzucił do aparatu. Nastąpiła pauza i usłyszał jakiś głos. Podał numer wewnętrzny, który mu dano i usłyszał dźwięk oznaczający połączenie. Inny głos wymienił numer, o który prosił, potwierdzając, że to ten.

- Grzyb jeden przybył - powiedział Famy.

Z drugiego końca sucho i krótko. - Miejsce spotkania to samo co poprzedniej nocy. Znasz je?

- Tak, pamiętam...

Połączenie zostało przerwane, głos zastąpił piskliwy, przytłumiony, ciągły sygnał.

Trzy godziny. Trzeba jakoś zabić ten czas. Czas na stracenie. Famy wyszedł na londyńską ulicę, pokrytą słonecznym blaskiem późnego popołudnia. Naprzeciw znajdował się kiosk z pamiątkami. Lalki w mundurach straży królewskiej, pocztówki z pałacem Buckingham, Pudełka "Męskiej toalety" i "Picadilly".

- Przepraszam - jego głos był zmieniony, gdy zwrócił się do starszego mężczyzny siedzącego na taborecie za ladą. - Zastanawiam się, czy ma pan zbiór map Londynu A-Z? Mapa nazywa się A-Z.

Mężczyzna spojrzał, świdrując jego twarz - nie z jakiejś konkretnej Przyczyny, po prostu taką miał manierę. Podał Famy'emu książkę.

- A do Z - powiedział tonem dobrego wujaszka. Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia - To cię będzie kosztowało trzydzieści pensów.

Famy wziął książkę i poszedł. Po drugiej stronie ruchliwej ulicy widniał napis: "Kanapki i przekąski". Był głodny i zmęczony. Zaczekał, aż grupa przechodniów zbierze się przy światłach i, przyłączywszy się do niej, przeszedł na drugą stronę szerokiej jezdni. Spojrzał na olbrzymie, białe od frontu, portykowe domy na ulicy Lower Belgrave. Tak wyobrażał sobie Londyn - okazały, majestatyczny, uprzywilejowany. W kawiarni, włoski kelner przyniósł mu kawę, do której zamówił jeszcze chleb i trochę sałatki. Spojrzał na książkę, obejmując wzrokiem labirynt sieci linii i słów, tworzących obszar Londynu. Gdy podano jedzenie, sięgnął do wnętrza płaszcza po cienki notes, który tam nosił, i pomiędzy gmatwaniną danych w części na objaśnienie, znalazł na końcu pierwszą linijkę.

- Siedemdziesiąt siedem, jeden, sześć - przeczytał.

Nie powinien zapisywać tych danych w swoim notesie. Miał rozkaz zapamiętać je. Dani i Bouchi nie zapisaliby tego. Ale Famy bał się, że zapomni. Zdawał sobie sprawę, że po raz pierwszy złamał instrukcje swojej misji. Miał poczucie winy, lecz nikłe, gdy zaczął opracowywać podany system kodu.

Zanotował numer, mocno wydrukowany na czarno w górnych rogach każdej strony i uważnie przejrzał książkę, zanim doszedł do siedemdziesiątej siódmej strony. Pod numerem wydrukowana była mała jedyńka, oznaczająca numer kwadratu. Przeliczył alfabet szukając litery, która odpowiadała cyfrze 6. Doszedł do litery F. Spojrzał na stronę, kierując wzrok na kwadrat oznaczony z boku cyfrą 1 i pionowo literą F. W tym kwadracie znajdował się zacieniony obszar, w części oznaczającej Waterloo. Powiedzieli, że spotkają się na stacji. Jeśli z jakichkolwiek powodów mieliby zmienić miejsce spotkania nie powinno się ono odbyć tam, skąd niedaleko byłoby do jego miejsca zakwaterowania. Wyszukał palcem kod, oznaczający miejsce, gdzie miał mieszkać.

"173.65.162". Tym razem spojrzął na indeks z tyłu map, wyszukał stronę sto siedemdziesiątą trzecią i zaczął czytać z góry na dół kolumnę z nazwami ulic. Nazwa sześćdziesiątej piątej ulicy od dołu

brzmiała: "Englefield Road N. 1.4C 46". Miejsce zamieszkania to ulica Englefield Road 162, na obrzeżach Islington i Dalston w północnym Londynie.

Transkrypcja rozmowy Famy'ego z ambasadą została pośpiesznie przyniesiona do biura Jonesa.

- Żadnej zmiany, jeśli chodzi o długość rozmowy - powiedział mężczyzna, który ją przyniósł. - Trwała około czternastu sekund, łącznie z szukaniem pieniędzy i połączeniem z wewnętrznym numerem. W tle słycać jakieś głosy, ale większość budek telefonicznych jest tam, gdzie tłumy ludzi. W każdym razie nie dzwonił z budynku.

- Na pewno nie możemy wyłapać takiej rozmowy, jak ta? - zapytał Jones.

- Nie, do diabła! W żaden sposób. Potrzebujemy na to o wiele więcej czasu.

- A głos? - naciskał Jones.

- Też potrzebujemy więcej czasu. Cudzoziemiec, wiemy trochę więcej. Nie jest ze Stanów ani z Europy północnej, ani z Afryki, ani też z Azji. Powiedziałbym, że znad Morza Śródziemnego, nie latyński, ale wschodni.

- Dziękuję - powiedział Jones i mężczyzna wyszedł z biura.

To właśnie ci ludzie w departamencie byli specjalistami w dziedzinie fonetyki i wymowy, potrafili z wielką precyzją określić pochodzenie rozmówcy, lub przynajmniej region, w którym spędził dostatecznie wiele czasu, by to wpłynęło na wymowę spółgłosek i samogłosek w sylabach. To nie zabierze im dużo czasu, ale Jones był pewien, że do jakichkolwiek wniosków by nie doszli, będą one jedynie fachowym potwierdzeniem tego, co on już wiedział.

Więc przyjechał ich mały przyjaciel. Nie przyszedł na pierwsze umówione spotkanie, ale teraz wszedł już do gry i gotów był odrobić stracony czas, spotkać się w umówionym miejscu. Zgadzało się hasło, zgadzała się część świata. No więc zobaczy się z tym małym skurwysynem z PIRA.

Jones sięgnął po biały aparat telefoniczny, ten, który łączył rozmowy departamentu i wszystkie rozmowy wewnętrzne. Drugi aparat

czerwony, łączył rozmowy tylko z miasta. Wykręcił dziewiątkę - wyjście na miasto, a następnie numer domowy.

- Będę później, kochanie. Nie, właśnie nadeszło. Stara śpiewka, prawda? Mówię, że będę później, ale niewykluczone, że w ogóle nie wrócę na noc. Jak tam chłopcy? Dobrze. Przykro mi... wiem, że zawsze to mówię, ale naprawdę jest mi przykro. Kocham cię. Do zobaczenia, kochanie.

Teraz były już tylko dwie teczki. Jedna z rozmowami z ambasadą, druga dla McCoya. Wziął je obie i poszedł na dół do piwnic.

W kabinach siedzieli mężczyźni przechwytyjący rozmowy, które generalny określił jako bezwzględnie konieczne do nagrania. Przysunął krzesło za mężczyzną podsłuchującym rozmowy pod numerem, którym Jones był zainteresowany. Mężczyzna przywitał go cicho, podłączył oddzielne słuchawki i podał mu. Poczęstował Jonesa papierosem, którego ten odmówił. Potem czekali, coraz bardziej skoncentrowani. Metalowe części słuchawek wpijały się w skórę Jonesa. Czekał na następny telefon. Myślał o tym, że ludzie z departamentu nie byli podekscytowani akcją. Byli na to za starzy, zbyt doświadczeni. Każdy z nich cenił to, że późno zaczynali sprawę, chwytając wcześniej parę godzin na jakieś domowe prace. Wrogowi zabrało to tygodnie, może miesiące na przygotowanie. Nigdy nie było wystarczająco dużo czasu w tym interesie na to, żeby sobie pobrażać.

Major z Korpusu Dyplomatycznego nie był w stanie powieści Dugganowi wiele na temat McCoya, ale ten jeszcze o tym nie widział. Major cieszył się przejściem na emeryturę a wynagrodzenie, które zapewniała mu armia, całkowicie go satysfakcjonowało. To spotkanie oderwało go od ulubionego zajęcia, któremu teraz całkowicie się poświęcił - pielęgnowania różanego ogrodu. Właśnie tam był, pracując w cieniu krzewów, gdy do domku w Wiltshire zadzwonił Duggan. Wiele bardziej zajmował go problem zielonych i czarnych mszyc i ich zagrożenia dla kwiatów, niż Irlandczyk, którego spotkał wiele miesięcy temu.

- To był twardy, mały skurwieli - przypomniał sobie. - Bardzo z'ny, trudno było nim wstrząsnąć. Wytrzymał bicie lepiej niż inni.

tego czasu nie mogliśmy już wiele mu zrobić. Próbowaliśmy różnych sposobów. Wielu z nich poddawało się, ten nic nie powiedział.

Duggan jeszcze raz przeczytał pierwszą część raportu z biura irlandzkiego wywiadu.

- Nie sądzę, by miał jakieś poważne powiązania polityczne. Tak niewielu je ma - powiedział major. - On reaguje na rozkazy, jak większość z nich. Ale jest twardszy, silniejszy. Jest w nim wiele nienawiści. Cierpliwy. Jeden z tych, którzy daliby się tygodniami torturować, aby umożliwić innym akcję podłożenia bomby pod wojskowy transport kolejowy. Dobrze planuje; - mogliśmy się o tym przekonać po jednej z jego akcji. Oni napsuli nam wiele krwi tam, w South Armagh. Tam są twardsi niż w jakimkolwiek innym cholernym miejscu.

Zamilkł, szukając w myślach czegoś, co mogłoby pomóc.

- Jeszcze jedno. Szukajcie go w Londynie. Ma siostrę, trochę starszą, może o dwa lata. Pracowała w szpitalu, gdzieś w Londynie...

Duggan spojrział na niego z wyczekiwaniem.

Dziewczyna dostała małego bzika. Dla McCoya sam jej przyjazd tu był ciężkim przeżyciem. Wiemy to z innych źródeł. Nie chciał, żeby pracowała za morzem, w Anglii. Wydawała się zupełnie normalną dziewczyną, a później podobno zaczęła zadawać się z hippisami.

Skończyła z pielęgniarstwem i przyłączyła się do nich. Jemu to się nie podobało. To są purytanie, gruboskórne zwierzaki z PIRA. Próbowalem z nim o tym mówić, wstrząsnąć nim, wyprowadzić z równowagi. Nie udało się. Spływało po nim jak po kaczce.

- Dziękuję majorze. Bardzo mi pan pomógł - powiedział Duggan.

Samochód przywiózł kuriera z zaszyfrowanym raportem ze spotkania w bazie RAF w Akrotiri. Fairclough musiał zejść do westybulu budynku, by osobiście podpisać odbiór żółtej koperty, opatrzonej jego nazwiskiem. Zanim ją otworzył, wrócił do swojego biura, a później z uwagą przeczytał wydrukowany tekst, w poszukiwaniu szczegółów.

Raport był bardzo dokładny, SIS - Służba Zadań Specjalnych w Nikozji była znana ze swej precyzji. Zadzwoił pod numer wewnętrzny Jonesa. Nikt nie odbierał, wykręcił więc numer sekretariatu. Helen nie Poszła jeszcze do domu.

- Jest na dole, przy podsłuchu. Powiedział, że przez pewien czas go nie będzie. Prosił, żebym została. Mówił, że może będzie coś do przepisania na maszynie, jakieś raporty do zrobienia.

Przeszyła go złość i uczucie zazdrości. Jego sekretarka zniknęła parę godzin temu, panienska Jonesa zawsze tam była, nigdy nie szła do domu, przyglądała się, jak pracowali do późna i bawiła się ich kosztem.

- Mam dla niego wiadomość - powiedział Fairclough. - Jak tylko skończy się tam na dole, musimy się z nim spotkać. Duggan i ja. Powiedz, że nieważne, kiedy wróci. Będziemy czekać.

Odłożył słuchawkę i też zadzwonił do domu, informując, że wróci później.

- Jest, sir - powiedział mężczyzna siedzący w kabinie, jeszcze bardziej pochylając swe ciało nad urządzeniem. Jones usłyszał w słuchawkach głośny szum. Drgnął od hałasu.

- Musi być włączony na cały regulator - powiedział mężczyzna nie odwracając głowy. - Mogą szeptać i moglibyśmy podczas podgłaśniania stracić wątek.

Włączył przycisk nagrywania w magnetofonie. Dwa koła zaczęły obracać się miarowo, bez pośpiechu. Trzeci mężczyzna stał za ich plecami, przyciskając do ust słuchawkę bezpośredniego telefonu z najbliższym ambasadą Głównym Urzędem Pocztowym.

- To McCoy - mruknął Jones, usłyszawszy głos Irlandczyka. Mężczyzna stojący za nim pośpiesznie mówił do słuchawki. Jones usłyszał dźwięk połączenia z numerem wewnętrznym ambasad, hasło i w odpowiedzi na niejedno zdanie. Połączenie zostało przerwane. Rozmowa była krótsza od poprzednich o dwie, trzy sekundy.

- Żadnej nadziei, do cholery - powiedział mężczyzna stojący za nimi.

- Nie mogę nawet zabrać się do pracy.

- Dużo nie powiedzieli - parsknął Jones. - Dwie godziny na to czekałem. Podali hasło i tyle.

Jego notes zawierał parę naprędce napisanych słów: "Grzyb, to samo miejsce, co wczoraj, ale potwierdzone." Kiedy wyszedł, za drzwiami stała Helen.

- Pan Duggan i pan Fairclough chcą się z panem widzieć - powiedziała. - Powiedzieli, że będą czekać, aż pan skończy.

- Powiedz, żeby natychmiast przyszli do mojego biura. - Minał ją, idąc spieszenie korytarzem, nie czekając na windę, nacierając na szerokie schody, biorąc po trzy stopnie za jednym razem.

Poprzez tłum, zza stolika na kółkach, przy którym można było kupić herbatę, Famy obserwował McCoya. Irlandczyk stał naprzeciw wysokiej, drewnianej tablicy, na której widniał rozkład odjazdów pociągów ze stacji Waterloo. Miał na sobie odpowiednie ubranie - odpowiednia koszula, pognieciony płaszcz, umówiony znak. Zdenerwowany, i tak powinno być. Dość pewny siebie, ale niespokojny. Pasażerowie przepływali koło jasnowłosego Irlandczyka, gdy ten chodził po hali dworcowej, czekając na rozpoznanie, na kontakt Famy pomyślał, że było to dla niego całkiem coś nowego. W obozie nie miał żadnego kontaktu z cudzoziemcami; starsi, bardziej wpływowi członkowie ruchu mieli, ale nie Famy. Inaczej to planowano. To Bouchi miał zająć się tą działką. Ale Bouchi był teraz w kostnicy.

Famy wypił herbatę, zgniótł w dłoni kruchy, plastikowy kubek. Nie spuszczał z oczu Irlandczyka, ale od czasu do czasu obejmował wzrokiem resztę dworca sprawdzając, czy jakiś inny mężczyzna nie przechadza się tu bez celu. Minęło już wiele minut, które go upewniły.

Zaczął iść.

Poruszał się zwinnie, schodząc z drogi biegnącym podróżnym, unikając zderzenia. McCoy zauważył go, gdy był jakieś pięć metrów od niego i zeszywniał. Poczul szybsze bicie serca. Ten człowiek parę metrów od niego - o drobnej figurze, czekoladowej skórze, krótkich, dobrze utrzymanych włosach, czysto ubrany. Obcy, coś oddzielnego. McCoy przyglądał się jak balansuje biodrami, widział jak odwrócił głowę, aby upewnić się, czy nikt za nim nie idzie i stanął przy nim. Po chwili odezwał się:

- Są grzyby. Myślę, że to ty masz się ze mną spotkać? - W jego głosie brzmiało pytanie. Wśród hałasu stacji kolejowej słowa te wypadły głupio i nieporadnie w ustach dorosłego mężczyzny.

- Chodź - powiedział McCoy. - Nie ma potrzeby tu sterczeć. Ruszmy się. - Po chwili dodał. - Mówisz i rozumiesz po angielsku?

Famy skinął głową. Jak wszyscy Brytyjczycy, McCoy nie wierzył, że ktoś oprócz nich może coś umieć. Irlandczyk torował sobie drogę do schodów prowadzących do stacji autobusów, znajdującej się na uli

cy powyżej. Prawie natychmiast gdy wyszli na zewnątrz, zwolnił kroku i rzucił ponad ramieniem:

- A gdzie reszta?

- Jestem tylko ja - powiedział Famy.

W sposobie w jaki McCoy odwrócił głowę w stronę drugiego mężczyzny był cień podejrzenia.

- Powiedzieli mi coś innego - odrzekł ostro. - Powiedzieli, że będzie was trzech.

- Jestem tylko ja - powtórzył Famy.

- Co takiego się stało, że zaszła zmiana? - syknął McCoy, znów przyśpieszając kroku.

- Przeczytaj dzisiejsze gazety. Przeczytaj o wydarzeniach w północnej Francji. Kiedy to zrobisz, wszystko będzie jasne.

McCoy potrząsnął głową, niezadowolony z braku wiadomości na ten temat

- Była strzelanina, na blokadzie drogowej - kontynuował Famy

-wczoraj, we wczesnych godzinach rannych. Moi przyjaciele nie prze-trwali, tylko ja.

McCoy szybko odwrócił się, zbliżył się do Famy'ego. Niższy od Araba spojrzał w górę na jego twarz. - Nie żyją?

- Zginęli - powiedział Famy.

- W takim razie akcja odwołana. Plan skończony - McCoy mówił szybko, próbując nie podnosić głosu.

- Nic nie jest odwołane. Nie ma możliwości zarzucenia planu. Zo-staliśmy uruchomieni. Rzadko się wycofujemy. Ale tutaj nie będziemy o tym mówić. Później możemy porozmawiać.

McCoy wzruszył ramionami. Chciał coś dodać, ale został sparali-żowany nieznaną logiką, z mozołem odczytywaną ze słów wymawia-nych przez drugiego człowieka osobliwym, piskliwym głosem. Za-uważył jak układa zdania - bardzo dokładnie, bardzo zrećźnie. Jak w książce z tekstami, nienaturalnie.

Czekali w milczeniu na przyjazd dużego, piętrowego autobusu.

"Jaką grę prowadzą? - myślał Irlandczyk. - Grupa wystrzelana, a ten mały pdcraста zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Stuknięty, cholerny maniak." - Spojrzał na jego twarz - maska, nieruchoma, wpatrzona w drogę. - "Nic go to nie obchodzi, tego gnojka, ani tych, którzy

to wymyślili- Co może jeden człowiek, czego mogą dokonać dwaj ludzie, w porównaniu z czterema? Czterech - to było minimum, wszyscy byli co do tego zgodni. Powinno być więcej, ale były problemy z przetrzuceniem większej grupy. I teraz jest połowa, a ten idiota mówi, że akcja nie jest odwołana. Boże Wszechmogący, daj trochę rozsądku temu pederastie."

Poruszał ustami, cicho wymawiając przekleństwa, delektując się nimi i rozładowując w ten sposób złość. Kiedy nadjechał autobus, wskazał głową na wejście i wszedł po schodach na górę. Jakaś para siedziała w dalszej części, więc dwaj mężczyźni zajęli przednie siedzenia.

Famy położył ręce na kolanach.

- Możemy tu porozmawiać - powiedział McCoy.

- Nie ma problemu, mój przyjacielu - odrzekł Famy spokojnym, śpiewnym głosem. Żadnego pośpiechu w jego głosie, opanowanie.

- My dwaj wystarczymy. Powiedziano mi, że jest plan i musi być zrealizowany. Mam rację? - McCoy skinął głową, odrętwiały, zdając sobie sprawę, że nie jest w stanie kontrolować sytuacji, że wysoki, obcy mężczyzna przejął dowództwo.

- Jeśli jest plan, to musimy go wykonać - powiedział Famy. Poderwał się nerwowo, gdy podszedł do nich konduktor. McCoy zapłacił i schował do kieszeni dwa bilety.

- To jest tylko jeden człowiek, ten, którego szukamy - kontynuował Famy. - On będzie chroniony, ale niedokładnie. Jeśli jesteśmy zdecydowani, nie powinny powstać żadne trudności.

Rozmowa została zakończona, autobus telepał się na nierównej drodze od przystanku do przystanku, pozostawiając serce Londynu daleko w tyle i wspinał się na wzgórza ponad King's Cross do Islington's Angel. Gómy pokład autobusu zapełnił się nastolatkami, wracającymi tłumnie z sal kinowych. Od czasu do czasu McCoy spoglądał w bok na Araba i zdał sobie sprawę, że mężczyzna, który siedział obok niego, nie okazywał żadnego zainteresowania podróżą, że jego oczy ani na chwilę nie przestały patrzeć ślepo przed siebie.

Oświetlone restauracje, szyldy reklamowe, arkady domów, wyjścia z kin - wszystko umykało koło niego. Nie zareagował nawet na grupę pijanych, agresywnych i głośnych Hindusów.

"On jest jak pociąg - myślał McCoy - jak pociąg na trasie. Wszystkie sygnały zielone, semafony podniesione, na nic innego nie zwraca uwagi." - Irlandczyk próbował wczuć się w jego sytuację. - "Nowe miasto, mężczyzna, którego dotąd nigdy nie widział, bliskość celu, niebezpieczeństwo, poprzedniej nocy o dwa kroki od śmierci, a ten skurczybyk nawet nie odwróci głowy. Nawet kropli potu na skroniach, żadnego spocenia na jajach, kiedy spodnie przylepiałyby się do tyłka i wierciłby się co chwila. Nic z tego, zrelaksowany jakby był na wycieczce autokarowej."

Zabicie spadochroniarza tkwiło mocno w pamięci McCoya. Przypomniawszy sobie, jak go mdliło, gdy żołnierz, w swojej lotniczej bluzie i czerwonym berecie, pojawił się w polu widzenia. Tak długo na niego czekał, ale gdy wreszcie nadszedł, nie mógł skupić wzroku na gładkiej, kruchej lufie armalite. Pot spływał po nim, tworząc lodowate strumienie na skórze. Potem żołnierz krzyknął do sierżanta patrolującego teren coś, co McCoy próbował zrozumieć i z wysiłkiem zauważył, że koncentracja wymyka mu się. Wtedy wystrzelił szybko, czując, jak poziom adrenaliny podnosi się w jego żyłach. Potem, przez parę godzin, leżał w stodole, a serce waliło mu z radości, prawie tak samo jak w momencie, gdy wystrzelił. To był orgazm, to było wyzwolenie, gdy kolba karabinu wydała głuchy odgłos przy jego ramieniu, a palce zacisnęły się na spuście. Napięcie malowało powoli, wraz z upływem godzin.

Ale ten kutas siedzący koło niego, był kimś innym. "To nie jest ludzkie, gdy cię nic nie obchodzi - pomyślał McCoy - nienaturalne, kiedy nie czujesz napięcia. Pólczłowiek."

Irlandczyk czytał o tych ludziach, kiedy był w Izraelu. Oddziały samobójcze, kamikadze, dające się zabić tylko po to, by zabić innych. Widział w telewizji, jak trenują z materiałami wybuchowymi przywiązanymi do pasa. Szaleństwo czy motywacja - McCoy nie wiedział. I ten mężczyzna siedzący koło niego o pustych, niewidzących oczach - czy on jest jednym z nich? Musi być. Może być tego pewien. Jeden z tych twardych, nędznych drani.

- Wsiadamy na następnym przystanku - powiedział McCoy.

Obaj mężczyźni, chwytając się za oparcia siedzeń, przeszli przez środek autobusu na dół, do wyjścia. Poczekali na górnym stopniu, aż autobus zatrzyma się. Szli - Famy pół kroku za McCoyem.

Po przejściu stu metrów McCoy skręcił w lewo i zdał sobie sprawę, że Araba za nim nie było. Odwrócił się i zobaczył, jak tamten stał za rogiem pubu, przyłgnąwszy plecami do jego ściany. - Cholerna zabawa - powiedział do siebie McCoy i poszedł dalej. Przeszedł jeszcze pięćdziesiąt metrów, zanim dogonił go tupot nóg. Nie musiał długo czekać na wyjaśnienia.

- Musiałem się upewnić, czy nie jesteśmy śledzeni. Poczekalem przez chwilę za rogiem, kiedy ty szedłeś dalej. Jeśli ktoś by nas śledził, słyszałbym kroki i poszedłbym dalej za tobą. W ten sposób można go wytropić. Nikt za nami nie idzie - zakończył wyjaśnienia.

Ulica zabudowana była czteropiętrowymi wiktoriańskimi domkami tarasowymi. Pięćdziesiąt lat temu były to kosztowne, dobrze utrzymane domy zamożnych ludzi, gdzie w małych pokoikach na poddaszu spały służąca i kucharka. Ale rodziny te dawno opuściły domy, gdyż ogromne koszty utrzymania zatrwały im życie, i przenieśli się do tańszych, a bardziej bezpiecznych dzielnic. Domy zostały podzielone na mieszkania, a ich właściciele mieszkali daleko od swoich nieruchomości.

McCoy zatrzymał się przed domem na samym końcu ulicy.

- Tylko słowo wyjaśnienia - powiedział. - Myśleliśmy wcześniej o tym, gdzie cię ukryć. Próbowaliśmy tym razem znaleźć całkiem nowe miejsce. W żadnym z tych postrach siejących domów nie mieszkał nikt z naszych. To taka ogólna sypialnia. Nazywamy to komuną. Młodzi ludzie, którzy mają w dupie wszystko, którzy rzucili normalne życie, aby uwolnić się od, jak mówią, szcurzej masy. Ten dom jest na sprzedaż. Wciąż ktoś go kupuje i sprzedaje. Dzieciaki wprowadziły się tu, zajęły domek, dopóki nie będzie nakazu eksmisji i dopóki nie wyrzucą ich na bruk. Ale tu jest bezpiecznie dla nas. Ludzie wchodzą i wychodzą o każdej porze dnia i nocy. Nikt o nic nie pyta. Bądź zupełnie obojętny, o nic nie pytaj, nie odpowiadaj.

Trzymaj ich na dystans ¹ nikt nie będzie ci przeszkadzał.

Powiedziałem im, żeby przygotowali dla nas jeden pokój, bo myślałem, że będzie nas czterech. Nie pozwól, żeby zawracali ci głowę i pamiętaj, że każdy ma w dupie, kim jesteś.

Podeszli po kamiennych schodach do frontowych drzwi. McCoy pchnął klamkę i drzwi otworzyły się. Powitał ich dźwięk hardrockowej, głośnej muzyki.

Wewnątrz torby dyplomatycznej, przysłanej tej nocy z ambasady, znajdowała się tajna notatka w zalakowanej, opieczetowanej kopercie. Jutro rano poleci do stolicy Północnej Afryki. Po doręczeniu koperta zostanie z powrotem przewieziona do Bejrutu. Potem, w biurze gazety "Al Nahar" zadzwoni telefon. To będzie rozmowa prywatna sekretarza handlowego ambasady w stolicy Libanu z pewnym dziennikarzem. Wiadomość, że mężczyzna, ukrywający się pod imieniem Saleh Mohammed, jest w Londynie, zostanie przewieziona do zakamuflowanego namiotu szefa FLWP - Zjednoczonego Dowództwa. W niedzielę rano będzie już wiedział, że jego plan dalej funkcjonuje. W niemiłym, fluoryzującym świetle, teczki leżące przed trzema mężczyznami siedzącymi przy biurku, stawały się coraz grubsze. Co mniej więcej pół godziny wchodziła Helen z kubkami kawy, dzięki którym, jak się wydawało, funkcjonował cały departament.

Mężczyźni zdjęli marynarki, poluźnili krawaty i rozpięli guziki kołnierzyków. Dwa razy wezwano sekretarkę, by przepisała na maszynie wnioski, podane jej bez słowa przez Jonesa. Wszyscy byli zmęczeni, znużeni napięciem trwającym ponad dwanaście godzin, ale świadomi, że nie mogą zasnąć, dopóki nie opracują planu na następny dzień. Jones znał niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą wyczerpanie, które osłabia ludzi, czyni ich nieodpornymi. Tak było w czasie wojny; ostatnie pół tuzina okrążeń przed zakończeniem jednej tury. Ale wtedy był małym chłopcem. Minęło trzydzieści lat i zbliżał się do wieku emerytalnego, a wymagano od niego wciąż tak samo ciężkiej pracy. Ale nie można było tego obejść. Nie było sensu mobilizować sił pozostających do ich dyspozycji - policji, detektywów, wojska - nie wcześniej niż powstanie plan, coś, co da zajęcie tym ludziom. I to był problem, w obliczu którego teraz stanął: nakreślić kształt zagrożenia. Wtedy i tylko wtedy można będzie postawić w stan gotowości szwadrony ludzi. Coraz częściej zastanawiał się, jak będzie wyglądała jego emerytura, jak poczuje się po dniu, kiedy dadzą mu srebrne pióro c

komplet kryształowych karafek lub błyszczący zestaw narzędzi ogrodniczych; nie będzie musiał wsiadać do rannego pociągu, nie będzie musiał przygotowywać narad, nie będzie miał żadnych problemów... nie wiedział, czy przyjmie to z wdzięcznością, czy też nie. Po północy Jones wykręcił domowy numer dyrektora naczelnego. Rzadko dzwoniono do niego do domu, nie mówiąc o telefonowaniu o tej porze. Do szefa departamentu, jednego z trzech głównych szefów, który zasiadał w Połączonym Komitecie Wywiadowczym, Jones zwracał się z szacunkiem. Naszkicował mu ogólny zarys tego, co miał zapisane na leżącym przed nim papierze. Nagrana rozmowa, identyfikacja i przeszłość McCoya, przyjazd i spotkanie z nieznanym człowiekiem, izraelskie ostrzeżenie. Szef lubił, gdy mówiło się krótko i zwięźle. Słuchał nie przerywając, siedząc w piżamie na rogu łóżka, a jego trzydziestojednoletnia żona spała po drugiej stronie.

- Propozycje? - zapytał Stary na drugim końcu linii.

- Może mógłby pan przyjść jutro, sir - odparł Jones. - Spotkać się z nami. Sądzę, że potem powinniśmy zobaczyć się z Oddziałami do Spraw Specjalnych, aby zaczęli polować na Irlandczyka. Izraelski attaché do spraw bezpieczeństwa powinien zostać wtajemniczony - może zacząć szukać informacji o tym nowym. Będziemy musieli sprawdzić karty przekroczenia granicy na lotniskach i promach, ale sądzą, że ograniczy się to zasadniczo do portów przez kanał. Ten izraelski profesor przylatuje w poniedziałek po południu, nie mamy wiele czasu.

- Masz rację. Dziękuję, Jones.

W domu w Sussex Downs panował nieprzyjemny chłód, centralne ogrzewanie wyłączono dawno temu. Starym wstrząsnął dreszcz.

- Będę parę minut po ósmej. Dajcie mi trochę czasu, a o wpół do dziewiątej przyjdźcie do mnie w trójkę. Prześpijcie się teraz - rzekł i odwiesił słuchawkę.

Jones powtórzył instrukcję. Duggan i Fairclough zebrali swoje papiery.

- Nie ma sensu ruszać się stąd o tej porze - powiedział Duggan.

- ^ześpię się w biurze na dole.

Fairclough przyznał mu rację.

Gdy wychodzili weszła Helen, usłyszawszy przedtem dźwięk odsuwanych krzesel.

- O której jutro? - zapytała obojętnym, rzeczowym tonem.

- Wpół do dziewiątej, kochanie. Spotkamy się ze Starym. Przyjdź o tej porze. Daleko masz do domu? A może idziesz do Jimmiego? To on jest tym szczęśliwcem?

Na twarzy Helen nie pojawił się rumieniec, uśmiechnęła się tylko.

- Jimmy powiedział, że będzie siedział do późna. Zrobi mi szklanek kakao.

"Szczęściarz" - pomyślał Jones i rzekł:

- Powiedz swojemu ukochanemu, żeby się za bardzo nie przemęczał. Możemy go niedługo potrzebować. Musi mieć świeży umysł i dobrą kondycję. Powtórz mu to.

Rozłożył materac na metalowym łóżku, rozebrał się do slipów i opadł na posłanie, które teraz, po piekielnie długim dniu pracy, wydało mu się rajem.

Muzykę słychać było przez całą noc. Rozsadzała ściany domu. Przedzierała się przez ściany, deski podłogi i szparę pod drzwiami, wypełniając pokój dwóch mężczyzn.

Famy wiercił się w swoim śpiworze, przewracał z boku na bok na wąskim, płóciennym łóżku polowym. Znajdowali się na piętrze budynku, gdzie ściany oparte były na spadzistym dachu, co jednak nie tłumilo hałasu, który dochodził do niego brutalnie i nie pozwalał zasnąć. McCoy leżał niecały metr od niego, w bezruchu, głuchy na hałas, oddychając głośno i regularnie. Przez pierwsze parę godzin po tym, jak się rozebrał do slippek i wczółgał do podobnego do koperty worka, próbował uwolnić się od hałasu, chowając głowę pod poduszkę, którą dał mu McCoy. Ale ta śmierdziała zatechłym potem. Nie mógł znieść tego zapachu, cisnął więc poduszkę w drugi koniec pokoju i próbował schować się w śpiwór po same uszy. Ten był czysty. Nowy, wciąż jeszcze z nalepioną ceną.

W oknach nie było zasłon i blask księżyca wpadający do wnętrza pokoju pozwalał dostrzec jego nagość. Nie heblowane, nie pomalowane deski, po nabijane gwoździami, odchodząca od ścian tapeta. Kawałek pokręconego przewodu izolacyjnego zwisał z sufitu - żarówka bez klosza. W kącie stała pękata, plastikowa torba, a wokół niej leżały porozrzucane skórki od pomarańczy, gazety i niedopałki papierosów. Poza łózkami polowymi, ich ubraniami i bagażami, w pokoju nie było nic. Jego ramiona odczuwały chłód dużego, nie ogrzewanego domu.

Kiedy przyjechał, zaproponowali mu jedzenie - puszkę fasoli i duszonego mięsa z chlebem. Odmówił i przyglądał się Irlandczykowi, jak jadł z nie domytego talerza. Później zmiękł trochę i wypił kubek mleka. To było wszystko, na co sobie pozwolił.

Gdy po raz pierwszy weszli do domu, czekał w holu, a McCoy wszedł do pokoju na parterze i krzyczał coś poprzez głośną muzykę. Famy nie potrafił odróżnić słów. Grupa ludzi rzuciła się do drzwi, żeby obejrzeć przybysza. Uśmiechnął się do nich mimowolnie, gdy tak

stali. Nie podeszli jednak bliżej, przyglądali się tylko i oceniali go. Mieli długie, ciemne włosy opadające na ramiona. Chłopcy różnili się od dziewcząt tylko posiadaniem zarostu. Wszyscy ubrani byli w obcisłe komplety dżinsowe, podkoszulki i swetry. Niektórzy mieli na nogach sandały, inni byli boso. Na ubraniach poprzyszywane koraliki i paciorki. Ponad ich ramionami Famy widział pokój i w świetle świeczki zobaczył innych, siedzących na podłodze lub wyciągniętych w krzesłach - wszyscy bacznie mu się przyglądali. McCoy nie wprowadził go do wnętrza, ale zaprowadził wprost do pokoju na górze.

Takiego życia nie było w Nablusie. Byli ludzie, którzy nie myli się i nosili podarte szmaty, ale nigdy nie czynili tego z wyboru. Nikt nie dążył do takiego upodlenia, nikt celowo nie obierał sobie takiej drogi życia. W obozie na wzgórzu, przy drodze do Jerozolimy, gdzie życie szło w parze z otwartymi rynsztokami, gdzie dach stanowiła falista blacha i gdzie ściany zrobione były z drewnianych lub kartonowych skrzynek, nikomu ta brzydota nie przeszkadzała. Po prostu nie było wyboru. Ci, którzy tam mieszkali, przybyli w 1948 roku, wychowali tam dzieci, wybudowali chaty i baraki, i kiedy marsz izraelskich wojsk w dziewiętnaście lat później przeszedł przez ich tereny, nie mieli siły ani chęci odchodzić stamtąd i szukać nowego schronienia w nowym brudzie, na dalekim drugim brzegu Jordanu.

Ale Irlandczyk powiedział, że to było bezpieczne miejsce, a to było najważniejsze, by dalej realizować plan.

Pod podłogą usłyszał jakiś ruch. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Na półpiętrze usłyszał jakiś krzyk, a po chwili dotarł do niego dźwięk skrzypiącego łóżka, z początku powolny, a później szaleńczo szybki. Słuchał tego lekko zawstydzony, a jego umysł przywoływał obraz twarzy i oliwkowych ciał dziewcząt, które znał w Bejrucie, których ramion dotykał, których delikatną skórę muskał swoimi palcami. Wyteżył słuch, przyciągnięty miarowym, uporczywie wzrastającym dźwiękiem. Zapadł w półsen. Oczami wyobraźni widział tę scenę w pokoju obok, gdzie zwinięte ciała szukały namiętności i bliskości. Myśl o tym, że mógłby robić coś tak wyjątkowego w takim fetorze, przyprawiła go o mdłości. W obozie było parę dziewcząt - spały w swoich namiotach. Razem śmiali się i bawili, razem chodzili na sesje treningowe, ale wieczorem opuszczały towarzystwo mężczyzn, a ci

spali sami na stojących jeden koło drugiego piętrowych łózkach. W okresie jego studiów też były dziewczęta - piękne, doskonałe - ale przed zachodem słońca czekały na nie matki. Nigdy nie spał z kobietą, nigdy nie urzeczywistnił swoich marzeń, a teraz te dwa stworzenia były tak blisko niego, długowłose, brudne, kopulujące. A potem dźwięki umilkły i dom ucichł. Zaczynało już świtać i delikatne, szare światło powoli przenikało do wnętrza pokoju, kiedy usłyszał, jak ktoś cicho naciska klamkę drzwi. Gdyby wcześniej zasnął, dźwięk ten z pewnością nie obudziłby go teraz, tak był cichy. Leżał w bezruchu, naprężony, z przymrużonymi oczyma, patrząc na drzwi pokoju. Jego płaszcz i spodnie, zawieszzone na żelaznym wieszaku na drzwiach, zbliżyły się, gdy tamten je otwierał. Drzwi były ciężkie, zawiasy zaskrzypiały. Famy starał się oddychać miarowo, próbując przyrównać oddech do cichego chrapania McCoya. Patrzył na ciemny kształt wślizgujący się bezszelestnie do pokoju. Na moment ujrzał sylwetkę przy oknie i dostrzegł długie włosy i zarys płaszcza zarzuconego na ramiona, ale po chwili postać wtopiła się w ciemność drugiego końca pokoju i zeszła z jego pola widzenia. Ujrzał kątem oka małą smugę światła i wiedział już, że ręce osobnika otwierają jego teczkę i badają zawartość. Potem światło zgasło, usłyszał przytłumiony odgłos kroków na deskach podłogi, niepewnych, gdzie się dalej skierować. Postać przeszła do drzwi, zatrzymując się przez moment przy ubraniach. Sprzączka paska zabręczała uderzając o drzwi, gdy ręce tamtego wślizgnęły się do kieszeni jego spodni. Po chwili usłyszał dźwięk naciskanej klamki i w końcu drzwi zamknęły się. Nie od razu dobiegł go odgłos stóp na schodach. Wciąż leżał w bezruchu w śpiworze. Ten ktoś czekał, by upewnić się, czy przypadkiem któregoś z nich nie obudził. Minęło piętnaście sekund, może więcej. Dopiero wtedy usłyszał szuranie bosych stóp, które po chwili wtopiły się w ciszę domu.

Famy był cały spocony. Oddałby wszystko za obecność tu Daniego¹ Bouchiego, za obecność jego przyjaciół z obozu, kogokolwiek, komu mógłby ufać, kogoś innego, niż ten obcy człowiek śpiący na łóżku obok.

Ten głupiec powiedział, że to jest bezpieczne miejsce, miejsce, gdzie mógł się odprężyć, gdzie nie trzeba było czuwać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie minęło pół nocy, a zarówno jego

torba jak i ubranie zostały dokładnie i systematycznie przeszukane. Czy powinien był zareagować? Rzucić się na intruza? Trudno było wydostać się ze śpiwora, więc jak mógłby stworzyć element zaskoczenia? Leżał w swoim śpiworze, czekając na obudzenie się McCoya i nastanie poranka.

Było parę minut po siódmej, kiedy Irlandczyk powoli zaczął się budzić. Famy nachylił się w jego stronę i szarpnął za ramię, dając wyraz swojemu zniecierpliwieniu. McCoy obudził się i utkwiał nieprzytomny wzrok w Famym.

- Co jest, do cholery? - zapytał.

- Ktoś tu był w pokoju - powiedział dobitnie Famy, próbując wyrzucić na nim wrażenie.

- No to co? Ludzie wchodzą i wychodzą w takich miejscach. Szukają miejsca, gdzie mogliby się przez chwilę przekimnąć.

- Nie tak. Ktoś tu przyszedł i przeszukał torby i ubrania. Przeszukał. McCoy wlepił w niego ciężki wzrok.

- Był tutaj i przeszukiwał nas?

- Nie spałem - odrzekł Famy. - Nie mogłem zasnąć i ktoś wszedł, i przeszukał kieszenie. Nie ruszałem się, udawałem, że śpię. Nic nie znalazł. To było jakieś dwie godziny temu, zanim zaczęło świtać. McCoy otworzył szerzej powieki, przetarł oczy ramieniem i usiadł. Wyglądał na słabeusza o bladej skórze, pozbawionego mięśni ciała, dopóki nie odwrócił się i Famy nie zobaczył zaczerwienionej blizny po ranie postrzałowej, na lewym boku, poniżej linii żeber.

Famy przeciągnął się w poprzek łóżka, podekscytowany.

- Nic nie wziął - mówił szybko. - Przeszukiwał kieszenie moich spodni, ale pieniędzy nie wziął. To nie jest dla nas dobre miejsce, nie takie, jakiego oczekiwałem, nie "domowe".

- Co, do cholery, ci się nie podoba? - McCoy prawie krzyczał. - Masz być w tym miejscu, gdzie ci powiem, do cholery, a takie jest właśnie tutaj. Jest poza miastem, spokojne, nikt o nic nie pyta. Jeśli się boisz jakiegoś skurwiela, który łązi tu w środku nocy, to nic na to nie poradzę. Nie powinieneś wierzyć w te cholerne bajdy.

- A jeśli się mylisz? - zapytał Famy.

. Jeśli się mylę? Co to, do diabła, ma znaczyć? Mówię, że to jest dobre miejsce, lepsze niż takie, gdzie ktoś mógłby chcieć wiedzieć coś o nas, co robimy i po co. - Nagle zamilkł, starając się stłumić lęk, uspokoić się. - Zapytam na dole, powęszę, ale delikatnie. Przez takie domy przewala się wielu żebraków szukających łóżka lub paru fun-
ciaków. Nie ma w tej nocy nic niezwykłego. Pamiętaj, że jesteś w Londynie i jest sobota, a w poniedziałek będzie tu mężczyzna, którego oczekujesz, jak mu tam...

- Al Kima.

- Cokolwiek by to nie znaczyło.

- To jest człowiek, który hoduje grzyby. Człowiek Grzyb. Moi przyjaciele chcieliby, żebym go spotkał. Wierzą, że ich pomszczę. "Kryzys za nami - pomyślał McCoy. - Ten głupiec uspokoił się, można jeszcze trochę pospać."

- Dziś nie mamy nic do zrobienia. Połóż się. Jutro zaczynamy. Teraz potrzebujemy snu. Później przejdziemy się dookoła uniwersytetu. Jutro dopiero się zacznie.

Irlandczyk nie dostrzegł błysku w oczach Araba, błysku, który pojawia się przed spełnieniem marzenia o drganiu pistoletu maszynowego, krwi na chodniku, międzynarodowych nagłówkach i pochlebstwach w obozie, daleko w Fatehland.

Gdy Famy znów spojrzął na McCoya, ten spał z głową wtuloną w zgięcie ramienia, zasłaniając w ten sposób twarz przed słońcem. Rana po kuli poniżej była widoczna w całej okazałości. Myśl o tym uderzyła Araba. On, który doszedł tak daleko, który teraz przejął dowództwo, był dziewiczy i niedoświadczony, nigdy tak naprawdę nie zaznał rzeczywistości konfliktu. Nie wiedział, jak zareaguje, kiedy to przyjdzie. Famy leżał w swoim łóżku, gapiąc się w sufit.

Jones szedł korytarzem na parterze na tyłach "Leconfield House" do kuchni. Postanowił zrobić sobie filiżankę herbaty z torebek, które •rzymał w szufladzie swojego biurka. Nie miał na sobie ani butów, ani skarpetek, które wyprał tuż przed pójściem spać. Wciąż były wilgot-
lecz jeszcze chwilę musiał poczekać z ich założeniem, zanim
wyj-
dzie

na poranne spotkanie. Po wypiciu herbaty ogoli się i spróbuje J^o tako wyglądać. Tak jak tego oczekiwano w departamencie

Gdy tak stał przy oknie, nalewając wodę z kranu do czajnika, zobaczył, jak humber dyrektora generalnego wjechał w wąską bramę w kierunku podziemnego parkingu. Łańcuch zabezpieczający został podniesiony, gdy samochód z młodym mężczyzną z przodu zbliżył się. Na tylnym siedzeniu - otwarta gazeta maskująca twarz, postać wygodnie rozparta na siedzeniu.

Helen obudził dźwięk budzika, dziki, domagający się zwrócenia uwagi. Wyciągnęła się do przodu, podnosząc na jednej ręce, drugą sięgnęła nad Jimmym w stronę stolika, na którym stał budzik. Znalazła przycisk i nastąpiła cisza.

"Przez całą noc nawet nie drgnął, drań. Rozwalony na plecach, z oczami mocno i hermetycznie zamkniętymi, z otwartymi ustami, w piżamie zapiętej na ostatni guzik. Zorganizowałeś cholernie fajny weekendowy odpoczynek, Jimmy. Wspaniałe kołysanie fal, spacerek." Jeszcze raz spróbowała wykrzesać trochę życia z tej nieruchomej mumii, leżącej koło niej. Wsunęła rękę pod piżamę drapiąc go paznokciami po torsie, zakreślając małe kółka na skórze. Jimmy spał dalej. - Jesteś cholernie beznadziejnym przypadkiem - powiedziała przysuwając usta do jego ucha. - Rozumiesz, beznadziejnym. Wielką kupą śmieci. No rusz się, obudź się. Rusz się!

Żadnej odpowiedzi.

Przesunęła rękę niżej, pod gumkę na jego wydatnym brzuchu, w dół do bioder. Poruszył się. Konwulsyjnym, gwałtownym ruchem ramion otoczył ją, chwytając za łopatki i przyciągając ku sobie. Otworzył na chwilę oczy, potem znów je zamknął, a jego ramiona rozluźniły się. - Trochę lepiej, Jimmy. Minimalnie. Jeden punkt za próbę, zero za wszystko inne.

Jego broda nie widziała maszynki do golenia przez ostatnie dwa dni. Pokryta była gęstą szczecina włosów, które wbijały się w jej skórę jak igły.

- Nie tak szybko, kochasiu, albo będziemy musieli zdać dokładne sprawozdanie w tym cholernym departamencie, gdy pokażę się w pracy z twarzą podrapaną twoją brodą.

. To niedziela, chyba nie idziesz tam dzisiaj, a w ogóle, to o której godzinie przyszedł tu wczoraj, do cholery? - odezwał się po raz pierwszy, z wysiłkiem. - Siedziałem przez cały cholerny wieczór i czekałem na ciebie.

- Idę dzisiaj i to teraz. To specjalna prośba Jonesa. To duża zagadka, więc wszyscy na swoje stanowiska.

Wyślizgnęła się z jego uścisku i przerzuciła nogi nad łóżkiem. Była naga.

"Chciałabyś, głupia dziwko - pomyślała. - Zostawiasz go do północy, a zawsze i tak to ty przegrywasz." Jimmy wykazał zainteresowanie.

"Nie mną - pomyślała - wystarczy pomachać przed nim cyckami i tyłkiem, a potem już zaczyna myśleć o departamencie." Uniósł się trochę.

- Co się dzieje, co to za zagadka?

- Nie martw się, kochasiu, ty też jesteś w obsadzie. Paru chłopaków, chcąc nie chcąc, też wpadnie jak śliwki w kompot. Żydowska strzelanina, a trzecie i czwarte piętro biega jak w dniu wypowiedzenia wojny. Stary przyjedzie przed śniadaniem. Najpierw spotkanie na szczycie i punkt ósma trzydzieści otwarcie drzwi.

Wciąż próbował skupić na niej wzrok: okrągłej i różowej, ale nie mógł uzyskać ostrości obrazu. Usiłował skoncentrować się. -Jak to, ja też?

Helen podeszła do krzesła, na którym wisały ubrania i zaczęła je ściągać.

- Jeszcze nie wiem. Jones tylko o tobie wspomniał, kiedy wychodziłam w środku nocy. Powiedział, że może cię potrzebować z nowymi siłami do walki. Jesteś cholernie szczęśliwy, co? To wszystko, co powiedział, bo właśnie wychodziłam. To nie była prywatna pogawędka.

- Nic więcej nie powiedział? -Nie.

- Cholernie dobre wiadomości dla usankcjonowanej niedzieli.

- Co mam robić? Spędzić tu cały weekend siedząc nad telefonem i czekając, aż zadzwoni?

- To właśnie robisz w każdy weekend.

- O Boże, ale tam będzie śmierdzieć. Spali wszyscy w biurze. Jones, stary Duggan, Fairclough bawili się w harcerzyków, kimając we własnych fotelach. Wszyscy będą wypoczęci, śmierdzący jak skunksy. Będę w towarzystwie. - Przyglądziła ręką spódnice i skrzywiła się, widząc swoje odbicie w lustrze. - Wyglądam jak rupieciara - powiedziała.

-1 nic więcej nie mówił?! - krzyknął Jimmy z drugiego końca pokoju. - Cierpliwości, kochanie, cierpliwości. Będę z tobą w kontakcie. Jutro rozpęta się piekło. Grad pogadanek, spotkań, akt do przepisania, nacierające tabuny gości z Brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych... Boże, spóźnię się. Nie złapię żadnej taksówki o tej porze, a powiedziałam, że przyjadę. Muszę wziąć samochód. A teraz bądź dobrym chłopcem i idź spać, tak, żebyś wyglądał słodko i trzeźwo, kiedy staruszek wskaże na ciebie.

- Jeszcze chwilę. Pocałuj mnie i powiedz, o co chodzi. No, chodź - powiedział cicho, łagodnie, twardy ton zniknął z jego głosu.

Nachyliła się nad nim. Pozwoliła pocałować się w szyję. Był uważny na tyle, żeby nie rozmazać jej makijażu.

- Nie wiem dużo. Naprawdę. Przyjeżdża jakiś Izraelczyk i wyjeżdża w następny weekend. Jest w to wmieszanych paru chłopaków, jeden z IR A, drugi, nie jestem pewna, ale "fonetycy" mówią, że ze Środkowego Wschodu. Używają hasła, coś z grzybem, a człowiek, którego mają kryć jest naukowcem w dziedzinie fizyki jądrowej. Bilans jest prosty. Całkiem dobre hasło, lepsze od tych wszystkich greckich bogiń. Ale nie mów Jonesowi, co ci powiedziałam. Udawaj, że nic nie wiesz. Graj zdziwienie. Przyjadę wieczorem, postaram się wrócić wcześniej. Ugotuję coś.

Helen podniosła się szybko, pokiwała otwartą dłonią i poszła w kierunku wyjścia. Odpowiednio wcześniej, żeby nie spotkać sąsiadów na schodach i ich głupich, cholernych spojrzeń, jakimi ją obrzucali. Już od dwóch lat tu przychodziła. Pierwszy raz po przyjęciu w departamencie, gdy Jimmy był zbyt pijany, by zauważyć, że odwiozła go do domu. Obudził się rano i powoli przypominał sobie, kim ona jest. Od tego się zaczęło. Potem przychodziła coraz częściej, zabrała się do sprzątania, prania jego brudów, gotowania. Departament ukierunko

wał życie ich obojga. Mieli niewiele szans na kontakt z ludźmi, którzy nie dzielili z nimi życia rządzonego przez Tajne Dokumenty Oficjalne, co zapewniało uszczuploną listę przyjaciół. Zaczęli się akceptować na tyle, by iść razem do łóżka w niedbałym, niezgrabnym stylu, co zaspokajało potrzeby zarówno Jimmy'ego jak i Helen. Nigdy nie rozmawiali o małżeństwie.

Zasłony wciąż były zaciągnięte, Jimmy włączył nocną lampkę.

"Co za kurewski dzień" - pomyślał.

Czekać na telefon, który wezwie go do pracy. Musi gnić tu cały dzień na wypadek, gdyby Jones zadzwonił, skoro Helen powiedziała, że zadzwoni, tak jak zawsze to robił, gdy było coś głośnego w departamencie. Nie wyjdzie nawet do spiżarni, nawet na dół do monopolowego. Butelka whisky była opróżniona po ostatniej nocy. Widział ją, stojącą na stole, w przyćmionym świetle w gościnnej części pokoju. Zostały zaledwie jakieś trzy centymetry alkoholu, a jeszcze wczoraj była w dwóch trzecich pełna, przed godziną, o której miała przyjść Helen.

Oprócz butelki nie było wiele na stole: duża, kryształowa popielniczka, zapełniona po brzegi niedopałkami papierosów, wypalonymi do samego filtra i dzbanek z wodą. Pamiętał, że zaczął ją mieszać z wodą, ale ostatnie parę łyków to była czysta whisky. Ciągłe napełnianie kieliszka - tak to zwykle wyglądało, gdy siedział sam do późna w nocy. Potrzebuje jeszcze jedną butelkę, jeśli sytuacja z poprzedniej nocy powtórzy się. Ale nie mógł odejść od telefonu, jeśli Jones miał zadzwonić. W głowie dokuczał mu teraz nieprzerwany ból, który rozsadzał czaszkę głębokim pulsowaniem pod skroniami.

Jimmy leżał na plecach, próbując stłumić ból. Ten sposób pomagał. Wielka scena: tam w departamencie, ludzie z wyżyn, na odpowiednio wysokich stanowiskach, mówili teraz do siebie, wiercili się w długich kalesonach, a pod koniec dnia znajdą w tym układzie jakieś miejsce dla Jimmy'ego. Był nikim od czterech miesięcy, od czasu MP, małego, nędznego gościa. Reprezentował sześćdziesiąt tysięcy górników, ich rodziny i organizację w West Riding. Drobnomieszczański, mały skurwiel, który miał za dużo do powiedzenia do czasu, gdy rozpracowali jego powiązania z Węgrami, dowiedzieli się, w jaki sposób stać go było na londyńskie mieszkanie, odkryli punkty spotkań i doszli

do tego, co oferowała mu Komisja Śledcza do spraw wydatków wojskowych. Wykryli to, bo Jimmy wślizgnął się przez okno kuchennego domu w czasie zmiany warty, wyrwał zamek w szufladzie jego biurka i schował do kieszeni treściwie wypełniony informacjami notes, miał go zapomnieć drań, i nigdy tego nie zameldował. Wyglądał tylko na zbitego z tropu, gdy odczytali mu zarzuty. Prosił o prawnika - mu dużo pomogło.

Ale od tej pory życie było dla niego ciężkie. Departamentowi dostojnicy nie posuwają się do takich metod. Dla Jimmy'ego drugorzędne zadania w departamencie zaczęły się już dawno. Rekrutacja była przypadkowa, oparta na paru określonych wzorach, a zależna od osobistych rekomendacji.

Jimmy zawdzięczał swoje powiązanie ze Służbą Bezpieczeństwa akcji we wspólnym, księżycową noc 24.08.1944 roku. Miał dziewięć naście lat, wysoki stopień wojskowy sierżanta Służby Powietrznej lancasterskim szwadronie bombardierów. Wystartował w "Jabłku Charleya" z jednego z tych nieśmiertelnych pasów startowych, które zaśmiecały płaski teren Lincolnshire. Cała osiemdziesięciosobowa załoga wraz z oficerem przeklinała tę morderczą noc.

- Te cholerne urzędnicy powinny iść do psychiatrii - powiedział pilot.
- Mają nas w dupie, siedzą na tyłkach i serdecznie pierdolą to, co nami będzie - dodał nawigator.

Jimmy nie był ani dostatecznie stary, ani też dostatecznie doświadczony, aby przyłączyć się do tej publicznej krytyki, ale poznał, że słowami przekleństw krył się strach. Znajdowali się sto pięćdziesiąt mil od celu, kiedy nocny strzelec został na nich nakierowany. Zanim otworzył ogień, Jimmy na ułamek sekundy dojrzał go. Miał wystarczająco dużo czasu, by wykrzyknąć ostrzeżenie i zacząć strzelać z własnej broni maszynowej. Wtedy działo zaczęło ostrzeliwać kadłub lancastera. Ogień był szybki, padł rozkaz opuszczenia samolotu. Wydawało mu się, że to trwało wieki, zanim uświadomił sobie, że ciężki firmament, przez który powinien się wydostać, nie ruszy się. Było jeszcze jedno wyjście. Przeczłogał się jakieś dwa metry po podwoziu samolotu do wyjścia, gdzie ryczące powietrze przedzierało się przez właz bezpieczeństwa. Sześciu mężczyzn wskoczyło w noc, która roz

ciągała się trzy mile w dół. Gdy Jimmy miał już opuszczać się do wylotu, ujrzał jakiś ruch za trzepoczącymi drzwiami w kabinie pilota, później ujrzał go, przesuwającego się pomału w jego stronę. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia i bólu. Wykrzyknął coś w rodzaju: "- Myślałem, że wszyscy już wyskoczyli" - w ten sposób odwracając na chwilę uwagę od wysiłku, który wkładał w poruszanie się, i od bólu, spowodowanego ogniem, który objął jego lotniczy mundur. Ale Jimmy go nie słyszał. Słowa zagłuszał hałas wiatru i łomoczącego metalu. Samolot resztkami sił starał nie rozpaść się, nienaturalnie obniżając lot. Skoczyli prawie jednocześnie. Najpierw Jimmy, później oficer. Jimmy skakał po raz pierwszy. Przez chwilę sparaliżował go strach, potem pociągnął za metalowy pierścień, przymocowany do osprzętu na klatce piersiowej. Nastąpiło szarpnięcie otwieranego spadochronu. Fala powietrza poderwała go do góry, lecz potem zaczął opadać cicho. Przeraził się ponownie, gdy ujrzał ziemię, która szła mu na spotkanie.

Oficer wylądował niecałe sto metrów od niego. Ogień na jego ciele został zgaszony przez pęd powietrza podczas spadania. Za ledwie zdążyli wyplątać się z sieci sznurków i taśm spadochronów, kiedy dopadł ich niemiecki żołnierz, wykrzykując coś i wołając swoich kumpli. Nie był żołnierzem frontowym, ale rezerwistą, człowiekiem w średnim wieku. Jimmy ruszył w kierunku mężczyzny za jego plecami, i kiedy tamten, nieświadomy niebezpieczeństwa, odwrócił się, Jimmy wbił swój ciężki, lotniczy but w jego krocze. Niemiec zgiął się w pół i w tym samym momencie zewnętrzna strona twardej ręki Jimmy'ego opadła na jego odkryty kawałek szyi, pomiędzy hełmem a ocieplanym kołnierzem płaszcza. Niemiec umarł na miejscu, nawet nie jęknął, dając Jimmy'emu i oficerowi czas na zniknięcie wśród cienia i gąszczy drzew.

Gdy następnego ranka wstało słońce, Jimmy ujrzał twarz pilota, przedstawiającą wielką, krwawiącą ranę. Ten widok nie przygnębił go zbyt; współczucie, zainteresowanie, nic więcej.

Pilot nazywał się Phillip Whilloughby-Jones. Był dwa lata starszy od strzelca tyłowego i nigdy nie zapomniawszy szybkości i bezwzględności, z jaką ten zadał śmierć Niemcowi. Nigdy nie wymazał z pamięci tej zuchwałej przyjemności w oczach Jimmy'ego, odbitej w blasku

księżycyca, zanim dotarli do drzew, ani smaku sukcesu, który pojawił na jego młodych, drapieżnych ustach. Dzięki francuskiemu Rucho Oporu zostali przemyceni do hiszpańskiej granicy i po powrocie domu stracili kontakt. Pracowali w różnych dzielnicach, wysiadali innych stacjach. Po wojnie, kiedy Jones został pracującym na pełn etacie urzędnikiem departamentu, oświadczył, że istnieje człowi który potrafi zabić bez skrupułów.

Jego ocena Jimmy'ego była niezaprzeczalnie prawdziwa.

Najbliższy posterunek policji od Englefield Road jest jakieś s ulic dalej na północ, za Dalston Junction, niedaleko Balls Road. Je to ponury budynek z szarej cegły, odrapany, w stanie rozpadu. Wi wewnątrz poczyniono wysiłki, by ożywić przepastny korytarz i rzucó~ trochę farby na ściany pokoi - nie udało się.

Posterunkowy Henry Davies, trzymając na smyczy owczarka zackiego, który dziewięć lat spędził w policyjnej służbie, schodził posterunku. Musiał jeszcze wpisać się na listę, potwierdzając, że je nocny raport jest gotowy do wglądu inspektora. To była spokojna n: żadnych bójek knajpianych, żadnych włamań. Czas do domu - do p terowego mieszkania, żeby przespać się trochę w ciągu dnia. On domu, pies Zero w swojej budzie za skrzynką na węgiel.

Kiedy Davies przechodził koło głównego biurka, na końcu fron wego holu, pies przylgnął głową do jego lewego kolana. Sierżant, s ry i radosny, w odróżnieniu od wnętrza, zagadał go na chwilę.

- Co, do domu Henry? Dużo się dziś nie działo.

- Zupełnie nic, Sarge.

- Spotykacie się z Doris w weekend? - Musiał to sobie zapisać pamiętniku, wiedział wszystko o wszystkich, stary drań.

Davies zatrzymał się przy drzwiach.

- Jasne. Zostaje na jutro i dziś. Nie wyjdzie do poniedziałku.

- Przydałaby się jej dobra kąpiel - powiedział sierżant. - Nie wie jak ona to robi. Miła, czysta dziewczyna, żyjąca w tym całym brudź' Posterunkowy uśmiechnął się.

- Chyba jej to nie przeszkadza. Weszła w to głębiej, mówi, że to' właśnie praca policji. Śmieje się ze mnie, że wlokę ten kawałek psie mięsa ze sobą.

- No cóż, ja nie mógłbym tego robić. Mógłbym, gdyby to było od dziewiątej do siedemnastej, od poniedziałku do piątku. Ale nie żyć z nimi dwadzieścia cztery godziny na dobę i to przez okrągły tydzień.

- Nikt nie ma zamiaru wysyłać cię do tych hipisów - powiedział z lekkim sarkazmem w głosie. - To nie w twoim stylu, Sarge.

jakaś starsza kobieta podeszła do biurka, odwracając uwagę sierżanta. "Najprawdopodobniej zgubiła swojego cholernego kota" - pomyślał Davies. Pociągnął nieznacznie za smycz i owczarek wstał. Weszli razem do krytej ciężarówki.

Dał kiedyś do zrozumienia Doris, że nie był zadowolony z jej życia w komunie, a ona odpowiedziała, że to o wiele bardziej interesujące od jeżdżenia po ulicach, mając za jedyne towarzysza psa. Ale widział ją w poniedziałek, jak wychodziła z półświatka, do którego przeniknęła, i jak wkładała do teczki swój raport

7.

To lord Denning zrobił skandal swoim raportem: "Służba Bezpieczeństwa w tym kraju nie jest ani ustanowiona przez status, ani nie jest uznawana przez prawo zwyczajowe. Nawet Oficjalne Tajne Akta nie przyznają się do jej istnienia". Od tej koncepcji z XVI wieku departament należał, żeby jego poczynania i działalność były utrzymywane w tajemnicy. Przez lata udawało się i Służba Bezpieczeństwa pozostała w tajemnicy ze swoimi wywiadowcami, którzy mogli sobie pogotulować, że znaleźli prawie bezbłędną receptę na pracę w departamencie. Ale wszystko co dobre kiedyś się kończy i ta ścisła tajemnica, zachłannie strzeżona, teraz przyniosła ciężkie czasy dla Służby Bezpieczeństwa. Politycy, szukający ekonomicznych oszczędności w latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, znaleźli kozła ofiarnego, który miał ciężar finansowych cięć. Niewielu z nich rozumiało, co działo się w "Laconfield House" i tym, którzy chcieli odkryć dziwną działalność personelu, zostało to wyperswadowane. Liczba ludzi zatrudnionych w departamencie uszczupliła się, gdy coraz mniej funtów zaczęło tu docierać. Sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła, gdy politycy postanowili, że powinno się skończyć z autonomią służby i ustanowili posadę sierżanta cywilnego. Dopiero ostatnio, po serii publicznie napiętnowanych nieszczęśliwych wypadków, premier wrócił do tradycji i powołał na to stanowisko starszego rangą pracownika służby. Jego tożsamość nie była podana do publicznej wiadomości. Figurował pod literą D, a od massmediów żądano utrzymania tego w tajemnicy.

Obecny generalny spędzał dużą część czasu pracy na walce o powiększenie budżetu Służby Bezpieczeństwa, który był ustalony przez parlament. To była szarpanina nerwów i nie cierpiał tego. Nie płacono mu dużo za jego trud, nawet nie tyle, co przeciętnej rangi dziennikarzowi z Fleet Street. Ale w departamencie nowy człowiek ożywił na nowo morale, chociażby dlatego, że kontrolował ich ktoś, kto rozumiał ich pracę, znalazł problemy i zawsze był do dyspozycji. Problem

97

irlandzki też odegrał swoją rolę w zwiększeniu tempa pracy na Curzon Street. Poza śledzeniem posunięć członków ambasad z krajów zza żelaznej kurtyny i poważnej radzieckiej misji w Highgate Hill, ich praca obejmowała coś nowego. Na szczycie tego była ostatnia fala terroryzmu, która przeszła przez Europę. Stary z satysfakcją zauważył, że budynek pracował już pięć dni w tygodniu, i że wielu szefów kluczowych sekcji siedziało przy swoich biurkach przez weekendy, nawet w środku lata.

Dyrektor generalny był niskim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Siedząc za biurkiem, uważnie przeglądał teczkę, które zostawiono do jego wglądu, trzymając kartkę parę centymetrów przed oczami. Od czasu do czasu sięgał po długopis i kreślił parę wyrazów w bloczku papieru. Skoncentrowany, szukał usterek w argumentacji, najważniejszych punktów informacji. Całkowicie ufał pracy papierkowej i żądał, żeby była krótka i zwięzła, ale zarazem żądał zawarcia w aktach wszystkich istotnych faktów. Jego płaszcz wisiał na oparciu krzesła, górny guzik koszuli był rozpięty, krawat zwisał luźno na szyi. Bezustannie palił, nie wysypując popielniczki, i zaciągał się mocno, gasząc papierosa dopiero wtedy, gdy końcówki parzyły go w palce. Punktualnie o ósmej trzydzieści usłyszał pukanie do drzwi i Jones, a za nim Fairclough i Duggan weszli do gabinetu.

Stary gestem ręki wskazał im krzesła i dalej czytał ostatnie strony akt o Ciaranie McCoyu. Szefowie sekcji usiedli w półkołu po drugiej stronie biurka i czekali, aż skończy. Gabinet był pusty, ale nie spartański: wisiał tu portret królowej pędzla Annigoniego, obraz przedstawiający półmisek z owocami, stół zarzucony wczorajszymi gazetami, dywan na całej powierzchni podłogi /tego wymagało jego stanowisko/ i ciężkie, jednolite, bezbarwne zasłony, teraz odsłonięte, aby wpuścić do wnętrza trochę słonecznego blasku. Nie było nic, na czym można byłoby zawiesić wzrok, a wszyscy i tak odczuwali zmęczenie poprzedniej nocy i żaden z mężczyzn nie był w nastroju do marzeń, czy wgapiania się w rzeczy, nie mające związku z tematem. Kiedy skończył, zamknął teczkę McCoya, kładąc ją starannie na stercie innych. Szybko rzucił okiem na swoje notatki, a potem spojrzał na trzech mężczyzn przed sobą. Widział ich zmęczenie. Chciał szybko uporać się z tym spotkaniem.

- Nie mamy wiele czasu, panowie - zaczął. Spokojny, cichy głos z płynnym walijskim akcentem. - Nasz gość przybędzie tu w poniedziałek, pojawi się publicznie we wtorek, odleci w środę lub czwartek. Jeszcze nie wiemy. Prawdopodobnie odleci w środę. Z tego, co mamy do naszej dyspozycji, widać, że groźba zamachu wygląda wystarczająco poważnie. Jest jeden element, który powinniśmy rozważyć zanim wyślemy polecenie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Gdyby to była tylko sprawa IRA, prawdopodobnie pomogłoby to nam. Lubią robić z tego układankę w niewielu kawałkach, więc jeśli zobaczą, że mają małe szanse, spróbują wtedy, gdy warunki będą bardziej sprzyjające. Ale tu jest dodatkowy element - udział Środkowego Wschodu. Inni ludzie, nieznaną filozofia, bardziej gotowi do ataku na cel. Jeśli drugą połowę drużyny stanowi Arab - Palestyńczyk, to musimy przyjąć, że jest gotowy umrzeć wraz z naszym drogim naukowcem. To czyni operację i ochronę nieskończenie bardziej skomplikowaną. Samobójczy morderca ma ogromne pole działania. Oznacza to, że musimy zwiększyć ilość ludzi i wyekwipować o wiele szerszy personel, niż w innym wypadku mógłbym zalecić. To oznacza policję umundurowaną i oficerów śledczych. Co o tym myślicie, panowie?

- Ten McCoy to twardy koleś - odezwał się Duggan. - Ścigali go długo przez wodę, ale jest tutaj na dziwnym gruncie. Rozsądne jest zasugerować, że będzie potrzebował bezpiecznego lokum gdzieś, gdzie może się zatrzymać z tym drugim. Ma dwa wyjścia. Albo zamieszkać w normalnej dzielnicy, przy pomocy skurczybyków z IRA, coś w tym stylu. Z drugiej strony może być gdzieś indziej, z dala od swoich. Jedyłą łączącą nas z nim nicią mogą być jego powiązania z siostrą. Nie mieszka już w Londynie, wróciła do Republiki, ale przeszła przez "czarujące" życie w komunie, w jednej z tych w północnym Londynie, przenoszących się z miejsca na miejsce. McCoy nie pochwalał jej postępowania, ale mógł przez nią uzyskać kontakt.

- Połowa łapanek Służby do Zadań Specjalnych ma miejsce w komunach - powiedział szef. - To dobry pomysł, ale nie spieszyłbym się ze sprawdzeniem tego, tym zajmie się policja.

- Przypuśćmy, że Palestyńczyk jest z McCoyem. Musimy w to wierzyć ze względu na rozmowy telefoniczne - powiedział Fairclough. - Wtedy mamy gwarancję, że jest zależny od McCoya pod względem

zakwaterowania i prawdopodobnie też broni. Otrzymaliśmy w nocy raport od Francuzów, że nie znaleziono w samochodzie broni, z której strzelano. Jeśli trzeci koleś wyszedł z samochodu, jest mała możliwość, że wziąłby ze sobą broń wszystkich trzech mężczyzn. Sensowne jest domniemywać, iż Arabowie mogli dostarczyć grupie tylko dokumenty na podróż.

- W takim razie to dziwne, że wybrali McCoya. Żadnej wspólnej historii, żadnych przeszłych powiązań czy operacji w Londynie, jak też w innych miejscach należących do jego działki. Ale nie ma problemu z bronią, jeśli jej będzie potrzebował - szeroki dostęp, wszystko może załatwić. Tu nie ma żadnych trudności. - Stary głośno myślał, wymawiając słowa uważnie i powoli. - Załatwienie broni będzie należało do McCoya. Ale to musimy rozważyć. Jeśli początkowa liczba członków grupy skurczyła się i jeden człowiek chce dalej kontynuować akcję, to jak dalece McCoy da się w to wciągnąć.

- On jest mordercą - powiedział z przekonaniem Duggan, bez cienia wątpliwości. - To wynika z jego kartoteki. Przemyśli to i postara się wyjść z tego cało, ale on jest mordercą. Nie wycofa się, nie, jeśli okoliczności będą dobre.

- I nasz nieznany przyjaciel będzie go potrzebował?

- On jest niezbędny - powiedział Duggan. - Arab, kimkolwiek jest, potrzebuje go, i to bardzo. Ale obaj stanowią potężne zagrożenie. Naprawdę poważną groźbę.

- Mówiąc bardziej ogólnie - delikatnym ruchem ręki dyrektor generalny zakończył konwersację - trzeba sięgnąć do teorii ataku: co ich dwóch łączy? Odmierna ideologia...

- Tylko konieczność - przerwał Duggan. Jako protegowany szefa Służby Bezpieczeństwa i jeden z tych, których kariera była dobrze zaplanowana i przyszłość sprecyzowana, mógł sobie pozwolić na wypowiedzenie się. - Palestyńczyk musi mieć lokum i transport, a jeśli jest to robione lokalnie, wtedy akcja może zostać lepiej przygotowana. To jest niewspółmiernie bardziej satysfakcjonujące z ich punktu widzenia, szczególnie jeśli mogą podróżować bez broni. Tak samo z Tymczasową IRA. Nadarzyła im się nie lada sposobność. Bardzo się starali położyć łapę na broni z za żelaznej kurtyny... Europa jest trudna jako źródło zaopatrzenia, nic nie przychodzi bezpośrednio - nie chcą

się do niczego przyznawać. Rynek amerykański też nie jest odpowiedni, poza tym trudny do ponownego zaopatrzenia. Ale Środkowy Wschód ma im dużo do zaoferowania. Jeśli pociągną to do szczęśliwego końca, wtedy kałasznikowy, wyrzutnie raketowe RPG 7, prawdopodobnie nawet pociski SAM 7 przejadą przez granicę dla chłopców z Południowego Armagh i Tyrone. Nazwałbym to bezpośrednią wymianą - natychmiastowa pomoc bandy IRA i w najbliższej przyszłości dostają najlepszej jakości żelastwo. Wystarczy pogadać z jakimś facetem z wojska, nie z dowódcą, ale z tymi kolesiami z pola, i dowiedzieć się, co czują, mając ten rodzaj sprzętu po stronie wroga.

- A Sokarev?

- Ważny dla Palestyńczyków, duża sprawa jeśli go zastrzelą. Nie związany z Irlandczykiem. Jeśli go stracimy, nie daj Boże, są szanse, że banda TRĄ nawet się do niczego nie przyzna, nie potwierdzi swojego w tym udziału.

- I ta bomba, do której Izraelczycy wciąż się nie przyznają, a ten nasz pan Sokarev jest z nią ściśle związany. W jakim to jest stadium?

- Amerykanie nazywają to stanem "dokręcania śrubki". To adekwatna nazwa. Prawdopodobnie jeszcze nie jest złożona, ale już dawno zaprojektowana.

- Powiedzieliśmy dostatecznie dużo - zdecydował szef. Wyprostował się w krześle. - Myślę, że najlepiej będzie zrobić, co następuje: rysopis McCoya do wszystkich posterunków policji w Londynie szczególnie nacisk na komuny. Sprawdzić wszystkie wczorajsze i wjazdowe z Boulogne, to dla Jednostek Specjalnych Portów. Łączność z Izraelczykami, z attache bezpieczeństwa, ale nie tutaj. Umówi się z nim w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, i żeby nie myślał,; to on jest wodzirejem. Jones, chciałbym, żebyś ułożył końcowy plan. Chcę mieć człowieka na straży przy tym profesorze w dzień i w i nie tylko ludzi z Oddziałów Specjalnych - mogą doglądać samyc^ł siebie - ale jeden od nas. Tak, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje.

- Z piciem nie jest najgorzej. Będzie pasował - przemówił po pierwszy Jones.

- Jest mnóstwo innych - wtrącił Stary.

- On jest najlepszy - to była opinia Jonesa.

Żaden z mężczyzn w pokoju nie był przygotowany na odparcie tego stwierdzenia.

Z różnych powodów zarówno Fairclough i Duggan nie popierali wyboru, ale żaden z nich tego nie powiedział. Lojalność Jonesa w stosunku do ludzi, którzy dla niego pracowali, była taka sama jak w stosunku do jego kumpli. Dało się wyczuć, że między nim, szefem sekcji, a Jimmym była osobista więź, której szczegółów nigdy im nie wyjaśniono. Ale krytyka osądu Jonesa o tym człowieku byłaby bezowocna i dlatego obaj milczeli.

Stary skinął głową. Znał Jimmy'ego, znał go od dawna i podobały mu się jego rezultaty. Nie wtrącał się do jego metod.

- Wróć na lunch - rzekł. - Jeśli będziecie mnie potrzebować, spróbujcie za kwadrans pierwsza. To wszystko panowie. Pamiętajcie, mamy mało czasu.

Z sekretariatu Helen wykręciła domowy numer komendanta Oddziałów do Zadań Specjalnych i połączyła go z Jonesem. Kopie akt McCoya wraz z jego odfitkami palców i fotografiami, które właśnie nadeszły z Północnej Irlandii, zostały przewiezione do Scotland Yardu. Rozmowa miała między innymi służyć przyspieszeniu przeszukania trzydziestu dziewięciu tysięcy formularzy imigracyjnych. Tylu ludzi przekroczyło granicę Wielkiej Brytanii promem z Boulogne poprzedniego dnia

Helen zadzwoniła również do ambasady izraelskiej, przedstawiła się jako pracownik Brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zostawiła numer bezpośredni do biura Jonesa i poprosiła, aby przekazać attaché bezpieczeństwa, żeby zadzwonił, jak tylko się pojawi, podając godzinę, o której mogłaby się spotkać w bardzo pilnej sprawie. Następnie wytropiła asystenta komisarza do spraw zbrodni w klubie golfowym w północnym Hertfordshire. Oświadczył, że spotka się z Jonesem tuż po lunchu w swoim biurze. To poruszy maszynę raportów i obserwacji, poczynionych przez tajną grupę detektywów do walki z narkotykami, która pracowała w komunach. Wizja rozmowy z Jonesem na tyle poruszyła asystenta komisarza, że wycofał się z gry piłkarskiej, którą sam zaaranżował, przeprosił partnerów i pojechał do domu, aby stamtąd zatelefonować przed odjazdem do Londynu.

Na końcu zadzwoniła do Jimmy'ego, wciąż czuwającego przy telefonie, ale teraz już ubranego. Spodnie miał wygniecione z tyłu pod kolanami, kurtkę pomiętą, a koszulę przybrudzoną. Ale był ubrany. Czy przyjdzie o szesnastej trzydzieści? No pewnie, że przyjdzie. A potem? Nie wiedziała.

- Zachowywali się jak kupa maniaków - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Minister lubował się swoim tytułem "sekretarza stanu do spraw państwowych". Teraz utrzymywał kontakt z wyborcami.

W sobotnie poranki otwierał "Gabinet przyjęć", gdzie wyborcy, dzięki którym wrócił do Westminster na ostatnie osiemnaście miesięcy, mogli przyjść do niego ze swoimi problemami. Jego oponenci twierdzili, że to tylko pozory i że w ciągu czterech minut rozmowy z każdym "pacjentem" nie można było rozwiązać żadnego problemu. Pozatykane odpływy ściekowe i spóźnienia szkolnych autobusów - to było wszystko, z czym mógł sobie poradzić. Coś tak "drobiazgowego", jak opłaty za wynajem domów czy zbyteczne stanowiska pracy w miejscowej fabryce nadwozi samochodowych nie mogło, ku uldze ministra, być w tak krótkim czasie przedstawione.

Zakończył rozmowę z ostatnim z piętnastu wyborców, których przyjął w ciągu godziny i przygotowywał się właśnie do wyjścia do restauracji poniżej, gdzie mógłby zjeść kanapkę i porozmawiać, kiedy dyrektor generalny Służby Bezpieczeństwa został połączony z jego biurem znajdującym się na pierwszym piętrze siedziby lokalu wyborczego. Ze względu na bezpieczeństwo kraju dyrektor generalny miał bezpośrednie połączenie z premierem, lecz korzystał z tego rzadko.

Zachodząc za wysoko, za szybko, omijając niektóre szczeble drabiny, można spowodować szybki upadek. Generalny lubił mieć szerszy wybór, ale nieczęsto szukał sposobności do rozmowy z rządem, na tyle rzadko, by zaskoczyć ministra. Po ustaleniu spotkania w pokoju z boku korytarza, był on jeszcze bardziej zaskoczony i zmieszany.

Gdy dyrektor generalny przybył na miejsce, wskazano mu pokój, gdzie pośród góry krzesel i starych stojaków czekał na ministra.

- Proszę wybaczyć, że pana niepokoję - zaczął.

- Jestem przekonany, że nie zrobiłby pan tego, gdyby nie było to konieczne. - Minister był ostrożny w rozmowie. Służba Bezpieczeństwa powodowała wiry w politycznym oceanie. Nigdy się nie odzywali, kiedy wszystko szło dobrze, wypływali na powierzchnię, gdy zaczynał wiać silniejszy wiatr.
- Sądzę, że mamy kłopoty, o których powinien pan wiedzieć. Minister skinął głową Dyrektor generalny widział na jego twarzy napięcie i niepewność tego, co nastąpi. Opanowanym głosem wyjaśnił sytuację.
- Minister poczuł, że dał się złapać.
- Co pan chce, żebym zrobił? - zapytał.
- Tu nie chodzi o zrobienie czegokolwiek, sir. To jest tylko kwestia poinformowania pana o tym, co się dzieje i jak sytuacja się przedstawia.
- Jak ważny jest ten Izraelczyk? - zapytał szybkim, twardym tonem.
- Jeden z ich najważniejszych, choć publicznie nie znanych. Nazywa się David Sokarev. Uważali go za źle nastawionego do ich koncepcji nuklearnej. Nie pracuje w bazie stacji nuklearnej ani w programie cywilnym. Jest w innej grupie, o której się nie mówi. Delikatny człowiek, delikatna praca.
- Czy to ważne spotkanie?
- Nie wiemy. Jeszcze nie widzieliśmy listy gości. Badamy to dopiero od wczoraj wieczór. Będziemy wiedzieć coś więcej dziś w nocy. Ale można zasugerować, że możemy mieć kłopoty.
- Któryś z nich ma go zabić? - przeciągnął się, starał skoncentrować umysł nad problemem. Wydział Bezpieczeństwa zawsze dostarcza kłopotów, nigdy żadnych dobrych wiadomości, zawsze udreka i problemy. A teraz nie ma nikogo ze Służby Cywilnej w promieniu pięćdziesięciu mil, premier podróżuje po Lanerkshire i on musi podjąć szybką decyzję. "Wiem, czego ten nudziarz chce - pomyślał - mogę na kilometr odczytać jego myśli. Chce, żebym mu powiedział, że odwała niezłą robotę, żeby poszedł i robił to, co uważa za stosowne, a kiedy rozpęta się skandal, wtedy będzie mógł powiedzieć ławie przysięgłych przed kamerami, że minister był świadomy sytuacji od samego początku. Ale nie pójdzie mu ze mną tak łatwo."

- Premier powinien o tym wiedzieć. Bardzo interesuje się sprawą Izraela. Na pewno chciałby to wiedzieć. Powiadomię go. Może Izraelczyk odwołał tę wizytę. Jeśli nie jest to ważne spotkanie ani ważna osobistość, to jaki jest sens ryzykować?

- To nie takie proste, sir - powiedział Stary. - Brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych próbowało i to wiele razy, lecz ten pomysł został natychmiast odrzucony. Ale zgadzam się z panem, że byłoby to najłatwiejsze rozwiązanie naszego problemu. Byłbym wdzięczny, jeśli ktoś powiadomiłby mnie, jak ta sprawa została załatwiona.

Minister uściśnął jego dłoń i odszedł w głąb korytarza. Talerze były już puste, a herbata zimna. Czekano na jego przemówienie. Był dumny, że nie dał się wciągnąć w to bagno, ale rozmowa która właśnie się skończyła zepsuła mu humor. Przemówienie nie wyszło najlepiej.

Gdy w ten sobotni poranek wzeszło słońce i przesunęło się po niebie, jego blask wpadł do pokoju, w którym mieszkali Famy i McCoy.

Jasność i ciepło płynęły przez szyby, kiedy Arab zakładał ubranie.

Wciągając spodnie odwrócił się plecami do Irlandczyka, który wciąż leżał w śpiworze, wydłubując brud z paznokci. McCoy rzucił w jego stronę, żeby się nie golił.

- Nie chcę, żebyś wyglądał jak malowana lala. Nie tutaj. Nie pasuje do otoczenia. A potem zaśmiał się cicho.

Famy zaczął przechadzać się po pokoju, przemierzając jego szerokość paroma krokami i stale zatrzymując się przy oknie, skąd spoglądał na ulicę poniżej. Po chwili znów przemierzał pokój. Czekał na jakiś ruch drugiego mężczyzny i ze wstrętem myślał o wyjściu samemu. Ulica fascynowała go, niewyraźne głosy dochodziły do niego, próbował rozróżnić słowa. Na ulicy były psy podnoszące tylne nogi przy latarniach, czarna mężczyzna kobieta i dziecko, dom po prawej stronie, gdzie stara fasada została pomalowana na jasny szkarłat, a drewniane okno i drzwi w odcieniu żółtego - wszystko było jednak dziwne, nieznanne.

Spod podłogi dochodziło coraz więcej dźwięków - muzyka nie była teraz tak żywa jak wczoraj, gdy przyjechali. Tamta była zarezerwowana na noc.

Nie opuszczała go myśl o ciemnej, zamaskowanej postaci, która była tu w nocy. Czuł zawód, że Irlandczyk nie wziął na serio tego, co mu powiedział i czuł się dotknięty beztruską, z jaką jego sensacyjne wiadomości zostały przyjęte. I kiedy słońce zeszło z okna, a McCoy wciąż nie okazywał ochoty na ruszenie się, Famy usiadł po turecku na śpiworze i czekał, aż tamten wstanie.

- Możesz iść na dół, jeśli chcesz - odezwał się do niego McCoy. Famy pokiwał głową, zirytowany własną niechęcią.

- Nie zjedzą cię. To zwyczajne dzieciaki.

- Poczekam.

- Jak chcesz - odrzekł McCoy, zapalił papierosa i palił go z uwagą. Famy przyglądał się bez słowa, jak tamten strzepywał popiół na podłogę i gdy spalił papierosa, zgasił niedopałek na blacie stołu. Potem wyszedł ze śpiwora.

Stojąc w slipach i podkoszulku patrzył wprost w oczy Famy'ego.

- Robiłeś to już kiedyś? - zapytał prawie szeptem, ale tonem żądającym odpowiedzi. Famy zawahał się, odwrócił wzrok od mężczyzny, niechętny i niespokojny.

- Nie. Jeszcze nigdy. Zaplanowano, że zostanę przeniesiony do Izraela, że powinienem tam walczyć, misja za granicą na północy. Potem otrzymali informacje o Sokarevie i jego wizycie, i zmienili plany wobec mnie.

- Byłeś przedtem w akcji? Mam na myśli, czy strzelałeś do kogoś?

- Tylko na treningu. Nigdy nie walczyłem. - Famy starał się kontrolować i mówić jak najmniej.

- Trudno będzie dostać się do tego drania, wiesz o tym?

- Jeśli się przygotujemy, zawsze jest jakiś sposób.

- Nie montuje się takich akcji tylko na pierdolonym myśleniu o tym, że się uda - McCoy okazał swoje zniecierpliwienie. - Musisz wiedzieć, w co się pchasz. Nie możesz tak po prostu wparować tam...

- Nie musisz do mnie mówić, jak do dziecka - Famy przerwał mu w pół zdania. Mówił teraz miękko, wyraźnie, jakby śpiewał.

Irlandczyk wycofał się.

- Nie zrozum mnie źle. Nie sugerowałem...

- Nie mów do mnie, jakbym był głupcem. Jeśli nie chcesz brać udziału, powiedz to teraz. Możemy się rozdzielić - zapomnę o tobie.

- Nie o to chodzi - McCoy urwał. Muzyka i głosy dotarły do nich. Żaden się nie odezwał przez parę sekund.
 - Mówię, że to nie o to chodzi - rzekł McCoy. - Dostałem rozkaz ze sztabu armii. Oni podjęli decyzję. Nie odwołują jej. Nasz oficer sztabowy dał słowo. - Uśmiechnął się kącikiem ust, poczuł chłód na ciele. Famy odetchnął z ulgą. Podeszedł do McCoya i poklepał go po ramieniu, delikatnie, gestem wyrażającym wdzięczność i przejęcie.
 - Co dzisiaj robimy? - zapytał podekscytowanym głosem.
 - Myślałem, żeby po południu obejrzyć uniwersytet. Nie możemy zrobić tego w niedzielę, kiedy wszyscy studenci wracają do internatów i kują. Nie będzie ich dziś tam wielu, może kilku. Byłoby lepiej wczoraj, gdybyś przyjechał na czas. Nie, nie obwiniam cię. Musisz naprawdę być geniuszem, skoro się tu znalazłeś. Mam samochód i jutro jedziemy na wieś. Tam, gdzie jest broń. Mam parę granatów. Nie używamy ich często, ale powiedzieli mi, żebym je wziął.
 - Wiemy o nich - odparł Famy.
 - Spróbujemy i uderzymy na spotkaniu. To publiczne miejsce. Daje największe szanse.
 - W Libanie myśleliśmy o dwóch możliwościach. Spotkanie lub lotnisko. Nie kiedy przyleci, ale gdy będzie odlatywał.
 - Lotnisko będzie dokładnie strzeżone, tam będzie trudno. Największe szanse są na spotkaniu. Jak blisko musisz do niego dojść?
 - Tak blisko, jak to będzie konieczne.
 - Musisz mieć drogę odwrotu.
 - Nie przyjechaliśmy tutaj, żeby uciekać. Przyjechaliśmy zabić Sokareva.
- McCoy grzebał w swoich skarpetach, wykręcał je na drugą stronę, próbując zdecydować, którą założyć na lewą nogę. Poczuł chłód. Widział to znów oczami wyobraźni. Te powyginane ciała, wypadające z okien mieszkania przy Beit Shean, roztrzaskujące się o chodnik i kaleczone tam nożami, siekierami i puszkami benzyny, a potem owiane przez dym i płomienie. Bezwładne ciało wyciągnięte ze szczątków hotelu "Savoy" w Tel-Awiwie. Palestyńczycy, którzy podeszli "tak blisko, jak to było konieczne".
- Musi być sposób, który pozostawiłby nam drogę odwrotu - powiedział.

- Może - odrzekł Famy i Irlandczyk nie kontynuował tematu. To był szalenciec, ten Arab, samobójca. "Dobra, powodzenia, koleś." Ale co z tym zrobić? Nie mógł się wycofać, teraz nie mógł już zrezygnować. Rozkazy były bezwzględne. Opanował się. No więc dobrze, wchodzi w to. Kiedy dojdzie do strzelaniny, zrobi to przy odrobinie wprawy - jednym celnym strzałem z dużej odległości wysadzi gościa w powietrze.

Oni dwaj nie stanowili grupy. Każdy z nich marzył o tym, by być ze swoimi.

Gdy już się ubrał, McCoy zszedł pierwszy na dół. Nie spotkali nikogo na schodach. Kiedy McCoy otworzył drzwi do głównego pokoju, rozmowy, prowadzone w małych, zbitych grupkach, nie zostały przerwane, ale oczy, głowy i ciała wszystkich odwróciły się w ich stronę. "Jak w jakimś cholernym zoo" - pomyślał McCoy. Stał w otwartych drzwiach, patrząc w głąb pokoju, czekając, aż ktoś się odezwie. Nie potrafili długo znieść jego spojrzenia i jeden po drugim, ci siedzący, stojący i kucający odwrócili głowy. Wszyscy, poza jedną dziewczyną. Famy zauważył ją pierwszy. Nie była ładna, raczej pospolita, zauważył McCoy. Długa, luźna, czarna sukienka i ciężki, wełniany płaszcz na ramionach, bezkształtny, chroniący ją przed zimnem, to wszystko. Brzydkie ubranie akcentowało szarość jej ciała - bez makijażu, pozbawiona wszelkiej kobiecości.

Doris Lang zauważyła, że dwóch nowo przybyłych nie interesowało się tym, co się działo w pokoju, od czasu, gdy weszli do domu poprzedniej nocy. Miała obserwować i wyciągać wnioski z tego, co zobaczyła. Ci dwaj nie pasowali do reguł, które rządziły ludźmi w komunie. Skóra Irlandczyka była zbyt jasna, zbyt gruba, by móc żyć wśród wyrzutków. Zauważyła, że jego postawa, sposób poruszania klócił się z tym, jaki był charakterystyczny dla "rodowitych" hipisów. W jego twarzy było zbyt wiele opanowania, by mógł należeć do tych, którzy nie potrafili poradzić sobie z życiem na zewnątrz. Ten, zdecydowała, był na pewno przejezdnym podróżnym i używał komuny do sobie tylko wiadomych celów.

Wyczuła również nerwowość i kanciastość w ruchach smukłego, ciemnoskórego mężczyzny, który stał krok za nim. Ten też tu nie pasował. Jego ręce musiały się teraz pocić, bo dwa razy wytarł je o spod

nie. Miał zimne, zdecydowane oczy, które węszyły po pokoju, przesuwając się po twarzach wszystkich i zatrzymując zawsze na niej. Zdziwiło ją, że nie znalazła przy nich nic ostatniej nocy, co mogłoby dać jakieś wskazówki co do celu ich wizyty w domu. Czują wzrok dwóch mężczyzn przewiercający ją na wylot. Odwróciła się, nie chcąc wydać się zbyt ciekawską. Palili marihuanę, a skręt szedł z rąk do rąk z dalekiego końca pokoju. Palenie zaczęło się dziś wcześniej.

8.

Samochód ambasadora Izraela zatrzymał się na tyłach Brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Był to mercedes, nisko osadzony ze względu na opancerzenie, które miał każdy samochód korpusu dyplomatycznego. W odróżnieniu od innych ambasad, rejestracja wozu nie pozwalała na zidentyfikowanie pochodzenia pasażera. Dzięki dużej radiowej antenie przymocowanej do zderzaka przy bagażniku, utrzymywano kontakt z ambasadą, mieszczącą się na prywatnym terenie przy Kensington Palace Road. Większość ambasadorów akredytowanych przy rządzie na St Jones podróżowała tylko z szoferem, ale w tym samochodzie było jeszcze dwóch młodych mężczyzn, z których każdy był uprawniony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do noszenia pistoletów maszynowych uzi. Jeden z pistoletów leżał na podłodze, na przodzie koło kierowcy, drugi z tyłu koło ambasadora przykryty płaszczem, na wypadek, gdyby ktoś przypadkowo zajrzał do samochodu. Podczas jazdy przez ulice, mercedes osłaniany był przez rover, nie oznakowany, w którym było dwóch mężczyzn z Wydziału Ochrony Służby Specjalnej.

Kiedy samochód zatrzymał się, członek ochrony, siedzący z przodu, pozostał na swoim siedzeniu, a jego dłoń spoczywała na kolbie ukrytego uzi. Mężczyzna, który siedział z tyłu z ambasadorem, otworzył drzwi, wyszedł, uważnie przyjrzał się chodnikowi, który biegł z Birdcage Walk do Horseguards Parade i skinął głową. Ambasador wyszedł pośpiesznie, a tuż za nim podążył człowiek z ochrony. Doszli do wąskich drzwi. Trwało to może parę sekund. Zarówno on, jak i ochrona zignorowali członka Służby Bezpieczeństwa, który również wyszedł na chodnik. Londyński detektyw przydzielony do ambasady izraelskiej był już przyzwyczajony do tego, że traktowano go jako niepotrzebnego widza, który miał obserwować, ale nie był dopuszczony do współpracy.

Przez roboczą część tygodnia przy drzwiach stał oficer w liberii, który prowadził ambasadora do biura na drugim piętrze, w którym czekał podsekretarz, specjalizujący się w sprawach Środkowego Wschodu. Ale podczas weekendu był tam mężczyzna ubrany w czarny garnitur. Szerokie przejście było ciemne, światła wyłączone ze względu na oszczędność. Portrety wielkich brytyjskich sekretarzy stanu, wiszące na ścianach, wyglądały teraz groźnie i tajemniczo.

- Dziękuję, że pan przybył, wasza ekscelencjo - powiedział podsekretarz, gdy drzwi zamknęły się za ambasadorem. Izraelczyk nie odpowiedział.

- Minister chciał spotkać się z panem osobiście, niestety, wyjechał i nie może wrócić do Londynu w czasie, który uważaliśmy za najdogodniejszy do spotkania.

"Kłamca - pomyślał ambasador. - Najprawdopodobniej leży nad strumyczkiem w swoim ukochanym Yorkshire."

- Na podstawie informacji, w które wasza Służba Bezpieczeństwa nas zaopatrzyła i z powodu napłynięcia dodatkowych informacji, które uzyskał nasz departament, minister prosił mnie, bym jeszcze raz zaproponował waszej ekscelencji odwołanie wizyty profesora Sokareva.

- Powiedział pan: "dodatkowe informacje" - rzekł ambasador. - Do czego pan zmierza?

"Wyszczał te słowa jak wściekły pies - pomyślał podsekretarz.

- Boże, chroń nas, to są nieokrzesane prostaki."

- Mam na myśli, wasza ekscelencjo, żeby zdecydować, czy wizyta powinna być kontynuowana tak jak zaplanowano, w obliczu groźby zamachu, którą wasze i nasze biura uważają za poważną.

- Prosi mnie pan, bym zwrócił się do Jerozolimy o odwołanie wizyty?

- O nic pana nie proszę. Sugeruję tylko, zgodnie ze wskazówkami mojego ministra, żeby jeszcze raz zastanowił się pan, czy warto ryzykować?

- Jest tylko jedna okoliczność, która mogłaby zmusić mnie do zasugerowania rządowi, że moim zdaniem profesor Sokarev powinien odwołać swoje czwartkowe wykłady i ominąć Wielką Brytanię.

Podsekretarz pochylił ku niemu głowę.

- Jeśli wiedziałbym, że siły policyjne i inne agencje brytyjskie nie są w stanie zapewnić należytego bezpieczeństwa profesorowi Sokarevowi - kontynuował ambasador, wtedy zasugerowałbym mojemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych konieczność odwołania wizyty.

"Chytry lis" - pomyślał podsekretarz.

- Nie o to chodzi. Zapewniamy odpowiednią ochronę...

- Nie ma więc o czym mówić. - Głos ambasadora był zimny. - Kiedy zda pan sprawozdanie ministrowi z naszej rozmowy, byłbym wdzięczny, gdyby mógł pan przekazać stanowisko naszego rządu. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do traktowania nas jak niezdolnego dziecka, które odejdzie, gdy zobaczy, że drzwi są zaryglowane. Znakomici uczeni waszej stolicy zaoferowali gościnę profesorowi Sokarevowi. My chcemy być pewni, że będą honorować swoje zobowiązania. Reszta, mój drogi przyjacielu, leży w waszych rękach.

- Musi pan zrozumieć, że występuję z polecenia ministra - opanował się podsekretarz.

Ambasador uśmiechnął się bez przyjaznego błysku, przymrużył oczy.

- Przekażę mojemu ministrowi, że rząd brytyjski zapewni - jakiego użył pan słowa? - ach tak, "odpowiednią ochronę". Sądzę, że powinien pan wiedzieć, a widzę, że nie został pan poinformowany, że podczas gdy dyskutowaliśmy stosowność wizyty, attache bezpieczeństwa w mojej ambasadzie rozmawiał o bezpieczeństwie profesora Sokareva z odpowiednimi ludźmi od was. W naszych ciężkich dla wszystkich czasach trzeba łączności, panie podsekretarzu.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Wczesnym popołudniem McCoy zaprowadził Famy'ego do samochodu zaparkowanego pięćdziesiąt metrów od domu, na lewym poboczu jezdni.

- Nie przyjechałem nim wczoraj na stację - powiedział. Jest kra-
dziony, lepiej było nie zostawiać go w miejscu, gdzie jest za dużo
ludzi. Tu to co innego, tu połowa z tych złomów nie ma właścicieli.
To był dwudrzwiowy ford escort z pomalowaną na zielono, zupełnie
nową tablicą rejestracyjną "M".

- Przejąłem go na własność przedwczoraj na Wembley. To na końcu Londynu, daleko od centrum. Dobrze jeździ, chociaż jest trochę za mały.

Famy obiektywnie przyglądał się samochodowi i czekał, aż tamten otworzy drzwi. Wkrótce dojeżdżali już do Angel Green. Zatrzymali się na światłach, kierunkowskaz został włączony i byli gotowi skrócić w prawo w Pentonville Road, a potem do głównych budynków uniwersytetu. Gdy jechali, McCoy zdał sobie sprawę, jak dalece został wplątany w tę grę. Zaczęło się banalnie i bez komplikacji. Miał zapewnić ochronę na tyłach. Strzelanina we Francji zmieniła sytuację i upewniła, że jeśli tak dalej pójdzie, to będzie występował w roli równego współpracownika. "Żadnej pomocy od tego skurwiela - pomyślał. - Mówi spazmatycznie, milknie, po prostu gapi się w cholerną wieczność, jakby nic innego nie istniało. W ogóle go nie interesuje, czy wyjdziemy z tego, czy nie." Inna wojna, akcje, które doprowadził do perfekcji na polach South Armagh. Polityczny zamach... coś, o czym jego wydział służby czynnej nawet nie myślał. Żołnierz, policjant czy lokalny prominent - to co innego. To była atrakcja.

Ale morderstwo na wielką skalę było dla niego czymś nowym. Zamach, który zappełni nagłówki pierwszych stron gazet przez cały tydzień. Inaczej było z załatwieniem Para, wysadzeniem w powietrze Woolwortha, zastrzeleniem policjanta, ale to... Został wciągnięty, zdał sobie z tego sprawę i nawet teraz myślał, że szanse na odwrót są minimalne. Był doświadczony, znał napięcie wiążące się z walką partyzancką na wzgórzach dookoła Crossmaglen, strzelał z nieporęcznego działka RPG 7 na obrzeżach swojego miasta, wydawał rozkazy, miał swoich podwładnych. A teraz ten drugi mężczyzna, który nic o tym nie wiedział, kierował nim, kontrolował go i poszerzał jego zobowiązania.

Może to była nienawiść. Słyszał o tym, czytał o tym, o zwykłej nienawiści, którą twardzi Palestyńczycy darzyli Izraelczyków, i wiedział, że nie potrafi tego zrozumieć. Nawet w celi na Long Kesh, kiedy wychodził na spacemik otoczony drutem kolczastym i przyglądał się zamaskowanym mundurowym żołnierzom w wieżach obserwacyjnych, nakierowującym swoje karabiny maszynowe i wycelowującym w ludzi poniżej, nawet wtedy nie potrafił nauczyć się

nienawidzić ponad
117

wszystko. Kiedy ci ludzie wysadzali zakładników, wrzucali do kin granaty bez cienia wahania, bez wyrzutów sumienia, byli poza zasięgiem możliwości rozumienia McCoya. Jego ludzie nigdy nie potrafiliby tego zrobić. Musiał być cel zabijania. Każda ofiara musiała "wiedzieć*", dlaczego ma zginąć z rąk McCoya. Ale tylko w imię walki, tylko jako gest... to nie wystarczało.

Byli na końcu Eusto Road, przy ostatnim budynku uniwersytetu.

- Dlaczego ten człowiek? Dlaczego Sokarev? Famy nie śpieszył się z odpowiedzią

- Trzy razy Arabowie walczyli z Izraelem i zostali zhańbieni - odpowiedział. - W ich Yom Kippur walczyliśmy z nimi znowu i zadziwiliśmy ich swoją techniką i brawurą ale nie zwyciężyliśmy. Następnym razem, gdy będziemy walczyć, pójdzie nam lepiej i potem będziemy mieli większe sukcesy. Pewnego razu zmusimy ich do poddania się. Wtedy nie będą mieli wyboru, wtedy postraszą nas swoją bronią. Powiedzą światu o swojej bombie i o tym, jak jej użyją żeby przetrwać. Sokarev jest twórcą tej bomby. Dla nas jest symbolem ich ostatniego, desperackiego ruchu obronnego. Czujemy, że gdy zabijemy Sokarewa, zademonstrujemy, że się ich nie boimy. Jeśli wyeliminujemy człowieka z samego centrum podstaw narodowego przetrwania będzie to dla nas dużym sukcesem.

- Będą inni. Inni, którzy wiedzą tyle samo co ten jeden człowiek - powiedział McCoy.

- To nieważne. To nie wiedzę Sokarewa chcemy zniszczyć. Atakujemy sam symbol. Nic nie znaczyło dla siły narodu izraelskiego stracenie sportowców w Monachium czy attaché w Waszyngtonie. Nic też nie będzie znaczył ten człowiek, tu, w Londynie. Chodzi o symbole. Możemy udowodnić, że potrafimy uderzyć tam, gdzie chcemy.

McCoy wciąż milczał. "Cholerny maniak" - powtarzał przez cały czas w myślach, kiedy jechał koło akademików i zatrzymał się przy masywnym mauzoleum, które było administracyjnym i akademickim centrum Uniwersytetu Londyńskiego.

- Spokojnie. Wyluzuj się. Jeśli ktoś cię zapyta, zostawiłeś jakieś notatki, wracasz, żeby je wziąć. Ale nie czaj się, wyglądaj tak, jakbyś był tu studentem od lat - mówił McCoy, gdy szli w górę cementowymi schodami budynku.

- Czy wiesz, którego wyjścia użyją? - zapytał Famy cicho.

- Nie, jest ich parę. To jest główne, ale są jeszcze inne.

Głos Araba był spokojny, jakby należał do kogoś, kto odpoczął i obudził się ze świeżym umysłem. Oddychał miarowo, powoli, rozglądając się dookoła w przestronnym, wysokim holu.

- Ale pokój, czy wiemy, w którym to będzie pokoju?

- Numer jest na zaproszeniu. - McCoy wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni. Wyjął z niego ozdobną, kwadratową kartkę i, uśmiechając się, pokazał ją Famy'emu. - To oryginał - powiedział.

Arab zobaczył imię: David Sokarev, wypisane ozdobnymi, miedzianymi literami na środku kartki, a pod nim inicjały. Zobaczył również słowa: "Sala wykładowa D, parter, czwarte drzwi na prawo od głównego wejścia".

- Skąd to masz? - zapytał Famy.

- Po prostu mam. To długa historia. Kiedyś ci opowiem.

- O której przyjeżdża? I o której jest ten wykład?

- Przyjedzie gdzieś na piętnaście minut przed wykładem. Na początku jest małe przyjęcie powitalne - sherry i kanapki, przyjedzie na koniec tej imprezy. Ma mówić o ósmej.

Ale Famy już nie słuchał, przyglądał się uważnie korytarzowi, filarom i kilku ocienionym wejściom, które odchodziły od korytarza do biur i innych sal wykładowych. Szukał kryjówki, pokoju, którego by potrzebował, zastanawiał się nad szybkością, z jaką mógłby przebyć korytarz, pozostając nie zauważonym. Ale to było niemożliwe, jeśli profesor miał być otoczony przez straż i komitet powitalny. Nie widział jeszcze sali, ale już wiedział, że nie będzie mógł wejść na wykład, szczególnie z bronią, którą będzie miał przy sobie.

- Trzeba to będzie zrobić na zewnątrz - powiedział cicho, jakby do siebie.

Odwrócił się i wyszedł na światło dzienne. Poszedł w lewo, przez parking, do rogu budynku, potem szedł wzdłuż ściany, zwracając uwagę na okna umieszczone tuż ponad jego głową. Masywny, funkcjonalny i onieśmielający w swej szarej sile budynek wznosił się ponad nim w kształcie zwięzającej się kolumny, z której szczytu z pewnością rozciągał się widok na pół Londynu. Forteca, do której przywiozą Sokareva. Ale każdą cytadelę można zdobyć. "Cegła, cement i

kamień same w sobie nie stanowią ochrony - pomyślał Famy. - Powstanie wyrwa, jeśli popełnią choć jeden błąd."

Dolne piętro budynku zbudowane było w formie gigantycznego i płaskiego krzyża, główne wejście z północnej strony, sala wykładowa na zachodnim końcu dłuższego ramienia.

Famy przeszedł pośpiesznie z frontu do ściany, na której znajdowały się okna sali wykładowej, a w jego krokach było podniecenie.

Nauczyli się sztuki, jak to mówili "używania martwej ziemi", poruszania się w terenie poza zasięgiem wzroku wroga. Ci, którzy będą stali przy głównym wejściu, nie będą widzieć okien, o które mu chodziło. Te są za rogiem, poza polem ich widoczności. I gdzie rozstawia swoich tajniaków, którzy przyjadą z Sokarevem? Będą z nim w środku przy drzwiach... Przeszedł za róg, za nim McCoy bezwiednie, ale jeszcze nic nie rozumiejąc. Znajdowało się tam więcej okien, a poniżej nich samochody, wszystkie zaparkowane tuż przy ścianie. Z satysfakcją zanotował to w myślach.

Rozejrzał się po raz pierwszy z cieniem niepewności, potem wskoczył na maskę ciemnego samochodu. Stąd widział salę wykładową, rzędy ławek, podobnych do tych w kościele i podwyższenie, na którym w czwartek będą odczytywane notatki Davida Sokareva. Zeskoczył z samochodu.

- Mógłbyś wejść do środka? - zwrócił się do McCoya. -1 jeśli są tam jakieś zasłony, przesunąć je przez to okno, to środkowe z tych trzech. McCoy nie ruszał się, zakłopotany.

- Zrób to - powiedział Arab podniesionym głosem. - Zasuń je szczelnie. Będę mógł zobaczyć, gdzie się schodzą.

Po tym jak McCoy odszedł, Famy czekał pełne dwie minuty. Potem zasłony znalazły się na szerokim oknie. Zauważył, że gdy były zasłonięte, nie było między nimi żadnej szpary, nie pozwalały światłu uciec na zewnątrz. Schylił się pośpiesznie, podniósł kawałek żwiru i zaznaczył nim na ścianie miejsce, gdzie się schodziły. Prawie w tym samym momencie zasłony znów się rozsunały. Podczas gdy czekał na McCoya, naniósł na ścianę następny znak, tuż ponad pierwszym. Tym razem była to sześcioramienna gwiazda, o wymiarach nie większych

niż dwanaście centymetrów z jednego wierzchołka do drugiego. Gdy McCoy przyszedł, wciąż się uśmiechał.

- Musimy mieć rękawiczki - powiedział Famy. - Grube, których nie pocięłoby szkło, zakrywające ręce po same przeguby.

W umyśle Abdela-El-Famy plan zamachu był ułożony. Piękny i całkowicie prosty.

Podziemie narkotyczne w Londynie, tak jak w każdej innej stolicy, jest brutalne i potężne. Tak jak rak, rozwijający się powoli wewnątrz ciała, widoczny dopiero wtedy, gdy jest już nieuleczalny. Młodzi detektywi, tacy jak Doris Lang, którzy próbowali przedostać się na rynek i dostarczyć dowodów, żądanych przez sądy na skazanie handlarzy, zostali dobrze wyszkoleni zanim zamienili swoje codzienne, schludne ubrania na te, które nosili nastolatki i wyrzutki, między którymi mieli się teraz poruszać.

Uczęszczała na trzytygodniowy kurs medyczny, którego celem było nauczenie się sztuki przetrwania w obcej społeczności. Spędziła też dwa dni w gimnazjum, gdzie nauczono ją samoobrony. Była zdolną, młodą, zadbaną kobietą i inspektor, któremu zdawała raporty, daleki był od obaw o jej bezpieczeństwo. To czego od niej oczekiwał, to przede wszystkim cierpliwości, a kiedy to zostało osiągnięte - szczegółów.

Widziała McCoya i Famy'ego opuszczających dom. Po ich wyjściu spędziła dwadzieścia pięć minut czytając i plotkując ze swoimi nowymi przyjaciółmi. Potem przeprosiła ich i wyszła. Na półpiętrze, tuż pod pokojem zajmowanym przez nowo przybyłych, stała przez pełną minutę, nasłuchując odgłosów domu, przekonując się, że u góry będzie sama.

Była rozczarowana wcześniejszym przeszukaniem ich rzeczy. Zrobiła to o godzinie, która zdaniem specjalistów była najlepsza, tuż po czwartej, kiedy człowiek jest najbardziej otepiały i tęskni za głębokim snem. Ale już wcześniej wiedziała, że to przeszukiwanie może być tylko powierzchowne, że szanse na odkrycie czegokolwiek są nieznaczne. W świetle dziennym mogła działać wolniej, z większą uwagą. Żaden pokój w domu nie miał zamków, wystarczyło tylko nacisnąć klamkę i wejść do środka. W lewej ręce miała mały notes i długopis.

Szperała w ubraniach mężczyzn przez dwanaście minut. Większość czasu spędziła układając z powrotem rzeczy Araba w jego teczce i rzeczy McCoya w walizce, tak żeby nie poznali, że grzebała wśród ich skarpet, bielizny i koszul. Nie znalazła papierów żadnego z mężczyzn, żadnych paszportów, listów czy prawa jazdy, nic, co mogłoby zdradzić ich tożsamość.

Nie zauważyła nic godnego uwagi w ubraniach leżących w walizce. Ale zawartość teczki zafascynowała ją. Ubrania były, same w sobie zwyczajne, ale każda metka, instrukcja prania i czyszczenia była odpruta. Nie wyrwana, ale dokładnie odpruta. Zapisała to w notesie, pod godziną ich przyjazdu i wyjścia, oraz opisem obu mężczyzn. W zakłopotanie wprowadziła ją niemożność wyjaśnienia ich obecności w komunie. Myślała, że może ich dzisiejsza wycieczka dostarczy jakichś nowych informacji i może gdy wrócą, będą mieli papiery, które znajdzie, gdy przyjdzie tu znów w zimne, wyludnione godziny tuż przed świtem.

W Scotland Yardzie Jones spotkał się z asystentem komisarza do spraw zbrodni, w jego biurze, znajdującym się tuż koło pokoju operatorów, na piątym piętrze budynku. W rezultacie spotkania zaczęły być realizowane dwa dobrze przemyślane i przygotowane na szeroką skalę programy. Po pierwsze - akcja mająca na celu zlokalizowanie i aresztowanie McCoya i jego nieznanego partnera; po drugie - zebranie sił bezpieczeństwa, koniecznych do zapewnienia ochrony izraelskiemu profesorowi, kiedy będzie odwiedzał Londyn. Ten pierwszy plan zabrał im najwięcej czasu. Jones naszkicował informacje, które przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zebrał departament. Nie ujawnił ich źródeł, ale zarysował szczegółowy obraz okoliczności, które dotyczyły zamachu na Sokarewa. Podkreślił powiązania McCoya z północnolondyńskimi komunami.

- Tu od razu mamy trudności - powiedział asystent komisarza.

-Kilkanaście komun jest pod obserwacją z zewnątrz. Mogę mieć o nich informacje o każdej porze. Jeśli ci ludzie są w jednej z nich, możemy ich szybko zidentyfikować. Ale mamy też parę takich, gdzie nasi ludzie są wewnątrz. Dzwoniłem dzisiaj i dowiedziałem się, że takich osób jest siedemnaście. Wychodzą najczęściej w poniedziałki rano. Z

pewnością nasi oficerowie oponowaliby, gdybym musiał ze względu na pańską prośbę, ujawnić ich i wydostać dziś po południu czy jutro. Cenimy ilość i dokładność informacji, które są dostarczane przez te źródła. Sądzę, że aby usprawiedliwić taką akcję, potrzebowalibyśmy więcej pozytywnych informacji niż te, które był mi pan w stanie przekazać.

Służba Bezpieczeństwa jest siłą bez siły. Potrafi tylko wymagać. Jones wyglądał na zgnębionego. Na twarzy malował mu się wyraz rozczarowania.

- Przykro mi, panie Jones. Niech pan mi powie, że to bardzo ważne, poda mi adres, da coś jasnego i wtedy możemy działać. Myślę, że to rozsądne.

- Czy nie ma innego sposobu, żeby wydostać stamtąd pańskich ludzi bez zniszczenia całej struktury?

- Co pan proponuje? - rzucił w jego stronę asystent komisarza. Tak jak wszyscy, którzy rzadko mają kontakt ze Służbą Bezpieczeństwa, nie ufał im, będąc przekonanym o ich braku efektywności.

- Nic - odparł Jones. - Nic mi nie przychodzi na myśl. - Był zmęczony, złość do człowieka po drugiej stronie biurka rosła. Był taki niechętny do współpracy, do zrozumienia skali problemu, bardziej zajęty marihuaną i kokainą niż politycznym zamachem.

- Pomyślę nad tym, popytam - rzekł asystent komisarza.

"To było ustępstwo, choć nieznaczące" - pomyślał Jones. I w ten sposób minęło następne pół dnia i nic nowego nie ustalono w tym względzie.

Attaché bezpieczeństwa ambasady izraelskiej spóźnił się do Brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zły humor Jonesa nie poprawił się. Zdał sobie sprawę, że trzeba było się do tego zabrać, przeprowadzić rozmowę, co na pewno tamtemu nie będzie się podobalo. Izraelczyk przyniósł informacje - rozkład zajęć Sokarewa, numer jego pokoju, zaproszenie na wykład.

- Będzie z nim dwóch mężczyzn z naszego wydziału ochrony Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Mogę podać panu ich nazwiska: Joseph Mackowicz i Gad Elkin. Wie pan, to nasza policja, panie Jones.

Od czasu Monachium staliśmy się bardziej świadomi niebezpieczeństwa. Oni mają zajmować się wyłącznie ochrona profesora.

"To najlepsza wiadomość dnia - pomyślał Jones. - Jeśli plany się pokrzyżują, ci dwaj dranie będą ponosić odpowiedzialność razem ze mną. Miło to wiedzieć."

Powiedział attaché, co wiedzieli o McCoyu.

- Z całym szacunkiem dla pana - powiedział Izraelczyk - sugerowałbym z moich obserwacji waszych problemów i mojej znajomości naszych, że to nie Irlandczyka powinniśmy się obawiać. Jeśli ten drugi człowiek jest Palestyńczykiem, to jest to ta bestia, przed którą powinniśmy go chronić.

"Ma rację - pomyślał Jones. - A tu nie ma ani imienia, ani rysopisu, ani odcisków palców, nic, po prostu nic."

- Powinniśmy się jutro znów spotkać. O tej samej porze, tutaj?

Izraelczyk zgodził się, a Jones pośpieszył do samochodu i odjechał na Curzon Street. Całkowity brak koncepcji na temat następnych posunięć wzmógł niecierpliwość. Jego praca bardzo rzadko wymagała tak poważnych decyzji jak teraz. Takiego uczucia nie doświadczył wcześniej i złapał się na tym, że patrzy na zegarek, jak gdyby minuty, które uciekały, były bardzo cenne i nie powinny być stracone. To była nowa forma "działań wojennych", gdzie jego wróg był nieznacny w postaci i sile, nie miał mocy i intelektu jakim on dysponował, ale wciąż był wrogiem, który dominował i przejął inicjatywę. Po raz pierwszy od prawie trzydziestu lat pracy w departamencie poczuł strach i bezsilność.

Zanim jeszcze zaszło słońce, młody chłopak powiedział, że już czas na niego. Nie zdziwiło to Davida Sokareva. Podróż z bazy wojskowej IAF w Afula do Berszeby była daleka i wyczerpująca. Wiedział, że jego syn ubrany w lotniczy mundur zacznie służbę o piątej trzydzieści w niedzielny ranek. Będzie potrzebował snu, a jazda zabierze mu trzy godziny, nawet w wygodnym mini.

Gdy chłopak podniósł się z krzesła na balkonie, z którego widać było miasto, Sokarev powiedział do niego cicho:

- Muszę z tobą porozmawiać. Możesz wejść do mojego pokoju? To nie zabierze dużo czasu.

I gdy byli już sami w pokoju Sokareva, odezwał się do swojego syna nieśmiało, niepewnie:

- Nie przerywaj mi, dopóki nie skończę. Nie mówiłem tego twojej matce. Grozi mi niebezpieczeństwo w Londynie. Dwa dni temu przyszli do mnie dwaj mężczyźni z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Powiedzieli, że mają być moją ochroną. To nie jest ważna wizyta. Czekałem na nią. Tylko jeden wykład i szansa na spotkanie starych przyjaciół. Rozmowa z innymi ludźmi. Ale to coś, co można odwołać, a świat by się nie zawalił. Nie wiem, jak zareagować w tej sytuacji. Jeśli byłoby ryzyko, myślę, że ministerstwo, rząd, odwołałoby tę wizytę sami. Ale nie zrobili tego. Wysłali tylko ludzi, aby zawiadomili mnie, że będą moją ochroną. To wszystko. Ale co mam zrobić? Spojrzał na chłopca, szukając w nim oparcia. Ale jego syn odpowiedział jak na rozkaz, językiem podwładnego, który wierzył w nie-naganność przełożonego.

- Jeśli mieliby wątpliwości czy to jest bezpieczne, nie pozwoliliby ci pojechać. Jesteś zbyt cenny dla wszystkich, ojcze, żeby mogli cię narazić na prawdziwe niebezpieczeństwo. Jeśli nie zasugerowali, że powinieneś to odwołać, to nie musisz się niczego obawiać.

Sokarev pocałował chłopca w oba policzki, spokojniejszy. Odrzucił swoje wcześniejsze myśli o telefonie do dyrektora Dimony i wyszli razem z pokoju. Ale broń weźmie na pewno.

Jimmy ogolił się, nałożył czystą koszulę, garnitur i stary żołnierski krawat. Na końcu wypastował buty i poszedł do "Leconfield House". Przez ponad pół godziny siedział w sekretariacie, za drzwiami gabinetu Jonesa wymieniając parę słów z Helen, która pisała na maszynie. Czekał na spotkanie. Jimmy był po pięćdziesiątce. Miał siwe włosy i zniszczoną twarz - oznaka lat spędzonych samotnie, kiedy sam musiał o siebie dbać. Na policzkach miał ciemne, czerwone plamy, nie takie, jak przed pójściem do kliniki, ale wciąż widoczne. Pęknięte naczynko w lewym oku tworzyło plamę purpury w samym rogu, tuż przy nasadzie nosa. Był wysoki i gruby, częściowo dlatego, że styl życia nie pozwalał mu na regularne jedzenie, częściowo też dlatego, że ostatnie ćwiczenia z wychowania fizycznego miał w prywatnym liceum. Helen widziała, że był spięty, prawie zdenerwowany, co chwila zmieniał

pozycję na krześle. "No już - myślał - nie trzymaj mnie tutaj przez cały dzień." Raz zaklął. Zanim wszedł tu znowu, do grupy i części nowej akcji, czas mijał szybciej, ale teraz jego umysł był zaprzątnięty nie-sprecyzowanymi pomysłami. "Zostawia cię jak roślinę, do wegetacji."

Wszedł Jones, skinął głową w stronę Jimmy'ego.

- Są jakieś nowe wiadomości? - zwrócił się najpierw do Helen.

- Żadnych - odparła. - Generalny chciałby zobaczyć się z panem przed szóstą. Dzwonił. Poza tym nic.

Jones ukrył rozczarowanie. Podszedł do drzwi swojego gabinetu, otworzył je i poprosił Jimmy'ego. Wewnątrz wskazał mu krzesło i podszedł do biurka. Jimmy zobaczył stos tekturowych teczek na jego blacie.

Jones był mistrzem w przedstawianiu zarysu problemu. Przekazał Jimmy'emu informacje, które już znali. Powiedział kilka słów za dużo, ale tamten nie przerywał.

- To podłoże. Nie mamy wszystkiego. Możesz to sobie zapisać jak skończymy. W lepszych okolicznościach skoncentrowalibyśmy główne wysiłki na tym, żeby dorwać tych drani zanim uderzą, ale jak widzisz, mamy za mało danych, żeby to zrobić.

"Tak jak Jimmy by tego pragnął - pomyślał Jones. - Gdy reszta z nas będzie już zmęczona i zacznie szukać pomocy u tych ważniejszych, Jimmy będzie wiwatował z najwyższej wieży. Odpowiednia praca dla niego - wyczerpie go i podda próbie. Różnimy się od siebie."

Jones zaakceptował to - jeden już wyczerpany, próbujący uniknąć awantur, drugi rzeński jak licealista. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Musimy być przygotowani na atak i chcę, Jimmy, żebyś był koło naszego izraelskiego brata. Tuż przy nim, tak żeby nie schodził ci z oczu, chyba że będzie bezpiecznie zamknięty w przytulnym kibelku. Będą z nim jego ludzie, jacyś z Oddziałów Specjalnych, wszyscy będą na siebie drzeć ryja i kłócić się przy sporządzaniu protokołu. Ale ty masz być trochę bliżej niż ktokolwiek inny. W normalnych okolicznościach nie zajmowalibyśmy się dalej tą sprawą, przeszłaby prosto w ręce policji, ale jeśli się nie uda, zasięg następstw będzie za duży. Więc nie masz wątpliwości co do swojej roli, Jimmy. Powiem otwarcie. Jeśli zobaczysz, że coś jest nie tak, zaczynasz działać. Jeśli zobaczysz

broń koło niego, strzelasz. Nie przejmuj się papierkami czy regulami-
nem. - Jones zastanowił się. Musiał wyłożyć to lepiej, bardziej dobit-
nie, nie pozostawić cienia wątpliwości. Był to winny człowiekowi na
samej górze. -1 jeśli ustrzelisz jakiegoś* starego durnia, który
wybierze się z psem na spacer do parku, zatuszujemy to.

- Zawsze to mówisz - powiedział Jimmy.

"Czy zatuszowałyby to...? Nie wiadomo, do diabła. Ale tak należało to
ujać. To nic nie znaczy - myślał Jimmy. - Co czuje, to mówi. Ale jaka
będzie cena uwolnienia, gdy czara się przepełni? Wyląduje w sądzie,
jak każdy inny łazęga i w trybie przyspieszonym."

- To czego potrzebuję, Jimmy - kontynuował Jones, ignorując go, bo
wiedział, że to na niego najlepszy sposób. - To czego potrzebuję, to
pewności, że będę informowany o każdym posunięciu Sokareva. Nie
chcę otrzymywać informacji z ambasady izraelskiej czy Scotland
Yardu, chcę to wiedzieć od ciebie.

- Jeśli wszyscy łamią sobie nad tym głowy, to dlaczego nie odwołano
tej wizyty?

- Jeden Bóg wie. A nawet jeśli wie ktoś jeszcze, to nie wydałem mu
się z pewnością kimś, z kim mógłby się tym podzielić. Izraelczycy
wiedzą o groźbie od paru dni, ale nic nie zrobili, żeby to odwołać.
Jimmy nie pytał więcej. Wiedział, że tamten traci cierpliwość i nie ma
ochoty na teoretyzowanie i "gdybanie".

- Podam twoje nazwisko Izraelczykom i Oddziałom Specjalnym
-powiedział Jones. Będziesz potrzebował trochę czasu na przejrzanie
papierów. Chciałbym, żebyś jutro pojechał ze mną na spotkanie z
Izraelczykami. Stary jest trochę niespokojny. Będziesz musiał poćwi-
czyć trochę z bronią. Załatw to na rano. Teraz idź do domu i weź parę
ubrań. Fairclough, Duggan i ja śpimy tu. Powinieneś się do nas przy-
łączyć. Możesz spać w pokoju Helen.

Gdy Jimmy wyszedł, zatrzymał się przy biurku Helen.

- Z dzisiejszej nocy też nici, kochanie. Zacząłem pracę.

9.

Po opuszczeniu uniwersytetu McCoy poprowadził samochód do Tottenham Court Road i w labiryncie bocznych uliczek, za szpitalem Middlesex, znalazł małą indyjską restaurację. Spędzili dużo czasu nad posiłkiem, rozmawiając o swoich rodzinnych stronach. Mówił głównie Irlandczyk, a Famy słuchał. Poruszali pałeczkami, bawili się ryżem, sosami i mięsem, kroili owoce na małe, cienkie plasterki. A potem, gdy nadszedł wieczór, zamówili kawę i trochę pism. McCoy mówił o Crossmaglen i Cullyhanna. Mówił o stromych zboczach wzgórz i o farmach, z których trudno było wyżyć", o dużych rodzinach, o trudnościach z pieniędzmi. Mówił o wielkiej niezależności ludzi, którzy tam żyli, o tym, jak przenieśli swoją starą nienawiść z takich postaci jak celnicy czy komornicy, na żołnierzy armii brytyjskiej. Opowiadał historię Micka McVerry, zabitego w ataku na posterunek policji Ke-ady, jak umieścili dziesięciu strzelców dookoła budynku i działko, i jak McVerry został zastrzelony, gdy podkładał bombę pod budynek, a ta, gdy wybuchła, wysadziła całe skrzydło. Sam McCoy był wtedy w Kesh, w przeciwnym razie też by już nie żył, powiedział. Famy podniósł pytająco wzrok, gdy McCoy wymienił słowo "Kesh", a Irlandczyk zarzucił go swoimi opowieściami o więzieniu, gdzie go trzymali i o tym, jak oni, więźniowie, wszystkim tam kierowali. Jak sądzili i karali tych, których poczytywali za winnych. Jak organizowali komitety ucieczkowe, kopali tunele, jak odbierali od odwiedzających przemycone rzeczy. Jak prowadzili naukę obsługi broni i materiałów wybuchowych. Jak wyśmiewali komendanta, gdy był na obchodzie. Jak organizowali bunty i strajki głodowe. Jak zdominowali opinię katolicką za drutami.

Famy słuchał, bez zrozumienia, z niedowierzaniem. Próbował zasugerować, że w Izraelu nigdy nie tolerowaliby czegoś takiego za wysokimi żółtymi murami najlepiej strzeżonego więzienia w Ramie, gdzie trzymali fedainów. Tak wiele rzeczy, które powiedział McCoy, zdumiewało go. Żadnych kar w stosunku do rodzin aresztowanych

pod zarzutem terroryzmu. Szczegółowe rozkazy kontroli ognia dla pojedynczych żołnierzy. Kawałek papieru, który przekazuje każdemu żołnierzowi listę okoliczności, w jakich powinien strzelać. Setki spadochroniarzy zamkniętych na posterunku policji Crossmaglen, dla których żywność i amunicja dostarczane są helikopterem, bo zbyt niebezpieczne jest przewożenie ich ciężarówkami - za wiele bomb na drogach, za wiele drutów w kanałach. Ale najbardziej zdziwiło go jedno.

- Dlaczego, gdy cię złapali po zrobieniu tych wszystkich rzeczy, to cię wypuścili? - zapytał.

McCoy uśmiechnął się, potem zaśmiał. Wiedział, że niemożliwe było wytłumaczenie gestów sekretarza stanu Północnej Irlandii człowiekowi, którego wiedza o partyzantce była oparta na walce z wrogiem tak nieugiętym i bezkompromisowym jak Izraelczycy.

McCoy chciał mówić, a Famy zsunięty został na pozycję pasywnego słuchacza. Mówił o polityce Irlandzkiej Armii Republikańskiej, w skrzydle Tymczasowej. Potem mówił o sześciu prowincjach, o Ulsterze, który, jak powiedział, był teoretycznie dziewięcioma prowincjami. Regionalizm i federalizm i Fianna Fail... Arab się pogubił. Jego myśli oderwały się od powolnych, niewyraźnych słów McCoya. Wiedział teraz, że w jego własnej sprawie wszystko było proste, wszystkiego uczono się od dziecka nie było nic, czego nie można byłoby zrozumieć w obozach.

"Ponieważ wiemy, czego chcemy - pomyślał - jesteśmy gotowi walczyć z poświęceniem o nasze zwycięstwo. Nie w patetyczny, kowbojski sposób małych bohaterów, gdzie zastrzelenie jednego żołnierza rozgłasza się jako zwycięstwo, gdzie zabija się policjanta w średnim wieku i wierzy, że to zmieni strategię polityczną. W ten sposób sienie walczy. Może dlatego nie wiedza o co walczą nie potrafią zdobyć się na czyny, które wstrząsnęłyby światem na ogromną skalę. Ale ten irlandzki chłopak nauczy się. Zrozumie, co znaczy zabijać, kiedy dyplomaci każdej wielkiej stolicy świata zareagują na to. Zrozumie, co to nienawiść jednej połowy świata, a wdzięczność i chluba drugiej."

Ale Famy'emu podobało się tu, czuł się bezpiecznie w restauracji, zdał sobie sprawę, że niczyj wzrok nie przewierca go na wylot, że jest anonimowy i oczarowany konspiracyjnym szeptem, którym McCoy

opowiadał o swoich wyczynach. Dopóki McCoy nie zapłacił unizone-
mu kelnerowi, Famy nie myślał o postaci, która ostatniej nocy prze-
szukała ich pokój, i o dziewczynie, która patrzyła na nich, gdy opusz-
czali dom późnym popołudniem.

Gdy byli w samochodzie, Famy zaczął o tym mówić.

- Będziemy spali w innych miejscach niż poprzedniej nocy. Ty przy
ścianie, a ja blisko drzwi. Jeśli ktoś znów przyjdzie, będzie musiał
wejść w głąb pokoju, a wtedy ja będę za jego plecami.

Przez otwarte drzwi pokoju widziała jak weszli. Zatrzymali się na
chwilę, jakby niezdecydowani czy dołączyć do grupy. Słyszała ich
głosy, niewyraźne, zagłuszane przez adapter. Potem słyszała jak idą
po schodach na górę, a po chwili ich kroki umilkły. Gdy nastąpiła noc,
co mniej więcej pół godziny odwracała wzrok od książki i spoglądała
na zegarek, czekając na odpowiednią godzinę. Stopniowo pokój wy-
ludniał się. Pojedynczo lub parami zataczali się do swoich materacy i
śpiworów w pokojach na górze. Kiedy prawie wszyscy wyszli, za-
milkła muzyka i rozmowy, poczuła zimno. Gdy szła wcześniej spać,
nie odczuwała braku ogrzewania w domu, ale krótkie godziny dnia,
przynoszące ciepło, zniknęły, rozproszyły się w murach wysokich po-
koi i starych ścian. Niewielu z nią rozmawiało, ale taki obrała styl.
Gdyby chciała porozmawiać, znalazłaby ludzi, którzy by z chęcią słu-
chali. Skoro nie chciała, pozostawiono ją sobie samej.

Włożyła kurtkę w spodnie i skuliła się, starając nie tracić ciepła, które
wciąż ulatywało. Na którymś z górnych pięter płakało dziecko.

Zwykle tak płakało przez większą część nocy. Matka nie miała mu
wiele do zaoferowania, poza swoim instynktem macierzyńskim. Od-
kąd była w komunie nienawiść do tej kobiety, za jej nieodpowiedzial-
ność i niedbałość z jaką traktowała swoje dwuletnie dziecko, rosła w
Doris Lang. Chciała interweniować, ale za każdym razem porzucała
tę myśl. Nie mogła tego zrobić, nie zdradzając się. Głodne, małe,
biedne stworzenie, próbujące urosnąć, karmione grzankami,
podgrzewaną puszkową fasolką i spaghetti.

Na parę minut przed czwartą, ci ostatni, którzy z nią siedzieli, prze-
ciągnęli się i, jakby na wpół śpiąc, poszli do schodów. Przyzwyczaiła
się do braku snu i była w stanie w przeciągu paru sekund przywrócić

umysłowi koncentrację, której pozwoliła wcześniej ulecieć. Chciała papierów, dokumentów tożsamości, celu, w jakim przyjechały i zamieszkały tu te dwie dziwne postacie, niepodobne do innych poskładanych kawałków komuny.

Kiedy wyslizgnęła się z pokoju i powoli, uważnie weszła na górę, cicho stawiając każdy krok, na zegarku było parę minut po czwartej. Nosiła tenisówki z gumową podeszwą. Były brudne na zewnątrz, nie prane, ale najlepiej nadawały się do bezszelestnego poruszania. Jedną ręką podwinęła długą spódnicę, aby nie szurała po schodach. Pod drzwiami pokoju zatrzymała się, znów nasłuchując odgłosów nocy, samochodów, ciężkich oddechów i odległego wycia karetki pogotowia. Za drzwiami było cicho. Zupełnie cicho. Położyła rękę na klamce, popchnęła drzwi centymetr po centymetrze, poczekała jeszcze raz nasłuchując przez chwilę i weszła do wewnątrz.

Famy nie słyszał jej kroków ani na schodach, ani na półpiętrze. Ale ruch klamki zbudził jego czujność. Usłyszał dźwięk wysuwanej zasuwki ze starego, nie oliwionego zamka. Wytracone z półsnu oczy skupiły się momentalnie na białej chusteczce, którą zawiązał na klamce, wewnątrz pokoju. Widział ją, choć w ciemności była przyćmiona i szara. Widział jej ruch, najpierw minimalny, potem szybszy, gdy drzwi zostały otwarte. Potem zniknęła mu z oczu, przesłonięta ciałem postaci. Czuł pot na nogach, lepka, ciepła wilgoć na swoim ciele, szczególnie pod pachami i w zgięciach pod kolanami. Starał się kontrolować regularność oddechu.

"Nie śpieszy się" - pomyślał. - Czeka na odpowiedni moment, na światło, żeby wszystko wyglądało naturalnie."

Potem postać znów się poruszyła i usłyszał ciche muśnięcie materiału o podłogę. To powiedziało Famy"emu, że intruzem była dziewczyna i gdy wysilił wzrok, przenikając ciemność pokoju, rozpoznał tę, którą widział na dole, tę o bladej twarzy, skołtunionych włosach i ciężkiej sukience, która sięgała podłogi. W tej części pokoju, w której leżał, było najciemniej, ale przyćmiona jasność ulicy oświetlała róg pokoju, w którym spał McCoy. Widział dokładnie sylwetkę dziewczyny, gdy podchodziła do śpiwora, widział, jak schylała się i otwierała teczkę, słyszał, jak jej ręce grzebią pomiędzy jego ubraniami.

To, że nie znalazła tego, czego szukała, wyczuł ze sposobu, w jaki zamknęła teczkę - powoli, spokojnie. Potem stała niezdecydowana, rozgoryczona.

"Szuka mnie, mała dziwka - pomyślał Famy. - Przypomina sobie, gdzie spałem ostatniej nocy, szuka oczami, ale to za mało, potrzebuje latarki." Zamknął powieki, nie chcąc, aby zauważyła jego mrugnięcie, gdy nagle włączy latarkę. Kroki zbliżyły się do niego, ostrożnie, stawiane tak, by nie zaskrzypiały deski podłogi. Gdy się zatrzymały, była bardzo blisko niego, a na twarzy poczuł światło. Położył torbę tuż przy głowie i czuł teraz jej oddech na twarzy, gdy schyliła się nad nim, uważnie otwierając zamek. Przerzuciła ręką jedzenie, pozostawiając je parę centymetrów od śpiwora, potem wsunęła rękę do torby, a z nią światło latarki. Gdy wyprostowała się, aby wyjść, Famy wyrzucił ręce ze śpiwora i złapał ją za nogę. Przez moment jego palce zagubiły się w fałdach spódnicy, ale po chwili paniki poczuł twardość jej kostki. Całym ciężarem ciała wybił ją z równowagi, ciągnął w dół. Latarka upadła na podłogę i oświetliła drugi róg pokoju.

Była całkowicie zaskoczona. Zanim zdała sobie sprawę, co się dzieje, leżała na podłodze twarzą do niej, jej prawe ramię wykręcone wysoko na plecach, było kurczowo trzymane przez Famy "ego, a jego kolano wbite miała w kręgosłup. Szok był tak duży, że nawet nie krzyknęła.

- McCoy! McCoy! Chodź tu! - syknął, a tamten spojrzał w drugi koniec pokoju.

- Co jest? - zapytał niskim głosem.

- Mam tę małą dziwkę, mam ją tu.

McCoy w podnieceniu wygrzebał się ze śpiwora i wpadł w ciemności na dziewczynę i Famy'ego. Jego ręka sięgnęła po latarkę, która oświetliła bladą, wystraszoną twarz. Próbowwała odwrócić wzrok od światła, ale on złapał ją za włosy i gdy krzyknęła, odwrócił jej twarz znów do światła.

- Zabierz ode mnie swoje pieprzone łapy - parsknęła w jego stronę.

Uderzył ją mocno w twarz, a metalowa latarka wylądowała na jej ustach, które nabrzmiały i poczerwieniały. Po chwili skóra pękła i krew zaczęła ciec po policzku do szyi. Zaczęła się szamotać, nie czując bólu, jaki sprawił jej McCoy i zapominając o nasilającym się pul-

sowaniu w ramieniu, które wykręcił Famy. Drugą ręką sięgnęła w ciemność przed sobą i poczuła pod palcami twarz McCoya. Wbiła paznokcie w jego policzek. Ręka puściła jej włosy, ale zanim spróbowała wyswobodzić się z uścisku Famy'ego, noga McCoya uderzyła wściekle w jej głowę. Próbowwała się odwrócić, ale znów ją kopnął, oświetlając twarz latarką. Metodycznie i z furją uderzał przez długie włosy, które nie chroniły uszu przed ciosami. Potem McCoy uklęknął koło niej i znów chwycił za włosy. Tym razem nie bronila się. Odwróciła głowę w jego stronę, tak jak chciał i zobaczyła długie pręgi na twarzy i pełne wściekłości oczy. Famy jeszcze silniej zacisnął rękę na jej ramieniu. Poruszyła się konwulsyjnie, a potem leżała bezwładnie. Poddała się.

- Przeszukała twoje rzeczy, potem moje - powiedział Famy.

- Odwróć tę dziwkę - McCoy dyszał.

Przewrócili ją na plecy. Arab całym ciałem naciskał jej nogi, wysoko na udach i przyciskał ramiona do podłogi, ponad głową. Zamknęła oczy i poczuła, jak McCoy ją przeszukuje. Zaczął od szyi i przeszedł szybko i z dużą wprawą do reszty ciała, przesuwając ręką po jej piersiach, w dół do talii, brutalnie i pośpiesznie. Potem jego ręka zacisnęła się na notesie, który miała w kieszeni na biodrach. Palce wdarły się poprzez fałdy spódnicy do kieszeni i wyciągnęły stamtąd notes. Otworzyła lekko oczy i zobaczyła, jak przywarł wzrokiem do jej drobnego pisma, przerzucając kartki, trzymając latarkę tuż przy papierze.

- Co tam jest? - zapytał Famy z rosnącą niecierpliwością, gdy drugi mężczyzna zdawał się zapomnieć o jego obecności.

- Ona jest szpiegiem - powiedział McCoy.

- Kim? - zapytał Famy podniesionym głosem.

- Jest informatorem. Szpiegiem. Ma tu nazwiska ludzi mieszkających w tym domu, godziny i dni przyjazdu. My też tu jesteśmy, godzina naszego przyjazdu, godzina naszego wczorajszego wyjścia. To mała, przebiegła suka. Nie masz żadnych metek, żadnych znaków firmowych na swoich ubraniach, prawda?

- Odpruliśmy je, zanim tu przyjechaliśmy.

- Tak, to jest tutaj napisane.

McCoy czekał, jego duże oczy wbiły się w twarz pod nim. Czuła chłód w jego głosie, szorstkim, bezwzględny.

- Kim jesteś? - zapytał. - Powiedz, dlaczego tu przyszedłeś? Wypełniona strachem twarz odwróciła ku niemu puste oczy.

- Mów, kim jesteś, ty kurwo?

Znów ją uderzył, tym razem brzegiem dłoni, w brodę. Głową uderzyła w podłogę. Wciąż nie mówiła, a on uderzył ją mocno zaciśniętą pięścią poniżej żeber. Straciła oddech, próbowała złapać powietrze w płuca i wyciągnąć kolana spod Araba.

- Jeszcze raz dostaniesz.

Próbowała mówić, ale na początku nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku, mimo starań. Jej piersi falowały i drgały, zanim wypowiedziała pierwsze słowa. To była ostatnia próba obrony.

- Zabierzcie ode mnie te śmierdzące łapy. Jestem oficerem policji. Zabierzcie ode mnie te brudne łapska.

W głowie Famy'ego błyskawicznie zarysowała się cała sytuacja. Dwa dni temu na drodze do Boulogne czekała na nich policja. A teraz, w rzekomo "bezpiecznym" domu, policja znowu ich tropiła.

- Skąd mogli to wiedzieć?! - krzyknął. - Jak się dowiedzieli, że tu będziemy?

McCoy zobaczył reakcję dziewczyny na słowa Famy'ego, ten błyskawiczny ruch głowy w jego stronę, aby spojrzeć w zaciemnioną twarz nad nią. To był ruch, który przesądził decyzję. Jego ręce przesunęły się w stronę jej szyi i zacisnęły na niej. Próbowała mówić o narkotykach i hipisach, ale nie mogła. Nastąpiła pustka, tylko zapadanie się i ucisk rąk, i ciemność. Gdy skończył, zdał sobie sprawę, że Famy'-ego już za nim nie było. Dla McCoya było to proste. W świecie, w którym się poruszał i walczył, kara dla wszystkich donosicieli była taka sama. Usłyszał, jak tamten wymiotuje w drugim końcu pokoju.

- Weź się w garść, cholerny mięczaku - powiedział. - Wynosimy się stąd.

Gdy zeszli schodami i wyszli na ulicę, dom zatopiony w ciszy odpoczywał.

McCoy prowadził szybko i uważnie, kierując się na południe, w stronę rzeki. Famy siedział cicho jak kamień. Jego umysł pracował

błyskawicznie. Po raz pierwszy spotkał się z brutalną śmiercią i szybkość, z jaką życie dziewczyny zostało zmiażdżone zadziwiła go - jej prostota, bezszelestność. Wątpliwości, które do tej pory miał w stosunku do McCoya, zniknęły w ciągu paru sekund. Gdy nadejdzie pora, Irlandczyk też był gotów zabijać. Teraz już o tym wiedział. Dopiero teraz odczuł, że stanowią grupę. W ciemności pokoju na poddaszu, więzy pomiędzy nimi zacieśniły się i jego ostatnie, przeciągające się wątpliwości o sukcesie misji, odeszły.

- Gdzie teraz jedziemy? - zapytał Famy. McCoy nie odrywał wzroku od drogi.

- Na wzgórze południowego Londynu. Do Surrey, tam, gdzie jest broń.

- A gdzie śpimy?

- Ciężko będzie ze spaniem dziś i jutro. Musimy pozbyć się tego wozu i załatwić inny. Wrócimy do Londynu we wtorek, prawdopodobnie wieczorem. Z tego samochodu będziemy korzystać tylko przez następne parę godzin. Ale kiedy dojdzie do akcji, będziemy musieli załatwić inny.

- Jak myślisz, ile czasu minie, zanim ją znajdą?

- Trochę mnie. A kiedy ją znajdą, będą mieli tę cholerną komunę przed sobą. A od nich wiele się nie dowiedzą.

- Trzeba było ją zabić - powiedział cicho Famy. To było stwierdzenie.

- No pewnie, do cholery.

- Wiedziała, kim jesteśmy? - zapytał znów.

- Chyba nie. - McCoy wyczuł, że jego odpowiedź zdziwiła Araba. - Prawdopodobnie chodziło o narkotyki - kontynuował - albo polowanie na członków PIRA. Są dwie możliwości. Gdybyśmy zaczęli ją wypytywać, wybrałaby jedną z nich.

- Jak długo musimy jechać?

- Jakieś półtorej godziny. Prześpij się trochę. McCoy chciał jechać bez zbędnej gadaniny.

Famy zamknął oczy. Irlandczyk byłby w stanie zasnąć, ale w jego przypadku to było niemożliwe. Gdy samochód telepał się na drodze, w pamięci Famy'ego wciąż powtarzał się obraz dziewczyny: jej wytrzeszczone, błagalne oczy i ciężkie, bezwzględne palce na jej szyi.

Ale morderstwo Doris Lang nie przeszło całkiem nie zauważone. Kobieta, która uspiła swoje dziecko piętro niżej, sama nie mogła zasnąć. Leżała z szeroko otwartymi oczami, patrząc w sufit. Odgłosy, które usłyszała, zaniepokoiły ją na początku. Słyszała nad sobą uderzenie, na wpoi stłumiony krzyk, cichy, potem ucięty. Po chwili pośpieszne kroki na podłodze, odgłos szamotaniny i znów krzyk, zbyt przytłumiony, by mogła rozróżnić słowa. Słyszała długą bójkę, potem ciszę i szybkie kroki na schodach koło jej pokoju. Główne drzwi trzasnęły, kroki na chodniku, odgłos włączanego silnika samochodu. Po chwili warkot silnika oddalił się. Przyłgnęła do śpiącego dziecka, bojąc się iść na górę do pokoju. Było już jasno, gdy wchodziła po schodach, a mężczyzna nie było już od dwóch godzin. Gdy poszła, dziecko leżało na materacu spokojne, zagłębione we śnie. Obudziło się, tak jak i cały dom, zaalarmowane jej histerycznym, przeraźliwym krzykiem.

Henry Davies pił herbatę w kantine posterunku policji. Była ciemna, mocna, słodzona i gorąca Pił ją małymi łykami, ale zawsze uważał swoją poranną filiżankę herbaty za ostatni akord, kończący nocną służbę. Odmeldował się już, ale zwykle spędzał jeszcze piętnaście minut w kantine, czekając na zmienników, chcąc zamienić z nimi parę słów na temat policyjnych plotek. W nocy słyszał przez radio o bójce na drugim końcu stacji, ale nie potrzebowali tam psa, więc systematycznie objeżdżał dalej swój teren, sprawdzając fabrykę, sklep, drzwi magazynu. Siedział sam, gdy wszedł sierżant

- Słuchaj, stary, inspektor jest na linii. Chce, żebyś przyjechał na Englefield Road. Numer sto sześćdziesiąt dwa Tak szybko, jak tylko możesz. - To był stary dowcip na posterunku, mówienie do wszystkich, którzy byli poniżej czterdziestki: "stary".

- Po co? - zapytał Davies.

- Nie wiem - skłamał sierżant. - Pytał o ciebie. No, spadaj stąd, stary. Porozumiewali się przez radio, gdy wyjechał z podwórza posterunku. Na stopniach domu czekał już na niego inspektor detektywów. Trzy policyjne wozy były niedbale zaparkowane przy chodniku, gdzie stał mały tłum półgołych gapiów. Davies wyszedł z samochodu. Poli

cjant, który stał na chodniku, i który znał go, odwrócił wzrok. Potem podszedł do niego inspektor, nie ogolony, wyrwany z łóżka.

- Mam dla ciebie złe wieści, Henry. Bardzo mi przykro... To Doris. Jakiś drań ja zabił.

Przerwał, pozwalając by słowa dotarły do tamtego. Zobaczył, jak zmienia się twarz posterunkowego.

- Kiedy to się stało? - zapytał Davies.

- Wcześniej rano. Mieliśmy telefon jakieś dziesięć minut temu.

Zidentyfikowałem ją. Chcesz wejść i zobaczyć, Henry?

- Tam będą kamery, zdjęcia. Cały ten cholerny sprzęt. Nie chcę jej widzieć w ten sposób. Nie z nimi wszystkimi pracującymi dookoła.

- Masz gdzie iść?

- Chciałbym iść do jej mamy. Powiedzieliście jej?

- Jeszcze nie.

- Więc pójde tam. Dziękuję, sir.

- Załatwię kogoś, kto cię odwiezie. Fred może przyjechać, wziąć twój motor i zabrać psa, dać mu coś do jedzenia. Zabierzesz go jutro.

- Wie pan, kto to zrobił?

- Tak myślę. Ale ich już tu nie ma. Jest ich dwóch. Mówili o tym w środku. Więcej niż zwykle.

Mieszkańcy komuny zostali stłoczeni w głównym pokoju na parterze, podczas gdy trumna z ciałem Doris Lang została zniesiona na dół do karawanu. Inspektor patrzył na to, potem wszedł do pokoju. Zauważył tego, który mówił w imieniu całej grupy, starszy od wszystkich, o kruchej budowie. Wywołał go i poszedł z nim do pokoju obok, który służył jako sypialnia. Prześcieradła były porozrzucane na podłodze, tak jak pozostawili je, gdy usłyszeli krzyki.

- Byłeś pomocny, całkiem pomocny, zanim cię wywołałem. Chcę, żeby i teraz tak było.

Tamten spojrzał na niego bez słowa.

- Kobieta, która znalazła ciało, mówi, że po tym hałasie, który słyszała, z pokoju wyszło dwóch mężczyzn. Parę minut po wpół do piątej. Kim byli ci dwaj faceci?

Mężczyzna nie odpowiedział, wyprostował tylko palce i odgarnął nimi włosy.

- No, stary, nie rób nam problemów. To przesłuchanie w sprawie morderstwa. Łatwo nas zniecierpliwic.
- Znam jednego z nich.
- Którego?
- Irlandczyka.
- Powiedziałem ci, mów jasno, nie mieszaj. Nie mam czasu bawić się z tobą cały dzień.

Ich twarze, jedna zarośnięta i ze śladami trądziku, druga od paru dni nie ogolona, zmęczona, przysunęły się do siebie i patrzyli sobie prosto w oczy. Mężczyzna z komuny odwrócił wzrok, a potem powiedział:

- Kiedyś mieszkała tu Eilish McCoy. Jeden z mężczyzn był jej bratem. Wiem to, bo raz pokazała mi jego zdjęcie, w czymś w rodzaju munduru. Pojechała z powrotem do Irlandii. On przyszedł tu jakiś tydzień temu, zapytał o pokój, mówił, że przyjedzie do niego paru ludzi. Powiedział, że będzie potrzebował...

- Czegoś spokojnego, gdzie można by się przespać - dokończył inspektor.

- Coś takiego.

- A ten drugi mężczyzna?

- Nie wiem, jak się nazywał.

- Był Irlandczykiem? -Nie.

- Słuchaj chłopcze, mówię do ciebie ostatni raz, nie wyprowadzaj mnie z równowagi.

- Powiedziałbym, że to Arab.

- I nie znasz imienia, McCoy nie zwracał się w ogóle do niego?

- Nie przebywali z nami. Albo ich nie było, albo byli w swoim pokoju. Tego drugiego widziałem tylko raz. Nie słyszałem jego imienia.

- Mówisz, że McCoy powiedział, że przyjedzie do niego paru ludzi?

- Powiedział, że będzie jeszcze trzech, ale tylko jeden się pojawił. Do pokoju wszedł detektyw. Pomiędzy kciukiem a małym palcem ostrożnie trzymał notes.

- To było w rogu pokoju. Zostawili go. Pismo Doris Lang, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jej tygodniowy rozkład przyjść i wyjść. Wygląda na to, że przeszukiwała ich pokój w piątek w nocy, a następnie wczoraj po południu. Jest tu trochę o tym, co znalazła. Jest też opis obu mężczyzn. Dobry, dokładny.

Inspektor wyszedł natychmiast na korytarz.

- Jedź do sekcji i powiedz im, żeby zadzwonili do Oddziałów Specjalnych i przysłali tu całą ekipę od McCoya. I powiedz ludziom na górze, żeby się wynieśli. Będzie tu niedługo połowa tego cholernego Scotland Yardu.

Kiedy dotarł godzinę później do biura na posterunku policji, w sekretariacie czekał już na niego sierżant.

- Dzwonił do pana jakiś człowiek o nazwisku Jones. Jeden z tych kanciarzy ze Służby Bezpieczeństwa. Mówił coś o notesie. Chce przyjechać i zobaczyć się z panem tak szybko, jak tylko znajdzie pan dla niego dziesięć minut. Jego numer leży na pańskim biurku.

- Ujawniają się, co? - powiedział inspektor, wchodząc do swojego biura.

10.

Tak jak fala przyływu bijąca o wiele skalnych żlebów i szczelin, tak samo imię Ciarana McCoya przepłynęło przez wiele departamentów Scotland Yardu. Sekcja fotografii, sekcja odcisków palców, Oddziały Specjalne i ich sekcja irlandzka, sekcja do spraw morderstw, akt kryminalnych, lokalne kolegium do spraw zbrodni. Nazwisko zostało telefonicznie przekazane do komendanta Oddziałów Specjalnych i do asystenta komisarza do spraw zbrodni. Pośpiesznie zwołano spotkanie, w którego centrum znajdowały się odpowiednio skompletowane akta, otrzymane poprzedniej nocy z "Leconfield House". Fotografia McCoya została natychmiast powielona i dostarczona do wszystkich posterunków policji w rejonie Metropolitan. Sekcja fotografów zaczęła pracować nad rysopisem Araba, używając głównie opisu Doris Lang, pisanego wprawną ręką, jak również szkiców jego twarzy, które, tak jak i szkice innych mieszkańców komuny, znajdowały się w notesie. Odbitki palców, z królewskiej siedziby policyjnej w Ulsterze, przy Knock Road, na wschodniej stronie Belfastu, przyniosły więcej informacji o Irlandczyku. Podjęto decyzję o pokazaniu zdjęcia McCoya w programie telewizyjnym podczas wiadomości telewizji niezależnej, oraz skrótu informacyjnego BBC.

Wtedy Norah zobaczyła jego zdjęcie.

Jej ojciec zawsze nalegał, by telewizor był włączony podczas niedzielnego obiadu, bo nadawali wtedy programy farmerskie, za którymi przepadał.

Gdy ucichła muzyka i zniknęły maszyny młockarskie, ekran pociemniał, a po chwili ukazała się plansza wiadomości. Troje ludzi przy stole - Norah, jej matka i ojciec zastygli z widelcami podniesionymi do ust, przykuwając wzrok do telewizora. Komunikat trwał około minuty. Pierwsze czterdzieści sekund wypełnione było informacjami o godzinach przyjazdu i opuszczenia przez niego domu przy Englefield Road, gdzie została znaleziona policjantka. Nieżywa, uduszona.

- Drań - mruknął ojciec Norah. - Cholerny drań.

Policja poszukiwała młodego Irlandczyka o nazwisku Ciaran McCoy. Potem pokazało się jego zdjęcie i nie schodziło z ekranu przez dwadzieścia sekund. Minęła co najmniej połowa tego czasu, zanim Norah rozpoznała w nim chłopaka, z którym leżała na basenie, chłopaka, który ją całował i który tak nagle zostawił ją ostatniego czwartku. Widziała, że to było zdjęcie policyjne, mężczyzna wzięty właśnie do aresztu, agresywny i osaczony. Ale to był ten sam człowiek, te same usta. Niezależnie od tego czy malowała się na nich złość, czy tkliwość, to zmieniły się tylko powierzchownie.

- Małe bydlę - powiedział ojciec. - Powinni go powiesić. Tylko to by do nich dotarło.

Norah nic nie powiedziała. Spuściła głowę, żeby rodzice nie widzieli łez w jej oczach. Przełknęła jedzenie, potem przeprosiła i wybiegła z domu. Szła tak bez końca tego popołudnia, przygnieciona poczuciem hańby i myślą, że ją w jakiś sposób zbrukał.

Kiedy Jones wrócił z posterunku policji, przyniósł ze sobą fotografie i transkrypcję notesu. Duggan i Fairclough czekali w swoich biurach.

- Wszystko zepsuł, nasz chłopaczek - powiedział Duggan. - Stracił swój bezpieczny dom, swoją bazę. Jego fotografie będą dziś w nocy rozwieszane po całym mieście, pojawią się w telewizji i na pierwszych stronach jutrzejszych gazet. I teraz ucieka, próbując ratować własną skórę. Możemy to już nazwać pomyślnym początkiem pasma jego niepowodzeń.

- To znaczy czego? - zapytał Jones.

- To znaczy, że to może być równie dobrze jego koniec. Teraz koncentruje się tylko na tym, żeby zachować wolność. Czy człowiek w jego położeniu idzie na spotkanie szwadronów policji, które zostały przed nim ostrzeżone, które dysponują jego rysopisem? Do diabła, odpada. Pakuje manatki i wieje.

- To jeden punkt widzenia - Jones doceniał argumenty, ale pozostawał nieufny.

- Inny punkt widzenia narzuca inny rozwój sprawy - włączył się Fairclough. - Jeśli spojrzymy na Palestyńczyka czy Araba, czy kimkolwiek on jest, możemy mieć inną odpowiedź. Był już wcześniej w

tarapatach, we Francji w czwartek, ale wciąż nie daje za wygraną. Spójrzmy na to z tej strony. Jeśli nie będzie szedł dalej, to do czego wróci? Nie powitają go z otwartymi ramionami z powrotem w obozie. To będzie pożałowania godna porażka. Fiasko. W takich wypadkach myśli się o samobójstwie. Im trudniej mu idzie, tym bardziej jest przygotowany na ryzykowanie życiem, by wypełnić rozkazy. -1 jaki z tego wniosek? - zapytał Jones.

- Wniosek z tego taki, że Arab jest teraz ogromnie niebezpieczny. Tygrys w wysokiej trawie, gdy połowa jego stada jest już zastrzelona. Wciąż jest mordercą, to jedyna rzecz, jakiej możemy być pewni. Ale nie wie mu się, a to dobrze i jest dla nas pocieszeniem. Zdjęcie jednego, dokładny opis drugiego. Dostępny każdemu człowiekowi przy Sokarewie. To następne trudności na drodze naszych przyjaciół. Jones uśmiechnął się, co zdarzało mu się rzadko w ciągu ostatnich dwóch dni.

- Ale jeśli Arab będzie chciał iść dalej, co z McCoyem?

To znów był Fairclough. Wysunięty do przodu w swoim krześle, gestykułował rękoma dla podkreślenia tego, co chciał wyrazić.

- Jeden z nich zabił dziś rano, ale obaj maczali w tym palce. Krytyczny punkt to to, czy się rozejdą, czy dopiero teraz się zjednoczą. Z tego, co czytałem o McCoyu, sądzę, że nie wyjdzie z gry. Zostanie do samego końca, pod warunkiem, że widzi szanse wyjścia z tego cało. Jones zastanawiał się, jak tamten mógł być taki pewien. Zazdrościł młodszemu mężczyźnie pewności swoich opinii. Ale to nie była pora na sarkastyczne uwagi czy akademicką dyskusję. Tak wielu takich jak on, znających odpowiedzi na wszystko, mających wyjaśnienia na każdą półprawdę, przeszło przez departament w ciągu lat. Zostali tylko ci, którzy zdawali sobie sprawę, że w tym biznesie nie ma jednoznacznych odpowiedzi. Problemem było - i Jones wiedział jak wielkim - że to nie była operacja, z którą mózgi sekcji były zaznajomione. Byli niedoświadczeni w rozwiązywaniu krótkich spraw. Całkiem niezli, gdy mogli rozciągnąć wszystko w czasie, wejść do wewnątrz i wygrać, powoli budując cały obraz. Ale to był sprinterski bieg i nie można było tak naprawdę polegać na ludziach takich jak on. Kiedy nie było czasu, wszystko schodziło do poziomu Jimmy'ego. Znosił tego człowieka, nawet go lubił, ale być zależnym od niego...

strzela - my czy oni? Dlatego go w to wciągnął. I teraz miał więcej do zaoferowania niż sam Jones, a to pozostawiało niesmak w ustach. Jimmy dbał o swoją broń. Jego najbardziej ulubionym pistoletem był PPK (Polizei Pistolen Kriminal) Walther. I tę broń wyciągnął ze zbrojowni za grubą ścianą w piwnicach "Leconfield House", tuż za biurami kamerzystów. PPK było małą bronią, wyprodukowaną z dużą znajomością rzeczy przez pracowników fabryki Karla Walthera w Ulm, Danube, w Zachodnich Niemczech. Była długości nie więcej niż piętnastu centymetrów. Ważyła trochę ponad pół kilo. Nie była nowa, wyprodukowana w 1938 roku, przeszła do kolekcji departamentu po wojnie, ale w zbrojowni dbano o nią z uwagą, wiedząc, że ta, pośród wielu innych, była bronią, o którą Jimmy prosił w czasie swoich wizyt w podziemnej sali. W większości wypadków broń wracała bez śladów jej używania, ale parę razy magazynier zauważył, że nie zawierała sześciu naboń i że trzeba było przeczyścić magazynek. Dwaj mężczyźni rozmawiali o wyborze Jimmy'ego w czasie, gdy gazety zapełnione były opowieściami o tym, jak PPK, używany przez brytyjskiego detektywa zablokował się podczas próby odbicia zakładników i jak został wycofany z wyposażenia ochrony osobistej. Ale ani na magazynierze, ani na strzelcu nie wywarł wrażenia ten publikowany powód, z jakiego przestawiono się na brytyjskiej produkcji Smitha i Wessona - tradycyjną broń policyjną.

Podpisawszy odbiór broni i dwunastu naboń, Jimmy pojechał na północ, do posterunkowej sekcji strzelniczej, mieszczącej się w starym budynku na końcu Euston Station. Byli tam policjanci, członkowie klubu strzelców. Ubrani w drelichowe kombinezony i nauszники, strzelali do celu z dwudziestu pięciu metrów, zza białej linii namalowanej na podłodze.

Jimmy pokazał swoją kartę instruktorowi i policjanci zostali wywołani w cień, z dala od linii strzału. Patrzyli jak Jimmy ładuje magazynek, potem staje całkowicie rozluźniony naprzeciw celu w kształcie sylwetki ludzkiej, z bronią skierowaną w podłogę, wetkniętą za pasek spodni.

Instruktor upuścił pudełko zapalek. Gdy upadło po raz drugi, Jimmy błyskawicznie odwrócił się, stanął w rozkroku, ugiął kolana, obie

ma wyprostowanymi rękami ujął kolbę pistoletu i jego pierwszy strzał trafił w cel. Po nim padły jeszcze trzy.

- Wszystkie nie dalej niż piętnaście centymetrów od siebie - powiedział instruktor i Jimmy przyjął to spokojnie do wiadomości. Jak inaczej mógłby strzelić? Podszedł do ściany, zatrzymał się na chwilę, by rozluźnić nogi i cały czas obracając się, wystrzelił dwa razy.

- Około dwudziestu centymetrów od siebie, wszystkie w klatce piersiowej - powiedział instruktor.

Jimmy strzelał w dwudziestu czterech rundach. Czasem prawie w ciemności, czasem oślepiiony lampą skierowaną wprost w jego twarz, w ruchu, w bezruchu, w niewygodnej pozycji. Wszystkie dochodziły celu, wszystkie wybijały dziury w klatce piersiowej.

- Nieźle się popisuje, co? - powiedział jeden z przyglądających się policjantów i słowa te doszły uszu inspektora, który podszedł do niego.

- Słuchaj, chłopcze! - krzyknął, bo po osiemnastu latach pracy na strzelnicy był prawie głuchy. - Istnieje niezmiernie małe prawdopodobieństwo, że on spudłuje. I istnieje niezmiernie małe prawdopodobieństwo, że ty nie spudłujesz. Taka jest różnica między nim a tobą. Jimmy był zadowolony z wyników porannych ćwiczeń i uporał się z tym na tyle szybko, że miał jeszcze czas na wypicie drinka przed pójściem do departamentu.

Obaj spali w samochodzie. McCoy leżał na boku na przednich siedzeniach, z głową poniżej kierownicy. Famy spał skulony na tylnej kanapie, z płaszczem zarzuconym na ramiona. Samochód był zaparkowany w gąszczu traw, daleko od drogi. Przez wysokie liściaste drzewa mógł ich widzieć tylko ktoś, kto zbliżyłby się do nich na odległość kilkunastu metrów. Takich miejsc na linii wzgórz Surrey pomiędzy Guildford i Dorking, przy obwodnicy Londynu było bardzo wiele. W ciągu dnia mogło być miejscem spacerów i pikników, ale wczesnym rankiem dwaj mężczyźni byli tam sami.

- Musimy teraz spać. Spać, kiedy tylko można - powiedział McCoy. Nie widzieli królików, które przyszły im się przyglądać, ani lisa, który przepędził je do swoich norek. To dziecięce krzyki ich obudziły.

Dwaj chłopcy, mniej więcej dziesięcioletni, przylepili nosy do zaporowanej szyby samochodu, gapiąc się do środka i uciekając ze śmiechem, gdy McCoy, obudzony, spojrzał na nich. Zaklął cicho i spróbował zebrać myśli, rozglądając się dookoła. Zawsze jest taki moment po przebudzeniu, zanim dotrą złe wspomnienia poprzedniej nocy. McCoy nie mógł przez chwilę zrozumieć, dlaczego był w samochodzie. Szarpnął Famy'ego.

- Wstawaj, kochasiu, czas na nas.

- Co się dzieje? Gdzie jesteśmy? - Famy też obudził się z pustką w głowie.

- Przyjechaliśmy na wieś, żeby się trochę poopalać, nie pamiętasz? Famy podniósł głowę powoli, poważnie, zaczynając rozumieć. Żaden z nich nie widział dwóch chłopców leżących w wysokiej trawie i przyglądających się mężczyznom, którzy przecierali oczy, przeciągali się i rozciągali zeszywniałe ciała. McCoy kiwnął nagłym gestem w stronę Famy'ego i obaj poszli po trawie w stronę ścieżki, która wiała się pomiędzy sosnami, brzoźami i leśnym poszyciem.

- To ma wyglądać jak spacer, a nie jak bezcelowe łożenie - rzucił ponad ramieniem McCoy. Żaden z nich nie miał na nogach butów i obaj ślizgali się i potykali, tam, gdzie ścieżka była mokra po deszczu. Szli w milczeniu ponad dwadzieścia minut. Potem Famy zauważył, że McCoy zwalnia kroku, szukając znaku, a kiedy go znalazł, stanął zadowolony z siebie przed starym, zardzewiałym wózkiem dziecięcym.

- To pierwszy znak - powiedział. - Stąd łatwo znaleźć już miejsce. Pójdziemy jeszcze pięćdziesiąt kroków w dół ścieżki. Licz je, a wszystko będzie w zasięgu ręki.

Famy zwiększył dystans pomiędzy nimi, gdy McCoy, mierząc dokładnie kroki, zaznaczył odległość.

- Jesteśmy w domu - powiedział McCoy, gdy doliczył głośno do pięćdziesięciu. - Musimy ukrywać naszą broń. Trzymamy ją tu, a jeśli jej potrzebujesz, czy w dzień czy w nocy, natrafisz na znaki, nawet w ciemności. Muszą rzucać się w oczy człowiekowi, który wie, ale nie mogą nic znaczyć dla Brytyjczyków. Teraz patrz, które drzewo koło nas jest najgrubsze? Ma być porośnięte bluszczem, łatwo zobaczyć, nawet tylko w świetle latarki. To główny znak. Teraz musimy poszu

kać czegoś innego koło drogi, ale równie jasnego... czegoś wystającego. Przejdź się dookoła drzewa, spróbuj znaleźć coś wystającego. Dobrze. Jeśli pociągniesz linię pomiędzy tym drzewem a tym dużym bez kory, dojdiesz do nasypu. Wzdłuż nasypu jest pełno króliczych nor. To, czego szukamy, to nora w prostej linii pomiędzy dwoma drzewami.

Poszedł prosto, koło porośniętych bluszczem konarów, koło martwego drzewa.

- Brytyjczycy są zbyt niecierpliwi, żeby to rozpracować. Ale raz był pewien gość w telewizji, a jego ludzie nazywali go "Wąchacz".

Znalazł więcej naszej broni niż jakikolwiek inny żołnierz w całej naszej prowincji. I co ci dranie z nim zrobili? Najpierw wysłali go za strażnika do Tower, a potem spakowali i zawieźli na Cypr na dziewięć miesięcy.

McCoy wciąż się śmiał, gdy jego ręce zagłębiły się w króliczej norze. Famy przyglądał się zafascynowany, gdy ręce tamtego wydobyły białawą, plastikową torbę.

- Muszę trochę powiększyć dziurę - powiedział McCoy. - Ale kto zauważy świeżą ziemię w króliczej kryjówce?

Wyciągnął torbę na nasyp, zlustrował wzrokiem ścieżkę z obu stron, nasłuchiwał przez chwilę i potem, wiedząc już, że są sami, zaczął odwijać taśmę klejącą. Z torby wyjął trzy strzelby, małe, wąskie i krótkie, wyglądające nieefekownie. Każda z nich nie miała więcej niż sześćdziesiąt centymetrów długości i zaopatrzona była w stalową podpórkę na ramię, przymocowaną do lufy. Położył je na torbie, delikatnie i uważnie, a z nimi dwa pękate płócienne worki.

- Co to jest? - zapytał Famy.

- To wersja karabinu M1. Druga wojna światowa, Ameryka. To są karabiny spadochroniarzy, ze składanym łożyskiem. Nie dali mi amunicji, dranie, powiedzieli, że trzy to za dużo. Te są stare, ale to nie znaczy, że coś z nimi nie tak. Były sprawdzane dziesięć dni temu za rzeką, potem rozebrane i wyczyszczone...

- Nie było kałasznikowów? - przerwał Famy z niepokojem w głosie.

- Nigdy nie mieliśmy tego cholerstwa. Próbowaliśmy je przemycić, ale nie dotarły do nas. Nasza broń jest amerykańska. Jednym z powo

dów, dla których nasz wielki człowiek dał się namówić na waszą grę, była gwarancja dostaw kałasznikowów.

- Dla ciebie to będzie brzmiało śmiesznie, aleja nigdy nie trenowałem z innym rodzajem broni.

- Z tymi wszystko jest w porządku. Zapełniły dostatecznie wiele trumien. Zasięg trzysta metrów, więcej niż potrzebujemy. Pięćdziesiąt naboji w magazynku. Mały, lekki, waży jakieś trzy kilo. Jankesi wyprodukowali ich w czasie wojny ponad trzy i pół miliona. Teraz rozeszły się po świecie.

- Dlaczego tylko trzy? Miało nas być trzech, no i ty.

McCoy wyjmował naładowany magazynek z jednej z płóciennych toreb. Spojrzał do góry, w twarz Famy'ego.

- To wy mieliście strzelać. Umowa była taka, że ja załatwiam lokal i transport. Wy mieliście załatwić resztę.

- A teraz?

McCoy wyłożył dwanaście magazynków.

- No cóż, nie może tego zrobić jeden człowiek - powiedział, wciąż patrząc w oczy Famy'ego - więc będziemy mieli dwa karabiny i jeden w zapasie.

Na twarzy Famy'ego pojawił się uśmiech, a napięcie ostatnich kilku godzin opuściło go.

"Boże, jak ten drań cierpiał - pomyślał McCoy. - Dałem mu to tyle razy do zrozumienia, ale on nie wierzył."

Otworzył drugą torbę.

- Może nie mamy najlepszych karabinów, ale granaty mamy kapitalne. To przemyt z Holandii. Te są duńskie - V 40 Mini, o połowę mniejsze niż normalne granaty. Malutkie, ale sprzedawane w ogromnych ilościach. Rozrywa się na czterysta kawałków, sto procent gwarancji przy rzucie z trzech metrów. To jest to, czego nam trzeba, coś do roboty z bliska, nie jakaś cholerna, wielka bomba, która rozwali połowę widowni, ale jeden maluszek, który wyląduje z gracją koło twojego kolesia i zmiecie go.

Było ich dwanaście. Trzymał jeden w dłoni. Niecałe dwa i pół centymetra średnicy a śmiertelne.

McCoy zapakował granaty i magazynki z powrotem do worków

-wrzucił je do większej plastikowej torby razem z karabinami. Znów

zaklecił torbę, a potem obaj poszli ścieżką do samochodu. Teraz McCoy myślał o następnym problemie. Transport! Gdzie porzucić ten wóz i gdzie zdobyć następny? I gdzie spać, gdzie ułożyć głowę na następne dwa dni?

Famy widział, że tamten się zastanawia i nie robił nic, co mogłoby mu przeszkodzić. Czuł całkowite zaufanie do Irlandczyka niosącego pod swoim ramieniem śmiertelną broń, która miała być użyta przeciw Davidowi Sokarewowi.

Premier przerwał swój szkocki weekend i poleciał do Northolt, wojskowego lotniska stolicy. Jego dziwne posunięcie przyprawiło dziennikarzy o zdziwienie i zaczęli snuć przypuszczenia co do celu jego wyjazdu na północ. Powszechnie uważano, i nie zaprzeczano temu w kołach rządowych, że skrócenie odpoczynku spowodowały kłopoty finansowe kraju. Poza najbliższym otoczeniem nikt nie wiedział, że to prace Służby Bezpieczeństwa i wywiadu brytyjskiego, o których w końcu można było go poinformować, wzbudziły zainteresowanie szefa rządu.

W swoim gabinecie na pierwszym piętrze, z którego rozciągał się widok na nieskazitelny kwiatowy ogród rezydencji przy Downing Street, spotkał się z dyrektorem generalnym Służby Bezpieczeństwa. Premier był przygotowany na wysłuchanie problemu i informacji na temat rezultatów akcji, które miały nastąpić po serii trwających już od rana spotkań przedstawicieli i urzędników departamentu. Wyraził swoje zaniepokojenie, by na tym etapie działań, żaden przeciek nie dotarł do prasy, domagał się maksymalnej ilości szczegółów o dwóch potencjalnych mordercach i znał już wynik rozmowy między ambasadorem izraelskim a ministrem spraw zagranicznych. Kiedy dyrektor generalny skończył, premier odwrócił się do okna, szukając słów, z twarzą poważną i spokojną. Określał w palcach długopis.

- Istnieje więc szansa, że ochrona wokół tego człowieka powstrzyma atak. Kiedy byłem w Niemczech na meczu piłkarskim parę lat temu, przyjęli tę samą metodę. Nic się nie stało i czy udało im się, czy nie, tego nie wiemy. Ale myślę, z tego co pan mówi, że nie wierzy pan, iż będziemy mieli podobne możliwości, podobny środek zapobiegawczy. W tej sytuacji nie wejdzimy, dyrektorze generalny, do królestwa

151

tak zwanych "pobożnych życzeń", nie w tym wypadku. Chciałbym, aby Arab został uwięziony, a jeśli będzie się opierał - zastrzelony podczas próby ucieczki. Mieliśmy już zakładników na VC 10 na pustyni Jordan, mieliśmy też następny VC 10 rozbity pod Schiphol, mieliśmy innych, trzymany pod bronią w Tunisie. Nie chcę czwartej takiej sytuacji. Nie chcę, by przewożono tego człowieka pod bronią, w samochodzie załadowanym ludźmi, narażając ich na niebezpieczeństwo, a do niebezpieczeństwa może dojść, jeśli zatrzymamy go i będziemy ciągać po sądach. Irlandczyk w tym kontekście jest nieważny.

Premier życzył dyrektorowi generalnemu szczęścia i uśmiechnął się do niego blado, gdy wymienili uścisk dłoni. Potem odprowadził go do drzwi.

W małej sypialni oboje Sokarevowie byli zajęci pakowaniem jego walizki na wizytę w Europie i Stanach Zjednoczonych. Podczas gdy żona wyjmowała ubrania, składała je i kładła na łóżku, Sokarev starannie układał je w swojej starej walizce. Ofuknął ją, gdy dała mu za dużo koszul. Wspomniał o służbie hotelowej i pralni, a ona powiedziała, że nie pomyślała o tym i nie nalegała. Buty, koszule, podkoszulki i skarpety, piżama i toga, gruba kurtka - wszystko to weszło do walizki przed garniturami. Miał tylko te dwa garnitury, jeden na wystąpienie publiczne, drugi na resztę dnia. A na podróż wybrała dla niego kurtkę i spodnie, które powiesiła na drzwiach szafy. Gdy skończyli, walizka była tak wypchana, że oboje musieli na nią mocno naciskać, by zapiąć zamki. Walizka była dla niego czymś specjalnym i dbał o nią od kiedy przyjechał z Frankfurtu, trzydzieści dziewięć lat temu. Była rzadko używana, ale była czymś bardzo ważnym. Kupił ją ojciec, niósł mu do stacji i podał, zanim pociąg odjechał. Ojciec zniknął z oczu w kłębach dymu lokomotywy, a potem miał wrócić do domu, aby zlikwidować rodzinne przedsiębiorstwo. Gorąco obiecywał i zapewniał, że jak tylko się z tym upora, przyjedzie za żoną i synem do Izraela. David Sokarev nigdy go już nie zobaczył.

Kluczyk od walizki zgubił już dawno i teraz używał białego, skórzanego paska do spięcia jej, aby się nie otworzyła podczas podróży. Żona cały czas krzątała się koło niego. Rzadko był z dala od domu dłużej niż jedną noc, ale wiedziała teraz, że zmartwienie i

niepewność,
153

które gnębiły go przez ostatnie dwie noce, były już przeszkodą. Śmiali się do siebie, otaczał ją ramieniem i opowiadał o przyjaciółach, których spotka w Londynie, ludziach, których poznał na swoich wcześniejszych wizytach lub którzy byli w Izraelu i z którymi korespondował. Kiedy już skończył pakowanie, poszedł do pokoju, aby napisać szkic swojej mowy, a żona poszła do kuchni gotować obiad - coś lekkiego z serem, tak jak lubił.

Pisał dużymi literami, często wykreślając i nanosząc poprawki mniejszym pismem ponad skreślonymi wyrazami. Będzie mówił o zapotrzebowaniu swojego kraju na energię atomową dla zapewnienia samowystarczalności w rolnictwie i przemyśle, żeby zredukować zużycie ropy. To nie będzie dobra mowa, wiedział o tym. Tak jak wielu innym pracownikom naukowym, trudno mu było przełożyć na język wykładowy te wszystkie specjalistyczne pojęcia laboratoryjne, którymi się posługiwał na co dzień. Nie był usatysfakcjonowany, ale zrobił to najlepiej jak potrafił. Nie wspomni o energii atomowej na cele militarne, a w specjalistycznym gronie, do którego będzie mówił, nie będzie pytań w tej sprawie. To było rozumiane i akceptowane.

Pracował ponad godzinę i myślał właśnie o tym, że szkoda, iż Anna nie będzie mu towarzyszyła i że w sprawie przepisywania na maszynie będzie zależny od ambasady w Londynie, kiedy zadzwonił telefon.

- Mówi Mackowicz - odezwał się odległy głos, gdy Sokarev podał numer. Myśli o neutronach, stosie atomowym i reaktorze odpłynęły od niego i umysł oczyścił się - był pusty.

- Czego pan chce? - Jego głos odzwierciedlał złość, jaką czuł do poleceń tamtego, wydawanych w prywatnej oazie jego pokoju.

- Dzwonię tylko, żeby się upewnić, czy wszystko gotowe na jutro?

- Żadnych problemów.

- Nie musi się pan obawiać tej wizyty w Londynie. Władze brytyjskie podjęły wiele kroków w celu zapewnienia pańskiego bezpieczeństwa.

- Niczego się nie obawiam - powiedział ostro Sokarev. Na drugim końcu linii zapadło milczenie.

"Co jeszcze chcesz wiedzieć? - myślał Sokarev. - Czemu nachodzisz mnie w moim domu? Przez następne dziesięć dni będziesz trzy

mał mnie za rączkę, dyktował, co mam robić, rządził moimi poczynaniami."

- Przyjadę po pana jutro...
- Zamówiłem już taksówkę. Wszystko już ustaliłem. Nie ma potrzeby
- był bliski furii.
- Zdecydowano, że ja zawiozę pana do Ben Gurion. Będzie ze mną Elkin. Może pan odwołać taksówkę.
- Kto o tym zdecydował?
- Ministerstwo, szef naszego departamentu.

Sokarev zagłębił się w krzesło, rozmowa wciąż dzwoniła mu w uszach. Nie można było z nimi walczyć - przejęli kontrolę. Znow wpadł w depresję. Był słaby i giętki w rękach dwóch młodych mężczyzn, którzy będą mu towarzyszyć. Zabawka przechodząca z rąk do rąk.

Młodszy z chłopców bawiących się na łące wczesnym rankiem, rozpoznał McCoya na zdjęciu pokazywanym w telewizji późnym popołudniem. Jego ojciec zatelefonował do wiejskiego policjanta. Poprowadziła go też seria innych telefonów i z wiejskiego posterunku w Guildford, oddalonego o dwanaście mil, wysłano policjanta z psem. Z Londynu przyjechali oficerowie Oddziałów Specjalnych.

W zachodzącym słońcu pies znalazł norę króliczą, z której McCoy wcześniej wyjął karabiny i granaty. Psu odkrycie miejsca zabrało dużo czasu, ale w końcu stał przy jego wyjściu, szczekając niecierpliwie i groźnie. Policjanci odeszli, uważając, aby nie zdeptać świeżych śladów w ziemi. Wrócą tu znow w poniedziałek rano na dokładniejsze zbadanie terenu, ale tymczasem dziesięciometrowy kwadrat powierzchni naprzeciw dziury został przykryty plastikiem, a posterunkowy miał sprawować nocną wartę, aby nikt nie zniszczył śladów.

Raport o rozpoznaniu McCoya i późniejszym odkryciu dotarł do Jonesa ze Scotland Yardu wraz z wnioskami, które wyciągnięto po wstępnym rozpoznaniu znaleziska w lesie.

"Więc opinia Fairclougha sprawdziła się, a Duggana nie. Dranie nie uciekali, dalej robili swoje i poszli do skrytki. Wzięli coś stamtąd. Mają teraz broń" - myślał Jones. Spojrzał na zdjęcie McCoya na swoim biurku, na usta, które wykrzywił, próbując zniekształcić twarz, gdy

wojskowy fotograf robił zdjęcie - stary trick, próba czynienia z policyjnej kartoteki czegoś zbędnego. "Nieugięta, zacięta twarz" - myślał Jones. Miał też rysunek twarzy Araba, który jeszcze nie ukazał się w prasie, a obok następny szkic jego twarzy w półprofilu.

Do biura wszedł Jimmy. Jones widział jego starannie ogoloną brodę i policzki jasne i świecące. Wiedział, że to oznaka paru głębszych przy obiedzie, a potem tuszu na kark. Zimna woda, aby przywrócić trzeźwość.

Jones odwrócił zdjęcia w stronę Jimmy'ego i powiedział: - To są nasi dwaj mali chłopcy. Wybij te twarze z mojej pamięci, Jimmy.

156

11.

Zza kierownicy Elkin obserwował, jak Mackowicz wychodzi z mieszkania, niosąc walizkę profesora. Parę kroków za nim szedł Sokarev ze swoją żoną. Widział jak naukowiec pocałował ją w oba policzki i nachylony szeptał coś do ucha przez parę sekund. Potem odsunął się i prawie podbiegł do drzwi samochodu, które Mackowicz przed nim otworzył. Ona jeszcze długo stała i machała ręką, gdy samochód jechał w górę drogi, ale w swoim lusterku Elkin widział, że pasażer ani razu nie odwrócił głowy. Jego twarz była napięta, wypełniona wzruszeniem. Tyle Elkin mógł zobaczyć, zanim wyjechali na długą, wijącą się drogę do lotniska Ben Gurion. Mało rozmawiali podczas podróży. Mackowicz próbował parę razy podtrzymać konwersację, ale był zawsze zbywany przez Sokareva. Gdy dojechali do Kiryat Gat, znajdującej się w połowie drogi, poddał się i siedział cicho koło Elkina, pozostawiając pasażera swoim myślom.

Dwaj mężczyźni z ochrony byli do tego przyzwyczajeni. Często ludzie, którzy musieli podróżować z ochroną osobistą, byli dotknięci obecnością tych, których wysyłano do zapewnienia im bezpieczeństwa. "Jeśli nie chce rozmawiać, to już jego problem" - myślał Mackowicz. On i Elkin też mieli swoje problemy.

Już wcześniej pracowali w ten sposób w Izraelu, ale zawsze w większej grupie, raz z premierem Goldą Meir, kiedy było ich razem dziewięciu, raz z Abbe Eban, za czasów jego pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, kiedy oprócz nich było jeszcze czterech innych. Tu była inna sytuacja - tylko ich dwóch, co czyniło sukces czy porażkę bardziej zależną od efektywności sił, które były całkowicie poza zasięgiem ich kontroli. Szczególnie, gdy podróżowali z premierem, było ich dostatecznie wielu, aby wybudować ścianę ochronną wokół niego. Nie byli zobowiązani polegać na departamentach krajów, do których jechali. Ale gdy było ich tylko dwóch, byli zmuszeni do zaakceptowa

nia kierownictwa i informacji brytyjskiej policji. Nie lubili pracować w ten sposób.

Ich wybór jako ochrony niskiego, tęgiego mężczyzny, który siedział teraz zagłębiony w tylnym siedzeniu, nie był przypadkowy. Obaj byli doskonali w strzelaniu z krótkiej broni i obaj byli też rozsądni i staranni. Kiedy groźba zamachu stała się wiadoma, oni dwaj od razu zostali wybrani. Szef ochrony Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie miał wątpliwości, że wśród jego podwładnych Mackowicz i Elkin byli najlepszymi fachowcami. Jechali prawie bez bagażu, tylko z dwiema płóciennymi torbami w bagażniku, koło walizki profesora. Zawierały parę sztuk garderoby, a garnitury, które mieli na sobie, miały im towarzyszyć podczas asystowania profesorowi. W jednej torbie znajdowały się akta z napisem: "Tajne", które zawierały wszystkie dostępne informacje izraelskiego wywiadu na temat groźby zamachu i kompletne akta Sokarewa, począwszy od jego grupy krwi, a skończywszy na szczegółach rodzinnych i sytuacji finansowej. W drugiej torbie były dwie krótkofalówki, zawinięte w koszule, które miały być przestro-jone do fal ambasady izraelskiej.

Wyjechali o siódmej i wjechali na drogę prowadzącą na lotnisko, odległe siedemdziesiąt pięć minut drogi, co dawało im niecałą godzinę do odlotu. Sokarev wyczuł, że ci dwaj mężczyźni w przodzie samochodu rozumieli jego wrogość w stosunku do nich. Był przygnieciony uczuciem izolacji, samotności i niemożności złapania kontaktu z obu mężczyznami. Byli tyle lat młodszy, tacy pewni siebie. Nie mógł z nimi o niczym porozmawiać, żadnego wspólnego punktu zaczepienia. Zabójcy, zdecydował: jak bardzo różnili się od tego człowieka, który ich oczekiwał, jeśli obawy były prawdziwe. Pod osłoną prawa, z jego poparciem, jak dalecy byli sami od terroryzmu? Obie grupy zabijały z poczucia obowiązku, obie działały bez wahania, przebiegle. Zdał sobie sprawę, że obawia się tych mężczyzn, którzy teraz mieli być jego towarzyszami podróży. Tylko broń mogła dać mu spokój, jego własna broń, nigdy nie używany mauser. Wiedział jednak, że to był krok do ich świata, z którym nie chciał mieć nic wspólnego, którego nie rozumiał. Pistolet spoczywał w kieszeni jego płaszcza, koło futerału na okulary. Magazynek schował w wewnętrznej, górnej kieszeni, w zgięciu portfela.

Oczekiwanie i kontrola bagażu zabrały pół godziny. Trzydzieści minut sprawdzania zawartości walizek, centymetr po centymetrze. Stał za turystka w kurtce z krokodylej skóry, jazgoczącej piskliwym głosem o alimentach, zagubionych mężach i koniecznych nacięciach macicy. Był zdziwiony, że nie przeprowadzono go przez boczne drzwi i nie przeszukano tak jak wszystkich, ale ani Macko wicz, ani Elkin nie zrobili żadnego ruchu, by zasugerować, że to było możliwe. Gdy podeszli do młodego mężczyzny w pomarańczowej kurtce, który kontrolował bagaż, otworzono tylko walizkę Sokareva. Gdy jej zawartość została sprawdzona i znów ja zamknięto, a następnie naznaczono kreda, ludzie z ochrony okazali dowody, wymienili cicho parę słów z mężczyzną z ochrony lotniska i przeszli do okienka biletowego. So-karev czuł zniewagę, prawie poniżenie ze względu na ten fakt. Elkin zauważył jego wysunięta do przodu brodę i złość na zaciśniętych ustach.

- Tak jest zawsze, profesorze Sokarev - powiedział z cieniem uprzejmości. - To nie jest żadna zniewaga pańskiej osoby. Wszyscy pasażerowie są przeszukiwani. Wszyscy, oprócz nas. My przewozimy papiery i broń. Prawdopodobnie nie byłoby dobrze, żeby ktoś inny stojący w kolejce je widział. Ale dla pańskiego komfortu psychicznego dodam, że wszyscy będziemy przeszukiwani przy opuszczaniu Heathrow.

Sokarev szukał słów odpowiedzi, zmieszany dokładnością, z jaką tamten odczytał jego myśli.

Po sprawdzeniu biletów trzech mężczyźni poszli w stronę schodów, które prowadziły do hali odlotów. Sokarev zauważył, że Mackowicz był po jego prawej, a Elkin po lewej stronie.

"Jeszcze nie zdążyłem wyjechać z mojego kraju - pomyślał - a już prowadzą mnie jak więźnia pod eskortą."

Strzegli go, lustrując oczami salę. Kurtka Elkina była zapięta na wszystkie guziki i Sokarew widział wybrzuszenie od kolby rewolwerowej, wsuniętej za pasek spodni. Przeszedł przez kontrolę paszportową, gdzie oficer obrzucił go obojętnym spojrzeniem, gdy podał paszport. Podstemplował go i oddał.

- Musi pan teraz przejść przez kontrolę osobistą, profesorze - powiedział Elkin. - My z tego też jesteśmy zwolnieni. Przyjdziemy tu po pana.

Naprzeciw był długi rząd zasłoniętych kabin, skąd od czasu do czasu wychodził młody mężczyzna lub kobieta, również w pomarańczowej kamizelce.

"Jak dziwka czekająca na okazję - pomyślał Sokarev. - Zaraz następny klient wejdzie do wewnątrz, a zasłona zostanie zasunięta." Zobaczył mężczyznę o śniadej cerze, którego wyprowadzono z kabiny. Jego twarz zdradzała zakłopotanie, gdy szedł w samych skarpetach przed członkiem ochrony, trzymającym jego buty. Podeszli do biurka, przy którym była kontrola promieniami X.

To zakłopotanie na twarzy mężczyzny wstrząsnęło Sokarevem, na myśl o tym, co miał w kieszeni. To była sytuacja, której nie przewidział. Nie przemyślał, jak przemyci mausera na pokład samolotu. Mniemał, że jego eskorta będzie z nim, że dostosują się do tego jak do "fait accompli". Zasłona rozsunęła się znów, mężczyzna zaprosił go ruchem dłoni.

Stał z rozstawionymi nogami i wyciągniętymi w górę rękoma. Teraz się bał. Bał, że to odnajdą. Strach, który ogarnia małego chłopca złapanego na kradzieży na wagarach. Ręce zaczęły od kołnierza, wsuwając się pod materiał, sprawdzając miejsca pod pachami, kształt jego portfela na piersi. Sokarev myślał, że zaraz zwymiotuje. Patrzył, jak tamten wyjmuje portfel, otwiera go. Leżał tam magazynek, stary, obcy, nie pasujący do reszty zawartości. Tamten zeszywniał, naprężył mięśnie twarzy i rąk.

- Czy ma pan pistolet do tej amunicji? - zapytał bezbarwnym tonem. Sokarev przytaknął.

- W kieszeni - powiedział, wciąż trzymając ręce w górze.

Ręce tamtego znalazły mausera, wyciągnęły go gwałtownie. Na moment zdjął wzrok z Sokarewa i sprawdzał zamek pistoletu, upewniając się, że nie jest naładowany.

- Jestem profesor David Sokarev. Jestem atomista. Pracuję w Dimonie. Lecę do Europy... - ogarnęła go fala rozpacz, jego głos zamarł. Wbił oczy w podłogę, próbując uniknąć przenikliwego wzroku

tamtego mężczyzny, który stał tuż koło niego w kabinie. Gdy już zbierał się na tyle, żeby mówić dalej, jego głos był ledwie słyszalny. - Dwaj mężczyźni z Ministerstwa Spraw Zagranicznych podróżują ze mną. Są moją ochroną osobistą. Czekają na zewnątrz. Nie mówiłem im, że wziąłem broń.

Dziesięć minut po tym, jak Sokarev został zaprowadzony do biur departamentu bezpieczeństwa lotniska, pojawił się tam Mackowicz. Jego twarz była spokojna, nie zdradzała żadnych emocji, gdy rozmawiał ze starszym oficerem. Ani razu nie spojrzał na mausera leżącego na biurku, ani na pojedynczy prostokątny magazynek obok. Cokolwiek się teraz działo, Sokarev nie brał w tym udziału. Potem Mackowicz podszedł do drzwi, otworzył je i przepuścił przodem profesora.

- To nie było mądre z pańskiej strony próbować przemycić broń - powiedział Mackowicz, gdy byli już sami w hali lotniska. - Teraz musimy ustalić pewne zasady. Ani ja, ani mój kolega nie staramy się ocenić pańskiej pracy, w której jest pan uważany za eksperta.

Oczekiwaliśmy, że będzie nas pan traktował w podobny sposób. Nie spodziewaliśmy się, że będzie pan oceniał sprawy bezpieczeństwa. Jeśli nie ufa pan Elkinowi i mnie, ma pan prawo, i takie prawo miał pan już od czasu, gdy przybyliśmy do Dimony. Mógł pan zatelefonować do Jerozolimy i wyjaśnić swe obiekcje naszym przełożonym.

Sokarev potrząsnął głową wstrząśnięty swoją głupotą.

- Przepraszam - powiedział. - Byłem w takim napięciu, od kiedy przyjechaliście.

- Jesteśmy odpowiedzialni za pańskie bezpieczeństwo. Mamy prawo żądać od pana całkowitej współpracy. Taka sytuacja nie może się więcej powtórzyć. Nie wtedy, gdy jest pan pod naszą opieką.

Sokarev spuścił głowę. Poszli do holu, gdzie siedział Elkin. Usiedli i wszyscy trzej pozostali w całkowitej ciszy; Mackowicz i Elkin czytając gazety, a profesor patrząc pustymi oczyma przez okno na pole startowe. Czuł, że chce odwołać całą podróż, wrócić do domu, do żony i laboratorium i odciąć się na zawsze od tego koszmarnego świata broni, przeszukiwań i terroryzmu. Gdy zapowiedziano lot, Mackowicz wstał pierwszy, wyprostował się, a potem pochylił i podał rękę profesorowi, aby pomóc mu wstać z niskiego, skórzanego fotela.

- Sądzę, że powinien pan pamiętać, profesorze, iż będziemy ze sobą parę dni - powiedział Elkin. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie zatrzymujemy się nad tym. - Uśmiechnął się.

Sokarev znów próbował przeproszać, ale Elkin potrząsnął głową.

- Było, minęło. Zapomniane.

Poszli razem schodami w dół, przeszli obok młodego żołnierza, który stał z przerzuconym przez plecy karabinem i wyszli na ognisty żar sierpniowego poranka w Izraelu. Słońce uderzyło Sokarewa w oczy tak mocno, że zacisnął powieki, aby powstrzymać blask bijący od pasa startowego. Przed nim stał jak ogromny reflektor, odrzutowy boeing 747, jego białe podwozie i dach błyszcząły w ostrym słońcu. 'Teraz już nie ma odwrotu - pomyślał naukowiec. - Nie ma ucieczki. Cokolwiek się teraz stanie, jest poza moją kontrolą'

Sokarev wszedł na stopnie samolotu. Mackowicz i Elkin byli krok za nim.

Na jednym z górnych pięter wysokiej siedziby Scotland Yardu trwała debata na temat poniedziałkowych czynności tych wszystkich detektywów i wyższych oficerów mundurowych, których zaangażowano do polowania na McCoya i jego współnika, w obronie Davida Sokarewa.

Jimmy siedział z tyłu, daleko za rzędami krótko ostrzyżonych karków. Gdyby ktoś odwrócił się w jego stronę, zobaczyłby lekko znużoną, obojętną twarz człowieka, który już wiele razy przez to przeszedł. Nie żeby Jimmy czuł się całkowicie na luzie w towarzystwie policjantów. Oni też nie reagowali dobrze na obecność wśród nich kogoś, kto był właściwie zamówionym na tę okazję wolnym strzelcem, którego nie dotyczyły ich przepisy dyscypliny i regulaminu.

Odczytane szczegóły miejsc i godzin wizyt nie przyciągały jego uwagi. Czytał postawny mężczyzna w mundurze.

"Jak przedstawienie dowodów w sprawie niebezpiecznego wypadku samochodowego - myślał Jimmy - głośno, monotennie, nudno. Nie mógłbyś występować na scenie, bracie. Rysowanie na tablicy też nie idzie ci najlepiej. Te wszystkie śliczne kolorowe kredy. Jak oni to uwielbiają, jak przebieranie się na pantomimę. Zielone linie, czerwone koła i niebieskie krzyżyki. Cóż za sposób przystąpienia do walki.

Czy McCoy ma dużą mapę, czy przylepia do niej paluchy jak ten cholerny Rommel? Nie można walczyć z tymi draniami przy pomocy map i wykresów, stary weteranie. To dobrze wygląda, dobrze brzmi, ale to wszystko. Jest tylko jedno miejsce, gdzie można będzie spotkać szanownego pana MacCoya i jego małego przyjaciela, a to miejsce jest przy Sokarevie. To jedyne miejsce, gdzie ci dranie się pokażą. Traciecie czas na te wszystkie mapy drogowe i eskorty samochodowe. To nie tam się stanie. Jest oczywiście zrozumiałą rzeczą, że jeśli planujecie ten pokaz, to nie macie zamiaru ryzykować nieprzygotowania na strzał podczas kawalkady. Kiedy ten stary truteń skończy, zostanie jeszcze trochę czasu na to, by pójść na uniwersytet i do hotelu i obejrzeć je sobie, a potem dopiero udać się na lotnisko. Powinieneś już wczoraj zrobić mały rekonesans, Jimmy, a nie siedzieć w tym ulu przez pół dnia. Powinieneś rzucić okiem na to miejsce, żadnej rzeczy nie można robić w pośpiechu. Trzeba było to przemyśleć, chłopie." Wiedział, że nie musi się miotać. Był pokrzepiony myślą, że będzie blisko Sokarewa. Ale może to był właśnie dobry, stary numer? Kto słyszał o gorylu, który oberwał? John Fitzgerald Kennedy, Robert Francis Kennedy - poszli do piachu, a przecież obaj mieli wokół siebie ludzi. Ale oni przeżyli, wypełnili raporty na temat niespodziewanych okoliczności i zdążyli jeszcze pójść na pogrzeb. Czterdziestu mężczyzn w pokoju, wszyscy bardzo odważni. Jak wielu jeszcze otrzyma rozkazy... trzystu, czterystu? A ich jest tylko dwóch. Jakie mają szanse?

W tym momencie tok myśli Jimmy'ego zatrzymał się. Przed nim, przypięte do tablicy, widniało zdjęcie McCoya i mężczyzny, którego tożsamości wciąż nie znano. "Paskudne, brutalne dranie - pomyślał Jimmy - bardzo niebezpieczni i bardzo odważni ludzie. A co my mamy przeciwko nim? Ten tłum przywleczony ze śledztw o morderstwach, napadów na banki i demonstracji w niedzielne popołudnia na Trafalgar Square?" Jego oczy ogarnęły całą salę. Wielu oficerów robiło notatki, słuchało uważnie słów mówiącego, gdy ten wolno objaśniał mapy i diagramy. "Jeśli ci dwaj dranie zdecydują się podejść bliżej - myślał Jimmy - to ta banda znajdzie się w oddzielnej lidze. Będą żalowali, że w ogóle wstali z łóżek tego dnia."

Ogromny samolot odrzutowy kołysał się nad morzem. Sokarev zobaczył plażę Harzylia, widział ludzi na piasku, którzy patrzyli w górę na rozpostarte monstrum sunące po niebie. Lot do Londynu zabierze im cztery i pół godziny, tysiąc kilometrów ponad Morzem Śródziemnym, wybrzeżami Włoch, Francją, a dopiero potem wyłoni się linia brzegowa Wielkiej Brytanii.

Elkin usiadł przy oknie, profesor obok, a z drugiej strony Mackowicz, w bocznym siedzeniu. Sokarev przysypiał. W pewnej chwili głos Mackowicza przerwał myśli, którym się oddawał. Otworzył oczy. Człowiek rozmawiający z nim był jego wierną kopią, pomyślał naukowiec: ta sama pewność siebie, siła, zrównoważenie i sposób poruszania. Nosił taką samą ciężką kurtkę, nawet tu, w zapoconym powietrzu samolotu, aby ukryć swoją broń przed wzrokiem pasażerów.

- Pracowałem kiedyś z Elkinem i ze mną w tym biznesie - zwrócił się po chwili Mackowicz do Sokarewa. - Potem wybrałem łatwiejsze życie. Lata w samolotach. Spędza tu więcej czasu niż piloci.

- Nie wiedziałem, że wasi ludzie są na pokładzie... - powiedział Sokarev.

- Dwóch, czasem czterech. Zawsze co najmniej dwóch. Nie mamy wyboru. Rozkazy są jasne. Nasze samoloty nie będą latać do krajów arabskich, jeśli nastąpi próba uprowadzenia. Wszystko co można zrobić, to strzelać i mieć nadzieję.

- A jeśli wszystkich się sterroryzuje?

- Pilot zanurkuje, spróbuje pozbawić terrorystę równowagi. Spróbuje też zejść poniżej trzech tysięcy metrów. Jeśli mu się nie uda i będzie awaria, to oznacza to katastrofę i nic nie można wtedy zrobić. Więc leci w dół z dwóch powodów: żeby zejść poniżej wysokiego ciśnienia i po to, by dezorientować terrorystów, żeby dać nam czas na działanie. To już było praktykowane.

- A pasażerowie, co z nimi? - zapytał Sokarev z niecierpliwością w głosie.

- Jeśli są Izraelczykami - zrozumieją. Jeśli nie - będą latać na innych liniach.

- Ale używając broni, możecie przecież przebić kadłub samolotu.

- Kule lecą z określoną prędkością. Nie musi się pan obawiać, profesorze, to wszystko zostało sprawdzone.

A więc prowadzili wojnę. Nawet w tym zamkniętym pudełku, podobnym do matczyngo łona, byli w stanie konfliktu. To nie były duże armie, a zaledwie małe fragmenty plutonu. Ale tak samo śmiercionośne, tak samo zdolne do zadawania ciosów jak całe bataliony. Sokarev zauważył, że minęły już dwie godziny lotu w spokoju. Ale to mogło się zdarzyć w samochodzie, na trzypasmowej drodze do stolicy, na chodniku przed hotelem, to mógł być hol wykładowy wypełniony wybitnymi naukowcami. Nowa wojna, tak obca jemu, a tak znana mężczyznom, którzy teraz odpoczywali z zamkniętymi oczami i lekko rozdziawionymi ustami, leżąc w siedzeniach.

Jones od dłuższego czasu patrzył na dwie fotografie, które leżały na jego zawalonym papierami biurku. Włożył je z powrotem do teczki leżącej na stosie innych akt, map centralnego Londynu, planu budynków uniwersytetu i okolicznych ulic. Z pewnością przypuszczano, że przeklina tych dwóch, że czuje do nich zażartą nienawiść, ale tak nie było. Zanim wciągnęli go w "Środkowy Wschód", pracował przez dwanaście lat w bloku Sowietów (Czechosłowacja), gdzie według opinii generalnego odwalił dobrą robotę. Nietrudno było mu przypomnieć sobie attache, który prowadził specyficzny handel i którego złapali po miesiącach tropienia i inwigilacji. Uważano go za wielkiego człowieka, "niepowetowana strata dla sprawy narodowej", jak powiedział sędzia, ale nie wyglądał on tak potężnie w pokoju przesłuchań na posterunku policji, gdzie zabrali go, po tym jak został ujęty. Raczej zwyczajny facet, bardziej zaniepokojony brakiem papierosa niż czymkolwiek innym. Oczywiście nic nie powiedział, tylko uśmiechał się w odpowiedzi na ich pytania w przeprasający sposób, zażenowany, że musi bawić się w takie gierki. Sekcja użyła głównych sił do wytropienia go, cała akcja była uważana za sprawę "najwyższej wagi", a Jones był jednym z tych, którzy byli w nią ściśle zaangażowani.

Zastanawiał się, jak bardzo różnili się od niego McCoy i jego przyjaciel. Czy byliby tak samo "zwyczajni" przy spotkaniu twarzą w twarz, jak mały człowieczek z Pragi? McCoya można było już wcześniej ocenić, jego fotografia została zrobiona w areszcie, oczy i usta wyrażały całą agresywność schwytanego człowieka. Ale drugie zdjęcie przykuło uwagę Jonesa. Całkiem przyjemny retusz ust, oczy -

duže
167

i bez lęku. Trudno było uważać go za kogoś specjalnie godnego potępienia. Groźba, którą ze sobą niósł, była taka zaraźliwa. Nie wyglądał jak wściekły lis za jakiego go uważano. Po prostu chłopiec i nic w jego wyglądzie nie zdradzało nienawiści.

Bez pukania do biura weszła Helen, przeszła przez pokój i spojrzała na zdjęcia ponad jego ramieniem.

- To ta parka, która robi to całe zamieszanie?

- Tak, to ci.

- A pan wybrał dużego, groźnego Jimmy'ego, żeby ich tropił?

- Już zakasał rękawy.

- Jak dobrzy są w porównaniu z naszym małym Jimmym?

- Nieźli. Dadzą mu dobrą lekcję, nie musi się o to martwić. Przy nich da z siebie wszystko.

- A potem wyślą go do domu w jednym kawałku?

- Prawdopodobnie - powiedział Jones.

Zanim wyszła, zauważył bladość jej policzków. Powinien był powiedzieć to delikatniej. Ale właśnie ten punkt planu nie dawał mu spokoju. Czy Jimmy da sobie radę w bliskim starciu, do którego był pewien, że dojdzie? Trudno było uwierzyć w niebezpieczeństwo, gdy się patrzyło w twarz pokrytą małym meszkiem kręconych włosów, stworzoną przez policyjnego rysownika na podstawie opisu naocznego świadka. Aby znaleźć prawdziwego człowieka, trzeba zajrzeć do akt, a te były wciąż prawie puste i martwe. Za mało, żeby zbudować na tej podstawie jego osobowość.

Wyjął pinezkę z szuflady swojego biurka i przymocował nią do ściany wizerunek Araba. Teraz miał go w swoim urzędowym gabinecie. Stąd mógł patrzeć na niego, kiedy tylko chciał, mógł go studiować, uczyć się z niego i starać się zrozumieć.

Reakcja McCoya była mniej gwałtowna od Famy'ego. Arab spojrzał ze źle ukrywanym przerażeniem na zdjęcia na pierwszych stronach gazet. Stali naprzeciwko małego kiosku w południowo-zachodnim Londynie, obok przystanku autobusowego, z którego mieli nadzieję dostać się do centrum. Zdjęcia były powiększone i w wielostronicowych. Popularnych magazynach zajmowały połowę pierwszej strony. Nagłówki na całą szerokość krzyczały w ich stronę: "Mordercy!", "Naj

bardziej poszukiwani w Wielkiej Brytanii!", "Czy widziałeś tych mężczyzn?"

- Nie gap się tak na nie, do cholery! - syknął McCoy w ucho Famy-'ego.

- To notes. Ten, który zostawiliśmy, to stamtąd to mają - powiedział Famy.

- Gówno prawda. Musieli rozmawiać z ludźmi w komunie. Stąd znają moje nazwisko. To moje zdjęcia z Północnej Irlandii, zrobione gdy mnie złapali. Wzięli rysownika, żeby sklecił twój rysopis ze wszystkich opisów. Nie jest za bardzo udany.

- Im to często wystarcza. Podali mój wzrost, wagę i ogólny rysopis. Niewystarczający dla całkowitej identyfikacji, ale bliski prawdzie. I podali ubrania, spodnie i koszule, które wciąż mamy na sobie...

- Cofniesz to? Nie ma lepszej sytuacji, żeby cię złapać, niż wtedy, gdy jesteś przytłoczony tym świństwem.

- Nie znają mojego imienia - powiedział Famy i oddalił się od sklepu. Obaj stanęli na końcu kolejki do autobusu.

Famy znów poczuł niepewność, która drażyła go przez pierwsze godziny pobytu w Londynie. To nie powinno było toczyć się w ten sposób. Powinni siedzieć bezpiecznie w domu, nie ryzykować, zależni od Irlandczyka tylko w dostawie broni. Wykluczone było ciągle przebywanie na zatłoczonych ulicach. Rozkazy co do tego były bardzo jasne. Za każdym razem, gdy kobieta, mężczyzna czy dziecko odwracali się w jego stronę, wyobrażał sobie, że go rozpoznają i wtedy wiercił się, odwracał, próbując zachować spokój na twarzy. Jak ludzie rozpoznają innych? Zastanawiał się. Jak mogą przełożyć coś tak odległego od ich życia, jak zdjęcie poszukiwanego w gazecie, na jakąś osobę, którą widzą na ulicy? "To trudne - pomyślał Famy. - Trzeba mieć pewność i odwagę, żeby spojrzeć jeszcze raz i przekonać się, że jest coś więcej niż tylko podobieństwo do zdjęcia, na które zaledwie rzuciło się okiem."

Dla McCoya było to mniej przerażające doświadczenie. Był przyzwyczajony, że jego zdjęcie mieli żołnierze brytyjscy w przedniej kieszeni zielonego munduru RUC lub kamuflującej kurtki. Był przyzwyczajony do ciągłej ucieczki, do unikania bycia rozpoznanym przez tych mężczyzn, którzy przestudiowali rysy jego twarzy. Zdał sobie

nagle sprawę z niebezpieczeństwa ich obecnej sytuacji. Gazety połączyły mężczyzn, identyfikując ich jako partnerów. A oni w ten właśnie sposób podróżowali - we dwójkę, jeden przy drugim. A osobno, poruszając się samotnie, będą o wiele bardziej bezpieczni. Dotarło to do niego, gdy jednopiętrowy, zielony autobus zatrzymał się na przystanku i kolejka ruszyła do przodu. Muszą się rozdzielić, ale dokąd iść? Dla niego było to łatwe, ale co zrobić z Arabem? Nie mógł sam wałęsać się po ulicach, niepewny i zestresowany. Więc co z nim zrobić? Nie miał odpowiedzi, tylko nie sprecyzowany jeszcze plan, powoli nabierający kształtu.

McCoy kupił bilety od kierowcy autobusu i poszli do tylnych siedzeń, gdzie byli za plecami pasażerów i gdzie ich twarze nie były narażone na zdemaskowanie. Arab miał przy sobie teczkę z paroma wybranymi ubraniami ich obu i karabinami, magazynkami i granatami. Była ciężka i rączka silnie ciągnęła metalowe pierścienie, do których była przymocowana. Jego walizka została w bagażniku escorta, wypełniona częścią jego ubrań i ubrań Famy'ego. Samochód stał z dala od drogi, w lesie, który otaczał Surrey w mieście Esther. Trudno było go znaleźć. Zdjął numery rejestracyjne i zakopał głęboko w pozyciu. Ziemia była twarda, ślady opon niewyraźne, ale i tak zatarli ślady leszczynowymi gałęziami, pozostawiając jedynie muśnięcia gałęzi na ziemi.

Gdy autobus jechał do Hampton Court, obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. McCoy opracowywał następny ruch, a Famy siedział napięty po zobaczeniu fotografii i rysunku. Zanim stanęli w korku ulicznym, McCoy niskim głosem wyszeptał w ucho Famy'ego:

- Musimy się dzisiaj rozdzielić. Najbezpieczniej będzie, gdy nie będziemy razem.

Na twarzy tamtego pojawiły się strach, zdziwienie i błysk w oczach, który sugerował poczucie zdrady. McCoy zauważył to.

- Nie masz się o co martwić. Ale przynajmniej dzisiaj musimy być osobno. Do nocy zostało osiem godzin, a wtedy się spotkamy.

Famy odwrócił głowę, mocno zaciśnięte usta ostrzegały o podejrzliwości.

- Dokąd pójdę? Co mam zrobić? - zapytał.

- Jeszcze nie wiem. Pogadamy o tym. Ale musimy się rozdzielić. We dwóch za bardzo ryzykujemy.

- Mogliśmy zostać w samochodzie, w lesie...

- Mogliśmy - uciał McCoy, starając się nie stracić kontroli i nie przekazać inicjatywy Arabowi. - Ale tam nie załatwilibyśmy następnego samochodu, a musimy zmienić wóz. I musimy go zdobyć w mieście. Na wsi mogą cię łatwo złapać, szybciej meldują o kradzieży. Famy nie odpowiedział.

- Słuchaj, ty głupi frajerze - McCoy zaczął mówić szybko, natarczywie. - Powiedziałem ci, że jestem z tobą. Nie musisz się martwić. Nie uciekam od ciebie. Podjąłem decyzję i to ważną. A teraz mam cię zostawić? Pomyśl o tym. Po dziewczynie, po zabraniu broni, mam cię zostawić i zwać?

Famy zgodził się. Był od czterech dni bez snu, wyczerpany. Nie miał siły się kłócić.

- Gdzie wysiadamy? - zapytał Arab.

- Centrum jest jakieś piętnaście minut stąd. Wszystko, co tylko chcesz.

- A ty, dokąd pojedziesz?

Famy zobaczył wahanie i wyczuł kłamstwo.

- Zgubię się na parę godzin - powiedział McCoy - dopóki nie będzie ciemno. Dopóki nie będziemy mogli się spotkać i załatwić wozu.

Arab nie odpowiedział. Uczucie samotności i izolacji drażyło go w środku. Jak dalece mógł ufać Irlandczykowi? Był prawie przekonany, że są inne powody, dla których muszą się rozstać. Nie ufał im. Co mógł jednak zrobić w autobusie, gdzie każdy mógł usłyszeć, gdy podniesie głos?

Na piątym przystanku McCoy wstał i przeszedł między siedzeniami. Famy poszedł za nim. Potem stali na chodniku pomiędzy ludźmi, którzy przechodzili koło nich, zajęci własnymi sprawami. Stali tak przez moment, dopóki McCoy nie zobaczył baru herbacianego po drugiej stronie ulicy. Ruszyli w tamtą stronę.

- Zaraz za rogiem i w górę główną ulicą są kina. Jest jedno, gdzie lecą trzy filmy, oddzielne sale, wszystko podzielone. Tam się ukryj na jakiś czas. W kinie jest ciemno, a to bardzo ważne. Spotkamy się w barze. O ósmej. I do cholery nie łaź bez sensu po ulicach.

Famy patrzył na niego, gdy przeszli przez drzwi kawiarni, badając McCoya oczyma, szukając prawdy w jego decyzji. Nie znalazł odpowiedzi.

Kiedy McCoy wyszedł, teczka i jej zawartość zostały z Famym.

- Masz zabezpieczenie - powiedział odchodząc. - Włóż ją pod nogi w kinie, żeby nikt nie kopnął.

Zanurzył się w słońcu i zniknął za drzwiami, idąc spieszenie chodnikiem, z boku, by uniknąć tłumu kupujących.

"Wolny od tego durnia - pomyślał. - Wolny, bez kamienia u szyi.

który ciągnął w dół." Ogarnęła go ulga, że był wreszcie sam. Prawie biegł, gdy dotarł do sklepu.

McCoy wszedł do wewnątrz przez rozsuwane, szklane drzwi. Kilka kasjerek, dziewcząt uderzających w klawisze i wyjmujących pieniądze, było na samym końcu. Wziął koszyk, włożył do niego tabliczkę czekolady, coś, co zabije bolesne uczucie głodu, i pomiędzy pełnymi produktami półkami podszedł do kolejki, która utworzyła się do kasy. Obserwował dziewczynę, jak zwinnie przekłada torby, opakowania i puszki, nie patrząc na klienta, którego obsługiwała, tylko na to co wyjmowała z drucianych koszyków i kładła na płaskiej powierzchni koło siebie, podczas gdy jej druga ręka wybijała numery na maszynie. Jej twarz była skupiona, bez wyrazu, zajęta wydawaniem odpowiednich reszt i odpowiednich banknotów.

Gdy postawił koszyk, szczupła dłoń wyjęła czekoladę, a usta wymówiły cenę, która była wybita na maszynie.

- Cześć, Norah - powiedział cicho, świadomy, że ludzie stojący za nim spieszyli się i niecierpliwili. Spojrzała na niego. W jej oczach pojawiło się zaskoczenie, a potem strach, podobny do strachu osaczonego królika. Napięte, szeroko otwarte oczy wbijały się w niego.

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Muszę się z tobą zobaczyć - powiedział kładąc nacisk na to, że jest od niej zależny, czekając, aż zareaguje.

- Co ty tu robisz? - zapytała cicho, tak że nikt oprócz nich nie mógł tego słyszeć.

- Muszę z tobą porozmawiać - powtórzył, tylko że z większym naleganiem. - Powiedz, że musisz wyjść. Muszę być dzisiaj z tobą. Będę

czekał na zewnątrz. - Położył dwie dziesięciopensowe monety, cenę, jaka była wybita w kasie, wziął czekoladę i wyszedł na ulicę.

Czekał po drugiej stronie dwadzieścia minut. Potem się pojawiła, szukając przejścia między jadącymi samochodami. Miała na sobie bluzkę i dżinsy, a nie sklepowy strój. Zanim znalazła przerwę w ulicznym ruchu, spojrzała na niego. Nie odpowiedziała na uśmiech, a potem skoncentrowała się na samochodach i ciężarówkach.

Wziął ją za rękę. Miękką, małą, chowającą się w jego dłoni. Pocałował ją delikatnie w policzek i poczuł, jak odpycha go od siebie.

- Nie powiedziałaś mi tam w środku. Co tu robisz?

- Przyszedłem się z tobą zobaczyć. - Za mało. Musiał to powiedzieć mocniej.

- Widziałam zdjęcie. Jesteś w gazetach, w telewizji.

- Wiem.

- No więc po co tu przyszedłeś?

- Chciałem się z tobą zobaczyć, malutka. Chciałem być z tobą.

Chciałem... - Nie skończył. Co mógł powiedzieć? Ścisnął jej dłoń w swojej. Jak mógł jej powiedzieć, że musiał od tego uciec? Że nie jest tylko maszyną, aparatem do zabijania? Że potrzebował odpoczynku, musiał uciec od tego potwornego biegu, od ukrywania i pościgu, i ostatecznej konfrontacji? Kiedyś na farmie była dziewczyna. Niedaleko Cullyhanna, na wzgórzach Mullyash było miejsce w jałowcach i paprociach, gdzie z nim poszła i pozwoliła mu mówić i kochać, i odejść przy niej, zanim przyszedł sen i zrozumienie. Potem wrócił do swojej wojny. Ale jak powiedzieć małej, sklepowej dziewczynce z południowo-zachodniego Londynu, że mężczyzna, który walczy musi choć raz zasnąć w bezpiecznych ramionach? Że przychodzi taki czas, kiedy towarzystwo mężczyzn jest odrzucane i niechciane? Jeszcze jeden dzień z tym cholernym kolesiem, a zaczęłyby go przeklinać. Nie z winy Araba. McCoy wiedział, że to nie jego wina. Ale to nie zmniejszyło potrzeby ucieczki od tamtego świata.

- Muszę z tobą porozmawiać, gdzieś, gdzie będziemy sami.

Poszli przez miasto i w przestrzenne, otwarte połacie parku królewskiego. Były tam drogi, które przecinały krajobraz, pozostawiając ogromne połacie dziewiczej ziemi pokrytej kielkującą trawą i delikatnymi w kształcie liści paproci, gdzie zachodziło słońce. I były tam

lasy, gdzie przez brzozy i dęby przebijało słońce i rzucało mgliste cienie. Było tak jak chciał. Znalazł to, czego szukał.

Weszli głęboko w paprocie, wzdłuż ścieżki, na której spotkali dużego, rudego jelenia, który popędził w dal i zniknął, gdy się przybliżyli.

Położył swój płaszcz na liściach paproci i usiedli. Nie widział horyzontu poza bliską ścianą zieleni, która ich otaczała, ukrywając przed wzrokiem innych. McCoy położył się na plecach, wyciągnął ręce i przyciągnął dziewczynę do siebie. Jej głowa spoczywała poniżej jego brody i w ustach czuł kosmyki jej włosów i ich zapach, czysty i świeży. Leżeli tak długo, a jego myśli powędrowały na farmę na wzgórzach i do tamtej dziewczyny, która była ciemnowłosa i mocniej zbudowana, i która rozumiała jego potrzebę rozluźnienia, i która przyciskała go do swojego ciała. Myślał o myszołowach, które zataczały nad nimi koła i odlatywały do wzgórz Armagh Country.

To Norah przerwała ciszę.

- Czy to ciebie poszukują? Czy to twoje zdjęcie było w telewizji? - przestraszony, cichy głos, który rozwiął jego marzenia i kazał skoncentrować się, aby odeprzeć jej strach.

- To byłem ja. To mnie szukają. Ale są daleko za mną i nie znajdują mnie.

- Ale zabiłeś dziewczynę, udusiłeś ją, tak mówią.

- Co chcesz, żebym ci powiedział? Chcesz, żebym kogo udawał?

-Odwrócił się na brzuch i oparł na łokciu nad nią, drugą ręką głaszcząc jej włosy, pieszcząc je. - To nie ma nic wspólnego z twoim życiem. To osobna sprawa. Nie powiem ci, że tego nie zrobiłem, bo i tak mi nie uwierzysz. Nie mogę ci nic powiedzieć, bo nie możesz wiedzieć.

Ręka zsunęła się z jej włosów, a palce zaczęły szybko rozpinąć plastikowe guziki bluzki. Zobaczył łzy w jej oczach, drgające powieki i wilgoć, która biegła koło jej nosa i ciekła po policzkach, a potem gineła w trawie. Zbliżył twarz do jej ust i pocałował, nie mogła się już cofnąć. Czowała jak mocno przyciska jej ciało do nierównej ziemi. I jego ręce nie wahały się już, szukały tego, co chciały znaleźć. Gdy rozpiął zapięcie na plecach i odsłonił piersi, objęła go za szyję i łkając przyciągnęła jego głowę do siebie. Nie odpowiadała za to, co robi, nie mogła usprawiedliwić czułości, z jaką przesuwiała ręką po jego twardych włosach na karku, nie rozumiała, dlaczego powoli rozwarła nogi

w nadziei, że jego ręka dotrze tam. Gdy otworzyła oczy, jego twarz była bardzo blisko, całował jej powieki, zamykając je, a potem była ciemność i jego ręce znów dotykały jej ciała, domagały się posiadania, szukały nowego. Guzik dzinsów na talii rozpiął się i skurczyła się, gdy jego ręce zsunęły je poniżej kolan. Ciągłe widziała ciemność i czuła rozpaczliwe pożądanie, żeby dalej to robił. Zatrzymał się na jeszcze nie uformowanej linii, która prowadziła w dół, do delikatności miękkich włosów. Bezgłośnie wymówiła jego imię, a szorstki policzek zbliżył się do jej twarzy. Gdy wszedł w nią, poczuła ból i uczucie, jakiego dotąd nie знаła, poruszyła się więc, próbując się uwolnić. Ale teraz czuła już tylko młócaącą, wbijającą się w nią siłę, która ją trzymała, dopóki nie wyslizgnął się, wyczerpany i wyładowany.

Norah leżała w bezruchu na trawie, słońce igrało na jej skórze, wiatr owiewał ciało, a obok niej leżał mężczyzna, z twarzą spokojną jak dziecko, której skóra była rozcięta paznokciami Doris Lang.

Z banku, gdzie wymienił swój dziesięciofuntowy czek podróźny, Famy patrzył na czerwoną kabinę - budkę telefoniczną. Wymiana zabrała mu piętnaście minut i znów był przy stacji kolejowej, koło której przeszedł wcześniej, gdy szukał banku. Torba była ciężka i z ulgą postawił ją na podłodze w budce. Zamknął za sobą drzwi i namacał w kieszeni dwupensową monetę. Nie miał trudności z numerem ani z podaniem wewnętrznego po połączeniu z centralą. Usłyszał odległy terkot połączenia.

- Mówi Grzyb - powiedział Famy.

Z drugiej strony usłyszał szuranie, rozpoznał dźwięk nakładania na słuchawkę kawałka koszuli czy kurtki, a potem niewyraźny głos, mówiący w próżni. "Zmywają się" - pomyślał Famy.

- Co chcesz wiedzieć? - zabrzmiał głos.

- Chcę wiedzieć, czy były dalsze rozkazy lub nowe instrukcje? Czy to wszystko, po co telefonował? Przecież nie było możliwości dalszych rozkazów.

- Nic nie nadeszło.

Famy milczał, czekając i zastanawiając się, co powiedzieć. Nie mógł mówić o pustce, wstrząsie i przerażeniu, jakie go ogarnęły po zobaczeniu swoich zdjęć w gazecie.

- W ogóle nic? Żadnych wiadomości z domu? - może mężczyzna w ambasadzie wyczuje jego strach, rozpozna bezradność.
 - Nic nie ma, ale i nie miało być. Przywódcy dali ci wolną rękę w tych sprawach. Twój przyjazd został zakomunikowany. - Na linii usłyszał wyraźny trzask i na moment dźwięk zniknął. Po sekundzie znów wrócił i Famy słyszał regularny, spokojny oddech mężczyzny, z którym rozmawiał.
 - Jakież problemy?
 - Wszystko się tak skomplikowało. Straciliśmy dom, bo jedna dziewczyna...
- Głos przerwał nagle:
- Na linii był trzask. Nie możemy dłużej rozmawiać. Odłóż słuchawkę i uciekaj. Nie stój przy telefonie. Szybko, jest coś jeszcze?
- Famy był zakłopotany. Słyszał dźwięk, ale nie rozpoznał go.
- Irlandczyk. Nie wiem, do jakiego stopnia mogę mu ufać, czy nie lepiej samemu. Mamy teraz broń, ale...
 - Czy jest coś ważnego, co chcesz powiedzieć? Jeśli nie, odłóż słuchawkę.
 - To Irlandczyk. Powiedział, że musimy się rozdzielić dzisiaj...
 - Odłóż słuchawkę! I uciekaj od telefonu! Jak najdalej od niego! Głos już krzyczał i połączenie zostało zerwane. Słyszał tylko miarowy, stały sygnał. Wreszcie dotarło do niego ostrzeżenie. Podniósł torbę i wybiegł z holu dworcowego.

12.

Rozgadany, niespokojny Jimmy wyjechał na lotnisko, do komitetu powitalnego i wreszcie biuro Jonesa zatopilo się w ciszy i spokoju. Przeglądał właśnie akta, koncentrując się na rosnącej ilości informacji o McCoyu, na mapach i planach dotyczących wizyty profesora Sokarewa, kiedy zadzwonił telefon.

- Sekcja nagrywania, panie Jones. Mamy pańską ambasadę. Rozmawiają. Są na podsłuchu...

Nie czekał dłużej. Wybiegł przez otwarte drzwi, mijając biurko, przy którym Helen pisała na maszynie i wypadł na otwarty korytarz.

Piętnaście kroków do klatki schodowej, nie czekając na windę, zbiegł na oślep w dół sześć kondygnacji, żeby tylko dotrzeć do piwnic przed zakończeniem rozmowy. Dyszał ciężko, gdy tam dotarł. W kabinie siedział potężny mężczyzna, który sprawdzał numery i nadzwiewkowienie, a szpule taśmy naprzeciw niego kręciły się powoli. Zapasowe słuchawki były już podłączone i Jones wcisnął je byle jak na głowę.

- Właśnie usłyszeli włączenie podsłuchu. Ambasada próbuje go zlikwidować - powiedział tamten.

Jones usłyszał jeszcze zdanie o broni, potem krzyk drugiego. Jedno niezdecydowane zdanie i połączenie zostało przerwane.

Zadzwonił biały telefon, stojący na stole w kabinie i Jones instynktownie sięgnął po słuchawkę.

- Podsłuch z tej strony. Rozmowa była z Richmond, telefon publiczny. Teraz sprawdzamy dokładne położenie.

Jones wykręcił specjalny numer pokojów operacyjnych Scotland Yardu, który teraz służył wyłącznie do spraw McCoy'a i nieznanego Araba. Mówił krótko, opuszczając niepotrzebne fakty.

- Nic więcej - rzekł i odłożył słuchawkę.

"Czas, żeby wreszcie ruszyli. To był najlepszy materiał do tej pory - pomyślał Jones. - Coś, co wreszcie można ugryźć i zacząć działać."

Cofnął taśmę i przesłuchał ją parę razy.

- Zaczyna się robić nerwowo w drużynie - powiedział Jones, wchodząc do biura Fairclougha. - Arab dzwonił do ambasady, ma wątpliwości co do McCoya. Powiedział, że tamten go zostawił i to mu się nie podoba. Wyglądał na przygnębionego, nie jest za bardzo zachwycony, chciał wskazówek z domu. Ale mówi, że odnaleźli broń, co potwierdza wczorajsze odkrycie na wzgórzach. Wyglądał jednak na nie-szczęśliwego, a nawet przybitego.

- Czy mówił, że dalej robią swoje?

- Nic na ten temat. Mówił, że McCoy postanowił, że mają się dziś rozdzielić.

- No cóż, więc wszystko jasne. To nie są najlepsze wiadomości.

Razem trudniej im się poruszać. Spotkają się pewnie znów dziś w nocy. Sugerowałbym, że wciąż są gotowi do akcji.

Jones poszedł wolno do swojego biura. Wiedział już, co ma robić, kiedy dotarł do swego zacisznego kąta. - Musi ich zrozumieć, znaleźć drogę do ich myślenia, musi ożywić tych ludzi, którzy dla niego byli tylko zdjęciami i aktami. To był sposób, jedyny sposób, by móc przewidzieć ich następną decyzję i akcję. Ale oni byli tacy inni, a on tak daleko od ich świata, że uważał swoje szanse za minimalne. Dlatego nie śpieszył się.

Na krańcach Londynu, przez policyjne radia przekazywano instrukcje, lokalizację, rysopis i ubranie. Policjanci zostali odwołani od kierowania ruchem, ochrony zgromadzeń i dochodzeń w sprawie kradzieży czy wandalizmu.

Główny intendent, który kontrolował lokalny posterunek policji, skoncentrował się na trzech kierunkach. Po pierwsze - zablokowanie wszystkich głównych dróg wyjazdowych. To była główna i podstawowa sprawa. Po drugie - ciężarówka z policjantami przejęła wejście na stację, obsługiwaną przez brytyjską kolej regionu południowego i transportową linię dzielnicową metra. Po trzecie - skoncentrowanie samochodów, nie biorących udziału w blokadach drogowych, w centrum miasta. Miały objeżdżać okolicę i obserwować setki ludzi, tłoczących się na chodnikach i w sklepach. Rewolwery zostały dostarczone patrolom wyjeżdżającym z posterunku, rutynowa, urzędowa Praca papierkowa została odłożona na koniec dnia. Kiedy był już pe

wien, że miasto zostało uszczelnione najlepiej jak tylko można, sam przeszedł na łączność radiową, wydając jasne i precyzyjne polecenia. - Mężczyzna, którego szukamy, jest niebezpieczny, prawdopodobnie uzbrojony i nie powinien do niego podchodzić jakikolwiek nie uzbrojony funkcjonariusz. Jeśli go zobaczycie, od razu nadawajcie, przyślemy dodatkowe siły.

To była wiadomość, która podekscytowała radiowego majsterkowicza, siedzącego w swoim szeregowym domku, zabijającego czas przed nocną zmianą w fabryce Hawker Siddeley w Kingston. Zignorował surowy zakaz ustanowiony przez regulamin komunikacji bezkablowej, który zabraniał wszystkim obywatelom podsłuchiwania informacji policyjnych i czynienia z nich użytku. Dalej słuchał komunikatów podawanych na długości fal policyjnych. Włączył teraz aparat, kiedy zauważył nagły napływ policji w ruchu ulicznym i zdążył usłyszeć wszystkie instrukcje głównego intendenta. Miał listę gazet z Fleet Street i będąc skrupulatnym człowiekiem, zapisał godziny wychodzenia nakładów. "Daily Express" był tradycyjnie najbardziej łąsy na sensacyjne wiadomości i nie musiał podawać źródeł informacji.

Gdy siatka zamykała się wokół miasta, Famy płacił w szklanym okienku kasy kinowej. Grano Jamesa Bonda - podwójny seans. - Nie ma się pan czego obawiać. Proszę tylko robić to, co mówimy, bez wahania, cokolwiek by to nie było, a wszystko będzie w porządku. Brytyjczycy zaangażowali wiele oddziałów. Nasi ludzie z ambasady też będą blisko. Ale niech pan robi to, co mówi Elkin lub ja.

To były ostatnie słowa, jakie Mackowicz powiedział do Sokarewa w czasie lotu. Potem samolot zakończył długie lądowanie i drzwi dużej, gorącej kabiny zostały otwarte. Inni pasażerowie stali już w przejściu, czekając na opuszczenie samolotu, kiedy główny steward i mężczyzna, którego Sokarev znał jako El Ala, przeszli przez korytarz, formując przejście dla Mackowicza, za którym szedł Sokarev, a za nim Elkin.

Naukowiec widział urazę na twarzach ludzi i zastanawiał się, dlaczego zawsze wyglądają na obrażonych i rozgoryczonych, skoro wy
180

ładowali szczęśliwie. "Co usprawiedliwia ich zagniewane i zirytowane spojrzenia - myślał - spowodowane tylko tym, że muszą poczekać następne siedemdziesiąt pięć sekund, zanim zejść ze schodów?"

Przyjemne, delikatne ciepło, nie tak agresywne jak izraelskie, przywitało ich napasie startowym. Właśnie tam stali ludzie ze Służby Specjalnej. Sześciu z nich uformowało się w szeregu, po trzech z każdej strony Sokarewa, i szli tak z twarzami od niego odwróconymi, a skierowanymi w stronę czarnego mercedesa ambasady, który czekał przy schodach. Attaché bezpieczeństwa powiedział coś szybko do Mackowicza, uściskał jego dłoń, a potem zwrócił się do profesora.

- Przybyliśmy tu, aby pana powitać, sir. Czekamy w holu, w budynku terminalu.

Sokarev zaczął mówić o swoim bagażu.

- Proszę tylko dać mi kwit, sir. Na pańskim bilecie. Zaopiekujemy się bagażem, kiedy będzie pan w terminalu.

Gdy samochód ruszył, Sokarev zobaczył dwa nisko osadzone, nie oznakowane samochody, które jechały za nimi. Siedział na tylnym siedzeniu pomiędzy attaché i Mackowiczem. Elkin siedział w przodzie, obok kierowca, a pomiędzy nimi jakiś człowiek w średnim wieku z wyblakłymi, niewyraźnymi rysami, dla którego nic nie było nowe czy zagadkowe. Przez okno Sokarev patrzył na umundurowanych policjantów, którzy ruchami rąk kierowali samochód przez światła uliczne. Z tyłu stali policjanci z psami i mężczyźni w cywilu, z jedną ręką na górnych guzikach płaszczy. Więcej policjantów było przy wejściu do VIP-U, wysocy mężczyźni w niebieskich mundurach, którzy przez podręczne radionadajniki mówili o przejściu Sokarewa z samochodu do drzwi, i którzy nie zauważyli jego prawie przepaszającego uśmiechu, kiedy koło nich przechodził.

Posadzili go na miękkiej, niskiej sofie, wybierając stojącą daleko od drzwi, a kobieta ubrana w czarną sukienkę i biały fartuszek podała mu herbatę w chińskiej filiżance na spodeczku i talerzyk herbatników. W końcu odpowiedziała na jego uśmiech, wymamrotała słowo "miło" i wyszła przez drzwi, aby więcej go nie zobaczyć.

Mężczyzna, który siedział w przodzie mercedesa, szedł teraz w jego kierunku. Sokarev widział jego stary i niechlujny garnitur, krwawe

blizny na linii kołnierzyka, poluźniony krawat, rozpięty guzik koszuli i wypastowane w pośpiechu i niedokładnie buty.

- Na imię mi Jimmy, sir. Z bezpieczeństwa... Mam panu towarzyszyć podczas pańskiej wizyty w tym kraju. Mam nadzieję, że będzie się pan dobrze czuł pod moją opieką. Którzy to pańscy ludzie?

Sokarev wskazał w stronę Mackowicza, który krążył koło niego, a potem na Elki na, który stał przy drzwiach, w drugim końcu sali.

- To jest pan Mackowicz i pan Elkin. Miło mi pana poznać, panie...

Jimmy. - Zaśmiał się cicho, nie doczekawszy się nazwiska tamtego. - Słyszałem, że zaoferowano mi pomoc w czasie mojej tu wizyty. Jestem panu wdzięczny.

- Jest nas więcej, nie tylko ja, sir. Około dwustu. Tacy, których pan nawet nie zobaczy. Ale ja jestem tym, którego obecności będzie pan świadomy. Będę koło pana przez cały czas.

- W takim razie będzie pan brał udział w zawodach - zażartował Sokarev, zadowolony z pierwszego wrażenia, jakie zrobił na nim mężczyzna. - Pan Mackowicz i pan Elkin już zamówili sobie miejsca koło mnie.

- No cóż, będzie więc trochę tłoczno. Ale to mi nie przeszkadza.

"Dzięki Bogu - pomyślał Sokarev - że nie wszyscy są tacy, jak ci dwaj, którzy ze mną przyjechali. Chociaż z tym mogę porozmawiać. Ma poczucie humoru, nie jak ci dwaj, którzy siedzą przy mnie jak przy trumnie w czasie czuwania przy zwłokach, ze swoimi rozkazami, na-dąsanymi i skwaszonymi twarzami." Widział, jak człowiek, który i zykał siebie Jimmym, powiedział coś do ucha Macko wieżowi i pokazali sobie jakieś papiery. Wszyscy ludzie w pokoju byli stłoczeni rozmawiali, ćwierkali jak wróble, wymieniali między sobą białe ltki, rysując na nich na zielono, niebiesko, czerwono i brązowo. "A' jestem zbyteczny - pomyślał Sokarev. - Nikt ze mną nie rozmaw' nikt nawet nie powiedział do mnie "cześć" czy "witamy". Wszy-mówią o mnie, o moich poczynaniach, moim śnie, moich posiłkach ale nikt nie rozmawia ze mną. Nawet ten, który ze mną żartował, ni mi nie ma do powiedzenia. Gdybym chciał przyciągnąć ich uwa~ musiałbym krzyżeć, zacząć rzucać się jak epileptyk, zdjąć spodni w przeciwnym razie przejdą koło mnie jakbym w ogóle nie istni Pewnie dla niektórych jestem ćwiczeniem strategii, grą, którą moż się zająć, a kiedy przyjdzie czas na wyjazd, spakują mnie, poślą

domu i zapomną o mnie. Dla innych jestem źródłem niepokoju. Nie, ^{ze}by mieli opłakiwać ciało Davida Sokareva, gdy będzie leżało w ścieku ulicznym, ale będą opłakiwać swoje kariery, swoją przyszłość, ^a ponad wszystko reputację."

Był daleko od nich i bawił się rozczulaniem nad sobą, kiedy przemówił do niego attaché bezpieczeństwa.

- Mamy pański bagaż, profesorze. Jesteśmy gotowi do wyjścia. Nie dopił jeszcze swojej herbaty, ale to nikogo nie obchodziło. Ten cyrk był gotowy do zabawiania gości. David Sokarev nie mógł go opóźnić.

Reporterka z agencji prasowej lotniska, Bemards, z przepustką, która pozwalała jej na wejście do holu VIP-u, zobaczyła odjeżdżający konwój. Miała przeprowadzić wywiad z prominentem przemysłowym, wracającym po załatwieniu ważnych transakcji eksportowych ze Stanów Zjednoczonych. Z kurtuazją, ale stanowczo, umundurowany policjant poinformował ją, że nie może podejść bliżej niż dwadzieścia pięć metrów od drzwi holu. Obserwowała formujący się kordon, widziała kierowców włączających silniki, policjantów i niskiego mężczyznę, który został wyprowadzony z holu VfP-u. Prawie nie było go widać pomiędzy szerokimi ramionami mężczyzn z Oddziałów Specjalnych. Gdy ostatni ze strażników wgramolił się do samochodu, kordon mszył. Nie wiedziałaby, samolotem jakich linii przyleciał człowiek, który wymagał takich środków ostrożności, gdyby nie zobaczyła El Ala. Gdy samochody odjechały, podeszła do niego i zapytała o nazwisko pasażera. Pokiwał przecząco głową, nie udzielając żadnych informacji i, odwróciwszy się na pięcie, poszedł do swojego samochodu. Jest niewiele rzeczy, które tak bardzo irytują reporterów, nawet tych początkujących, jak ich ignorowanie.

Zadzwoiła do swojego wydawcy. Ogromne środki bezpieczeństwa, nieznany, anonimowy Izraelczyk, VIP, policyjne psy na pasie startowym, eskorta uzbrojonych Oddziałów Specjalnych, przejście bez formalności celnych, szybki konwój do Londynu - wydawcy też to się podobało, nadał temu odpowiedni kształt i przekazał telegraficznie do redakcji gazet na Fleet Street.

Profesor Sokarev nie mógł wiele zobaczyć ściśnięty między ramionami attache bezpieczeństwa i Mackowicza, gdy samochód jechał autostradą M4 z lotniska do centrum Londynu. Gdy przechylił głowę, od czasu do czasu widział pola i boiska piłki nożnej, ale gdy samochód wjechał na wysoki pomost, widział tylko dachy i górne okna biur wyższych budynków. Wyczuł napięcie Mackowicza, w sposobie, w jaki patrzył na mijające ich samochody, czy kiedy zwalniali na zężonym pasie autostrady. Zauważył, że podnosił się wtedy do okna, zasłaniając sobą szybę. Sokarev przez moment patrzył w innym kierunku. Zanim konwój ruszył, jego goryl naładował ciężki, czarny pistolet. To była nieporęczna, kanciasta broń i nie potrafiłby podać jej nazwy.

Po trzydziestu pięciu minutach byli przy drzwiach hotelu, który dla niego wybrano. Czekają tu wielu detektywów, łatwo było ich rozpoznać. Samochód zahamował, a Mackowicz powiedział mu do ucha: - Niech się pan nie zatrzymuje, nie waha i idzie prosto do środka. Potem złapał go za ramię i prawie wcisnął przez wahadłowe drzwi. W holu stał mężczyzna, z jedną nogą w windzie, trzymając przycisk, aby drzwi się nie zamknęły. Sokarev szedł po wzorzystym dywanie do windy. Gdy drzwi się zamknęły poczuł, że naciskają na niego ciała jego ludzi, attache, tego, który nazywał się Jimmy i eleganckiego, ubranego w ciemny garnitur faceta, który prawdopodobnie był kierownikiem hotelu. Wjechali na najwyższe, czwarte piętro. Po prawej stronie, na końcu korytarza zobaczył dwóch mężczyzn, wstających z krzeseł, jeden z nich odwrócił się, by otworzyć drzwi narożnego pokoju. Szedł tym samym krokiem, dopóki drzwi nie zatrasnęły się za nim.

- Witamy w naszym hotelu, profesorze Sokarev - powiedział mężczyzna w ciemnym garniturze. Mówił spokojnym, oficjalnym tonem, ukrywając niezadowolenie z konieczności grania gospodarza i ponoszenia odpowiedzialności za takiego gościa. Nie wspomniano o tym ani słowem gdy robiono rezerwację, żadnej wzmianki o policji czy detektywach, którzy mieli spać na korytarzach, obserwować recepcję i przesiadywać w fotelach holu. To zaczęło się dopiero rano, zbyt późno, by nalegać na odwołanie rezerwacji.

- Tu są drzwi łączące pański pokój z pokojem pańskich dwóch kolegów.

"Pokój tylko dla nich" - pomyślał Sokarev. Attaché odczytał jego myśli-

- W nocy jeden będzie spał, a drugi czuwał. Będą się zmieniać.

Dodatkowo jest dwóch mężczyzn na zewnątrz.

Wkrótce grupa zniknęła, dyrektor za głównymi drzwiami, Mackowicz, Elkin i Jimmy oraz attaché w przyległym pokoju. Sokarev był sam, mógł rozpiąć walizkę i zacząć przekładać do szuflad ubrania, które żona tak starannie złożyła.

Za drzwiami Jimmy rozmawiał przez telefon z Jonesem. Reszta czekała w ciszy, aż skończy i przekaże im najnowsze informacje. Jimmy nie okazał niczego po sobie. Słuchał z twarzą pokerzysty, powiedział, że wpadnie późnym wieczorem i odłożył słuchawkę.

- Zaczęło się w piątek rano, ale teraz naprawdę jest gorąco. Ponad godzinę temu jeden z nich zadzwonił do człowieka kontaktowego. Dzwonił z południowo-zachodniej części miasta. Z dzielnicy, która nazywa się Richmond. Miła, wygodna, elegancka dzielnica. Teraz roi się tam od glin. Wydaje im się, że to dobre miejsce, żeby schwytać tych drani. Ale oni zawsze tak mówią. A potem przepraszają dwadzieścia cztery godziny później.

- Ilu ich tam jest? - zapytał Elkin.

- Dwóch - odparł Jimmy. - Jeden z Północnej Irlandii. Trochę więcej niż przeciętny. Wiele razy karany, dobry organizator. Drugi prawdopodobnie jest z waszej części świata. Nie mamy nazwiska, ale mamy twarz, niezła, pasuje do niego. Trochę tęskni za domem - zadzwonił, a nie powinien był. No i przez to wiemy, gdzie jest.

Inspektor Oddziałów Specjalnych przyjedzie tu za jakieś dwadzieścia minut. Będzie miał dla was akta i zdjęcia.

Jimmy wyczuł, że nie był zbyt mile widziany w pokoju, że chcieli rozmawiać w swoim własnym języku, przedyskutować problemy między sobą. Nadszedł czas, by się przedstawić, wyjaśnić swoją pozycję. Nie może pozostawić żadnych wątpliwości, żadnych niedomowień.

- Moje rozkazy, panowie - powiedział - są bardzo jasne. Mam być obok waszego człowieka, kiedy tylko wyjdzie z pokoju. Nie pięć, cztery czy trzy metry za nim. Tuż przy nim. Moje rozkazy są wyraźne w tej sprawie. On nie może opuścić tego budynku bez mojej wiedzy.

To nie jest wasz kraj. Jesteśmy za to odpowiedzialni i musicie nas słuchać. I jeszcze jedna sprawa na koniec. Jeśli zobaczą na ulicy coś podejrzanego, otworzę ogień i trafię w niewłaściwego faceta, to będzie na ten temat cholernie dużo zamieszania, ale zatuszuje się. Jeśli któryś z was to zrobi, będziecie w sądzie wcześniej niż się zorientujecie, a to się ciągnie miesiącami. Więc bądźcie uważni.

Jimmy wyszedł na korytarz, żeby zapalić, pogadać z facetem z oddziałów i pozwolić mężczyznom, których zostawił w pokoju, wyładować gniew. Z przyjemnością słuchał podniesionych głosów, wśród których rozpoznał górujący głos Mackowicza, cichszy, ale też protestujący Elkina, a potem spokojniejsze tony attaché, kojącego urażoną dumę.

"Ten biedny mały dureń w drugim pokoju - myślał Jimmy. - Samotny, wystraszony i przechodzący to cholerne piekło tylko po to, żeby wygłosić jedną mowę. Mógł równie dobrze przesłać pocztą maszynopis i wszyscy byliby tak samo mądrzy. Ale w ten sposób się nie da. Będzie stał z dala jak spętana owca, ciągnięta jako przynęta, i będzie się modlił, żebyśmy dorwali tych drani, zanim oni dorwą jego.

Jimmy wszedł z powrotem do pokoju. Mackowicz wciąż miał wściekłe i przymrużone oczy, z Elkinem było trochę lepiej, ale obaj wiedzieli, na czym stoją. Attaché odwalił dobrą robotę. Ubrania były porzucane po pokoju. Krótkofalówki i pistolety Uzi leżały na łóżkach. Zajęli się swoją robotą.

- Żadnych spotkań na dziś, prawda? - powiedział Jimmy do attaché.

- Tak. Miał jeść obiad na uniwersytecie. Odwołaliśmy to. Powiedział, że jest przeziębiony. Zje dziś w pokoju. Jest zmęczony po podróży. Jutro musi tu zostać, dopóki nie wyjedzie wieczorem.

- A w środę do Stanów?

- Leci do Nowego Jorku w czwartek. Jego spotkania tam zaczynają się od tego dnia. Nie widzieliśmy potrzeby, żeby to zmieniać.

- Mam nadzieję, że podoba mu się jego pokój - mruknął Jimmy. - Bo jeśli ma zamiar zostać tu dodatkowo jeden dzień, to spędzi go właśnie w nim.

Wiatr wzmógł się. Coraz silniejszy, gwałtowny, owiewał ogromne połacie parku. Dotarł tam, gdzie leżał McCoy, pod jego rozpiętą do pasa koszulę i przeszył jego klatkę piersiową, wyrrywając go ze snu. Zobaczył koło siebie dziewczynę, z ubraniami w nieładzie, tak jak je

zostawił, z nogami wciąż rozrzuconymi na boki, z rękami pod głową, patrzącą pustymi i obojętnymi oczyma w odległe niebo.

Spojrzał na zegarek. Po siódmej. Niecała godzina do spotkania. A światło zaczynało już odpływać. Popołudnie skończyło się i wkrótce wszystko okryje się ciemnością, której potrzebował.

- Chodź, czas na nas - powiedział cicho, ale w jego głosie nie było czułości, której oczekiwała. Leżała w bezruchu, nie chcąc na niego spojrzeć.

- No chodź. Powiedziałem, że czas na nas. - Jego głos był ostry i obcy. Zareagowała, chwyciła dzinsy i naciągnęła je na szczupłe biodra.

Odwróciła się od niego, aby zapiąć zatrzask na plecach, który on wcześniej rozpiął. Strzepnął trawę z ich ubrań i zaczęli iść do żelaznych bram, przez które wjeżdżały i wyjeżdżały samochody. Szli w milczeniu. Norah ze spuszczoną głową, unikając jego wzroku.

Byli sto metrów od bram, gdy McCoy zobaczył policjantów na blokadzie drogowej. Policzył. Było ich sześciu. Jeden stał daleko na drodze, machając rękoma, zatrzymując i ostrzegając nadjeżdżające samochody. Drugi trzymał w ręku notes, w którym spisywał numery rejestracyjne. Następny rozmawiał z kierowcami i badawczo przyglądał się pasażerom. Czwarty i piąty otwierali maski samochodów i bagażniki, a szósty siedział w wozie policyjnym daleko od blokady, z włączonym silnikiem.

McCoy zrozumiał tę scenę. Ostatni czuwał, żeby uciekający nie wyrwał się, włączony silnik, gotowy do pościgu. To był profesjonalizm, podobał mu się.

Za dużo ich, jak na rutynową kontrolę. Za dużo, jak na miejscową zbrodnię. Potem pomyślał o Famym. Nie chciał się rozdzielać. Denerwował się tym, co się stanie, gdy przez parę godzin będzie pozostawiony sam sobie, pełen podejrzeń, gdzie McCoy mógł iść. A teraz blokada drogowa, nie rutynowa, ale dokładna i skrupulatna. Musiał wiedzieć, gdzie jest ten cholerny Arab, musiał wiedzieć, co się stało. Po obu stronach bram wznosiły się dwu i półmetrowej wysokości ceglane ściany, które pierścieniem otaczały park.

- Nie mogę przejść przez kontrolę - powiedział. Muszę przedostać się przez mur, gdzieś z dala od głównej drogi, ale blisko miasta.

Dziewczyna zawahała się, niepewna Policjanci usłyszeliby ją gdyby krzyknęła. Jeden krzyk i wszyscy podbiegną do niej. I co wtedy?

Bilans był prosty. Co powie? Że mężczyzna którego szukali, spał z nią, że rozwarła przed nim nogi, przyciągnęła do siebie?

Była już zdecydowana. Wzięła McCoya za rękę i przeprowadziła przez krótko ściętą trawę, koło dużych dębów i tam, gdzie ściana zanurzała się w rowie, stanęła. Dobrze wybrała, widział to.

McCoy sięgnął do ściany i dźwignął się jakieś czterdzieści centymetrów w górę. To było świetne miejsce. Koniec cmentarza, gdzie drzewa rosły blisko siebie, gdzie listowie i trawy były gęste pod murem. Prześlizgnął się na drugą stronę, lądując miękko na stosie kompostu. Przełożył nad murem prawą rękę, chwycił dziewczynę za nadgarstek i przeciągnął na drugą stronę. Kucnęli za jednym z dużych cisów, dopóki nie był pewien, że nikt ich nie widział.

- Potrzebuję jakiegoś miejsca do spania czegoś bezpiecznego - wyszeptał.

- Zaraz za cmentarzem był budynek, który rozebrali. Teraz nic tam nie ma. Tylko zarośla. Co chcesz zrobić?

- Zaprowadź mnie, tam ci powiem.

Przeszli wąską, zwirową ścieżką pomiędzy nierównymi rzędami nagrobków, koło słoików po dzemach, w których stały zwiędnięte tulipany, koło świeżo wykopanych prostokątnych dołów w ziemi. Dotarli do bramy.

- A stąd gdzie? - zapytał McCoy.

- Po drugiej stronie drogi, sto metrów stąd jest to miejsce.

- Ale przecież, do cholery, tu jest płot dookoła! Nie mogę się na niego wspinać przy głównej drodze.

- Tam w dole, na drugim skrzyżowaniu, nikt cię nie zobaczy. Teraz była już w tym, przyłączyła się do sprawy. Kryzys minął.

Zrobi, co jej powie, nie miał wątpliwości. Zwykle tak robiły, małe dziwki. Wiedział, że teraz ma w posiadaniu coś cennego. Miał kuriera. Kogoś, kto mógł biec dla niego, kto mógł być jego oczami i uszami. "Bóg jeden wie, dlaczego chcą maczać w tym palce - myślał - ale chcą. Nie myślą nad tym, zbyt głupie, by wszystko wykalkulować."

Na drodze był ruch, ale żadnego policjanta. Otoczył ją ramieniem, gdy czekali na przerwę w mchu i przeszli na drugą stronę. Pasowali

do standartowego widoku zakochanych, chłopaka i dziewczyny na spacerze. Jakikolwiek zmotoryzowany, który ich widział, nie mógł połączyć tej pary z poszukiwanym mordercą Tymczasowej IRA. Poszli do bocznej drogi, powoli, nie śpiesząc się. McCoy mówił jej do ucha. Każdy, kto na nich spojrzał, był pewien, że to były czule szep-tane, pieszczotliwe słowa.

- Słuchaj uważnie - powiedział. - Zrób dokładnie, co ci powiem. Koło stacji jest herbaciarnia, po drugiej stronie jezdnii, w stronę rzeki.

Znajdziesz tam człowieka, Araba. Wyższy ode mnie, bez wąsów czy brody, krótkie włosy. Będzie miał przy sobie teczkę. Powiedz tylko "Grzyb" i powiedz, żeby poszedł z tobą. Przyrowadź go tu, ale nie główną drogą. I powiedz, żeby uważał.

- Czy to ten, którego szukają? - zapytała Norah podekscytowanym głosem.

- Powiedziałem ci, nie musisz tego wiedzieć. Po prostu idź, zrób to. Tak jak ci powiedziałem. Jeśli go nie będzie, poczekaj. Co najmniej godzinę. Ale przyrowadź go tu.

Przyjrzał się dokładnie drodze. Pusta, wyludniona. Wskoczył jak małpa na łukowaty, wygięty płot, a chwilę potem zeskoczył po drugiej stronie i zniknął. Słyszała odgłos jego stóp bijących o ziemię, a potem ciszę.

Siedząc w kinie, Famy słyszał syreny na ulicy. Przypomniawszy sobie ponaglenie przez telefon, żeby oddalić się od stacji i kulił się w swoim siedzeniu za każdym razem, kiedy wozy policyjne przejeżdżały koło kina i ochryply hałas zagłuszał ścieżkę dźwiękową filmu. Nerwowo obgryzał paznokcie, patrząc na bohaterские wyczyny na ekranie. Obrazy nic nie znaczyły, nie potrafiły odwrócić uwagi od problemu, który teraz go dręczył. Problemu przetrwania. Torba stała pod nogami. Rozpiął cicho zamek i wyczuł ręką bawełniany materiał, pod którym leżały niezgrabne, kanciaste granaty. Wyjął jeden, mały, wielkości zwiędniętego jabłka i włożył do kieszeni płaszcza.

Karabiny były za duże, zbyt nieporęczne, ale jeden granat był wystarczający, żeby odsunąć od siebie nagły pościg. To można ukryć. Teraz musiał wyjść w nieznany, obcy zmierzch.

Czasem jego myśli powracały do przyjaciół, mężczyzn, których prawie nie znał, a w których towarzystwie przez krótki czas przebywał

- do Daniego i Bouchiego. Do ich śmiechu podczas lotu z Bejrutu, do żartów o Nablusie i oliwnych gajach, przez które przejeżdżali we Francji i strachu, który paraliżował na drodze do Boulogne. To wspomnienie przygniotło go i uwypukliło błazeństwo celuloidowych obrazów. Krew jego przyjaciół lała się i wsiąkała w siedzenia samochodu. Wciąż słyszał w uszach słowa Daniego. Ich brzmienie, zanim kolor jego miękkich, brązowych policzków zamienił się w szarość zapowiadającą śmierć. Te słowa tkwiły w podświadomości, kontrolowały go, dostarczały mu siły jakiej potrzebował, żeby iść dalej.

Wyszedł z kina przed końcem drugiego filmu. Chciał być daleko stąd, zanim wielki tłum przejdzie przez drzwi. Wybrał boczne wyjście. Jeśli go poszukiwali, był pewien, że kinowy hol też będzie miejscem, gdzie przyjdą. Z torbą w ręce i granatem w kieszeni otworzył żelazną zasuwę drzwi przeciwpożarowych. Nie zauważono go i wyszedł bez przeszkód.

Wiele minut zabrało mu przejście do miejsca spotkania. Szedł niezdecydowany, prawie chwiejąc się koło wystaw sklepowych, gotów w każdej chwili odwrócić głowę w stronę półek, gdy tylko policyjne wozy przejeżdżały koło niego. Policjanci byli też na chodniku. Aby uniknąć spotkania z nimi, dwa razy wszedł do sklepu, wplątując się w tłum przy półkach, zanim nie zobaczył przez okno, że niebezpieczeństwo minęło. Z każdym krokiem nabierał coraz więcej pewności. Łazili w kółko, walcząc z ciemnością, niepewni kogo i czego szukają.

W kawiarni usiadł z tyłu, po stronie drzwi, tak że mógł obserwować wchodzących i wychodzących i w każdym momencie odwrócić głowę, aby ukryć twarz.

Widział wchodzącą dziewczynę, zauważył jej nerwowe, krótkie spojrzenia rzucone na klientów siedzących przy stolikach i przy barku. Widział dokładnie, że go rozpoznała. Zesztywniał, instynktownie włożył rękę do kieszeni, w której miał granat, szukając palcami okrągłej zatyczki bezpiecznika V 40. Patrzył na jej bladą, ładną twarz, zaciskając rękę na metalu, gdy podeszła bliżej.

Pochyliła się nad nim. Drżała, i kiedy jej usta poruszyły się, na początku nie słyszał żadnego dźwięku.

- "Grzyb" - szepnęła. - Powiedział, że masz iść ze mną. Zaprowadzę cię do niego.

I Famy zrozumiał, dlaczego tamten tak nalegał na rozłączenie się. Potrzebował dziewczyny. Nie kobiety, która wszystko przekalkuluje, ale dziewczyny, która ślepo pójdzie za nim tam, gdzie poprowadzi. Gdy odwróciła się w stronę drzwi, zobaczył pogniecenia na jej bluzce. "Nieźle, McCoy - pomyślał. - Mała przyjemność w trawie i wieczna lojalność dziwki."

Prowadziła go bocznymi ulicami starego miasta, wspinała na wzgórze, na których wznosiły się eleganckie rezydencje z poprzedniego stulecia. Szli koło przytułków i kościołów, koło domów pomalowanych na biało, koło bloków, gdzie niekiedy widniały tablice z napisami: "Na sprzedaż", reklamujące domy jako luksusowe. Czasami ulice były wąskie, czasami szersze, ale na żadnej z nich nie było wiele samochodów. Były tam dzieci bawiące się piłką, mężczyźni idący grupa do pubów, kobiety śpieszące do domów z koszykami pełnymi wieczornych zakupów, ale żadnego policjanta. Famy trzymał dziewczynę za rękę, martwą i zimną. Ale tak było lepiej, bardziej bezpiecznie. Szli prawie cały czas w milczeniu, od czasu do czasu przerywanym słowami Famy'ego, na które ona rzadko i krótko reagowała.

Naprzeciwko nich była ściana, z napisem: "Parkowe wzgórze były moim domem" - pamiątka czasów, gdy stał tu duży dom i gdy protestowano przeciwko jego rozbiórce. Teraz była tam tylko płatanina krzaków, ściętych drzew i gałęzi.

- On jest tam - powiedziała.

"Jej głos był obojętny, jakby zdała sobie sprawę, że jest już niepotrzebna, że zrobiła swoje i może odejść" - pomyślał Famy.

- Muszę już iść do domu, mama będzie się niepokoić.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

- Chisholm Road. Zaraz za rogiem. Pod dwudziestym piątym.

- Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. Byłaś dla nas bardzo miła...

Pobiegła w ciemność. Ten był inny. Delikatniejszy, nie zraniłby jej tak jak Irlandczyk. Ale pewnie nic by nie zrobił, siedziałby przez całe popołudnie i skubał trawę. Wciąż bolało, tam gdzie wszedł McCoy, przykre uczucie poniżej bioder.

13.

Nawet świadomy niebezpieczeństwa Scotland Yard dopuszcza możliwość przecieku pewnych informacji. Na parterze, w pomalowanym na brązowo pokoju prasowym korespondent do spraw zbrodni gazety "Express" usłyszał pierwsze pogłoski o organizowaniu środków bezpieczeństwa w celu zapewnienia ochrony nieznanemu Izraelczykowi. Strzeżona anonimowość mężczyzny została złamana przez pewnego naukowca, który siedemnaście dni wcześniej otrzymał zaproszenie na wykład profesora Davida Sokareva, pracownika zakładów nuklearnych ośrodka badawczego Dimonay. Przypadkowy telefon reportera do rzecznika prasowego ambasady izraelskiej i bezwzględna odmowa na prośbę o udzielenie informacji o podróży profesora, upewniła go, że Sokarev był tym człowiekiem, którego tak bardzo ochraniało.

Raport Bernards o uzbrojonych członkach Oddziałów Specjalnych na lotnisku, mających chronić pasażera izraelskiego samolotu, dodał dalszego kolorytu tej sprawie. Ale tylko dzięki intuicji wydawcy historia ukazała się na pierwszych stronach gazet. Przy swoim biurku, gdzie odbierał różnego rodzaju maszynopisy i kopie, zaczął po kolei wiązać to, co figurowało jako oddzielne fakty. Miał w ręce artykuł zatytułowany "Sokarev" i drugi pod tytułem "Polowanie". Wszystko było jasne. Ścisła ochrona izraelskiego atomisty połączona była z prowadzonym na dużą skalę policyjnym poszukiwaniem znanego mordercy z PIRA, któremu towarzyszył nie zidentyfikowany Arab.

Gdy trzecia edycja nakładu była przewożona ciężarówkami do różnych stacji kolejowych, nagłówek: "Śmiertelna groźba dla izraelskiego twórcy bomby H" widniał na pierwszej stronie.

Złość premiera, który przeczytał artykuł przed powrotem do swojego mieszkania przy Downing Street, usiłował łagodzić dyrektor generalny.

- Żadnych przecieków z naszego departamentu - powiedział.

-Znajdzie pan proste rozwiązanie w wiadomościach o faktach, które

każde wprawne oko może powiązać. To w jakiś sposób uspokoiło szefa rządu.

- Ale to nie pomoże akcji - powiedział premier.

. W naszej sytuacji, nic tego rodzaju nie może pomóc akcji.

- Mam na myśli - powiedział premier - że jeśli coś się stanie Soka-
revowi po tym artykule, wszyscy będziemy wyglądać przerażająco
głupio.

- To prawda, sir - odrzekł dyrektor generalny.

Nie było wiele do dodania Tylko tyle, że oczywiście mają problemy,
że ujawnili się i że muszą zrobić wszystko, co tylko mogą. Cisza
przedłużała się i rozmowa została zakończona Życzył premierowi do-
brej nocy.

A więc tym na górze wiał wiatr w oczy. To zawsze go bawiło. Pewnie
rano telefon będzie dzwonił co pięć minut.

Skontaktował się z Jonesem, który wciąż tkwił w swoim biurze, ale
żadnej zmiany sytuacji w Richmond nie było. Jutro długi dzień, długi
i męczący.

Zanim wyruszyli w ciemność parku, między Famy i McCoyem
doszło do zawziętej kłótni. Pozornie chodziło o to, czy powinni opu-
ścić bezpieczne lasy Park Hill, ale tak naprawdę dotyczyła
dowództwa dwuosobowego zespołu. Famy chciał zostać. Był pod
wrażeniem pół-ukrytej piwnicy starego, dawno rozebranego budynku,
w którym McCoy siedział do przyjścia Araba Irlandczyk chciał jak
najszybciej stamtąd uciekać.

- Musimy gdzieś spać. Musimy trochę odpocząć, a to dobre miejsce -
powiedział Famy.

- Dookoła jest policja, musimy się zmywać i to szybko - odpowiedział
McCoy, który był przyzwyczajony do dowodzenia do tego, że ludzie
słuchają jego rozkazów bez wahania i kłótni.

- Tu jesteśmy całkowicie ukryci. Tu nas nie znajda

- To co robimy, to pozostawanie w środku kordonu policyjnego.

Dajemy im czas na zorganizowanie się, na wzmocnienie sił. Im to
Pomaga a nas może zniszczyć. Rano, o pierwszym brzasku, będą tu
Psy, helikoptery, ten cały majdan. Wiedzą, że tu jesteśmy. Bóg wie
199

skąd, ale wiedzą i musimy ruszyć dupy i wypadać stąd - McCoy tłumiał chęć podniesienia głosu i z jego ust wydobywał się charkot.

- Ale oni koncentrują siły teraz, gdy wierzą w swoje informacje. Jeśli im się nie uda, nie będą dalej próbować. Jutro łatwiej będzie się poruszać. Powinniśmy tu zostać do jutra. - Famy dostał wypieków. Palcem stukał w klatkę piersiową McCoya dla podkreślenia swoich argumentów.

- Oni w ten sposób nie pracują, chłopaczku. To są cholerni policjanci, nie żołnierze. Zapisują wszystko w swoich notesach, dokładnie, nie idą do domu, gdy są znudzeni, żeby założyć ręce...

- To ty naraziłeś nas na niebezpieczeństwo - przerwał Famy, nie chcąc pozwolić na dominację McCoya. Rzucił swoją atutową kartę, niepewny, czy tamten ją podniesie i jakie przyniesie rozstrzygnięcie. - Zaryzykowałeś. I po co? Po to, żeby móc przespać się z tą dziewczyną...

- Zamknij tę pieprzoną gębę - rzucił w jego stronę McCoy. Famy nie widział go, słyszał tylko jego oddech, czuł bliskość ciała. - Zamknij twarz i nie otwieraj jej więcej. I pomyśl trochę o tym, co dzisiaj zrobiłeś, spróbuj przypomnieć sobie, gdzie cię rozpoznali.

Wspomnienie wstrząśniętego dyplomaty na drugim końcu linii wróciło do Famy'ego. Za bardzo się tego wstydził, by powiedzieć Irlandczykowi, co się stało. Przegrał.

- Dokąd pójdziemy? - zapytał.

McCoy nie triumfował, ale mówił z przekonaniem bijącym z jego głosu; kto teraz dowodził, było jasne, nieuchronne i nie do odwrócenia.

- Idziemy do parku. Jest tam miejsce, gdzie możemy przejść przez mur. Potem parę kilometrów. Jeśli będziemy się trzymać z dala od dróg, wszystko będzie w porządku, przejdziemy na drugą stronę. Potem znowu parę kilometrów i załatwimy jakiś wóz.

Famy szedł ślepo za McCoyem. Jego sytuacja była teraz jasna. Bez Irlandczyka zgubi się. Tęsknił za towarzystwem Daniego i Bouchiego, za ciepłem wspólnoty obozu w Fatehland, ale na innym kontynencie, w obcym kraju potrzebował Irlandczyka. Błądzili, przewracali się o połamane gałęzie, potykali, wpadali do rowów wypełnionych wodą, zawsze szukając ciemności, z dala od reflektorów samochodowych.

J

Raz zobaczyli migocące niebieskie światło na dachu policyjnego samochodu, przylgnęli płasko do ziemi i czekali długo, zanim nie odjechał. Wspięli się na siatkę ogrodzenia, które wytyczało granicę między parkiem i klubem golfowym, przenieśli ponad nią ciężką torbę i przeszli przez zieleń i tory wodne, zanim nie dotarli do następnego płotu, który osłaniał starannie utrzymane, pielęgnowane ogródki domowe. Przeszli ostrożnie przez płot, szukając ogrodu, w którym nie było oświetlenia, a potem byli już w małej, ślepej uliczce, dobrze oświetlonej przez wysokie latarnie.

- Ja pójdę pierwszy - powiedział McCoy. - Dwadzieścia metrów i po drugiej stronie. Ty weź torbę. W takich miejscach nie powinno ich być. I idź powoli, tak jakbyś się przechadzał.

Szli jeszcze półtorej godziny, zanim dotarli do szerokiej, wyludnionej Wandsworth High Street.

- Gdzieś tutaj - powiedział McCoy - w bocznej uliczce weźmiemy samochód. Nowe mają zabezpieczenia na koła. My potrzebujemy starego, z literą D albo E czy F po numerach. Teraz szli razem, groźba policyjnego kordonu była daleko za nimi.

- Nie było tak trudno, jak się zdawało. - Famy uśmiechnął się nieśmiało, chcąc zakończyć napięcie, które wciąż było między nimi.

- Nie ma mowy, żeby mogli stać ramię w ramię w takiej dużej dzielnicy. Jedyne co mogą zrobić, to zablokować główne drogi i mieć nadzieję, że im się uda. Jeśli nie zachowasz zimnej krwi, nie wygrasz.

McCoy nie żałował zażartej wymiany zdań.

"Coś by było z nami nie tak, gdybyśmy się nie wściekali w takiej sytuacji. Ani snu, ani jedzenia, wszyscy gapią ci się w oczy przez pół dnia. Jeszcze tylko niecały dzień, a potem, Matko Święta... Wszyscy będą spieprzać stamtąd. Nie mamy jeszcze obmyślonej ucieczki, tak jakbyśmy w ogóle tego nie brali pod uwagę. Powinniśmy siedzieć teraz w pokoju, słuchając politycznych bzdur w radiu, pustych mów dygnitarzy przemawiających do swoich reporterów. Powinniśmy być gotowi i czekać bezpiecznie na górnym piętrze domu i to w spokojnej, ^a nie gorącej atmosferze. A teraz... Gdzie teraz iść? Gdzie się przenieść, gdzie ułożyć głowę...? Wszystko w swoim czasie, irlandzki bojownik. Samo się ułożyć, kiedy tam dojdiesz. Najpierw najważniejsze rzeczy. Ale w ten sposób nigdy tego nie robiłeś. Nie jesteś w Cros

smaglen i nie wysadzasz spadochroniarzy, a potem dopiero zastanawiasz się, gdzie uciekać. W ten sposób się nie uda. Twój plan tu nie pasuje, nie ma tu twoich obserwatorów i informatorów, nie ma kobiety, która w wózku dziecięcym przywiezie broii i mężczyzny, który zostawi tylne drzwi otwarte w czekającym samochodzie. Donald nie zaplanował ucieczki, kiedy wystrzelił - siedemnaście lat i nie umiał czytać. Umarł w ogródku za swoim domem. Sean nie przemyślał tego, kiedy wiózł bombę do Newton Hamilton i zatrzymali go na kontroli drogowej. Zwykle tam ich nie było, nie na skrzyżowaniu, i teraz ma piętnaście lat w Crumlin Goal na przemyślenie tego. Cholernie łatwa jest droga do pudła, mówił swoim ludziom, gdy siedziała bezmyślnie. Nie przetrwasz, jeśli się będziesz śpieszył. Oczekiwali od ciebie czegoś więcej, Ciaranie McCoyu - myślał. - Będą śmiali się po pijaku. Jesteś duży, efektowny, a żadnego planu. Piwo będzie się im lało do gardeł, ale nie będą płakać, gdy ci dranie cię zastrzelą, żadnego protestu, jeśli złapią cię żywcem i zamkną do końca życia. Będą chlać i gadać, gadać i chlać, a wszystko po to, żeby powiedzieć, że Ciaran McCoy miał robotę za morzem i nie przemyślał jej. Będą czkać i bekać, wracając do domów, i myśleć: Mały, głupi skurwysyn, a to on wszystkim mówił, co mają robić." Ale nie będzie już problemów z Arabem. Widział to ze sposobu, w jaki Famy za nim szedł: jak pies, pół kroku za panem, obawiający się zganienia. Nie będzie już kłótni. Zrobi to, co mu powie. Boczne ulice były wyludnione. W telewizji odegrano już hymn narodowy i teraz było cicho, nocna czekolada zabrana na górę, drzwi zamknięte i zaryglowane, koty wyrzucone na noc z domu. Nikt nie był ciekaw odgłosów dochodzących do górnych okien, kiedy McCoyowi udało się otworzyć maskę starego forda cortiny. Z kieszeni wyjął paczkę papierosów i wyciągnął z niej jednego. Przesunął paznokciem kciuka tam, gdzie dwa końce papieru stykały się i wytrzepał tytoń, potem oderwał filtr, który wpadł do otworu ściekowego. Jedną ręką dotknął żelaznej ramy na górze silnika, a po chwili jego doświadczony palec spoczęły na głównych zaciskach. Pomiedzy nie włożył kawałek papieru. Podeszedł do Famy'ego, wziął od niego teczkę, rozpiął zamek i wyciągnął koszulę. Przysunął się do trójkątnego okna przy kierowcy i uderzył pięścią owiniętą w materiał. Uderzenie było stłumione. Nikt

ze śpiących w domach nie podniósł alarmu. Szyba pękła i miał teraz miejsce na włożenie ręki i sięgnięcie do wewnętrznej klamki, którą nacisnął. Otworzył drzwi kierowcy, pochylił się, otworzył drzwi pasażera z przodu, potem kiwnął w stronę Famy'ego. Arab wsiadł, zamknął drzwi i postawił teczkę na kolanach. McCoy znów skierował uwagę na silnik. Jego ręce kierowały się do akumulatora w poszukiwaniu gumowego przycisku, którego potrzebował. Gdy go znalazł, spojrzał na Famy'ego, uśmiechnął się półgębkiem, co oznaczało sukces i nacisnął. Silnik zaczął pracować. Zamknął klapę i wsunął się na siedzenie kierowcy. Ostatni raz spojrzał w nie poruszone zasłony okien, skręcił z pobocza na jezdnię i odjechał.

Jechał szybko, jak najdalej od policjantów, którzy stali apatyczni i znudzeni, na blokadzie drogowej.

- Cholernie łatwo poszło - mruknął do siebie.

- Co teraz? - zapytał Famy ostrożnie, niepewny nastroju Irlandczyka.

- Oddalimy się trochę od nich. Gdzieś z pół godziny jazdy, a potem za rzekę. Znajdziemy coś z dala od drogi i tam się prześpimy. Gdy się rozjaśni, będziemy potrzebować zakładu, który dorobi klucze do tego cholernego grata, a potem ruszymy na drugą stronę miasta, w lasy, gdzie się ukryjemy. Nie wracamy do miasta do wieczora.

Famy pokiwał głową. Tamten powiedział mu tylko to, co powinien był wiedzieć, nic więcej. Żadnych upiększeń, dodatkowych słówek i wszystko bez dyskusji.

McCoy wyczuł jego nastrój.

- Nie gryź się, kochasiu. To jest twój dzień, nie mój. Zawiozę cię tam. Pomogę ci, gdy kurtyna się podniesie. Pomyśl nad tym i zostaw sprawę dojazdu McCoyowi. Nie przejmuj się, jak tam się dostaniemy. Będiesz na miejscu wtedy, gdy będzie trzeba. Zobaczysz swojego kolesia. Musimy jeszcze wiele załatwić, zanim tam pojedziemy, ale zostanie trochę czasu. Czas nie stanie dla ciebie, chodzi własnymi ścieżkami i dosięgnie w końcu ciebie i twojego faceta. I wtedy nie spieprz wszystkiego.

McCoy zaśmiał się do siebie, samolubnie. Prywatne myśli, których z nikim nie dzielił. Jechali przez szerokie, puste ulice wyludnionego, okrytego nocą miasta, a on śpiewał cicho, ignorując wszystko. Z jego

206

ust płynęły miękkie, delikatne słowa, które na końcu mówiły o śmierci, martyrologii. Pochlebstwa dla nieżywego bohatera.

"Wszyscy są tacy - myślał gorzko. - Musisz być sztywny, zimny, okryty całunem i wtedy dopiero dowiedzą się o tobie. Potem wyjmą swoje skrzypce i akordeony, kiedy już będziesz gryzł ziemię. Nie wcześniej. Wcześniej nie daliby za ciebie złamanego grosza. Ale pozwól jakiemuś cholernemu żołnierzowi wypruć z ciebie flaki, a pójdą do klubów i będą brzdąkać i zawodzić o tobie. Tak to właśnie jest z muzykantami. Nigdy piosenek o żywych ludziach, tylko o umarłych. Tylko o małych, głupich draniach, którym nie udało się uciec."

Poszedł na pogrzeb Donalda, szedł daleko za rodziną, głęboko w tłumie i z dala od wojskowych aparatów fotograficznych, oddziałów armii, ukryty i anonimowy; odszedł samotnie od grobu, gdy oracje i epitafia były w pełnym toku. Ale nie działały na niego te nie kończące się tłumy milczących mężczyzn i kobiet, które tworzyły procesję za tanią trumną owiniętą we flagę, z czerwonym beretem na górze. Ten brak uczuć jeszcze bardziej zbliżył go do ruchu. Kiedy grzebali jednego z jego ludzi, nadchodziła natychmiastowa zemsta - ginął żołnierz. Było to tak nieuchronne, jak nadejście dnia po nocy. Jasne, łatwe do zrozumienia. Ale śmierć Izraelczyka; czy to było warte, aby zmiotli cię z tego świata i wsadzili do trumny? Czy było warte wiecznej podróży pod wysoką, źle ściętą trawą cmentarza? Nigdy nie słyszał o tym kolesiu, prawie nie wiedział jak wygląda, raz tylko widział jego głównianą fotografię. Gruby, pospolity, mały gnojek, gdzieś z drugiego końca świata. "To rozkaz, McCoy. Zostaw to tak i zostaw myślenie swoim przełożonym. Rób, co ci mówią, słuchaj rozkazów. To nie twoja wina, że nie mogą się obyć bez McCoya stojącego w szeregu." Famy zginie, tego był pewien, ale Ciaran McCoy, co on zrobi? Jego umysł był zbyt zmęczony, by reagować na zawilość problemu. "Olej to. Módl się, żeby do tego nie doszło. A jeśli dojdzie...? No to pomyśl o tym później."

Kiedy McCoy zatrzymał się, Famy spał. Byli po północy stronie rzeki. Zaparkują pod blokiem na dwie, trzy godziny, zanim nadchodzić świt i światło dnia nie wypłoszą ich stąd znów w poszukiwaniu spokoju i lepszej kryjówki. Odpłyną na parę godzin, zanim David Skarev nie rozpocznie swojego wykładu.

Godziny minęły od czasu, gdy bez ostrzeżenia odleciały samoloty. Dźwięk ich ogromnych huczących silników pozostał jeszcze na długo. Runęły ponad wzgórzami, latając po obwodzie ziemi, kierując się w miejsce zaznaczone na wycinku map terenowych.

Młodzi mężczyźni byli długo ćwiczeni i trenowani w słońcu odległej Arizony, zanim mogli zasiąść w kompleksie kabin pilota phanto-mu, wartych miliony dolarów. Szukali krzyżujących się śladów kół samochodów ciężarowych na piasku, tysiąc pięćset metrów pod nimi, a potem tropili uważnie zamaskowaną linię namiotów. Wtedy mogli już zwolnić ciężkie kanistry o kształtach torpedy, zawierające galaretowatą ropę, której przez bezimiennego naukowca została dana nazwa "napalm". Piloci prowadzili samoloty dalej, do następnego celu i dlatego nie widzieli, gdzie wylądowały kanistry. Nawigator obrócił się -było to trudne w obejmującym go całego, zamortyzowanym siedzeniu w kształcie litery G, ale on też mógł tylko zobaczyć chmurę gęstego, ciemnego dymu i nie wiedział czy misja zakończyła się sukcesem, czy nie.

Szef Zjednoczonego Dowództwa był w namiocie. Nie ogolona, zmęczona twarz spoczywała na zgiętych ramionach. W butelce po pepsi-coli stała świeczka. Światło migotało - to wiatr zimnej nocy, który wirował przez klapę namiotu, zbliżał się do płomienia, próbując go zdmuchnąć. To były chwile, które przeklinał i których nienawidził, chwile, kiedy był bezsilny i niezdolny do odpowiedzenia na cios. Czterech nieżywych, spaleni i nie do zidentyfikowania, ich ucięty krzyk. I technika wroga, jego szybkość i wiedza, które nie dawały mu szansy, choćby nawet słabego odwetu możliwego dla ludzi na ziemi. Nic, tylko przekleństwa i plugastwa wykrzykiwane w pył, który osiadł na kruchych skałach i czekanie na ich powracające echo. I ludzie, którzy zginęli spaleni, pośpiesznie zakopani w płytkich dołach i kurzu.

Podwładni, widząc że chce być sam, opuścili go, kiedy wrócił do namiotu. Inni będą dbali o morale młodych mężczyzn, którzy układali ciała, rejestrowali je, zatroszczą się o to, żeby ich nienawiść przeszła na wrogów za granicą. Na stole leżała samotna kartka papieru, przyniesiona przez dziennikarza z Bejrutu, który był tu i odjechał przed przylotem odrzutowców. Czytał ją parę razy, nie zdradzając informa

cji nawet najbliższym kolegom, szamoczącym się pomiędzy nieszczęściem i tragicznymi wiadomościami, jakie przyniósł dzień. Jeden z nich, Saleh Mohammed był tam, u celu i spotkał się z człowiekiem kontaktowym. Najlepszy chłopak jakiego miał, przeżył.

To ich zniszczy, wiedział o tym. Tak szczegółowo i fachowo opracowany plan, że miał ochotę wziąć go w ramiona i pocałować - nieśmiałego rekruta, który pracował nad tą koncepcją i przekroczył granicę. Rozwagał nie tylko operację, ale myślał także o jej konsekwencjach, o potężnym ciosie, jaki zostanie zadany państwu izraelskiemu. To ich zaboli, skręci narodowy kark...

Stary człowiek, który był jego ochroną, wszedł głośno do namiotu.
- Jedzenie dla ciebie, Ahmed. Czas na posiłek. Nie możesz siedzieć, głodować i smucić się.

Był jedyny w obozie, który mówił do niego po imieniu. Tak było już od ośmiu lat. Razem zajmowali się domem w Karameh, kiedy Izraelczycy przyszli w silnych brygadach do wioski uciekinierów za rzeką Jordan, dziesięć miesięcy po sześciodniowej wojnie. To powinno być dla nich takie łatwe, ale wtedy po raz pierwszy Palestyńczycy stanęli do walki. Cynicy mówili, że to dlatego, iż nie pozostawiono im szansy ucieczki. Była w tym prawda, ale wtedy fedaini nie rzucili broni i nie poddali się. W Izraelu zapanowała żaloba, gdy przedstawiono straty w ludziach - ponad dwudziestu zabitych, ponad siedemdziesięciu rannych. A w Ammanie tańczono i bawiono się, gdy zdobyty czołg Centurion przejeżdżał antycznymi, wąskimi, krętymi uliczkami w górach pomiędzy Palestyńczykami. Było co wspominać - drogo za to zapłacili, ale wtedy zaczął się ruch oporu. Godziny w zniszczonym budynku ostrzeliwanym przez czołgi i Kałasznikowy, bombardowanym przez działa, zacieśniły więzi pomiędzy dwoma mężczyznami. Stosunki nie zmieniły się. To było do przyjęcia i stary człowiek wiedział, kiedy był potrzebny.

Postawił talerz przed dowódcą, fasola, ryż i sos z cielęcym mięsem pokrojonym na małe kawałeczki.

- Mieli swój dzień, Izraelczycy. My też będziemy mieli nasz. Niełatwa jest droga do zwycięstwa - powiedział starszy mężczyzna

- To co uczynili przeciwko nam, to nic w porównaniu z uderzeniem, które ich czeka.

Stary mężczyzna rzadko słyszał wynurzenia dowódcy. Nic nie odpowiedział i ułożył łyżkę i widelec przy talerzu naprzeciw niego.

- W ciągu najbliższych godzin, może dopiero za dwa dni - kontynuował przywódca - uderzymy tak, że będą skowyczeć jak psy.

- Zagranicą? - zapytał za smutkiem. Znał ryzyko, pakował już wiele razy rzeczy, które zostały po oddziałach samobójczych.

- Za wieloma granicami. Daleko stąd. Bouchi, Dani i ten trzeci, pamiętasz? Pojechali do Europy. Bouchi i Dani nie żyją, a ten trzeci sam przeszedł. Robi co trzeba, już jest blisko celu. Dziś lub jutro ruszy i wtedy świat o nim się dowie. - Wymawiał pośpiesznie słowa, zatrzymując się, gdy nabierał do ust jedzenie. Nie patrzył na człowieka, który za nim stał. Kiedy talerz był pusty, oparł się znów o poręcz krzesła i mówił przed siebie.

- Jego celem jest David Sokarev. Najwyższej wagi dla nich, ale człowiek, o którym nigdy byś nie usłyszał. Jest ze świata nauki, z fundamentów nauki. Zajmuje się budową atomu i podziałem atomu, uzyskiwaniem jego energii. Ukrywają się jak ślimaki pod wilgotnym kamieniem. Rzadko wypełzają na światło dzienne, ale Sokarev wypełzł. W Londynie. Tam go spotka i zabije.

Stary mężczyzna obserwował, jak dowódca odwrócił się w jego stronę. Widział podekscytowanie w jego oczach, brązowych i głęboko osadzonych. Gdy czekał na wiadomość o akcji Kiryat Shmona, gdzie miało być wyeliminowanych wielu wrogów, stary człowiek widział podobne spojrzenie - fanatyczne oczekiwanie na spełnienie.

- Mają osiem bomb, może teraz już dziewięć - mówił dowódca, patrząc w oczy tamtego i nie mogąc opanować drżenia w głosie.

-Nieduże, wielkości tych w Hiroszynie i Nagasaki. W mieście zabijają dziewięćdziesiąt do stu tysięcy. Wysysają powietrze z płuc, palą ciała ludzi, oślepiają, działają tak, że ci, którzy przeżyją, wydadzą na świat dziwaczne mutanty. Nie zrobią tego, co amerykańscy sojusznicy nazywają "bombą oczyszczającą". Nie będą marnować wysiłków i wydatków na takie subtelności. To będzie broń zarazy i trucizny i to będzie ich ostatnia broń. Chowają się za nią, wiedząc, że sama tajemnica o jej istnieniu daje im siłę. Człowiek, którego zabijemy, człowiek, który stworzył bombę, kocha ją, wielbi, spędza swoje życie w poszukiwaniu jej najwyższej efektywności.

- A kiedy umrze, co się zmieni? - zapytał stary człowiek.

- Wyeliminowanie Sokareva uświadomi światu siłę Izraela. Kiedy będzie martwy, z kontynentu do kontynentu będą przepływały informacje i świat zacznie się dziwić, dlaczego Palestyńczycy wybrali zemstę na kimś wyglądającym tak niewinnie, tak nieszkodliwie. A my powiemy im, dlaczego właśnie on został wybrany, powiemy o Dimonie, o plutonie, o reaktorach. I kiedy się o tym dowiedzą, ogarnie ich strach. Strach przed chmurami w kształcie grzyba, załatwiający "problem Środkowego Wschodu", jak to nazywają, strach przed zniszczeniem potężniejszym niż można sobie wyobrazić, zanim ten bardziej inteligentny od nich człowiek nie pokaże im tego. Cały świat będzie mówić o bombie Izraelczyków. Wszyscy będą domagać się inspekcji i kontroli; Amerykanie będą tego chcieli choćby po to, by uciszyć ich krytykę. I gdy bomba będzie zabezpieczona, ostatnia obrona zabrana, będą słabi i wtedy można będzie ich pobić. Ich ludzie nie są niezastąpieni. Dajan nie był niezastąpiony i Sharon w kanale, i Rabin, Ebal i Peres, wszyscy mają za sobą innych, którzy czekają, żeby przejąć ich miejsca. Sokarev też. Inni naukowcy mogą usiąść za jego biurkiem, ale nic nie może zastąpić bomby. To koniec, odpowiedź na ich strategię obronną w następnych wojnach toczonych przeciwko nim. Jeśli to się stanie, tak jak wierzymy, jeśli rządy świata będą żądały informacji o broni i zaczną ją kontrolować, wtedy Izraelczycy stracą wszystko i pójdą na dno. Dlatego zabijemy Sokareva.

Stary człowiek pocierał palcami szczecinę brody, zastanawiał się, brwi miał zmarszczone, był zakłopotany.

Dowódca zaśmiał się jak człowiek, który zdradził przyjacielowi plan zdobycia kobiety, którą obaj uważali za nieosiągalną.

Stary mężczyzna nigdy nie słyszał, żeby dowódca mówił w ten sposób.

- To dziwne - powiedział cicho - jak śmierć człowieka może wstrząsnąć światem bardziej niż jego życie, które tak długo starał się udoskonalać.

Wyszedł z namiotu, zabierając ze sobą talerz i szedł po ciemku, ale ze znajomością terenu przez piasek, omijając sznurki podtrzymujące namiot. Ta noc była bardzo pogodna, księżyc i nieskończone morze gwiazd.

Dowódca zgasił świeczkę i zsunął z siebie drelichową kurtkę i spodnie. Przeszedł po omacku do wąskiego płóciennego łóżka i przykrył się prześcieradłem. Nie miał trudności ze snem. Wspomnienie czterech spalonych postaci już odeszło i myślał o małym człowieku o smutnej twarzy, którego zdjęcie widział. Widział twarz wykrzywioną strachem i karabin wymazujący ten obraz. Słyszał krzyk tamtego i rytmiczny jazgot karabinu maszynowego.

Za płócienną ścianą obóz pogrążony był w ciszy. Słyszać było tylko szuranie stóp wartownika i w wiosce odległej o milę psa, szczekającego na swoją sukę.

Było już po trzeciej rano we wtorek, kiedy Jimmy wrócił do swojego mieszkania. W "Leconfield House" zdał sprawozdanie Jonesowi, wrócił do hotelu i zobaczył, że Sokarev jest już w łóżku. Przez pół godziny wędrował po hotelu, sprawdzając wyjścia przeciwpożarowe (czy nie można przez nie wejść), zadowolony, że chłopcy z branży byli na swoich miejscach. Rozmawiał krótko z czuwającym Izraelczykiem Elkinem. Drugi spał na łóżku przed nimi. Rozmawiali o bzdu-rach, Jimmy wesoły, a Elkin ostrożny, jakby niepewny. Jimmy powiedział, że będzie z powrotem wcześniej rano i powtórzył, że w żadnym wypadku nie mogą tu wchodzić goście, aby zobaczyć się z Sokarevem, i że nie może on opuszczać swojego pokoju.

W korytarzu przy drzwiach stał mężczyzna z Oddziałów, drugi przy windzie, dwóch następnych w holu hotelowym na parterze.

"Dużo ich tu - pomyślał Jimmy - bez cienia szans na atak."

Wyszedł z hotelu przez główne drzwi, spokojny, że nic złego nie może się stać tej nocy.

Z hotelu jechał przez dwadzieścia minut na południowy wschód, dopóki nie dotarł do Richmond. Blokady drogowe były wciąż r»a swoich miejscach, przeszukując podróżnych, wyjeżdżających z tej dzielnicy. Z łatwością znalazł posterunek policji, w bocznej uliczce przy moście, gdzie wiatr przywiewał zapach przy gruntowej wody rzecznej. Noc była zimna i wilgotna. Wysiadł z samochodu i pośpieszył przez park na tyły posterunku. Wielu policjantów uwijało się tam jak w mrówczym kopcu, w który wbito szpadel. W normalnych okolicznościach byłoby trzech, może czterech na służbie w nie oświetlonym na

zewnątrz budynku, czekających na swoich zmienników. Teraz światła były zapalone, jaśniały dokoła budynku, w korytarzach pełno było śpieszących gdzieś mężczyzn; jedni umundurowani, inni w codziennych ubraniach. Dalekopisy przynosiły informacje ze Scotland Yardu, dzwoniły telefony. Przy biurku w holu frontowym Jimmy okazał swoją kartę i obserwował, jak znudzone rysy twarzy sierżanta ożywiają się. Został poprowadzony na pierwsze piętro i wskazano mu otwarte drzwi pokoju, gdzie wokół stołu siedziała grupa mężczyzn. Powietrze było pełne dymu, blat zavalony mapami i plastikowymi kubkami po kawie.

Główny oficer nie marnował czasu Jimmy'ego. Był mu za to wdzięczny. Wyjaśnił, co już zrobili, co teraz robią i co planują na rano. Wyjaśnienia były dokładne i rzeczowe, nie pomijały niczego. Pokazał mu, gdzie właśnie szukają, gdzie znajdują się blokady drogowe, patrole i lotne brygady, gdzie personel techniczny, pokazał lokalizację domów, do których planowali jechać o świcie. Ale mógł odczytać odpowiedź, której szukał, w ich ściągniętych, niezadowolonych twarzach. Nie było tego oczekiwania jak w oczach myśliwego, który myśli, że zbliża się do celu. To była rutyna, dobra rutyna i temu nie zaprzeczał, ale nie mieli wystarczającej ilości materiałów, aby się na nich oprzeć. Wiedzieli to i rozumieli, że aby schwytać mężczyzn, których rysopisy były rozwieszane w całej dzielnicy, musieliby mu cholerne szczęście. Policjant nie oczekuje szczęścia, nie liczy na nie, Jimmy wiedział o tym. Wyczuł, że wśród tych, którzy wkładali swoje wysiłki w poszukiwanie, tylko kilku w pokoju, w którym siedział oczekiwało, że noc będzie ukoronowana zwycięstwem.

Gdy jechał do domu, myślał, że to nie była całkiem stracona podróż. Jimmy lubił wiedzieć na czym stoi i monotonne opisy akcji policyjnej w mieście dostarczyły mu informacji, których szukał. Znowu prysnęli, małe dranie. Wolni i uzbrojeni, przysuwający się centymetr po centymetrze bliżej celu. Mieli całe dwa dni na atak "Jeśli są blisko, chłopie, to muszą mieć jakieś szanse. Nie ma co do tego w pliwosci. Podoba ci się to, ty mały łajdaku - powiedział do siebie -właśnie chciałeś. Nie byłbyś zadowolony, gdyby ich złapali i mus' byś zwrócić PPK ani razu nie użyty. Nikt nie lubi lisa, który nie uci ka."

Wszedł do mieszkania, zdjął buty przy drzwiach i na palcach wszedł do pokoju. Była tam Helen, prawie cała odkryta; nogi i ręce rozrzucone we śnie. Znów jej nawet nie dotknął, biedactwo. Znów zawód. Rozebrał się, rzucając swoje ubrania na dywan i wszedł do łóżka ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Jego obecność musiała dotrzeć do dziewczyny, bo objęła go w pasie ramieniem, ale nie obudziła się i Jimmy leżał nieruchomo, dopóki nie zasnął.

Nigdy nie miał trudności, nawet wcześniej, gdy miał strzelać i jednocześnie mógł zostać zastrzelony lub gdy życie drugiego człowieka zależało od jego bystrości i czujności. Nie czuł napięcia. Zabijanie nie było ważne dla Jimmy'ego i dlatego szybko zasnął. Dlatego też Jones go wybrał i dlatego dyrektor generalny tolerował jego obecność na liście płac.

14.

Zimno obudziło Famy'ego. Przysypiał, kulać się pod swoim] czem na tylnym siedzeniu, zwijając się, aby uciec przed zimnem, lre było coraz dokuczliwsze. Przez moment nie wiedział, gdzie jest patrzył w dach samochodu. Potem podniósł głowę, by spojrzeć pr okno. Gdzieś w dali słyhać było hałasy, nawołujące się dziecięce g* sy, szum włączanych silników. Przez okno zobaczył brudne kształty wieżowców, szarych i pokrytych smugami, przez lata wystawianych na deszcz i wiatry, wznoszących się w skomplikowanych i identycznych rzędach, za wysokich, żeby mógł je całe objąć wzrokiem. Była tam kobieta, krzycząca coś do idącego do pracy mężczyzny. Między wieżowcami znajdowały się zbudowane z prefabrykatów garaże, a bliżej dwumetrowe ogrodzenie z siatki, powyginane i pokrzywione tam, gdzie dzieci wspinały się na nie. Na samym końcu twardej, pękanej ziemi, tam, gdzie stały zaparkowane samochody, był następny płot, a za nim tory kolejowe. Niektóre samochody były bez opon, nawet kół, z otwartymi drzwiami, opuszczone, gdy przestały być už teczne, a były zbyt kłopotliwe, by wywieźć je na złomowisko.

Famy przeciągnął się, żeby spojrzeć na przednie siedzenie, dziewając się, że zobaczy tam leżącego McCoya. Zobaczył jednak pustkę.

Usiadł, wyciągając swoje zastale kości do przodu, w poszukiwaniu potwierdzenia, gdyż ten fakt dopiero do niego docierał. Dwa siedzenia, skrzynia biegów, kierownica, tablica rozdzielcza, nic więcej. Zaczął się pocić. Znów spojrział przez okno, rozglądając się we wszystkich kierunkach, a potem opadł na siedzenie. Szybkim ruchem sięgnął po teczkę i macał ją palcami, dopóki nie wyczuł twardego kształtu karabinu. Ale gdzie był ten cholerny Irlandczyk?

Przypomniał sobie kłótnię, cierpkie słowa poprzedniego wieczoru i długą ciszę, kiedy szli i jechali przez Londyn. Nie może ufać nikomu, tylko sobie, powinien był to wiedzieć. Ufać obcemu, którego zaangażowanie było połowiczne, było szaleństwem. Famy poczuł ogromne wyczerpanie. Jak mógł iść dalej sam? Czy może sam wszystko zrobić?

Zaczął płakać. Nie miał siły, by pohamować łzy, wciskając głowę w twarde kołnierzyk. Nie płakał od wielu lat, od kiedy jego najmłodsza siostra umarła mając pięć lat, a gdy dorósł, szczycił się swoją umiejętnością kontrolowania emocji. Ale to, że Irlandczyk opuścił go śpiącego i bezbronnego, zdradził go, uciekł, nie mając odwagi powiedzieć mu tego w twarz... To była rana bolesna i rwąca.

Otworzył drzwi samochodu i wyszedł na zewnątrz. Na zegarku było po ósmej i słońce wschodziło wysoko za budynkami, rzucając cienie na zboże, które rosło dziko na otwartej przestrzeni. Odszedł ostrożnie od samochodu, rozglądając się dookoła, dopóki nie doszedł do bramy, która prowadziła do drogi, a dalej do rzędu ceglanych domów za długim ogrodzeniem. Ludzie nie zwracali uwagi na wysokiego, młodego mężczyznę. Gdy jego wzrok objął krótki horyzont kominów i anten telewizyjnych, trochę wysiłku zabrało mu uświadomienie sobie, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Jechali jeszcze długo po przejechaniu mostu, wiedział to, bo podskakiwali na wybojach. Potem przypomniał sobie plan A-Z, który zostawił w teczce i zaczął szukać nazwy ulicy, która pomogłaby mu ustalić mniej więcej, gdzie jest. Tabliczka musiała być na końcu ulicy, przy skrzyżowaniu. Ale na chodniku było za dużo ludzi idących do pracy, do szkoły i na zakupy. Postanowił wrócić później i znaleźć jej nazwę.

Teraz odwrócił się na pięcie i wycofał powoli w kierunku samochodu. Wszystko już postanowił. Nie było możliwości, żeby zrezygnował, idąc w ślady Irlandczyka. Gdy ludzie ze Zjednoczonego Dowództwa przechodzili przez granicę wroga, nie było odwrotu, jeśli byli odcięci i otoczeni u celu. Stali, walczyli i ginęli tam, gdzie byli uwięzieni. Niewielu czekało na pochwały od przyjaciół po udanej misji, żaden nie wrócił, by przyznać się do porażki. Porażka i poddanie się były hańbą w takich ugrupowaniach jak jego. Będzie działał z desperacją, aż zwycięży wroga.

"Jeśli stracimy odwagę - myślał - możemy złożyć broń, zwinąć drelichowe mundury i wrócić do pług na polach Libanu i Jordanu. Nigdy nie zobaczymy wzgórz Nablusa i grobów Hajfy."

Przypomniał sobie wiersz, który czytał w Bejrucie, napisany po sześciomiesięcznej wojnie. Jeden wers pozostał w pamięci, jasny i nie

skomplikowany: "Ludzi można podzielić na dwie grupy: - tych, którzy się uśmiechają bezmyślnie i krzywo, którzy się poddali i resztę z nas, która się uśmiecha, aby udowodnić, że nie ma ro* twa w środku".

To był wyrok śmierci na samego siebie. Świadoma i przemyślana decyzja. Ale taką samą decyzję powzięli jego bracia w Beisan, na fregacie morskiej w Tel Awiwie czy Nohariya. Zostali, żeby umrzeć, akceptowali nieuchronność śmierci. Poczuli uczucie wielkiego spokoju i skupienia. Łzy spłynęły mu po policzkach i ten głęboki ucisk w środku zniknął. Nie będzie żadnych podejrzeń, żadnego robactwa.

Mackowicz nie poinformował Sokarewa, że do hotelu przyjąć gościa na wspólne śniadanie z naukowcem. Pozostawiono go w swoim pokoju bawiącego się grzankami, małymi kostkami masła i plastycznym słoikiem dżemu, nieświadomego gorącej dyskusji, odbywającej się w holu hotelowym. Kiedy wysoki, białowłosy, wyprostowany mężczyzna, sir Humphrey Talbot, honorowy członek Towarzystwa Królewskiego, w okularach w kształcie półksiężyca, nałożonych szkłach na nasadę nosa, zapytał w recepcji o numer pokoju Izraelczyka mężczyzna z Oddziałów Specjalnych złożył gazetę, podszedł do niego, nakazując dziewczynie za biurkiem, żeby nie podawała informacji.

- Czy mogę panu pomóc, sir? - jego głos był niski, niesłyszalny innym gościom, którzy tłoczyli się przy recepcji, wieszając klucze, pytając o innych gości, wypisując czekikil podróże.

- Nie sądzę - odparł i odwrócił się w stronę dziewczyny. - damo, pytałem panią o numer pokoju Davida Sokarewa.

- On nie przyjmuje gości - odparł detektyw.

- A kim pan jest? - z kpinką w głosie powiedział mężczyzna, już złym humorze z powodu spóźnienia i co ważniejsze, wczesnej pory, której musiał wstać, żeby przyjechać z domu w Cambridge i zjawić się na umówione spotkanie.

- Detektyw sierżant Harvey, Oddziały Specjalne, Scotland Yard. Obawiam się, że profesor nie będzie mógł się spotkać z nikim dzisiaj rano. To bardzo jasna instrukcja, sir. Mam nadzieję, że to nie sprawiło panu kłopotu.

- Oczywiście, że sprawiło mi kłopot. Przyjechałem, żeby zobaczyć się z tym człowiekiem. Mam od niego list zapraszający.

Sir Humphrey sięgnął do swojej wyblakłej, skórzanej torby, przerzucił papiery i z triumfem w oczach wyjął jednostronicowy list.

- Tutaj, proszę przeczytać. Prosto napisane i z jego własnoręcznym podpisem na dole, a papier z nagłówkiem Dimony.

Detektyw przeczytał, przeprosił na chwilę gościa i podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu. Mówił szybko i sir Humphrey nie słyszał go, po czym odłożył słuchawkę i podszedł z powrotem.

- Jeden z kolegów profesora zejdzie na dół, żeby się z panem spotkać, sir. Aby wyjaśnić sytuację.

- Ale przecież on podróżuje sam. Jest napisane w liście...

- Sądzę, że przekona się pan, iż w ciągu ostatnich paru godzin trochę się zmieniło, sir. Czy czytał pan poranne gazety?

- Oczywiście, że nie. Żadnej nie czytałem, jedynie rzuciłem okiem.

- Gdyby pan czytał, wszystko byłoby dla pana jaśniejsze. Drzwi windy otworzyły się i wyłonił się z nich Mackowicz. Kurtka była pośpiesznie założona, kołnierzyk koszuli zagięty.

"Dobrze, że chociaż schował rewolwer pod ramieniem, cholerny cowboy - pomyślał detektyw. - Mógł się do tego czasu ogolić."

Mackowicz przeczytał list i oddał go z powrotem.

- Żałuję, ale pańska wizyta jest niemożliwa. Profesor Sokarev nie przyjmuje gości przed swoim wykładem dziś wieczorem. Przykro mi. W głosie sir Humphreya pojawiła się złość.

- Ależ to jest całkowita bzdura. Przejechałem pół południowej Anglii, aby przybyć na zaproszenie profesora, a pan, nawet na tyle nie wychowany, by się przedstawić, mówi mi, że nie powinienem był przyjeżdżać. Cóż to za nonsens?

- Nazywam się Mackowicz. Jestem tu z profesorem. Mogę tylko powtórzyć swoje przeprosiny, że nie został pan uprzedzony przez naszą ambasadę, iż spotkanie z profesorem Sokarevem nie będzie możliwe.

- Domagam się rozmowy telefonicznej. On jest moim starym przyjacielem.

- To również, obawiam się, nie będzie możliwe. On nie odbiera telefonów. Przykro mi, sir.

Sir Humphrey nie był przyzwyczajony do odnoszenia się do niego w ten sposób. Nie wiedział, jak zareagować na młodego mężczyznę w rozpiętej koszuli, jasnej, skórzanej kurtce i z jednodniowym zarostem, który patrzył na niego tak pewnie.

- A kiedy, na Boga, będę mógł go zobaczyć?

- Czy idzie pan na wykład profesora Sokarewa dziś wieczorem?

- Oczywiście, że idę. Jestem przewodniczącym.

- Tam będzie okazja - powiedział Mackowicz. - Widzę z listu profesora, iż oczekiwał, że zawiezie go pan na wykład. To również, obawiam się, zostało zmienione. Ale na uniwersytecie będzie miał możliwość spotkać go i porozmawiać.

- A może byłby pan tak miły i poinformował mnie, jaki jest powód tych obłąkanych decyzji?

Detektyw podał mu gazetę.

- Najwyraźniej nie czytał pan wiadomości, sir. Może to pomoże panu zrozumieć nasze problemy.

- Oczywiście, że czytałem nagłówki, ale chyba ani na moment nie przyszło panom do głowy, że mógłbym stanowić groźbę dla...?

Mackowicz przerwał mu:

- Z powodu zaistniałej sytuacji zdecydowano, że profesor nie będzie przyjmował gości. Nie ma w tym względzie żadnych wyjątków.

Wszedł do windy i odjechał.

Zdenerwowany i zakłopotany sir Humphrey podszedł do drzwi, a mężczyzna z Oddziałów Specjalnych znów usiadł na krześle, zlewając się z otoczeniem, niepozorny i niezauważalny.

Cztery piętra wyżej Sokarev skończył śniadanie i chodził strapiiony po pokoju. Elkin spał, a Mackowicz był złym towarzyszem. Jeszcze ponad godzina do przyścia maszynistki z ambasady, aby podyktować wykład, a to przynajmniej oderwie go od towarzystwa młodych ludzi którzy łązili wokoło z zakłopotanymi, zachmurzonymi spojrzeniami od ich maszynowej broni i krótkofalówek. Przygotowanie prelekcji zajmie mu cały ranek, a potem może będzie mógł zasnąć. Przybędzie przecież wielu dystygowanych ludzi nauki, aby usłyszeć go wieczorem i chciał być w najlepszej formie. Popołudniowy odpoczynek może.

Jim my spał twardo, śniąc bezsensowny sen, w którym przeplatały się obrazy wsi, żywopłotów, zarosłych chwastem polan i zwierząt tam zamieszkałych. Walczył o sen z rosnącą konkurencją dziennego światła, które płynęło przez nie zasłonięte okno.

"Głupia dziwka - pomyślał zły, kiedy się obudził - nigdy ich nie zasłania. Pewnie się tam rozbiera, przy oknie, dostarczając orgazmów połowie Holbom."

Nie zauważył tego, gdy wrócił do mieszkania. Za długo był poza domem. Za długo trwała rozmowa z Jonesem przed pójściem do hotelu i do Richmond. "Cholerny koleś, jakby nie chciał, żebym tam jechał. Chce być uwielbiany". Jimmy widział to. Samotny szef z całym tym chaosem rosnących stosów na biurku. Jones był spięty, mówił więcej niż zwykle, nerwowo palił fajkę i ciągnął za skórę przeszczepu poniżej ust. Życzył Jimmy'emu szczęścia, kiedy wychodził. Nigdy tego nie robił. To było trochę śmieszne, rodzaj ojcowskiego błogosławieństwa, a Jimmy był przecież niecałe trzy lata młodszy i tak samo w zmiernym wieku jak tamten.

Helen ciągle spała. Jedno z nich zawsze spało; wydawało się to być najbardziej stałym faktem ich wspólnego życia. Śmiali się z tego razem, przeklinali samotnie. Dobrze wyglądała, zawsze dobrze wyglądała, gdy spała, niezbyt chętna do zbudzenia. Już była spóźniona do swojego obskurnego pokoju, gdzie spędzała dni, wtłoczona między biuro Jonesa i korytarz. To była niewolnicza praca, jaką wykonywała dla Jonesa. Jimmy mówił jej o tym wystarczająco często, ale ignorowała go. Jones mógł się trochę popocić jednego ranka, może przestanie ją uważać za coś, co mu się należy.

Sięgnął nad nią, leżąc na brzuchu, ostrożnie, żeby nie przeszkodzić jej w głębokim śnie. "Nie wyglądasz najlepiej, kochanie." Koło jej ust były zmarszczki, które za kilka godzin przykryje makijażem. Jimmy nie zwracał na to uwagi; znaki wieku, które tworzyły się na jej ciele, nie przerażały go.

Ze stojącego obok stolika podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer hotelu, w którym przebywał Sokarev. Gdy połączono go z pokojem na najwyższym piętrze, rozpoznał głos Elkina, bardziej miękki i pojednawczy niż tego drugiego drania. Brzmiał raźnie. Powiedział,

że w nocy nic się nie wydarzyło, że profesor obudził się, zjadł śniadanie i teraz pracował nad treścią swojego wieczornego wykładu. - I żadnych gości, pod żadnym pozorem, tak? - zapytał Jimmy.

- Takie są polecenia. Przyszedł jeden facet i chciał go zobaczyć, jakiś naukowiec. Mack dał sobie z tym radę. Był trochę kłopotliwy, ale wyszedł.

Jimmy wzdrygnął się na samą myśl. Mógł sobie wyobrazić, jakim tonem Mackowicz wyjaśnił sytuację.

- Wkrótce przyjadę - powiedział. - Muszę jeszcze załatwić parę spraw, ale będę przed lunchem, i na Boga, żadnej służby hotelowej czy posiłków z kuchni do pokoju. Jeśli będzie czegoś potrzebował, będzie musiał się bez tego obyć albo wy to sami przyniesiecie.

- Za drzwiami jest wystarczająco dużo policji na obsłużenie bankietu, ugotowanie potraw i pozmywanie naczyń po wszystkich.

- Nie bierz ich pod uwagę. Mają tam być i sprawiać wrażenie, że jest ich dużo. Cyrk ma dobrze wyglądać. Jeśli zajdzie potrzeba, zrób to sam. Będę koło dwunastej.

Jimmy wygrzebał się z łóżka i poszedł do łazienki. W mieszkaniu nie było wiele poza tym, tylko kuchnia. Potrzebował odwiedzin kogoś takiego jak Helen, raz czy dwa razy w tygodniu i sprzątnięcia mieszkania, gdy czekała na niego. Ale żyć tu razem... Kłóciliby się stale, wrywając sobie włosy z głowy i cierpiąc na klaustrofobię. To nie był zły układ. Dostatecznie dużo czasu razem, ale minimum zobowiązań. Ci w departamencie, którzy znali ich oboje, i którzy wiedzieli o ograniczeniach tego związku, kładli wszystko na karb wzajemnej minionej samotności. Jimmy zaprzeczałby temu zapewne gwałtownie, Helen uśmiechnęłaby się i zmieniła temat. Ich przyjaciele generalnie zgadzali się, że żadne z nich nie pozwoliło na podkopanie ich indywidualności w departamencie.

Gdy ogolił się i wyszorował zęby, aby wytepić smak ostatnich n:nych papierosów, ubrał się. Robił to powoli i rozważnie, jakby przygotowywał się na ważne spotkanie, rozmowę w sprawie nowej pralub wieczór z narzeczoną. Spodnie były jednak mocno pogniecione (spuścizna po nocnych godzinach, gdy leżały zmięte na dywanie), koszula, którą wybrał, była czysta, ale nosił ją już wiele razy, a kołnierzyk był wystrzępiony, tam, gdzie bawełna wytarła się o nie ogoloną

szczecinę jego karku. Nie było guzika, ale to mógł zakryć krawat. Skarpety też były czyste, nie dziurawe - doskonałe. Zaśmiał się cicho i skrycie do siebie, gdy je nakładał. Kupił trzy pary - jedno z niewielu ustępstw dla ucywilizowania, które Helen próbowała na nim wymusić. Koło łóżka stały buty, brązowe i sznurowane. Na czubkach były pozdzierane i potrzebowały pastowania i wypolerowania.

Wyciągnął ze spodni chusteczkę, sprawdził, czy Helen śpi i potarł białym materiałem po skórze. Widziała raz jak to robił i podniosła wrzawę.

Z szuflady stołu, na którym stał telefon, wyjął pistolet, który dostał z "Leconfield House" i naramienną pochwę rewolweru, która była jego własnością. Futerał - wzmocniony czarny plastik, zamocował z tyłu pleców i na klatce piersiowej jak uprzęż konia wyścigowego. Włożył broń i prawie jej nie czuł. Kurtka wisiała na krześle, a gdy ją nałożył, PPK i jego zamocowania były dobrze ukryte. Ten sam krawat co wczoraj - RAF Klub Uciekinierów. Nic ekstrawaganckiego w motywie, tylko pelikan, i niewielu, którzy przechodzili koło Jimmy'ego na ulicy, znało jego przeznaczenie.

Potrząsnął Helen za ramię, delikatnie i z czułością, o którą niewielu, którzy nie za dobrze go znali, podejrzewałoby go.

- Obudź się, malutka, czas ruszyć w drogę.

- Która godzina? - zapytała na wpół śpiąc.

- Parę po dziewiątej.

- Ty świni! - krzyknęła, wygrzebując się z bezpiecznego ciepła pościeli.

- To piękny widok na rozpoczęcie dnia. - Jimmy śmiał się, obserwując, jak próbowała zakryć biodra i piersi kawałkiem koronki i nylonu, które ściągnęła z krzesła po swojej stronie.

- Jesteś świnią, Jimmy. Wstrętną, podłą świnią. Sam się już ubrał, a mnie nie obudził. Jones wyjdzie z siebie, kiedy zjawię się o tej porze. Wsunęła swoje długie nogi w spodnie, które nosiła poprzedniego dnia. Jimmy nie chciał, żeby trzymała w mieszkaniu zapasowe ubrania, więc w tym, w czym przyjechała nocą, wychodziła następnego ranka.

- To mu nie zaszkodzi. Niech się trochę spoci - powiedział Jimmy.

Nic nie powiedziała, koncentrując się na ubieraniu, a potem zajęła się swoją twarzą przed lustrem. Operując kredką i tuszem robiła miny i wytrzeszczała oczy. Szminkę nałożyła gwałtownym ruchem, rozmazany, żywy kolor, którego rzadko używała, wyczyściła papierową chusteczką, która leżała przez noc na toalecie.

- Idziesz dziś na wykład? - zapytał Jimmy, gdy stali na chodniku koło samochodu max i.

- Tylko jeśli będę musiała. Nie chcę być tam w charakterze turystki. Nie wiem, czy Jones idzie?

- Chciałbym, żebyś przyszła, mogę potrzebować samochodu. Gdybym miał wóz z departamentu, wszystko byłoby w porządku. Jeśli przyjedziesz, wjedź zaraz za konwojem i, gdy wpakują tego małego pédéraste z powrotem do łóżka, możemy gdzieś się ulotnić. Później do ciebie zadzwonię.

- Najprawdopodobniej Jones nie pójdzie. Będzie chciał iść do Yardu albo siedzieć przy telefonie.

- Czy przyjedzie tam, czy nie, chciałbym, żebyś była z samochodem. Otworzyła drzwi i usiadła głęboko w siedzeniu. Gdy zapięła pas bezpieczeństwa, powiedziała cicho i z cieniem kpiny:

- Chcesz, żebym zobaczyła bohatera w akcji "Dobro zwycięża"? O to chodzi?

Jeśli chodziło o wbijanie szpil Jimmy'emu, była w tym ekspertem.

- Spadaj do swojego nudnego biura! - krzyknął. - Zadzwonię do ciebie i chcę cię tam widzieć. Jeśli chcesz dostać coś do jedzenia, to lepiej przyjedź.

Samochód odjechał i zgubił się wśród innych pojazdów, pozostawiając Jimmy'ego na ulicy, w poszukiwaniu czarnej taksówki. Trudno było ją znaleźć w godzinach szczytu stolicy i chodził niecierpliwie przez pełne piętnaście minut, zanim mógł kiwnąć ręką i przebiec przez falujący ruch nadjeżdżających samochodów na drugą stronę jezdni, tam, gdzie czekał na niego kierowca.

Gdy jechali, Jimmy opadł głęboko w siedzenie, półświadom pędzącej masy, która sunęła koło nich z niedozwoloną prędkością. To był idealny kraj dla wojny partyzanckiej, wymarzone terytorium, na którym można było prowadzić bezwzględna i niegodziwą wojnę, którą

wróg doprowadził do doskonałości. Tysiące twarzy migotało za oknem samochodu, ich zajęcie własnymi sprawami - totalne, ich wiedza o groźbie - minimalna. Idealny teren-kryjówka, gdzie anonimowość pozostaje cnotą. W tym wielkim, mrówczym społeczeństwie, jaka mogła być nadzieja na znalezienie właśnie tych dwóch, którzy nie wyróżniali się przez sam fakt, że zadeklarowali swoją wrogość? Gdzie ich znaleźć? Gdzie zacząć szukać?

Może być tylko jedno miejsce. To miejsce jest tuż przy Davidzie Sokarevie. Nie dziesięć metrów od niego, nawet nie pięć, ale tuż za jego ramieniem. Jimmy nie czuł żadnego strachu na myśl o obrażeniach fizycznych. To co ścisnęło jego wnętrzności, to możliwość przegranej. Nigdy nie odstępował go ten strach. Skończy jako całkowity straceniec. Stawał mu przed oczami widok niskiego człowieka we krwi, ze zdziwieniem na twarzy i wyrazem zdrady, który prześladowałby go odtąd. To było okropne dla Jimmy'ego. Katastrofa nie do wypowiedzenia i nie do ogarnięcia, jeśli straci Sokareva.

Gdy dotarł do hotelu, gdzie miał spędzić resztę dnia do wyjazdu do Izby Senatorów, wyobrażenie ewentualnej porażki wprowadziło go w stan irytacji i napięcia.

Z miejsca, gdzie siedział skulony w samochodzie, Famy zobaczył McCoya wylaniającego się zza rogu i idącego ostrożnie do ich kryjówki. Dwa razy odwracał się, sprawdzając, czy nie jest śledzony, ostatnie dziesięć metrów podbiegł.

Pod ramieniem miał brązową, papierową torbę. Sięgnął do lewej kieszeni spodni, kiedy doszedł do okna, przez które gapił się na niego Famy. McCoy zauważył zdrewniałe zdziwienie na twarzy tamtego i smutek.

- Mam klucze. Żadnych problemów. Opowiedziałem niestworzoną historię staremu głupcowi w garażu, tam przy drodze i od razu dostałem. Mam cały komplet, powiedziałem, że zwrócę później. Mam też rękawiczki, których potrzebujemy do okien, motorowe, prawie do łokcia. Ze skóry i cholernie drogie. Mam nadzieję, że twoje towarzyszo też i wydawać forszę.

Zaśmiał się, lecz jego humor minął, gdy zobaczył brak reakcji na twarzy Famy'ego.

- O co chodzi? - zapytał McCoy. - Wyglądasz, jakbyś przed chw' wylądował w tej cholerniej Jerozolimie.

- Myślałem, że mnie zostawiłeś - wyszeptał Famy, bojąc się w* nych słów, ale musiał je wymówić.

- No pewnie, że cię zostawiłem, do cholery - powiedział McCoy. Mówiłem ci wczoraj, że potrzebujemy kluczy. Ty powiedziałaś, trzeba kupić rękawiczki. Co w tym takiego dziwnego?

- Myślałem, że mnie zostawiłeś już w ogóle. Że nie wrócisz.

- De razy, do kurwy nędzy, mam ci powtarzać?! - krzyknął w je stronę McCoy. - Jesteśmy razem. Mówiłem ci to. Raz w swoim pode. rzliwym, nędznym życiu spróbuj uwierzyć w to, co ci mówię.

Ciężkim krokiem, zły, zaczął chodzić dookoła samochodu. Ko~ puszkę, która z brzękiem potoczyła się po kamieniach i gruzach. Famy wyszedł z samochodu.

- Przepraszam - powiedział. - To było niegodziwe nie wierzyć Byłem podły w stosunku do ciebie. - Zamilkł, pozwalając słów dotrzeć do tamtego. - Jak spędzimy resztę dnia?

McCoy skinął głową. Mógł sobie wyobrazić uczucia Araba, g obudził się w pustym samochodzie.

- Powinienem był cię obudzić. Zapomnij o tym. Zostajemy tu cały dzień. Lepiej tu niż gdziekolwiek indziej. Stąd pojedziemy pro do senatu. Nie ma sensu niepotrzebnie gdzieś jeździć. Teraz potrzebujemy trochę snu. Nie chcę ziewać i myśleć jedynie o łóżku dziś wieczorem.

Kilku turystów, którzy zebrali się na chodniku, nic nie wiedziało mężczyźnie, który wysiadł z czarnego humbera i pośpieszył do p strzennego, cichego holu pod numerem dziesiątym przy Downing S Nie lepiej poinformowany był policjant przy drzwiach i odźwierny, k ry spojrzał z perforowanej karty na listę umówionych spotkań premi ra i porównał nazwisko z karty, którą mu podano, z listą leżącą biurku w korytarzu.

Dyrektor generalny został zawieszony windą do biura na naj ęższym piętrze, które główny polityk kraju zamienił na miniaturę mieszkanie, kiedy natłok pracy nie pozwalał mu na powrót do swo; go okazańszego domu w mieście. Dobrze wiadano, że żona

miera nie lubiła, gdy jej gościnny pokój tratowali administratorzy państwowi, członkowie parlamentu i wizytujący delegaci, więc kiedy jej mąż miał rano spotkanie, "spał nad sklepem", co, jak twierdził w rozmowie z odwiedzającymi go rankiem gośćmi, uwielbiał. Jadł śniadanie, ale w każdej chwili gotów był pojawić się publicznie. Brak marynarki zakrywającej kamizelkę był jedynym odstępstwem od oficjalności. Gdy nakładał marmoladę na grzanki, wskazał szefowi Służby Bezpieczeństwa krzesło przed sobą i posunął w jego kierunku porcelanowy dzbanek.

- Widziałem się dzisiaj rano z sekretarzem państwa - powiedział premier. - Powiedział mi, co robi policja w sprawie profesora i jego problemów. Chciałbym znać pańskie odczucia w tej sprawie i opinię na temat stanu gotowości pańskiego departamentu.

Pamiętniki, które z takim entuzjazmem spisywali byli politycy, były wystarczającym powodem dla dyrektora generalnego, żeby być czujnym. Uważał prośbę premiera za uzasadnioną, ale nie było potrzeby rozwodzenia się.

Wybrał ostrożną ścieżkę, opisując to, co tamten już wiedział. Zaczął od działań policyjnych w hotelu, wymienił środki bezpieczeństwa, które będą powzięte podczas przewożenia Sokarewa przez miasto. Wabik oficjalnego samochodu wyjeżdżającego z hotelu z dużą prędkością, podczas gdy naukowiec opuści hotel przez tylne drzwi i wejdzie do zamkniętego wozu policyjnego. Zmiana na bardziej oficjalny środek transportu odbędzie się na ukrytym podwórzu posterunku policji przy Tottenham Court Road, przed przyjazdem do zwykle zamkniętego bocznego wejścia głównego budynku uniwersytetu. Mówił o sile eskorty, która będzie użyta podczas przejazdu, o ilości strażników przy budynku i o poszukiwaniach, które powzięto na zewnątrz i wewnątrz sali, gdzie profesor Sokarev miał mówić. Nadmienił o labradorach, psach myśliwskich, wytresowanych do wykrywania materiałów wybuchowych i o metalowych czujnikach, których użyły cywilne załogi przed zamknięciem sali poprzedniej nocy. Mówił o policyjnej łączności i łączności z jego własnym departamentem. Przeszedł do sprawy sprawdzenia okazicieli zaproszeń na wykład i zatrzymał się na chwilę przy problemach kontroli osobistej, która musiała tak przebiegać, aby nie obrażała członków jednej z najbardziej uczonych in

stytucji kraju. Dotknął też sprawy konwoju i ochrony w czasie powrotu profesora do hotelu. Potem zamilkł i czekał na pytania premiera. Nadeszły bardzo szybko.

- No cóż, mówi pan o działaniach policyjnych. Wszystko w zasadzie powiedział mi wcześniej sekretarz państwa. A co wy robicie?

Dyrektor generalny nie śpieszył się. Mogło to być denerwujące i wiedział o tym, ale nie zrobił nic, aby zmienić tempo, w jakim udzielał odpowiedzi.

- Mam ludzi, którzy są szefami różnych departamentów, a oni są w kontakcie ze Scotland Yardem. Staramy się dostarczyć siłom policji stołecznej wszystkich informacji związanych ze sprawą, którymi dysponujemy.

- Czy macie jakiegoś człowieka przy Sokarevie?

- Mam człowieka tuż koło niego. Jest on moim bezpośrednim łącznikiem z ochroną policyjną i grupą ochronną Izraelskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, która przybyła z Sokarevem.

- Co to za człowiek?

- Doświadczony - odpowiedział dyrektor generalny.

- Doświadczony w czym? Prowadzeniu biura, łączności, sprawach arabskich?

- To strzelec.

Premier przestał jeść, odwracając głowę od okna i patrząc wprost na generalnego. Kawałek grzanki zatrzymał się dwa centymetry od jego ust.

- Jest chyba na to wystarczająco dużo policji? Myślałem, że postawicie tam któregoś z szefów, z umiejętnościami załagodzenia sytuacji, a nie rewolwerowca.

Dyrektor generalny był tak cierpliwy jak nauczyciel przeprowadzający małego chłopca przez problemy algebry, na które pewnego dnia będzie musiał odpowiedzieć, ale już nie w tym roku szkolnym.

- Postawiłem "rewolwerowca", jak to pan określił, koło Sokarewa, ponieważ największe ryzyko życia naszego gościa pochodzi ze strzału z bliskiej odległości. Mężczyzna, którego tam mam, jest o wiele bardziej doświadczony niż ktokolwiek inny. Nie będzie grał drugorzędnej roli w dzisiejszej akcji...

- Wydawałoby się - powiedział premier - ze sposobu, w jaki udziela pan pierwszeństwa niektórym sprawom, że akt przemocy uważa pan za całkiem możliwy.

Po raz pierwszy od kiedy usiadł, generalny nalał sobie teraz filiżankę ciepłej kawy. Zanim zaczął pić, powiedział:

- Biorąc pod uwagę znane nam fakty, uważam go za nieunikniony.

230

15.

David Sokarev przeszedł przez drzwi sali wykładowej budyr Senatu Uniwersytetu Londyńskiego, nie będąc zauważony. Spóź się i uwaga trzystu mężczyzn, którzy żyli ze studiowania fizyki jął wej, już dawno została odwrócona od nagromadzonych tam policja tów w cywilnych ubraniach, z wypchanymi marynarkami, którzy bl kowali główne wejście. Był już prawie w połowie drogi przez idąc w kierunku stołu przystrojonego jedynie mikroskopem i szkl nym dzbankiem z wodą, stojącym na tacy pomiędzy czterema sz kami, gdy ci, obok których przechodził, zobaczyli małą postać w sz rym garniturze, która wmieszała się pomiędzy nich, otoczona jak ; zaniec przez wysokich i mocno zbudowanych członków ochron manewrujących, aby utorować mu przejście. Niewielu z tych, któi przyszli, nie czytało porannych gazet, nie słyszało wiadomości radi wych czy nie oglądało biuletynu wiadomości telewizyjnych. Przez c ły dzień nagłówki wykrzykiwały wiadomość, że terroryści chcieli ; mordować naukowca, który teraz przechodził przez salę. Ci, którzy rozpoznali go pierwsi ze zdjęć, widzianych w ciągu ostatnich kilku godzin lub którzy spotkali go wcześniej, wstali z miejsc i zaczęli l skać. W ciągu paru sekund cała sala podjęła ten aplauz. Ludzie | zwyczajeni do pracy w ciszy nie byli oswojeni z okazywaniem swoi uczuć w tak jawny sposób. Ci, którzy byli dostatecznie blisko, widzi li smutne oczy Sokarewa, widzieli jak zdenerwowany oblizuje suc^L wargi. Może to brawa tak go zmieszały, bo gdy odwrócił się, aby i rzeć do tyłu i oszacować wielkość sali, jego stopy zaplątały się i rz ciło nim do przodu, zanim jedna z wielu rąk otaczających go ludzi, podtrzymała go. Gdy dotarł do swego stolika, wszyscy na sali, poza ochroną, stali klaskając w geście solidarności. Uśmiech, który zama- jaczył na jego twarzy, był jedynym gestem bezgranicznej wdzięczn ści. Próbował nie patrzeć, jak promienieją i wykrzykują słowa pop eia, a zamiast tego zajął się przecieraniem okularów i układani swoich notatek.

Jimmy pozwolił Mackowiczowi i Elkinowi stać po bokach Sokarewa, a sam ustawił się krok za nim. Drzwi zostały zamknięte na klucz, ubrani w cywilne stroje, lecz łatwi do rozpoznania policyjni strażnicy stanęli przy nich, zaopatrzeni w krótkofalówki, aby informować o każdym poruszeniu klamki. Nikt nie mógł niespodziewanie wejść. Dwaj Izraelczycy byli przy stole na podwyższeniu, Elkin przeszedł do bocznych drzwi, Mackowicz stanął po drugiej stronie, koło okna, zasłoniętego brązowymi, aksamitnymi zasłonami. Jimmy zobaczył, że Mackowicz przyniósł swój przeciwdeszczowy płaszcz. Ciepły, letni wieczór, czyste niebo, prognoza na słoneczną pogodę co najmniej przez następne trzy dni. Płaszcz trzymany przy biodrze oznaczał, że było tam uzi. "Ciekawe, czy włożył naboje - pomyślał Jimmy - czy włożył choć jeden w lufę?" Przy ścianach było czterech ludzi z Oddziałów, dwóch po każdej stronie. Pozostałych dwóch było na samym końcu, twarzą do Sokarewa i przybyłych na spotkanie. "Dziewięciu doświadczonych i uzbrojonych ludzi na sali powinno wystarczyć - pomyślał Jimmy - powinno stanowić gwarancję." Ale to, że Mackowicz ma broń maszynową, zaciśniętą w prawej ręce, rozjątrzyło go. Wyciągnął PPK z futerału i trzymał nisko za sobą przy ścianie. Ustawił się przodem do okien i widział Sokarewa po swojej lewej, a mężczyzn przy drzwiach po prawej stronie.

Kiedy w końcu na sali nastąpiła cisza, wstał przewodniczący i zaczął mówić. Wcześniej spojrział ze złością i potępieniem, na jakie tylko było go stać, w stronę Mackowicza. Nie znalazł reakcji, ale jego poranne oświadczenia w hotelowym holu wciąż bolały.

- Panie i panowie - zaczął. - Mam ogromny zaszczyt powitać na dzisiejszym spotkaniu najznakomitszego naszego kolegę z państwa izraelskiego, profesora Davida Sokarewa

Zamilkł i natychmiast wybuchły oklaski. Podniósł dłonie, żeby je uciszyć.

- Myślę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę, iż profesor uczynił nam wielki zaszczyt przyjeżdżając do naszego kraju. Jeśli uwierzymy choć w połowę tego, co czytamy w naszych codziennych gazetach, nie ma wątpliwości, że profesor Sokarev okazał ogromną odwagę, udając się tu dla dotrzymania swojego słowa. W najwyższych urzędach naszego kraju, niebezpieczeństwo, które podejmuje profesor Sokarev, jest

uważane za autentyczne. Sami jesteśmy świadkami przybycia tu wielu dżentelmenów, którzy, czego z całego serca żałuję, będą uważali ten wieczorny wykład za ogromnie nudny.

Słysząc było szmer śmiechów, gdy siwe i łysiejące głowy widowni zaczęły rozglądać się po ścianach, odnajdując mężczyzn z krótko ostrzyżonymi włosami, marynarkami zapinanymi na dwa guziki i zamiszowymi butami. Ale śmiech nie trwał długo, był przerywany i nerwowo. Obecność tych intruzów była zjawiskiem nie znanym dotąd ludziom, którzy przyszli słuchać profesora.

- Z powodu problemów, które dotyczą profesora Sokarewa od czasu jego przyjazdu tutaj, sam nie miałem jeszcze okazji rozmowy z nim, ale kiedy wystosowałem do niego zaproszenie na przyjazd i rozmowę z nami, sugerowałem, że może będzie chciał przedyskutować w naszym towarzystwie swoją znakomitą pracę w dziedzinie laserów. Nie wiem jednak, czy się na to w końcu zdecydował...

Wiadomo było, że przewodniczący ma więcej do powiedzenia i Jimmy wyłączył się w tym momencie. Broń, zdecydował, była niepotrzebna. Może równie dobrze leżeć w futerale. Odwrócił się do ściany tak jak dziecko, które chce się wysikać poza wzrokiem dorosłych. PPK na klatce piersiowej patrzył w głąb sali. Mowa powitalna ciągnęła się dalej. Jimmy poczuł, że jest coraz bardziej spokojny. Dwa momenty najbardziej niebezpieczne, pomyślał, i jeden już prawie zakończony sukcesem. Przyjazd i wyjazd - wtedy mogło nastąpić udzielenie. Nie tutaj, nie na zlustrowanej, przeszukanej i sprawdzonej widowni. Wyjazd będzie czasem maksymalnej czujności - to nie słów Jimmy'ego, ale Jonesa. I Helen czekała na zewnątrz. Miętko i wygłuszenie. Pojedzie za nimi do hotelu i, kiedy wysadzą Sokarewa i usadowi w pokoju, pojedą razem do mieszkania i tym razem nie będą spali. Policjanci, którzy stali za zamkniętymi drzwiami na zewnątrz korytarzu, podzielali uczucia Jimmy'ego. Zrobili kawał dobrej roboty. i teraz można zapalić papierosa, porozmawiać o codziennych sprawach, które dominowały w ich życiu. Wahanie oprocentowania pożyczek, koszt wakacji, plotki na temat szefów i urzędników. A w naciągającej ciemności nad największym brytyjskim uniwersytetem kształcą wieży, czuwający oficerowie również poczuli zmniejszenie napięcia. Zostaną spokojnie powiadomieni o jego wyjściu. Będą P°~
233

rozumiewać się przez nadajniki a potem włączają silniki samochodów. Dostatecznie dużo czasu, by sprawdzić pobliskie wybrane punkty obserwacyjne. Jedna grupa zebrała się przy głównym wejściu. Druga stała przy bocznych drzwiach, przez które Sokarev wszedł do budynku. Z żadnej z tych pozycji nie można było zobaczyć okien sali wykładowej. Ta część budynku była za daleko, by mogli widzieć, co się dzieje za rogiem.

Policjant, który był wyznaczony do obserwacji okien sali wykładowej, leżał teraz u stóp McCoya. Nie był uzbrojony, ale nawet gdyby miał broń, nie zdążyłby jej użyć. Poważający cios spadł nagle na tył jego głowy, poniżej linii policyjnego kasku, u podstawy czaszki. To było niemiłosiernie proste. Famy z mapą turystyczną, dukający po angielsku, odwracał uwagę policjanta, podczas gdy McCoy ruszył szybko z metalową rurą hydrauliczną. Złodziejski pęk kluczy, który McCoy dostał w garażu, posłużył do następnej roboty. Otwarty samochód, zwolniony hamulec ręczny, wóz popchnięty cicho do miejsca, gdzie poniżej okna wydrapaną była gwiazda. Famy zauważył, że Irlandczyk ani razu nie spojrzał na leżącą bezwładnie postać na ziemi. Znaczyło to, że nie będzie się wahał w momencie starcia. Każdy, kto wejdzie im w drogę, zostanie skasowany bez zastanowienia. Taki i on będzie, kiedy nadejdzie czas strzelania. Famy odczuwał ogarniające go podniecenie. Niedługo nastąpi rozstrzygający moment jego misji.

- Już raz klaskali - powiedział McCoy cicho i powoli. - To jest zakończenie. Następne oklaski będą znaczyły, że wstał. Wtedy idziemy, prosto.

Famy wyciągnął M1 na ramieniu, zablokował go w tej pozycji, sprawdził, czy magazynek był na miejscu i naładował szybko broń, bojąc się, że dźwięk zwróci uwagę, uspokojony, gdy wszystko poszło bez przeszkód. Obok niego McCoy naciągnął ciężką, czarną rękawicę na prawą rękę, metalową rurę trzymając w drugiej. Ale był bez broni. Famy widział, że nie wyciągnął broni.

- Powinieneś mieć jeszcze jednego M1 - syknął przez zęby ze zdenerwowaniem.

- Nie ma potrzeby. To twój gołąbek, chyba pamiętasz? Dam ci jeden strzał, potem wszystko twoje.

- To będzie wielki sukces naszych ludzi...

- Spierdalaj z tymi bzdurami, zanim nie walniesz drania. Usłyszeli odgłos aplauzu za zasłoną, przedłużone oklaski i krzyki.

Famy podszedł do tyłu samochodu i wspiał się na dach, który wygiął się mocno pod jego ciężarem. McCoy rozciągnął się na masce przed przednią szybą. Byli dokładnie pod znakiem, który Famy narysował na ścianie, na przedłużeniu połączenia zasłon. Irlandczyk zbliżył twarz w stronę Famy'ego.

- Pamiętaj, kiedy rozbiję okno i odciągnę zasłonę, będzie w pięćdziesięciu pięciu procentach twój. I nie grzeb się. Jeśli wszyscy zaczną strzelać, wrzucić granaty. Tak?

Poczekał, aż Famy podniesie karabin do ramienia do pozycji strzału i ułoży się wygodnie, a potem wbił rurę w szybę. Famy drgnął od hałasu, gdy pięść McCoya, ochraniana przez rękawiczkę biła w pozostałe kawałki. Ręce błyskawicznie chwyciły za zasłonę i pociągnęły ją, a Famy instynktownie szarpnął się do przodu, wciąż w pozycji strzeleckiej, przebiegając oczyma salę w poszukiwaniu celu. Gdzie on był? Gdzie był ten skurwiel? Który to był? Która z tych zaskoczonych białych twarzy, które odwróciły się i teraz nieruchome jakby sparaliżowane, patrzyły na źródło niepokoju?

Odpowiedź nadeszła od razu. Mężczyzna, który stał przy stole, mężczyzna, który zaczął kulić się ze strachu, który wiedział, że uderzenie było blisko i próbował go uniknąć, który nie mógł zmusić swoich mięśni do posłuszeństwa wobec pośpiesznych rozkazów własnego umysłu, to był on. To był Sokarev. Famy zatrzymał się, by wystrzelić, celując w klatkę piersiową, gdzie biała koszula i ciemny krawat niknęły w szarości garnituru. Taki duży, taki łatwy cel w celowniku.

- Pośpiesz się, na Boga! - krzyknął McCoy. Famy obrzucił spojrzeniem zniecierpliwioną twarz Irlandczyka. Gdy odwrócił się znowu, zobaczył mężczyznę na drugim końcu stołu, przepychającego się w stronę Sokarewa, i drugiego, bliżej niego, zdejmującego płaszcz z ramienia. Wystrzelił.

W momencie huku tłuczonego szkła ręka Jimmy'ego sięgnęła stronę rewolweru pod górną kieszenią kurtki. Jego palce znalazły twardość kolby i zacisnęły się na jej grzbiecie. Szybko wyciągnął

przodu pistolet, wyprostował ramiona i pociągnął za spust, bez zastanowienia, świadomy potrzeby nie tyle dokładności, co ilości strzałów. Niektóre uderzyły w zasłonę, niektóre zniknęły nie wiadomo gdzie. Jimmy wystrzelił sześć razy.

- Połóżcie go! Na podłogę z nim! Weźcie go pod stół!

Elkin chwycił za nadgarstek Sokareva i przygniół go do podłogi pomiędzy płataniną nóg stołowych i krzesel. Jimmy zobaczył, jak przewodniczący przekrzywił się w krzesło, a potem upadł, niedbale i bezwładnie na blat stołu. Wciąż i wciąż karabin za oknem strzelał i za każdym następnym strzałem Jimmy był coraz pewniejszy.

- Nie trafił mały skurwysyn i wie o tym! - To był prawie okrzyk radości, ale jego oczy były zimne, wyteżone, śledzące sceny dookoła. Dwóch mężczyzn przy tej samej ścianie co Jimmy zaczęło strzelać, nie na stojąco, ale kucając w wyuczonej postawie, klasycznej, ale wolniejszej. "Nie wytrzyma, to za dużo dla niego, to go wykończy, małego szczura" - myślał Jimmy. Widział Sokareva pod stołem, przykrytego ciałem Elkina, widział Mackowicza przesuwającego Uzi do ramienia, pozbywającego się bezużytecznego płaszcza. Zaczął biec w stronę drzwi. Dopadł do nich, odpychając na bok policjanta i krzyząc, żeby otworzyli drzwi. Kątem oka zobaczył drobny, ciemnoszary i okrągły kształt, wrzucony przez okno w stronę stołu, za którym ukryty był Sokarev.

Mackowicz wykrzyknął przerażające, szokujące słowo:

- Granat!

Granat uderzył w podłogę, pomiędzy stół i przednie rzędy miejsc na widowni, odbił się, zrobił delikatną parabolę, zanim nie upadł znów, a potem potoczył się nierówno w stronę kryjówki za stołem, gdzie Elkin ochraniał Sokareva. Mackowicz skoczył po niego. Jimmy widział, jak granat drga, prawie nieruchomy, a potem zniknął pod ciałem Mackowicza. Wyrzuciło go wysoko do góry, ale Jimmy nie widział już jak spada - wybiegł przez otwarte drzwi i biegł w kierunku głównego wejścia. Wybuch granatu wciąż łomotał w uszach Jimmy'ego, kiedy zbiegał korytarzem pomiędzy stłoczonymi policjantami. Ponieważ strzały i wybuch nadchodziły z wnętrza sali wykładowej, każdy mężczyzna, umundurowany czy nie, czuł, że jego obowiązkiem jest stłoczyć się tak blisko, jak tylko fizycznie było to możliwe, przy

źródle strzelaniny. Za Jimmym, gdy przepychał się łokciami przez narastający tłum, rozległ się krzyk:

- Nosze!

Wiedział, gdzie biec. Tuż za drzwiami w lewo, a potem skręcił wzdłuż ściany budynku już w pozycji strzeleckiej. W cieniu, daleko przed sobą zobaczył dwóch mężczyzn, zeskakujących z dachu samochodu i biegnących do niskiego murku, który oddzielał teren uniwersytetu od Malet Street i płynącego ruchu ulicznego. Jimmy wystrzelił tylko raz i, jak w jakimś idiotycznym kowbojskim filmie, magazynek wyczerpał się. W odpowiedzi padł strzał z prawej strony, stosunkowo blisko. Jego ręce zacisnęły się niepotrzebnie na cynglu i zwolnił. Nie mógł teraz podejść" blisko, nie z tym cholernym pustym rewolwerem. Na drodze usłyszał odgłosy klótni i trochę później hałas odjeżdżającego samochodu. Jimmy dyszał ciężko, nie był w formie /za mało ćwiczeń fizycznych/ i brakowało mu powietrza w płucach.

- Helen, Helen, gdzie jesteś, na Boga?

Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim samochód ostro zahamował przy nim.

- Wsiadaj! Wsiadaj do cholery! - krzyczał.

Zawahała się, zdezorientowana hałasem wystrzału i wielkimi oczami Jimmy'ego.

- Wsiadaj, głupia dziwko! Wsiadaj do cholery!

Zaczęła rozpinać klamrę pasa bezpieczeństwa. Zawsze, jak daleko by nie jechała, zapinała go odruchowo. Jimmy gwałtownie otworzył drzwi, chwycił za kołnierz jej kurtki i wyciągnął ją zza kierownicy. W dali słychać było kakofonię gwizdków policyjnych, skrzeczącego radia, wykrzykiwanych rozkazów. Jimmy zajął miejsce Helen i samochód już kierował się z szaloną prędkością w stronę przejazdu w murze i w kierunku, gdzie widział uciekających mężczyzn i słyszał włączony silnik. Siedemdziesiąt metrów przed nim cortina uderzała w falę płynących samochodów. Jimmy westchnął z ulgą. Miał ich. Pusta przestrzeń pomiędzy samochodami zmniejszyła się. Ściał w prawo ze środka jezdni, robiąc unik przed pędzącym wozem policyjnym, jadącym w przeciwnym kierunku. Mignął światłami, ale tamten minął go. W samochodzie Helen nie było żadnego systemu komunikacji, żadnego radiotelefonu. Znów szarpnął, unikając zderzenia z autobusem,

który tarasował drogę i przeklinał dziewczynę, że kupiła samochód o małym przyśpieszeniu. Ale odległość między nimi zmniejszała się. Cortina przejechała przez czerwone światło, jechała Goodge Street, ładną ulicą, prowadzącą na południe. Jimmy jechał za nimi, prawie nieświadomy, że samochodem zarzuca na jezdni przy nagłych hamowaniach w celu uniknięcia wypadku. Usadowił się wygodniej w siedzeniu. "Jeszcze nie jest dobrze, Jimmy, ale będzie lepiej i ten mały łajdak w przodzie zaraz się zdziwi, co go uderzyło." PPK leżał na jego kolanach. Drugi magazynek był w kurtce, w prawej kieszeni. Poczeka na okazję, żeby go załadować.

Biegli od okna obok siebie. Famy oglądając się gotów zatrzymać pogoii, McCoy prowadząc, ze zranionym prawym ramieniem. Gdy Famy odwrócił się raz, aby oddać strzał, McCoy wściekły pociągnął go do przodu.

- Musimy się oddalić, zatrzymasz się tu i przygwoźdzą nas. - Słowa były ciche, bo wydobywały się ze ściśniętych i przeszytych bólem ust. Gdy dobiegli do cortiny, McCoy wydobył lewą ręką z prawej kieszeni spodni ciężki pęk kluczy. Wybranie tego, którego potrzebował, małego, jasnego i świeżo naciętego, zabrało mu kilkanaście sekund. Cisnął je Famy'emu.

- Ty prowadzisz - powiedział i szybko otworzył drzwi pasażera, które pozostawili otwarte, parkując tu czterdzieści minut wcześniej.

Famy trzymał karabin przy ramieniu. Był mały jak dziecięca zabawka, zbyt nieznaczny, by mógł zabijać. Ludzie, którzy przystanęli po drugiej stronie chodnika, przyglądali się. Nie ze strachem, nie sparaliżowani, ale ciekawi. Słowa McCoa wyrwały Famy'ego z zamyślenia.

- No już, ty głupi, cholerny idioto! Będziesz musiał prowadzić! Famy wciąż trzymał karabin skierowany przed siebie, patrząc w przestrzeń.

- Rusz się, draniu!

Famy opuścił broń i trzymał przy boku jak człowiek, który chodzi o lasce, a teraz odpoczywa.

- Nie umiem - powiedział. Wydawało się, że McCoy tego nie słyszy.

- Nie opieprzaj się! Właż za tę cholerną kierownicę!

- Nie umiem prowadzić - powiedział wolno Famy.
- Oczywiście, że umiesz prowadzić, do cholery! - W głosie McCoya wzmogło się rozdrażnienie i złość.
- Nie wiem jak. Nigdy nie prowadziłem.

McCoy przysunął swoje prawe ramię do twarzy Famy'ego.

- Oszalałeś? Przestań się ociągać i jedź!
- To niemożliwe. Nigdy nie prowadziłem. Nie potrafię. Monotonna recytacja dotarła wreszcie do McCoya. Wulgarność, z jaką ryknął na Araba, była zjadliwa i raniąca. McCoy obiegł samochód i wpakował się na przednie siedzenie. Położył prawe ramię na kierownicy i w świetle ulicznych latarni Famy widział, że jego twarz zbieleła. Lewą ręką włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go. Pchnął całym ciałem do przodu, obracając kierownicę w kierunku drogi. Potem położył swoją lewą rękę na skrzyni biegów.

Famy zastanawiał się, czy Irlandczyk zemdleje. Wychylił się przez okno i patrzył za siebie z wycelowaną bronią. W kieszeni kurtki były trzy granaty; czuł je pod palcami. Teczka z amunicją leżała z tyłu. Samochód ruszył. Padł na podłogę, gdy przejeżdżali przez skrzyżowanie na czerwonym świetle i czekał na wstrząs, który jednak nie nastąpił. Inny samochód też przejechał na światłach, dobrze widoczny, łatwy do rozpoznania.

- Jedzie za nami samochód - Famy był bliski paniki. -1 co mam z tym zrobić? Nie widzę go teraz.

- Daj spokój - powiedział McCoy. - Jak podjedzie bliżej, walnij go Jak nie, to go zostaw.

McCoy czuł, że opuszcza go koncentracja, ogarnia słabość. Nie dawała mu spokoju rana. Niewiele widział, ale co chwila obsesyjnie na nią spoglądał. Była tam tylko dziura, w samym środku krwawej plamy, gdzie ściemniało ubranie. Ból czasami słabł, wzmagając się wtedy, gdy próbował ruszyć ręką.

- Dorwał się drania? - zapytał McCoy.

Na razie jakoś jechali. Jeśli nie będzie musiał jechać szybko, pod presją, wtedy wytrzyma. Jeśli ścigali ich... Czuł ogarniającą go słabość i obojętność spowodowaną utratą krwi. Ale było wyjście, którego nie brał pod uwagę.

- Nie wiem - odpowiedział szeptem Famy.

- Oczywiście, że wiesz, do cholery. Albo widziałeś jak padał, albo nie. Wiesz czy zabiłeś, ze sposobu w jaki upada. - McCoy powiedział to głosem znawcy. Od razu się to wiedziało - ciało podrzucało do góry jak szmacianą lalkę a potem spadało bezwładnie, nie będąc w stanie ochronić głowy.

- Trudno było zauważyć. - rzekł Famy i zamikł.

Patrzył na drogę przed sobą, coraz mniejszy ruch późnego wieczoru w centrum Londynu, a potem rzucił spojrzenie za siebie. Tylko mieszanina świateł, niektóre nieruchome, niektóre w ruchu, żadne nie na tyle busko, by stanowić niebezpieczeństwo. Famy chciał się wytłumaczyć, chciał, żeby tamten zrozumiał.

- Miałem już strzelić do Sokarewa, kiedy ty krzyknąłeś. To mi przeszkodziło. Gdy wystrzeliłem, zobaczyłem mężczyznę na sali, który zaczął strzelać. Jeden z mężczyzn ściągnął Sokarewa pod stół, strzelałem cały czas, kiedy to robił, ale Sokarev był już na ziemi i zniknął mi z oczu. Mężczyzna, który siedział przy Sokarewie, on dostał...

- Wielki sukces, będą tańczyć i śpiewać w Bejrucie, jeśli przewierciłeś schorowane ciało Angola.

McCoy był prawie zachwycony porażką tamtego. Ta klęska docierała do niego jak przez mgłę. Gdyby nie był ranny, reagowałby zapewne z nienawiścią, ale ból przyćmił złość.

trzech czy czterech mężczyzn strzelało spod ściany przed nami. Do Sokarewa podbiegł facet z ochrony, miał mały karabinek. Zaczął strzelać, kiedy rzuciłem granat. Granat dopadłby Sokarewa, ale ten facet na niego upadł. A potem już nic nie widziałem. Wybuch i dym. Nie można było dłużej zostać przy oknie, bo mężczyźni, strzelając, już celowali.

- Jeden z tych drani trafił mnie - w słowach McCoya była pustka.

Wciąż jechali. McCoy dawał sobie jakoś radę. Famy obserwował samochody za nimi i te na poboczach, ale nie było nic niepokojącego. Położył M1 na podłodze pod nogami, łatwy do sięgnięcia, ale niewidoczny dla jakiegokolwiek kierowcy, który mógłby przypadkowo spojrzeć z przejeżdżającego samochodu.

- Myślałem, że ten, którego trafiłeś, to Sokarev. Ty mogłeś trafić Jego albo oni ciebie. Wcześniej się zerwaliśmy, co? - McCoy mówił z cieniem uśmiechu na ustach.

- Nie mogłem dalej celować przy całej tej strzelaninie z sali.
- Ręczna broń jest niedokładna przy dużej odległości.
- Zacząłeś uciekać i ciągnąłeś mnie.
- Ale to nie moja wojna, chyba pamiętasz? Mogłeś zostać. To ty byłeś cholernym strzelcem. Ja jestem szoferem. Więc dlaczego uciekałeś?
- Nic nie widziałem... tylko dym... Nie mogłem wycelować. - Ale Famy wiedział, że to były tylko słowa. Nie pamiętał nawet decyzji ucieczki. Biegł już, zanim zdał sobie z tego sprawę. Nigdy wcześniej nie musiał wybierać między życiem a śmiercią.

Skrećili teraz na zachód i światła uliczne były jaśniejsze, gdyż ' chali obwodnicą, aby uniknąć przejazdu przez centrum. McCoy był stanie utrzymać wskazówkę szybkościomierza między dwudziestoi a trzydziestoma milami na godzinę.

- Twoi przełożeni dobrze nie zareagują. Nie będą zadowoleni, nic nie robisz następnego dnia, podczas gdy Sokarev będzie sobie ch dził żywy. - McCoy dokręcił śrubę. Wiedział to i podobało mu si Zemsta za jego ból.

Famy milczał.

- U moich łatwo by to nie przeszło, nie w takiej dużej sprawie. J coś jest spieprzone, to lepiej, żeby się w ogóle nie zaczęło. Dla ni zwycięstwo, dla ciebie smutne wieści w twojej parafii - McCoy mó jakby do siebie, miękko i bez oczekiwania na odpowiedź. - Faceci IRA mają swój własny sposób w wypadkach, kiedy coś nie wyjdź: Jeśli facet jest tchórzem, jeśli ucieka, aby ochronić własny kark, w idzie pod sąd wojenny. Nie jakiś oficjalny, nic pompatycznego, tuzina chłopaków w szopie albo w garażu. Skazanie jest trochę dziej formalne. A potem przepaska na oczy i strzał w głowę. Piszą o nich raporty, żeby następni wiedzieli dlaczego.

Famy miał przymknięte oczy, ale nie był w stanie nie słyszeć teg co mówił McCoy.

- Jeśli tylko nie myśleli i zbabrali coś, to wtedy już jest łatwi Nakładają nakolanniki. Kulka w każdy, od tyłu. Mogą potem ch ale nigdy nie będą biegać i przez parę tygodni nie działają, bo ch o kulach. Ci z PIRA mają inny sposób, gorszy... używają wiertarki

wiercenia dziur w ścianach. To zabiera więcej czasu niż strzał - czyście nie? Ale ci z PJJRA to prawdziwi dranie.

. Był taki jeden, który pojechał do Izraela i wrócił sam - powiedział Famy. - Reszta została uwięziona lub zabita, tylko ten jeden przetrwał i zobaczyli, że z jego kałasznikowa nie strzelano. Wyprowadzili jego i dziesięciu jego przyjaciół na dużą przestrzeń. Był od nich o pięćdziesiąt metrów, gdy zaczęli strzelać. Wszyscy musieli strzelać, a broń była potem sprawdzona i pilnowano, żeby nie strzelali obok.

- Powinieneś pomyśleć o czymś przyjemniejszym do rozmowy - powiedział McCoy. Miał zresztą inne zmartwienie. Gdzie jechać, co zrobić z raną? Wszyscy mężczyźni, którzy wchodzą w samotną wojnę partyzancką, czują podobny strach - strach przed zakażeniem, gangreną, gniciem ciała. McCoy potrzebował kryjówki, gdzie mógłby spokojnie się położyć, przyglądać się wejściu i być bezpiecznym, z gorącą wodą i czystymi ręcznikami... i potrzebował tego od wielu dni. Co zrobić z tym cholernym Arabem? Nie ma miejsca dla niego w kryjówce. Może go zabić - najprostsze rozwiązanie, całkiem atrakcyjne. Coś, nad czym warto pomyśleć. Jeszcze pół godziny jazdy i potem się zdecyduje.

Problem zaabsorbował go, a Famy też był cicho, zagłębiony w myślach, o których McCoy nic nie wiedział, ani nie chciał wiedzieć.

Przez pełne trzy minuty po wymianie ognia i ostatnim strzale Elkin przykrywał ciało Sokareva. Gdy naukowiec próbował się ruszyć i wyjąć swoje przygniecione ramię spod ciała, Elkin mocno przyciskał go do płaskich i wypastowanych desek podłogi. Na twarzy Elkina malował się spokój, a oczy były bardzo jasne, przesywające salę w poszukiwaniu następnego zagrożenia. W wyciągniętej przed sobą ręce jak przedłużenie ramienia, trzymał służbowy rewolwer, który wolał od Uzi.

Mężczyzna z Oddziałów Specjalnych, który stał najbliżej stołu, schylił się i zadał jedno nieuchronne pytanie: "Czy Sokarev jest ranny?" Elkin potrząsnął głową.

- To trzymaj go tam - powiedział detektyw. - Najpierw zajmiemy się ofiarami, potem opróżnimy salę. Później zastanowimy się, jak go Przewieźć.



Sokarev czuł jak trzęsą mu się nogi, nie mógł tego powstrzymać. Nie pamiętał dużo z tego, co się wydarzyło, tylko hałas tłuczonego szkła, a potem widok krótkiej lufy karabinu, wetkniętej i ruszającej się pomiędzy zasłonami, celującej w niego. Przypomnił sobie moment, kiedy Elkin uderzył w jego nogi i pociągnął w dół, a potem straszną, nie kończącą się wymianę ognia. Widział Mackowicza jak zanurkował i leżał przez moment w bezruchu, a potem wyrzuciło go do góry. Wtedy jego uszy przeszły odgłos wybuchu.

Nosze przyniesiono szybko. Te z przewodniczącym były przykryte szarym szpitalnym prześcieradłem i pozostawione na końcu sali. To co pozostało z Mackowicza, zostało szybko przykryte. Karetka przyjechała ze szpitala uniwersyteckiego, niecałe pół mili od budynku. Było siedmiu rannych: czterech z ranami postrzałowymi, jeden z raną ciętą od odłamka granatu i dwóch z wieńcowym atakiem serca. Detektywi zaczęli już sprawdzać pozycję, z której strzelano za oknem, kiedy jeden z nich, idąc koło samochodu użytego jako platformy, nadepnął na ciało policjanta. Gdy podnosili młodego mężczyznę na nosze, robili to ostrożnie, świadomi, że to ich człowiek. W zupełnej ciszy goście zostali wyprowadzeni z sali na szeroki korytarz i umieszczeni w podobnej sali wykładowej. Proszono o cierpliwość i wyjaśniano, że choć nie będą długo zatrzymywani, niemożliwe było wyjście z budynku, gdy trwały prowadzone na dużą skalę przeszukiwania najbliższego terenu uniwersytetu. Po zamknięciu drzwi niewielu miało coś do powiedzenia. Konflikt Izraela i jego sąsiada nie był rzeczą dla wielu jasną. Przez parę przerażających chwil pokazano im coś obcego, ale doświadczenie to nie pomogło wiele w zrozumieniu.

Gdy wszyscy wyszli, Sokarev wstał. Oparli go plecami o ścianę i otoczyli policjantami, Elkin był tuż przy nim, z bronią w ręku. Później przynieśli mu szklankę wody. Nie mógł jej utrzymać, więc Elkin wziął szklankę i przyłożył do ust profesora. Trochę wody wylało się na przód jego garnituru.

Jones został sam w biurze na noc. Helen, nie wiedząc dokładnie, co zamierza, wyszła trzy godziny wcześniej. W oddali długich, pustych

korytarzy słyshał szybkie kroki kuriera.
244

Był za stary, by się śpieszyć i nie powiedziano mu nawet, dlaczego ma się śpieszyć z wiadomością, którą niósł do pokoju 3-146? Brakowało mu tchu, gdy zapukał do drzwi sekretariatu i był zdziwiony, że szef sekcji przebiegł przez dwa pokoje, aby wyrwać kartkę z jego ręki. Nie usłyszał podziękowania z ust Jonesa, który teraz skupił się nad, jak już teraz mógł dostrzec, trzema linijkami maszynopisu. Nie wyjaśniały wiele. Atak na Sokareva - strzały i wybuch granatu - ranni, lokalne poszukiwania na dużą skalę dwóch mężczyzn - jeszcze bez rezultatów.

W swoim gabinecie Jones opadł na krzesło, przeczytał wiadomość trzy, cztery razy, szukając bezskutecznie czegoś, co mógł wcześniej przeoczyć. I nic od Jimmy'ego. Gdzie on był, kiedy to wszystko się działo?

Częścią jego zadania było to, że miał stać przy telefonie, aby departament nie musiał polegać na informacjach policyjnych. Do tej pory powinien był już zadzwonić. Obrócił się w krzesle i spojrzał na zdjęcie, teraz w głębokim cieniu z powodu kąta, pod jakim zawieszona była lampa. Ładny chłopak, miły uśmiech, duże oczy, porządna fryzura, wyglądający nieszkodliwie jak motyl, a miał schowane żądło osy. Cholernie daleko je wyciągnął, Irlandczyk również. Jones poczuł wielki smutek, ukrył głowę głęboko w ramionach opartych o stół. O co w tym wszystkim chodziło? Jak to możliwe, że wszystkie siły, środki i ludzie mogą być zepchnięte na bok przez takiego małego szczura? To nie powinien być wyrównany pojedynek, nie należało pozwolić, aby w ogóle uderzył, a on uderzył i prawie wygrał.

Sowieci węszący wokół organizacji obrony. Czesi czy wschodni Niemcy... oni byli tacy bezpośredni. Miał trochę zabawy, gdy się nimi zajmował. Liczyli na przypadki. A gdy nie widzieli szansy, że mogą wygrać, nie wchodzili. Ale ten mały skurwiel, który nie przemyślał swoich szans przetrwania/nie mógł, bo musiałby zostać w domu/, był teraz tutaj i kopał. Jones nie wiedział co myśleć o młodym Arabie. Może świerbiło go, żeby czuć podziw, rodzaj zazdrości i tęsknoty starszego mężczyzny za młodością, kiedy pewne rzeczy są już niemożliwe w jego wieku? Ale szybko wrócił do równowagi przez złość i frustrację, że Arab podszedł ich, śmiał się z nich teraz i żył. Musi być odważny, Jones przyznał to. Kiedy był młody, zrozumiał, co znaczy

odwaga, fanatyzm i determinacja, gdy zobaczył nocnego strzelca ME 110 z dwuosobową załogą, jak spadał z płonącym ogonem, wiedząc, że nie przeżyją i wiedząc też, że przeciągnęli atak jeszcze długo po tym, jak ich szanse na zwycięstwo zniknęły. Byli odważni i, choć byli wrogami, zarobili na jego szacunek, bo byli przygotowani na śmierć. Arab też był przygotowany na śmierć. I dlatego wszystkie środki były na nic i wszyscy byli przerażeni, że wciągnięto ich w ten interes.

Wszyscy, oprócz Jimmy'ego.

Zadzwoił telefon, przenikliwie w ciszy pokoju. Helen mówiła urywanie: Jimmy w jej samochodzie... pogoń... odjeżdżający samochód zniknął... tylko Bóg wie, gdzie jest... strzały na ulicy... wraca do biura. Potem rozłączyła się. Jones odłożył słuchawkę. Zabawne, w jaki sposób wymawiała imię Jimmy'ego. Zwykle śmiał się, gdy to robiła, ale nie tym razem. Jones był wrażliwy na intonację i akcent, zastanawiał się, co do diabła, ona tam robiła. Potem przestał o tym myśleć i zajął się Jimmym. Właśnie teraz nastąpiło to, czego chciał, myślał, duże wyzwanie i szansa na sprawdzenie się, gdy wszyscy inni zawiedli. I będzie musiał ich zabić. Musiał zabić Araba. Teraz to był jedyny sposób. W normalnych okolicznościach, pod wpływem napięcia, Jones zacząłby łagodzić nerwy układaniem czasu pracy, zagrzebałby się w papierach operacji, ale teraz nie było nic, co mógłby zrobić i co byłoby zarazem przydatne. Zmiał wiadomość telegraficzną i rzucił niecelnie w stronę kosza.

Żaden z fotografów i żadna z załóg telewizyjnych, które nagrywały przyjazd i wyjazd, nie miały wartościowej dokumentacji wydarzeń. Teraz wszyscy stłoczyli się przy bocznym wejściu, wierząc, że naukowiec izraelski wyjdzie. Wybuchła dzika kłótnia, kiedy inspektor policji poprosił o ciszę i poinformował, że w żadnym wypadku nie będą mogli używać żarówek czy lamp błyskowych. Głosy podniosły się w proteście, a gdy ucichły, inspektor dodał:

- Panowie, nie jestem przygotowany do tego, żeby pan Sokarev był zatrzymywany lub oświetlany na tych schodach. Jeśli pomyślicie nad tym, to zrozumiecie. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Jeśli sienie zastosujecie, zostanieie przewiezieni na posterunek, a jutro do sądu

i nie gwarantuję, że wasze aparaty fotograficzne i kamery nie zostaną uszkodzone.

Premier, wywołany od kolacyjnego stołu, przeżywał trzy minuty niepewności. Pierwsza wiadomość przekazana mu przez komisarza, telefonującego ze Scotland Yardu, zaledwie stwierdziła, że doszło do strzelaniny i eksplozji w sali, gdzie mówił profesor Sokarev. Następne szczegóły miały nadejść. Czekał na nie długo w prywatnym gabinecie, nie chcąc spotkać się ze swoimi gośćmi, dopóki nie dowie się najgorszego. Gdy telefon zadzwonił, oczekiwał katastrofy, ale powiedziano mu, że choć były ofiary, profesora wśród nich nie było. Innych wiarygodnych i potwierdzonych informacji nie podano. Zaledwie skończył posiłek, kiedy jego prywatny sekretarz przyniósł złożony kawałek papieru. Izraelski ambasador domagał się spotkania i to jeszcze tej nocy.

- Zapisz tego cholernego kolesia na rano - powiedział i skinął na służącego, aby nappełnił jego szklankę. - Na samą górę listy.

16.

Jimmy był zadowolony, że mężczyźni, za którymi jechał, nie byli świadomi jego obecności. Było tak, jak być powinno, zawodowstwo, ale niełatwe, nie dla jakiegoś dzieciaka z departamentu. Byli blisko siebie, zmniejszyła się odległość, ale Jimmy trzymał się z dala od drugiego samochodu, zostawiając im pole manewru. Nie ma mowy o próbie zepchnięcia ich z jezdni. Byłoby to idiotyczne, gdyby tak zrobił. Musiałby wtedy poradzić sobie z dwoma uzbrojonymi mężczyznami i istniało niebezpieczeństwo, że zgubiłby ich obu biegnąc za nimi. Ten sposób był lepszy. W końcu dranie zatrzymają się i będzie miał dostatecznie dużo czasu, żeby ujawnić swoją obecność. Jechali powoli i dlatego nietrudno było ich śledzić, chociaż był zdziwiony brakiem szybkości i chęci jak najszybszego oddalenia się od uniwersytetu. Próbował to zrozumieć, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

Za Richmond była blokada drogowa. Umundurowani policjanci, latarka, machanie ramionami, ale wszystko na pasie prowadzącym do centrum, a żadnego zainteresowania samochodami jadącymi w drugą stronę - z Londynu.

"Typowe - pomyślał Jimmy - ten cholerny brak łączności. Do bezprzewodowego gniazda musiałby być podłączony ruch uliczny, aby wiedzieli, co się dzieje."

To była szeroka i przestrona droga, dobrze położona, ufundowana przez miejscowe władze, z trawą, krzakami i małymi drzewkami, oddzielającymi dwa kierunki. Jechał w tym samym tempie co samochód, który śledził, ale za szybko, by móc krzyknąć i zwrócić na siebie uwagę policjantów na drugim pasie.

PPK był naładowany, pusty magazynek rzucony na podłogę przy ręcznym hamulcu. Nie miał trudności z naładowaniem pistoletu i teraz zastanawiał się, kiedy będzie najlepszy moment na otwarcie ognia. Może, gdy się zatrzymają i przejdą na chodnik, nieświadomi niczego i bezbronni na otwartej przestrzeni, oświetleni ulicznymi latarniami.

Pomysł dobry. Atrakcyjny, bo istniała szansa, że będą blisko siebie i zastrzeli ich obu. Kiedy przybliżył się na dwie, trzy długości samochodu od cortiny, widział dwie głowy. Ta kierowcy nisko nad kierownicą i druga, bardziej w pionie odwracająca się co mniej więcej dwie minuty, aby spojrzeć za siebie.

"Jak się ocenili? - zastanawiał się Jimmy. - Pół na pół w najlepszym wypadku. Uciekli, ale nie załatwili profesora. Może trochę mniej niż pół na pół. Nie za dobrze im poszło. Spieprzyli sprawę. Ale to nie był McCoy. To nie on strzelał, to musiał być ten drugi drań. Za długo to trwało. On zrobiłby to w inny sposób, nie wystawiałby karabinu przez okno przez pół godziny. Głupie dranie. Powinni teraz pić szampana zamiast uciekać i nawet nie wiedzą, że siedzi im ktoś na tyłku i tylko czeka, żeby im dołożyć." Jimmy dostrzegł, że zwolnili. "Prawie są na miejscu - powiedział do siebie - niepewni, w którą boczną ulicę skręcić."

Pistolet trzymał w prawej ręce, oparty o kierownicę. Boczna szyba była otwarta.

- Już niedługo, moi mali kochasie - mrucał obojętnie do siebie, ale nie zaprzeczyłby, że jest podekscytowany.

Zabić Araba, czy nie? To pytanie przewijało się przez głowę McCoya przez ostatnie mile miasta. Famy był bezużyteczny i w sposobie, w jaki odwracał głowę i wiercił się na siedzeniu widać było, że zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, co jego ludzie zrobią, gdy wróci do domu. Będzie musiał walczyć o przetrwanie. Widział już siebie leżącego twarzą w dół wśród gruzów, ze zbożem, chwastami i szczurami do towarzystwa. Miał szansę na nieśmiertelność, jeśli to coś dla niego znaczyło i stracił ją. Skończony, na śmietnik.

McCoy był bliski powzięcia decyzji, kiedy Famy przerwał długą ciszę, która pozwoliła biec myślom Irlandczyka.

- Jedziesz do domu dziewczyny? Do miejsca, gdzie się ukryłeś kiedy przysłała po mnie? Tam cię zostawię.

Może czekał na reakcję, spodziewał się zdziwienia, ale ono nie nadeszło. McCoy miał oczy wlepione w drogę, ręce na kierownicy i strużki świecącego potu na czole.

- Kiedy planowaliśmy tę misję w kraju - ciągnął dalej - myślano o zorganizowaniu ataku na Heathrow, na lotnisku, gdy Sokarev będzie odlatywał do Stanów Zjednoczonych. Będzie mi trudniej bez przyjaciół, ale to jedyna możliwość". Pójdę pieszo przez miasto, do lotniska. Powiedzieli nam, że nietrudno dostać przepustkę. Potem podejść do samolotu najbliżej jak tylko się da.

- To niemożliwe - McCoy nawet nie poruszył głową.

- To możliwe, tylko trudne. Mam teraz rozwiązanie, wcześniej go nie miałem. Wcześniej było inaczej. Teraz jestem silny wewnętrznie, zabrakło mi tego, gdy miałem Sokarewa pod bronią. Ale to było pierwszy raz i nigdy wcześniej nie strzelałem do człowieka. Wiele się nauczyłem w ciągu ostatnich paru godzin, więcej niż nauczyli mnie obozie. Więcej w godzinę niż przez trzy miesiące.

- Zastrzelą cię, zanim postawisz stopę dwieście metrów od sam., lotu i nawet nie będziesz wiedział, który to był.

McCoy był mniej pewny siebie, spokój Araba zdekoncentrował go. Była w nim jakaś dziwna ufność, której wcześniej nie widział, nowego, w czym nie chciał brać udziału.

Famy mówił dalej:

- Samolot będzie strzeżony. Mam pomysł i mam dużo granatów. Izraelczycy mówią i mają rację, że jeśli ktoś zamierza zabić, nie winien zaczynać od tyłu, uzależniać się od celu i pewnej ręki. Izraelczycy mówią, że musisz być blisko, ciało przy ciele i musisz być gotowy sam umrzeć. Nie mylą się. Są ekspertami w sztuce zabijania, my nie. Możemy się od nich uczyć.

- W takim razie rozstajemy się. To nie jest część mojej gry.

- Tak, twój udział jest zakończony. Zawiozłeś mnie do celu, włożyłeś karabin do ręki. Wypełniłeś swoje zadanie. Jak długo będę żył, będę cię wspominał z przyjaźnią.

"Nie ma ryzyka, że to potrwa długo - pomyślał McCoy. - Jeśli ktoś chce wyjść z tego w chwale, to już jego sprawa. To nie w stylu Crossmaglen."

Zdarzyło się to raz w Ballymurphy, koło Belfastu, kiedy wszyscy rozeszli się po pogrzebie. Pół tuzina chłopaków poleciało w dół drogi i strzelali z biodra z thompsonów w największy stos worków z piachem i bunkrów, jaki kiedykolwiek był. I rozerwało im głowy, j

po drugiej. Czy ktoś dziękował im w następnym tygodniu, czy następnym miesiącu? Dziękowali? Gówno. Nazwali ich tylko "głupimi draniami".

- Wejdę do domu - powiedział McCoy. - Gdzieś mnie ulokuje. Muszę przemyć ranę. Teraz już tak nie boli, ale muszę ją przeczyścić. Gdy ostatni raz byłem ranny za granicą w Dundalk, leżałem pod nożem już pół godziny później. Nie możesz się opieprzać z raną postrzałową, trzeba ją wymyć.

- Gdzie zostawisz samochód? - zapytał Famy.

- Na końcu ulicy, przy domu. To ślepa uliczka, nikt kto by nas szukał, nie zobaczy go tam. A potem się pożegnamy.

Wahał się na skrzyżowaniach przez ostatnie pół mili, szukając tablic z nazwami ulic, znanych mu tylko z tego jednego razu, kiedy odprowadzał dziewczynę do jej domu. Aż wreszcie zobaczył rozrośnięty bluszcz na ceglanej ścianie i drzewo, z namalowanym na nim białym numerem, które było zaatakowane przez chorobę i miało być wycięte. Powiedziała, że szkoda drzewa. Skręcił w ulicę dziewczyny.

Gdy McCoy zatrzymał samochód, sięgnął niezgrabnie za siedzenie, szukając w teczce M1 i następnego magazynku. Z płóciennej torby wyjął dwa granaty i włożył je do kieszeni, gdzie obity się o siebie, wydając tępy, przytłumiony odgłos. Karabin włożył pod ramię. Potem lewą ręką otworzył drzwi samochodu. Famy zaczekał na niego, po czym przełożył torbę nad swoim siedzeniem. Gdy podszedł do przodu samochodu, jego karabin wisiał luźno, przełożony przez rękę. Równocześnie z McCoyem zobaczył światła innego wozu, który skręcił w ulicę, i zareagował tak szybko jak Irlandczyk, przykładając broń do nogi.

- Nie ruszaj się, dopóki nie zaparkuje i nie wyłączy świateł! - rzucił McCoy w stronę Famy'ego, zirytowany intruzem, chcąc jak najszybciej iść w swoją stronę. Obaj stali w blasku silnych reflektorów, które były w ich stronę z odległości dwudziestu metrów. Znowu ta cholerna konspiracja, odbierająca odwagę.

- Jak tylko zgasi światła, znikaj - McCoy próbował przejąć dowództwo. Wiedział, że ostatni raz, ale duma dyktowała mu, że w tym momencie, nawet jeśli uwolnił się już od zobowiązań i odpowiedzialności, powinien wciąż prowadzić. - Nie mam teraz dużo do powiedze

nia... ale przykro mi z twojego powodu... naprawdę... przykro mi, że nie wyszło... Co się dzieje z tym draniem? Dlaczego, do cholery, nie gasi światła...?

Nagle McCoy poczuł niespodziewany, przeszywający ból, gdy kula uderzyła w bark. Obróciła go o sto osiemdziesiąt stopni i w ułamku sekundy utorowała sobie drogę głęboko w jego ciało, miażdżąc górne żebro. Famy zareagował błyskawicznie. Przykucnął za samochodem i wystrzelił sześć razy mierząc w światła, próbując je zniszczyć, a kiedy już to zrobił, strzelał dalej w ciemność. Przestał, wsłuchał się w ciszę, która panowała na wyludnionej ulicy i sięgnął po granat. Wyjął zatyczkę, wyciągnął lewe ramię i rzucił go, tak jak uczyli instruktorzy, ponad ramieniem w stronę samochodu. Na moment przed wybuchem zobaczył cień, nisko, przy samym chodniku, przemykający w poszukiwaniu schronienia w stronę frontowego ogródka.

McCoy podniósł się i słaniając się na nogach, podszedł do furтки domu dziewczyny z karabinem trzymanym wysoko w ręce, którym zaczął walić w drewniane drzwi. Padł jeszcze jeden strzał, ale daleko od nich, gdzieś w ciemności, oddany ze zbyt dużej odległości, by mógł ich dosięgnąć.

- To pistolet. Za mały zasięg, odpal do niego jeszcze parę razy. I słuchaj, kiedy wejdziemy do środka, rób to co ci mówię i nie próbuj się kłócić, do cholery.

Famy widział, że był siny, twarz wykrzywił mu grymas bólu.

Drzwi otworzyły się. Oświetlona światłem z tyłu korytarza stała w nich dziewczyna. Za nią starsza kobieta, a jeszcze bardziej z tyłu mężczyzna, patrzący z przerażeniem.

McCoy odepchnął dziewczynę na bok, tak że upadła na dywan. Gdy Famy wszedł za nim, McCoy kopnął drzwi piętą i słychać było jak patentowy zamek zatrzasnął się.

- Kimkolwiek jest ten skurwiel na ulicy - McCoy mówił tylko do Araba, nie zwracając uwagi na resztę, jakby nie istnieli - widział, że tu wchodziliśmy. Wydostań się na tył przez drzwi kuchenne, przejdź przez płot jak wysoki by nie był i biegnij, biegnij, gdzie cię nogi zaniosą. Ja zostanę tu z tym towarzyszem. Zanim się zdecydują, co zrobić, minie wiele lat świetlnych, a i tak przez cały czas będą myśleć, że

siedzi tu nas dwóch. To da ci czas, żeby walnąć tamtego drania. Ale teraz pośpiesz się już. No, ruszaj się...

Ból nadszedł w silnych spazmach, jakby złapał za ramię i szarpał nim bezlitośnie.

- Na Boga, nie wyprowadzaj mnie z równowagi, spieprzaj! Famy nic nie powiedział, tylko przebiegł koło nich. Koło McCoya i dziewczyny, koło jej rodziców. Światło z kuchennego sufitu rzucało blask na ogród, tak że widział płot wysoki na półtora metra i oddalony 0 dziesięć metrów. Podeptał jakieś rośliny, a potem wspiał się na plecioną barierę i skoczył na drugą stronę. Była tam ścieżka, a przed jego oczami nic tylko ciemność.

Kiedy McCoy zaczął znów mówić, robił to z ogromnym wysiłkiem, broniąc się przed ogarniającą go niemocą.

- Mam karabin, naładowany, dwadzieścia sześć naboji w magazynku. Mam ręczne granaty. Nie zawaham się zabić was, jeśli nie będziecie robić dokładnie tego, co mówię. I żadnego cholernego dżentelmeństwa, kobiety dostaną pierwsze. Ta stara na początku. Jeśli przyjedzie policja, niech Bóg ma was w opiece.

Dziewczyna, która zdążyła wstać, wtuliła się teraz w objęcia matki i zaczęła szlochać - szybko, wydając krótkie, przerywane dźwięki. McCoy wskazał lufą strzelby na mężczyznę.

- Masz obejść cały dom. Chcę, żeby wszystkie drzwi i okna zostały zamknięte, wszystkie zasłony w oknach zaciągnięte i żeby klucze wróciły do mnie.

Pierwszy raz spojrzął na ich twarze, zatrzymując się na każdej z nich, zanim nie odwrócili głów, nie mogąc i nie chcąc wytrzymać wzroku głębokich, pełnych nienawiści oczu.

- A więc wszystko jasne, tak? I zrozumiałe? Lepiej nie wyprowadzajcie mnie z równowagi i nie bawcie się ze mną. Powiedziałem, co was czeka, jeśli będziecie próbowali mnie oszukać.

Gdy zabrał matkę i córkę na górę, słyszał hałas przekręcanych zamków, zasuwanych rygli i przesuwanych po plastikowych szynach zasłon. Był tak bardzo zmęczony, że bliski zaśnięcia. Tęsknił za tym, za ucieczką od bólu i okropnych przeżyć mijającego dnia.

Jimmy przesuwiał się na czworakach wzdłuż chodnika do ostatniego domku szeregowego. Samochód Helen palił się. Za chwilę wybuchnie, gdy tylko ogień dosięgnie baku z benzyną. Helen nie będzie uszczęśliwiona. Szedł bez wahania, zostawiając za sobą narastające ciepło i cały czas obserwując dom. Zabrakło mu paru sekund. Nie było nikogo, kto by go wsparł, ale i tak nikt się do tego nie nadawał. "Po to się włączyłeś, Jimmy, żeby bawić się w tę niebezpieczną grę." Zobaczył, że okna w pokojach na górze zostały nagle zasłonięte. Wiedział, że to podstawowy środek zabezpieczenia przed nagłym atakiem.

Nagle zauważył małą kałużę krwi błyszczącą przy furtce. Jeden z tych drani miał problemy. Irlandczyk. To w niego celował i to on upadł na starą maskę cortiny, zbyt szybko. Ten jego ruch, charakterystyczny dla człowieka, który dostał, i ilość krwi, znaczyły, że to duża i bolesna rana. "Kalectwo - to słowo, jakiego użyłby tu stary Jones. Idź za ciosem, Jimmy, masz teraz równe szanse." Światła w domu, jedno po drugim, były gaszone. "Znowu dobrze myślą, mogą tylko o centymetr ruszyć zasłonę i widzieć całą ulicę, podczas gdy sami są ukryci i niewidoczni." Cztery domy dalej, po tej samej stronie ulicy, otworzyły się frontowe drzwi i Jimmy widział mężczyznę patrzącego na płonący samochód. Inni też tak robią, gdy ciekawość przeważa nad instynktem samozachowawczym i pootwierają się drzwi zabarykadowane podczas strzelaniny.

Mężczyzna cofnął się do drzwi, gdy zobaczył broń Jimmy'ego. Musiał dostrzec ją, zanim zauważył schyloną sylwetkę przed ogrodem frontowym, otoczonym żywopłotem. Ale Jimmy był szybszy, zablokował drzwi nogą i przytrzymał.

- Potrzebuję telefonu - powiedział. - A jak będę rozmawiał, wypisz mi wszystkich ludzi z domu na końcu, po tej stronie, każdego, kto może tam teraz być. I nie wychodź na ulicę, jeśli nie chcesz być na pierwszych stronach gazet.

Dla mężczyzny było to jak zły sen, zbyt straszny, by pytać o cokolwiek. Potulnie zaprowadził obcego do pokoju i wskazał na telefon. Odruchowo ściszył telewizyjny program, który właśnie oglądał. Palce Jimmy'ego wykręciły numer bezpośredni do biura Jonesa, bez łączenia przez centralę.

- Jimmy z tej strony, panie Jones. Przebili się do Richmond. Chisholm Road, zaraz przy parku. Jeden ma problemy, może nie śmiertelne, ale będzie mu ciężko. Mają karabiny i granaty. Policji jeszcze tu nie ma, ale z pewnością przyjedzie, gdy lokalni zacni mieszkańcy poinformują o strzelaninie na ich zacisznej, małej uliczce. Ci dwaj wiedzą w co wdepnęli, podejmują pierwsze środki bezpieczeństwa..

Przez ścianę domu Jimmy usłyszał przeszywający dźwięk syreny policyjnej. Odłożył słuchawkę bez wyjaśnienia, pobiegł przez dom do frontowych drzwi i wybiegł na środek jezdni, aby zatrzymać wóz patrolowy. Widział jak funkcjonariusze wewnątrz drgnęli na jego widok i przypomniał sobie, że ciągle trzyma w ręce PPK. Pokazał swoją pokrytą plastikiem kartę.

- Nie jedźcie dalej! - rzucił. - Pierwsza rzecz: jeden z was idzie do tyłu, drugi obserwuje ulicę. Kolesie z dzisiejszej londyńskiej próby zamachu są wewnątrz domu na końcu, tego po prawej stronie. Mają pełno broni, więc uważajcie.

Tknięty przecuciem, zapytał jeszcze o coś pozornie oczywistego:

- A wy ją macie?

Obaj policjanci byli bardzo młodzi, nie mieli nawet dwudziestu lat. Zaprzeczyli kiwnięciem głowy, coraz bardziej przestraszeni.

- No cóż, nie siedźcie tu tak beczynn timer. Jeśli nie macie, to trudno. Jeden i tak będzie musiał przenieść się na tyły, a drugi niech wezwie tę cholerną kawalkadę.

W ciągu kwadransa dom został odcięty od świata. Policyjni strzelcy z karabinami FN ustawili się po drugiej stronie ulicy przed domem. Inni leżeli w ogrodzie przy płocie z frontu. Czterech było z tyłu, a z nimi dwa owczarki alzackie wytresowane w ataku. Przenośne latarki, krótkie, cylindryczne, ustawione na statywie i zasilane przez generatory rzucały intensywne światło na front domu. Budynek wyglądał jak opustoszały, jakby po zarazie w czasie kwarantanny, żadnego ruchu ani odgłosów wokół niego, tylko duże cienie na ceglanych murach, przy różach, które rodzina pielęgnowała pieczołowicie. Na końcu ulicy stały wozy strażackie, z włączonymi silnikami i niebieskim światłem obracającym się nieustannie, a jeszcze bardziej w tyle karetka pogotowia z otwartymi drzwiami i przykrytymi czerwonym prześcieradłem noszami, leżącymi na ulicy. Tam zebrali się pozostali mieszkańcy.

Dorośli jeszcze ubrani, dzieci w piżamach, zawinięte w puchowe kurtki i płaszcze, chroniące je przed zimnem wieczora. Nie mówili dużo między sobą, byli zaszokowani, że taka rzecz mogła wydarzyć się na ich ulicy, w ich prywatnym rezerwacie.

Został już wydany rozkaz, że polecenia dotyczące akcji nie powinny być nadawane przez policyjne radio i żadne informacje nie mogą być dostarczone prasie do czasu, aż nie nadejdą upoważnienia ze Scotland Yardu.

- Musimy owinać ich jak w kokon - powiedział główny intendent posterunku. - Odetnijcie ich, dopóki nie przyjedzie jakaś szychy i nie ogłosi wielkiego planu. Tymczasem nie ma sensu dawać im okazji, żeby bawiąc się gałkami w radiu, wyłapali wszystkie informacje.

- Kto tu jedzie? - zapytał Jimmy.

- Połowa tego cholernego Londynu. Podkomisarz, sekretarz stanu, ludzie z obrony, facet, który nazywa się Jones, z twojej brygady. Całe tabuny.

- Miejmy nadzieję, że przywiozą jakieś skarpetki na zmianę - powiedział Jimmy. - Takie rzeczy mogą długo potrwać.

- To może potrwać długo albo pięć minut. To zależy od decyzji polityków - rzekł główny intendent i odszedł.

Na tylnym siedzeniu urzędowego samochodu, który pędził z Londynu w kierunku Richmond, Jones czuł wielkie uczucie ulgi. Miał ich obu w pudełeczku: to była esencja informacji z pokoju operacyjnego Scotland Yardu. Będzie tylko kwestią czasu, kiedy tamci zaczną się męczyć swoim kłopotliwym położeniem i kiedy zrozumieją beznadziejność swojej sytuacji.

Premier siedział na końcu stołu z cygarem w palcach prawej ręki. Było nie zapalone i stanowiło coś więcej niż rekwizyt teatralny. Chciał je mieć szczególnie wtedy, gdy miały być podejmowane decyzje. Przy stole siedziało czterech mężczyzn. Po prawej stronie premiera komisarz policji stołecznej i tymczasowy podsekretarz Ministerstwa Obrony, po lewej stronie dyrektor generalny Służby Bezpieczeństwa, a dalej średniego stopnia urzędnik brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Premier otworzył spotkanie prośbą do komisarza, aby zdał raport z sytuacji w domu.

- To w zasadzie klasyczna sytuacja oblężenia, w jakich mamy pewne doświadczenia, nasze własne, ale gdzie istnieje też dużo obcych informacji, na których należy się oprzeć. Mają trzech zakładników, udowodnili, że są mordercami, potwierdzono, że jeden z nich jest ranny. Jak na razie nie wysunęli żadnych żądań, ale na to za wcześnie. One nastąpią, a kiedy to się stanie, z pewnością będą chcieli samolotu. Należy pamiętać, że ci ludzie są rozwścieczeni swoją wcześniejszą porażką. Według mnie, tylko czas może ich uspokoić. W innym razie będziemy mieli strzelaninę.

Premier odwrócił się do dyrektora generalnego.

- Nie mam wiele do dodania poza tym, że wierzymy, że nasz człowiek zranił...

- Pański strzelec - przerwał premier - ten, któremu tak pan ufa. nasz człowiek zranił Irlandczyka, McCoya. Naszym zdaniem McCoy jest lepszym fachowcem w tej parze, to znaczy w sensie taktycznym, ale jego stanowczość nie jest tak silna jak Araba. Jeśli dojdzie do strzelaniny w domu, to większe zagrożenie życia zakładników i brygad szturmujących będzie istniało ze strony Araba.

"Jakie to śmieszne - myślał premier. - Inteligentni ludzie, świetni do obserwowania, do pracy, do łóżka i rodziny, gdzie wróca, a siedzą wokół stołu, dyskutują i prawie stawiają zakłady o to, kto zabija lepiej - Celtowie czy bliskowschodni. Nonsens."

- Panie Dawson, wchodzimy w pańskie królestwo. Co należy wziąć pod uwagę w opracowaniu szturmu domu?

Premier patrzył za ramieniem dyrektora generalnego na młodego, pochylonego, szarobladego mężczyznę, który do tego momentu nie brał udziału w dyskusji, a tylko pracowicie stenografował w małym notatniku w linie.

- Z całym szacunkiem, sir - Dawson mówił z prędkością podobną do tej, z jaką pisał, nie patrząc znad swoich papierów, ale mówił cicho, tak że pozostali musieli się trochę pochylić, by go słyszeć. - Sprawa, Przed którą stoimy, nie różni się od procedur Sądu Najwyższego. Możemy tylko pomóc sobie, analizując wcześniejsze wypadki o takim samym charakterze i oceniając je. Mniemam, że nie powinno tu być

jakichś specjalnych okoliczności i nasz wybór nie będzie różnił się od tych, które podjęły inne władze tutaj czy na kontynencie, czy w Stanach Zjednoczonych, gdy miały ten sam problem. Poddaję pod rozwagę, że powinniśmy spojrzeć na rozwiązania, które wypróbowano lub których zaniechano w przeszłości. Mój koronny argument: atak olimpijski. W Monachium Niemcy mieli problem ostatniego domu w rzędzie domków szeregowych, ale była duża grupa zakładników i o wiele większa grupa atakująca. Prezydent policji centrum wziął pod uwagę użycie gazów łzawiących, ale wyeliminował je jako za wolno działające. Rozważali również dostanie się do domu obok i włożenie materiałów wybuchowych we wspólną ścianę i w ten sposób wyburzenie przejścia. To również zostało odrzucone jako potencjalne niebezpieczeństwo dla zakładników, więc w końcu postanowili zwabić grupy Czarnego Października na otwartą przestrzeń i zaatakować ich przez wybranych strzelców. Rezultat: fiasko. W Stanach Zjednoczonych oblężenie i uwięzienie w sądzie waszyngtońskim. Po wielu godzinach udało się dostarczyć zakładnikom klucz ukryty w dostawach, na które zezwolono, ale było wśród nich paru ludzi, którzy potrafili zrobić użytek z tej pomocy. Sądzę, że w tym wypadku nie jest to najodpowiedniejsze rozwiązanie. Izraelczycy, którzy mają pewnych i najlepszych ekspertów w tej dziedzinie, stawiają wszystko na silny atak z frontu, osłaniany przez ogień dywersantów, silny ogień. Ryzykują wszystko, stawiając na szybkość i zaskoczenie. Terrorysty giną, sir, ale zabierają przy tym ze sobą dużo zakładników. Prawdopodobnie jest to też nie do przyjęcia w naszej sytuacji. Nikt nie szeleścił papierami, nie szurał nogami, nie kaszłał. Dawson był ekspertem w tej dziedzinie.

- Duńczycy mieli inną sytuację w oblężeniu więzienia w Scheveningen jesienią 1974 r. Zdecydowali się wejść przez jedne z zabarykadowanych drzwi, które prowadziły do więziennej kaplicy. Ale wiedzieli wszystko dzięki naocznym świadkom i elektrycznym wizjerom informującym na bieżąco o pozycji zakładników i terrorystów. Oczekali, użyli fałszywego zapewnienia, a potem przy pomocy lasera wypalili zamek, z dużym hałasem odwracającym uwagę. Ta operacja była całkowicie udana. Powinienem podkreślić, że Brytyjczycy mają doświadczenie w grze na czas. Jest to najczęściej stosowana taktyka. Ja

ko strategia jest prawdopodobnie bardziej odpowiednia dla krajowych problemów kryminalnych typu terroryzm IRA, mniej zaś użyteczna w uporaniu się z grupami obcymi, jak Palestyńczycy i Czerwona Armia Japonii.

- Jak szybko będziemy mogli zorganizować efektywny atak na dom?

Premier chciał, żeby to się już skończyło. Mężczyźni widzieli to. Nie kończące się negocjacje, takie jakich świadkami byli w Niemczech, Francji, Grecji i Włoszech, a później rząd skapitulował przed siłą automatycznych karabinów i materiałów wybuchowych.

- Udokumentowano, że najlepszym czasem na atak jest ten przed świtem - powiedział Dowson. - Parę minut w tę czy w tę, ale około czwartej. Lekarze powiedzą panom, że z medycznego punktu widzenia jest to czas najmniejszej odporności. Wtedy najczęściej umierają starsi ludzie i wtedy krew ulega ochłodzeniu. A my mamy tę przewagę, że ci mężczyźni są zmęczeni. Byli w stresie przez wiele godzin, od czasu weekendu. Potrzebują odpoczynku. Jeśli jeden jest ranny, to obciąża to bardziej drugiego, ale on też musi odprężyć się do jakiegoś stopnia. Więc najwcześniej może to być przeprowadzone jutro rano. Ale im wcześniej zaatakujemy, tym większe jest ryzyko. Jakikolwiek są ich możliwości, ci dwaj mężczyźni wciąż będą próbowali stawiać silny opór.

Premierowi spodobał się pomysł z laserem. Często mówił w swoich wystąpieniach publicznych o potrzebie technicznego postępu kraju. Jego oponenti mówili, że ma obsesję na punkcie gadżetów, bardziej zainteresowany przemysłem mechanicznym niż ludzie, którzy w nim pracują. Nadchodził czas na podjęcie decyzji i czterech mężczyzn czekało.

- Dwa pytania, panie Dawson. Czy możemy zdobyć laser na jutro, na ten czas, o którym pan mówił? I jakiego rodzaju środki mylące uważałby pan za konieczne?

Zaletą Williama Dawsona było to, iż rzadko odpowiadał bez pewności swoich informacji.

- Prawdopodobnie możemy dostać laser z przemysłu, z pewnością od Uniwersytetu Brytyjskiego. Nie musi to być jakiś specjalny model. Jako zmylenie proponowałbym pięciominutowy hałas, mniej więcej

co dwadzieścia minut. Głośne silniki, syreny strażackie, radiowy komunikat Trzeba to najpierw wzmocnić, potem trochę osłabić, ale podtrzymywać przez noc do wczesnego ranka. Przyzwyczajają się do tego, oswoją do czasu, kiedy będziemy chcieli użyć laseru; dźwięk będzie przytłumiony, otwarcie frontowych drzwi zabierze około piętnastu sekund, nie więcej.

- Ma pan uprawnienia - rzekł premier.

Entuzjazmował się teraz. Podniecało go podjęcie decyzji. Patrząc na administratora państwowego, który siedział za komisarzem, powiedział:

- Panie Harrison, chcę, aby Specjalne Siły Powietrzne zajęły się szturmowaniem domu we wczesnych godzinach jutro rano. Nie będę zmartwiony, jeśli Arab nie przeżyje wyjścia

Komisarz zareagował szybko.

- Z całym szacunkiem, sir, ale jest to pole działań policji stołecznej. Jesteśmy całkowicie przygotowani, dzięki naszym specjalnym grupom patrolowym, do zorganizowania koniecznego ataku. To jest lekcewa...

- Komisarzu - powiedział chłodno premier, składając okulary gestem kończącym rozmowę. - Jestem zainteresowany rezultatami, a nie uczuciami. Jeśli zapyta pan pana Dawsona, jestem pewien, że wyjaśni panu szczegółowo, iż jednym z efektów działania policji monachijskiej jest przekonanie, że w przyszłości wszystkie podobne sytuacje powinny być całkowicie przekazywane w ręce wojska

Zakodowane wiadomości rozeszły się szybko. Trzydzieści pięć minut po tym, jak doradcy premiera wyszli, parę minut przed północą, antyterrorystyczne siły SAS wyruszyły helikopterem wessex z bazy w Herefordshire. Reprezentowali jedną z najlepszych i najbardziej odważnych drużyn Brytyjskich Sił Zbrojnych. Na podłodze helikoptera nie było wiele ekwipunku, tylko wybór najbardziej groźnej broni.

Gdy McCoy chodził po domu, ból w jego ramieniu dokuczał mu coraz częściej. Starał się uodpornić na jego ataki, zatrzymując się i opierając o ścianę, kiedy nadchodziły. Miał jeszcze dużo do zrobienia, a ból był coraz silniejszy. Zabrał rodziców dziewczyny na górę i po

łożył twarzą do dołu na łóżkach - jego w głównej sypialni, ją w sypialni gościnnej. Dużo wysiłku kosztowało go porwanie narzuty dwuosobowego łóżka na małe kawałki. Używając zdrowej ręki i zębów, porozrywał ją na takie długości, jakich potrzebował, żeby ich przywiązać. Nie opierali się, zbyt przerażeni tym, co ich spotkało. Kiedy już leżeli płasko na łóżkach, związał im ręce na plecach, grożąc, że jeśli usłyszy próby ucieczki - zabije.

Kiedy skończył, jego siły wyczerpały się. Wraz z bólem, pojawiającym się przy każdym ruchu, czuł rosnące nudności. Opadł na wąskie, jednoosobowe łóżko dziewczyny, stojące przy ścianie, koło półki na książki, brudząc żółtą kołdrę butami. Zgiął się tak, że ciężar ciała spoczywał na lewej stronie. Położył karabin na brzuchu i wyciągnął z kieszeni granaty, które umieścił koło biodra. Zdrową rękę trzymał na cynglu.

Dopóki nie weszła za nim do pokoju, nie widziała jego ran, ale gdy z trudem zmieniał pozycję na łóżku, ból zdradził go i dostrzegła płynącą krew i dwie bliźniacze dziury w ubraniu. Usiadła w nogach łóżka.

- Dlaczego tu wróciłeś? Czego od nas chcesz?

- Czasu, moja mała, czasu dla przyjaciela.

- Dla Araba?

- Tak. Czasu dla Araba Czasu, żeby oddalił się stąd jak najdalej.

- On poszedł?

- Widziałaś, jak wybiegł. Poszedł dalej niż ja. Ja tutaj kończę. Jego cel jest daleko. Na razie jest tak, jakby jeszcze nie przekroczył linii startu. Musi pobiec całe okrążenie. Ja jestem jego przeszkodą. Wielki Ciaran musi mieć pewność, że Arab wystartował i pędzi daleko przed pościgiem. Tak to wygląda, mała kasjerko.

"Nie ma potrzeby, żeby z nią mówić."

Nie było niczego, co miałoby znaczenie i co mógłby powiedzieć.

Tylko pusta twarz i palce uderzające w kasę sklepową Bez wyrazu.

"Czas pomyśleć o sobie, Ciaran. Famy dąży do celu, ale płoty są wysokie, rowy głębokie, a oni poszerzyli drogi, cholerne dranie. Mieliśmy w ręku wszystkie atuty - myślał. - Teraz nie mamy ani jednego, a ten głupi skurwiol odszedł, odszedł do swojej śmierci i ciągnie cię ze sobą."

Jego oczy były otwarte, ale nie chciał patrzeć na dziewczynę. Wlepił wzrok w sufit. Zawsze zastanawiał się, jak odejdzie, jak to będzie, gdy śmierć zamknie go w sobie. Myślał, że to może będzie w rowie, na farmie, gdy kordon się zaciśnie lub na wysokim drucie Kesh, a może wtedy, gdy żołnierze będą wyciągać go za nogi z okopu. Ale nigdy nie wyobrażał sobie tego w ten sposób, nie w pokoju osiem na dziesięć, z króliczkami i żonkilami na ścianach i zapachem złożonej koszuli nocnej pod sobą.

Ale nawet wtedy, gdy ból był najsilniejszy, starał się utrzymać w sobie życie. Zacisnął oczy, zagryzł mocno dolną wargę i pokiwał łufą karabinu w jej stronę, żeby podeszła bliżej. Położył broń koło granatów i zaczął zrzucać kurtkę z lewej strony. Usiadła koło niego na łóżku i gdy odsunął się od ściany, zdjęła kurtkę powoli z jego ramienia. Raz krzyknął. Okręcił się na bok, zgięty w pół, szukając ulgi.

- Przynieś trochę wody i coś do przemycia tego. Prawie nie słyszała jego słów. Poszła szybko i wróciła do pokoju z garnkiem, nad którym unosiła się para, i z tamponem z waty. Gdy zapaliła światło, otworzył oczy, a potem z jego pomocą zdjęła mu koszulę. Ostrożnie ściągnęła mu podkoszulek przez głowę. Krew płynęła ciemnymi smugami po klatce piersiowej. Wacikami powoli zbliżała się do równo wyciętych, okrągłych ran w ciele. Nie zatrzymywała się długo przy ramieniu, najpierw bark. Widziała, jak jego mięśnie kurczyły się, gdy zbliżała się do miejsca wejścia drugiej kuli.

Instynktownie pociągnęła go do przodu, żeby wyczyścić wylot kuli na plecach i zobaczyła na nich nietkniętą skórę.

- Ona ciągle tam jest - pół stwierdziła, pół zapytała. Pokiwał głową i po raz pierwszy zobaczyła jego uśmiech.

- Trzeba ją wyciągnąć. Inaczej zabije cię.

- Wszystko w swoim czasie - powiedział McCoy. - Tamten kol ma daleką drogę do przebycia. Chcę, żeby doszedł daleko.

- Co oni zrobią, policja?

- Będą czekać przez następne parę godzin, aż poddamy się, a m nic nie zrobimy i wtedy będą musieli w nas uderzyć... Wyłącz światło - jego głos stał się nagle mocny i ostry.

Gdy pokój zagłębił się w ciemnościach, zaczęła nad słuchiwać. Niedaleko, na drodze, słychać było odgłos silnika ciężkiej maszyny

jakby kierowca naciskał i puszczał pedał gazu. Z okna po drugiej stronie dochodziły przytłumione krzyki. Odsunęła zasłonę, patrząc na drogę przed domem.

- Nic się tam nie rusza - powiedziała.

Z ulicy biła jasność i chociaż jego twarz była w półcieniu, widziała jej zarys.

- Dlaczego musieliście to zrobić z moimi rodzicami? Przewidział to pytanie.

- Mają tak leżeć, oddzielnie.

- Oni nie potrafiliby nic zrobić, nie potrafiliby cię zranić.

- Powiedziałem, że tak zostaną.

- Policja zaatakuje, kiedy?

- Nie do jutra. Będą potrzebowali czasu, żeby opracować plan. Zabierze im to pół tygodnia.

Sięgnął lewą ręką do przodu, złapał ją za ramię i przyciągnął. Leżała w poprzek łóżka, głowę wtulił w jej brzuch. Przypomniał sobie popołudnie w parku. Czuł się, jakby nie minęło trzydzieści godzin, ale pół życia. W ciemności jego oddech uspokoił się. Leżał nieruchomo. Musiał odpocząć, musiał wrócić do Cullyhanna. musiał znów wspiąć się na wzgórze.

- Dlaczego nie było ci dobrze wczoraj? - zapytała.

- Nie wiem - powiedział McCoy. - Nie wiem.

266

17.

Kiedy lekarz wyszedł, zostawili Sokareva samego w pokoju. Tabletki, którą dostał, popita woda z kranu z kubka do zębów, działała szybko, przynosząc senność, która przeważała nad strachem. Po hałaśliwym, wypełnionym syrenami policyjnymi konwoju, który przywiózł go do hotelu, pośpiesznie zaprowadzili go do pokoju, pomogli rozebrać się i przygotować na przyjście żydowskiego lekarza. Elkin krążył wokół, kiedy lekarz pochylał się nad swoim pacjentem i Sokarev widział, jak bardzo jest przygnębiony. Stracił swojego towarzysza. Obaj mężczyźni pracowali razem, planowali, jedli i odpoczywali, związani na zasadzie kontrastu przyjaźnią. Teraz było to wszystko zniszczone przez niewinnie wyglądający granat.

Sokarev był zawiedziony nieobecnością Anglika, który podał tylko swoje imię i nosił stary garnitur. On był jedynym, który obiecał, że będzie koło niego, który żartował z tego wszystkiego i który demonstrował swój profesjonalizm, dostrzegalny dla każdego poprzez spokój, jaki okazywał, od kiedy się spotkali. Ale teraz był nieobecny, a tak potrzebny. Mężczyzna, w którego Sokarev wierzył, któremu zaufał.

Czuł ogromną beznadziejność, samotność i smutek, kiedy zaczął mówić, leżąc pod równo ułożoną hotelową kołdrą w swojej piżamie w paski.

- Gdzie jest Anglik, ten który mówił o sobie Jimmy? - Przeszkodził w cichej rozmowie, której nie słyszał, a która przebiegała w drugim końcu pokoju.

- Ściga ich - powiedział Elkin. - Po tym, jak Mackowicz został zabity, wybiegł przez drzwi. Strzelał. Od tego czasu ani słowa o nim.

- Powiedział, że będzie z nami. Przez cały czas.

- No cóż, nie ma go tu. Ani śladu. Pewnie biega po ulicach, próbując zrozumieć coś z tego zamieszania. Ale musi to być coś beznadziejnego, po tym, co się stało. Ochrona była jak sito. Nie zorganizow; źle przygotowana.

Podszedł bliżej łóżka, mówiąc z irytacją:

- Powinien pan zrozumieć, profesorze, że od teraz my będziemy kierować wszystkimi ruchami. Żaden obcy człowiek nie będzie już podejmował decyzji, nie będzie żadnych delegacji. Anglik, którego chciałby pan mieć przy sobie, wygłosił wielką mowę o "odpowiedzialności" Mackowiczowi. Gdzie jest teraz Mackowicz? Gdzie jest człowiek, który wydawał te rozkazy?

Inspektor Oddziałów Specjalnych, czując lodowaty dystans, dzielący ich od Izraelczyków, nie zabierał głosu. Sytuacja nie była do naprawienia. Żadnych faktów, którymi mogli się poszczycić.

Wraz z przyjazdem ambasadora mężczyźni wycofali się do drugiego pokoju. Ambasador, nie próbujący ukrywać swojej wściekłości, attaché bezpieczeństwa, Elkin i dwóch innych ludzi z ambasady, których Sokarev wcześniej nie widział, ale którzy mieli przy sobie krótkofalówki, zamknęli za sobą drzwi i angielski policjant, niepotrzebny i ignorowany, wyszedł na korytarz.

"Dla nich jestem jak przedmiot - myślał Sokarev. - Nie, żeby się z nim skonsultować, nie żeby przedstawić problemy."

W ostatnich minutach zanim pigułka zaczęła działać, słyszał podniesione głosy wydobywające się z pokoju obok. Krzyki, podniesiony głos Elkina żądający posłuszeństwa, attaché bezpieczeństwa, próbujący łagodzić ich złość i ściszony głos ambasadora.

Cel spotkania był prosty: dalsze posunięcia Sokarewa. Elkin nalegał na natychmiastowy powrót do Tel-Awiwu. Ambasador ze swoim dyplomatycznym stopniem, ale bez wyznaczonej odpowiedzialności za bezpieczeństwo Sokarewa, domagał się zgody z Jerozolimy na odwołanie wizyty w Nowym Jorku.

- Niemożliwe jest usprawiedliwienie dalszego kontynuowania jego podróży! - krzyczał Elkin.

W Izraelu tytuł i pozycja mogą dużo zdziałać, gdy w grę wchodzi sprawa bezpieczeństwa. Mógł zastraszyć wyższego rangą dyplomata, w sposób niemożliwy w Europie i poza nią.

- Jeśli mogli zaatakować tutaj, mogą też w Stanach Zjednoczonych. Jeden z naszych ludzi już zginął i to w ciągu jednego wykładu. Ilu jeszcze stracimy ochraniając go, jeśli pojedziemy do Ameryki? I po co?...

- On jedzie tam dokładnie z tego samego powodu, z jakiego przyjechał tutaj. Niebezpieczeństwo było znane, ale my nie ugięliśmy się pod groźbą...

- On jest naukowcem, a nie tarczą strzelniczą.

Podjęto decyzje na poziomie rządowym, że powinien jechać. Nie damy się zastraszyć tym ludziom.

- Dopóki było to sensowne ryzyko. Nie teraz. Poradzili sobie dobrze dziś w nocy, ci dranie. To, że nie trafili, było tylko przypadkiem.

Niczyją zasługą. Przypadek i Mackowicz.

- Decyzja musi nadejść z Jerozolimy - ambasador mówił głosem nie uznającym sprzeciwu.

- Decyzja jest prosta, wasza ekscelencjo. Bardzo prosta, nie ma wątpliwości, że już teraz może pan się jej domyślać. W jaki sposób profesor jest bardziej przydatny? Pracując dla kraju, czy jako sławny i nieżywy męczennik walki? Wybór jest chyba prosty. To smutne, * nie może się pan skonsultować z Mackowiczem, on wybrałby dobrą odpowiedź.

Twarz ambasadora spurpurowiała. Odwrócił się w stronę drzwi.

- Tak jak powiedziałem, decyzja musi nadejść z Ministerstw Spraw Zagranicznych. Przedstawię pański komentarz i on będzie wzięty pod uwagę.

- A co z Sokarevem? Co z jego możliwościami? Czy one też wzięte pod uwagę?

Ambasador i attache bezpieczeństwa wyszli. Elkin spojrzał na dwóch młodych ludzi, którzy mieli dzielić z nim pokój, a potem odwrócił się nagle, żeby nie widzieli łez, które pojawiły się w jego oczach.

Mackowicz był dla niego jak brat. Starszy brat, dominując opiekuńczy. A teraz z żołądkiem i jelitami wyrzuconymi w powie Skulił się na łóżku. To, że Sokarev był żywy i oddychał ciężko metrów od niego, nie było stosownym pocieszeniem.

Ambasador był doświadczonym dyplomatą, szczególnie w sztuce samoobrony. Prośba o wskazówki, wysłana do Jerozolimy, nie zawiązała jego własnych sugestii, ale wskazywała na wzięcie pod uwagę komentarza pozostałego członka ochrony. Zakodowana odpowie

nadeszła do pokoju łączności ambasady w ciągu dwóch godzin. Po rozkodowaniu została mu przyniesiona: XXCLL478219
MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH JEROZOLIMA
0018208 POUFNE. MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZ-
NYCH DO AMBASADORA UK KROPKA PO PILNYM ROZPA-
TRZENIU PODRÓŻY SOKAREVA AMBASADOR USA MA BYĆ
POWIADOMIONY O ODWOŁANIU POWYŻSZEJ PODRÓŻY I
PODJĘTE USTNE USTALENIA W NY I INNE KROPKA SOKA-
REV POWINIEN POWRÓCIĆ PIERWSZYM MOŻLIWYM NON
STOP EL AL LOTEM KROPKA ŻĄDAMY NAJWIĘKSZEJ
OCHRONY PODCZAS POZOSTAŁYCH GODZIN OBECNOŚCI
SOKAREVA W UK SZCZEGÓLNIE LONDYN HEATHROW OD-
LOT KROPKA WYŚLIJCIE OSTRY PROTEST DO RZĄDU UK
NIE PONIŻEJ MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH
NAJLEPIEJ DO PREMIERA UK PODKREŚLAJĄC SŁABĄ
OCHRONĘ I OSTRZEŻENIE NASZEGO MINISTERSTWA
SPRAW ZAGRANICZNYCH KROPKA PRZYMUSOWY WCZEŚ-
NIEJSZY PRZYJAZD SOKAREYA KROPKA DOMAGAMY SIĘ
PUBLICZNEGO WYRAŻENIA ŻALU KROPKA KONIEC IN-
FORMACJI.

XXDYY 478219

Żona naukowca będąc sama w mieszkaniu w Beer Szebie, usłyszała w izraelskim radiu końcowy skrót wiadomości o ataku na jej męża.

Radio przekazało tę wiadomość szybciej, niż władze rządowe odpowiedzialne za bezpieczeństwo jej męża, mogły zareagować.

W desperacji próbowała najpierw zadzwonić do syna. Był na ćwiczeniach i nie mógł odebrać wiadomości. Potem do córek - obie poza akademikiem i nie spodziewano się ich do późna w nocy. Dyrektor Dimony, stary przyjaciel rodziny, był na konferencji w Tyberze. Wyglądało to jak nie kończący się ciąg niepowodzeń, gdy czekała cztery razy na usłyszenie znajomego głosu na linii i za każdym razem jej nadzieje zawodziły. Usiadła w krześle Davida Sokareva przy komin-ku, który nie będzie zapalony do nadejścia zimy i w chłodnym powietrzu pustyni czekała na pierwsze światło, odległe teraz o pięć godzin.

270

To, że wiedziała, iż jej mąż jest bezpieczny, nie było dużą pociechą. Łkała bezgłośnie w półcieniu pokoju, wiedząc o jego głębokim napięciu i przerażeniu. Taki spokojny, taki łagodny, bez wrogów, nigdy nie podnosił głosu w złości. Zagrzebany w ciasnym biurze, odizolowany od nienawiści i wrogości, która rosła gwałtownie za drutami Dimon. Czy jego praca i znaczenie badań mogły wprowadzić go do tego złego świata? Zastanawiała się. Kompletowanie bomby, strasznej, niszczącej, czy to przygotowało go do konfrontacji? Nie widział bomby jako skończonego i kompletnego narzędzia wojny. Tylko liczby i notatki. Rysunki, które nic nie znaczyły dla innych. Długie godziny, dni i miesiące pracy. Kalkulacje i równania.

On tego nie zrozumie. Za długo był nieobecny w świecie lu teraz walczących wokół niego, jedni ,aby mu odebrać, a drudzy, a' ochronić jego życie. Na pewno czuje się samotny i bezbronny. Dłate płakała. Drużyny SAS zostały przetransportowane na Chisholm Road w dwóch "Czarnych Mariach" - policyjnych ciężarówkach, po improwizowanym lądowaniu helikoptera na boisku piłki nożnej, przy głównej drodze biegnącej z Richmond na południe. Mężczyźni mieli na sobie czarne, drelichowe kombinezony, ich ruchów nie krępowały taśmy czy wyposażenie. Wyskoczyli niedbale i z łatwością z ciężarówek i wtedy podano im ciężkie, płócienne torby.

Jimmy stał w cieniu i obserwował ich. Nie młodzieniaszki, ale i większość o połowę od niego młodsza. Ogolone, beznamietne twarze, widoczne tylko wtedy, gdy obracające się światło na dachach wozów strażackich oświetlało ścieżkę, po której szli. Drużyna morderców, na niż Jimmy, nie byli samoukami tak jak on. Nauka i praktyka, fundowane przez rząd. Wybrani z uwagą, zahartowani i uzbrojeni. N uczeni, by nie działać samodzielnie, ale w grupie, śmiertelnie groźni i nieugięci. Jeśli nawet byli podekscytowani, nie okazywali tego, szli jeden za drugim za człowiekiem, który był ich dowódcą, w stronę gdzie czekał na nich człowiek z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Niektórzy pochylili się nisko nad kartkami papieru, inni stali wypistosowani w półkołu, patrząc na otoczenie oświetlone latarkami.

William Dawson był dokładnym człowiekiem. Przystudiował z nimi wykres zewnętrznej strony domu, wszystkie okna i drzwi zaznaczone na czerwono, parter i pierwsze piętro. Ludzie z drużyny milczeli, dwóch robiło notatki, inni przyglądali się w ciszy. Potem analizowali plany wnętrza ostatniego w rzędzie domku szeregowego. Narysowana skala. Na czerwono drzwi i niebieskie krzyżyki, tam gdzie sąsiedzi zauważyli zamki i zasuwę. Palce biegły po liniach korytarzy, schodów i półpiętra. Od czasu do czasu ci z tyłu podnosili trochę głowy, aby porównać przyciemniony kształt domu z kartką. Jimmy stał kilka kroków od grupy. Jones był daleko, na schodach policyjnego wozu kontrolnego.

Dawson mówił szybko i logicznie, szkicując plan, który przedstawił wcześniej premierowi. Odwrócenie uwagi, czas, miejsca wejść, możliwości opozycji, laser. Uwaga, którą drużyna poświęciła administratorowi państwowemu była jak pasowanie na rycerza - wykonał swoją pracę, był ekspertem w planowaniu i teraz oddawał swoją wiedzę innym.

Grupa rozeszła się, aby rozdzielić zadania. Czterech do wyładowania broni, którą ze sobą przywieźli, do wyłożenia jej i naładowania. Czterech następnym do przygotowania lin, toporów i piętnastometrowych drabin, które miały ich zaprowadzić do okien pierwszego piętra. Oficer i sierżant, w towarzystwie szeregowego policjanta, przeszli koło domów do tego, który mieli szturmować. Gdy obejrzeliby jego front, przeszli cicho przez tylny ogród i wpadli bez ostrzeżenia na policjanta, który obserwował tyły numeru dwudziestego piątego. Z zewnątrz nie można było dużo powiedzieć o sytuacji za ceglanymi ścianami. Wszystkie zasłony zaciągnięte, okna przyciemnione.

- Zapaliło się światło chwilę temu. Z przodu, na górze, w małym pokoju, gdzie śpi dziewczyna. Po minucie zostało wyłączone. Mężczyzna po drugiej stronie ulicy uważa, że zasłona raz się poruszyła, ale cholernie trudno jest mieć pewność. Wtedy po raz pierwszy zaczęliśmy robić hałas, tak jak chciał koleś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Gdy drugi raz to robiliśmy, nic się nie stało, nic, co byśmy widzieli. Od tego czasu jeszcze trzy razy robiliśmy hałas i nic. Nie widzieliśmy żadnego ruchu.

Główny inspektor był przygnębiony. Przyznawał, że nie była to praca dla policji i był wdzięczny, że nie proszono jego ludzi na ochotników, a kompetencje i nieugiętość nowo przybyłych zrobiły na nim wielkie wrażenie.

- Jakie macie szanse na wyciągnięcie tych ludzi żywych? - zapytał, gdy wycofywali się w stronę grupy samochodów i ludzi.

- Na razie nic nie można powiedzieć - odpowiedział cicho oficer.

- Zależy gdzie jest rodzina, czy są razem? W jakim stanie jest ranny? Jeśli będziemy szybcy, jest duża szansa. Teoria mówi, że trudno mężczyźnie odwrócić broń na zakładników, jeśli wchodzimy przez drzwi. Nie ma ochrony. Broń odwraca się razem z nim. Ale to wszystko teorie. W praktyce jest zwykle inaczej.

Zanim doszli do wozu strażackiego, stojącego najbliżej domu, w którym zebrali się mężczyźni w mundurach, by podsłuchiwać ich rozmowę, oficer powiedział:

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale co tu ma priorytet? Zakładnicy nie są najważniejsi, jak widzę. Gdyby byli, rozmawialibyśmy, negocjowaliśmy. Pierwszeństwo ma tych dwóch facetów. Jeśli wydostaniemy rodzinę całą i zdrową, to dobrze, ale uderzenie w tych dwóch drani, to główny cel naszego przybycia.

Jimmy rzadko spuszczał wzrok z domu. Jego pospolitość zafascynowała go. Nieciekawość, nie wyróżniający się, nic szczególnego.

Czterdzieści dziewięć takich samych jak ten na tej ulicy. Zamieszkane pudło. Zamieszkane przez ludzi, którzy byli stereotypowi jak cegły i zaprawa murarska, którymi się otoczyli. I ich goście, oni też byliby mierni, bez tożsamości, gdyby zabrać im karabiny i granaty. Jedyną rzeczą, dzięki której mieli znaczenie, były ich strzelby i materiały wybuchowe. Ale dla Jimmy'ego najważniejszą, zasadniczą sprawą był terroryzm. To była siła, która wynosiła mierność ponad przeciętność. Jimmy słyszał o tym na wykładzie w departamencie, słuchał wtedy, co było u niego rzadkie, i zgadzał się. Za nim stał sekretarz państwa, trzymał się pod boki lub zakładał ręce do tyłu, patrząc smutnie na drogę i słuchając głosu podkomisarza. "Tylko z jednego powodu tu jest - pomyślał Jimmy - z powodu broni. Nie mają żadnego znaczenia ci mali dranie, tylko broń, która przyciągnęła tu tego wielkiego człowieka. Dla nich wszystkich, stojących wokół domu ze swoimi karabi

nami, psami i gumowymi pałkami, McCoy i Arab są tylko zdjęciami, dwuwymiarowymi, czarno-białymi." Nie dla Jimmy'ego. Jimmy widział ich, widział ich twarze, sposób poruszania się. I próbował zabić jednego z nich tego wieczoru i uważał się za pechowca, że tego nie zrobił. To związało ich razem, Jimmy'ego, McCoya i Araba w jakimś perwersyjnym związku. Widzieli go dwadzieścia metrów od siebie. Był ogień z karabinu i rzucony granat. Więc poznali się już i zrozumieli.

Kiedy odwrócił wzrok od domu, zobaczył przygotowujących się mężczyzn z SAS. Ale oni byli obcy, jeszcze niecałą godzinę temu nie byli w grze, dopóki helikopter nie wzbił się w powietrze gdzieś daleko na zachodzie.

Jimmy przeszedł przez drogę, w stronę oficera wojska, skoncentrowanego na swoim notesie. Klepnął tamtego w ramię i pokazał swoją kartę. Oficer rzucił na nią okiem i spojrzał na Jimmy'ego. "Jaki ważny, drań" - pomyślał.

- Jimmy. Ze Służby Bezpieczeństwa.

- George Martin, kapitan.

- Już raz w tym byłem. Na cały etat. Od kiedy to się zaczęło. Chcę wejść z wami.

W kącikach ust Martina pojawił się uśmiech. Niższy od Jimmy'e-go, podnosił na niego oczy. Nie pomocny, mało kontaktowy. Jimmy kontynuował:

- Chcę wejść z wami do domu. Wiem, jak obaj wyglądają, mogę się wam przydać.

Uśmiech rozszerzył się.

- Przykro mi, ojczulku, ale w tej drużynie nie ma miejsca dla pasażerów. Jeśli chcesz wejść i zidentyfikować ich po wszystkim, nie ma problemu.

- Nie nazywaj mnie ojczulkiem...

- A ty nie wchodź mi w drogę. Mam dużo roboty i nie mam czasu...

- Słuchaj - powiedział Jimmy blisko twarzy żołnierza. - Jestem z ochrony. Byłem przy Sokarevie dziś wieczorem.

- A więc trochę zszedłeś z kursu. Nikt mi nie powiedział, że się przyłączyłeś do tej imprezy tutaj, więc twoje miejsce jest w hotelu,

żeby trzymać go za rączkę. Pewnie czeka na kołysankę po tej rozróbie, w którą go wpakowałeś dziś w nocy.

"Tracisz zimną krew, Jimmy. W przyśpieszonym tempie, jak zawsze z nimi."

- Gdyby to zależało ode mnie, byliby teraz w kostnicy. I kiedy tam wejdziecie, znajdziecie jednego z tych drani półżywego, z moją kulą...

- W takim razie źle trafiłeś. Szukasz kolesia od nadawania odznaczeń w dzień urodzin królowej. Ja teraz jestem zajęty, mam pełne ręce roboty i nikt nie wchodzi do mojej drużyny, jasne?

- Ty draniu - powiedział Jimmy. Kapitan uśmiechnął się znów i odszedł.

Odszukanie Jonesa zabrało Jimmy'emu parę minut. Stał w grupie równych mu rangą mężczyzn, omawiających problemy, przed którymi stanęli. Dyskutowali o tym, jak zamontować, przed planowanym oświeceniem, rybiokkie szkła podglądowe, które za parę godzin zostaną przywiezione z Londynu, o technicznych stronach różnych urzędów, które były dostępne, o podaniu informacji do wiadomości publicznej. Jones rzadko bywał w takim towarzystwie, nie przyzwyczajony do podeksycytowania kompanów, czekających na katastrofę czy sukces, które może przynieść ranek. Poczuł, że lata spędzone przy biurku odebrały mu coś, co niejasno uważał za cenne. Zbyt dużo grzebaniny w papierach, podczas gdy wiedza i technika zdominowały świat jego młodszych kolegów. To, że był akceptowany wśród nich, schlebiano mu, ale wiedział, że to nie przez wkład pracy w tę akcję, ale dzięki jego randze i tytułowi. A potem podszedł Jimmy - gdy był właśnie w środku zdania - i odciągnął go na bok. Jones zauważył znak ostrzegawczy - nerwowe drganie lewej powieki Jimmy'ego, które znał od lat.

- Cholerne wojsko, cholerne świnię. Byłem tu od samego początku i dobrze mi szło. Cholernie dobrze, a teraz chcę wejść do wewnątrz i zakończyć tę cholerną sprawę, a ten mały zarozumialec traktuje mnie jak kuchnię wojskowego. Patrzy na mnie z góry, i mówi: "wejdiesz jak skończymy" i pieprzy coś.

- Po co chcesz wejść, Jimmy? - zapytał Jones.

- Chcę skończyć z tą cholerną sprawą, skończyć to, co się dzisiaj zaczęło.

- Zabijać, tak? Tego chcesz?

- Po raz pierwszy masz rację. To ja, do cholery, zacząłem i...

- To nie jest praca zlecona, Jimmy. Nie potrzebujesz znaczków na swojej liście płac. O co chodzi? Za mało masz w tym roku na swoim koncie? Nie jesteś policjantem. Nie musisz mieć dwudziestu mandatów w miesiącu, żeby podtrzymać reputację.

- Więc nie powiesz im, że mają na mnie liczyć? - W jego głosie było z wątpienie. Jones zawsze go popierał. Dlaczego teraz było inaczej?

- Oczywiście, że nie. A co miałbym powiedzieć? Mam u siebie człowieka, który w tym miesiącu ma za mało trupów na swoim koncie. Staje się nerwowy, jeśli nie przydybie przynajmniej dwóch co trzydzieści dni. Zostaw to, Jimmy. Miałeś już dzisiaj swój występ, dobra robota. Powinieneś jechać do domu i być już teraz w łóżku, żebyś nie ziewał jutro, kiedy Bóg wie, co się może zdarzyć.

- A więc mam spadać, tak?

- Jeśli tak to widzisz, to twój problem, Jimmy. Ale zrób nam wszystkim przyjemność i zmyj się do domu, żebyś nie przysypiał rano.

- Myślałem, że dasz im porządnie po nosie! - Jimmy krzyczał. Jego słowa niosły się w ciszy nocnej, docierając do wszystkich. Obrócił się na pięcie i przeszedł przez linię, za którą stali dziennikarze i fotografowie telewizyjni, koło gapiów, którzy czekali, aż coś się wydarzy. Poszedł w dół wzgórza, w kierunku miasta. Tam będzie postój taksówek i hotel blisko mieszkania, gdzie nocny portier da mu pół butelki. Gdy szedł, myślał o tym, co się dzieje pod numerem dwudziestym piątym. Myślał o rannym McCoyu, o Arabie. Odtwarzał w pamięci twarze, tak jak je widział w świetle swoich reflektorów, zanim wystrzelił. Zastanawiał się, jak będą sobie radzić, gdy wejdzie wojsko. Chciał tam być. Ominęła go ta zabawa, a zasługiwał na nią. Puszka, którą kopnął ze zdenerwowania potoczyła się przed nim niezgrabnie.

Wiedziała, że jeśli się poruszy, McCoy obudzi się. Nie było mu wygodnie, pół oparty na jednym ramieniu, leżąc na wąskim łóżku, płasko na jej brzuchu. Jego sen był lekki, z konwulsjami, kiedy przekręcał się z prawej strony na lewą i odwrotnie. Rana w górnej części

klatki piersiowej była blisko jej głowy. Sączyła się z niej dziwna, nieznaną ciecz, którą widziała w półcieniu jako mętne krople. -Czasami odwracała głowę i wtedy ponosiła ją wyobraźnia i przerażała jeszcze bardziej niż rzeczywistość. Jak w sennym koszmarze widziała małą kulkę ołowiu uderzającą w jego skórę, rozerwaną i pociętą tkankę, i wyobrażała sobie, jak dalej, nieprzerwanie tkwi w ciele. A on powiedział, że to wszystko znowu się stanie. Policjanci z karabinami, wyłamywanie drzwi, walenie w deski podłogi małego pokoju i odrzucenie na bok drewnianego, białego krzesła, na którym położyła jego poplamioną kurtkę, koszulę i podkoszulek. A co on zrobi, gdy przyjdą? Karabin był do połowy pod nogami, a lewa ręka wciąż blisko spustu. Taki mały, a koło niego granaty, zbyt małe i niepozorne, by mogła uwierzyć, że są śmiertelną bronią. Ale gdy przyjdą, spróbuje wystrzelić, spróbuje pociągnąć za okrągłą szpilkę granatu. A oni będą strzelać. Będą szybsi, zorganizowani, bezlitośni. Przyjdą po niego, żeby go zabić, a nie uwięzić. Norah wiedziała to.

Nawet gdy nie była tak zmęczona jak teraz, nie potrafiła zanalizować swoich uczuć do Ciarana McCoya. "Miłość" była dla niej słowem z powieści, zapisanym w opowiadaniach o owiewanych wiatrem wzgórzach, chłopcach czystych i ciemnowłosych i dziewczętach o taliach osy, długich włosach i w rozpiętych bluzkach. Zadurzenie rozumiała. Czytała o nim w czasopismach poradniczych, było dość realne i mogła porównać do swoich własnych uczuć, które czuła rok temu do chłopaka, który pracował u ojca w fabryce. Przez jakiś czas rozdzierał jej serce, miło było płakać za nim. Ale McCoy, to było coś wyjątkowego, przerastającego jej rozumienie. Nie mogła wyobrazić sobie siebie zakochanej w mężczyźnie zdolnym do zaduszenia policjantki, której zdjęcie pokazywali w telewizji, nie w mężczyźnie z nienawistnymi, zwierzęcymi oczami, jakie pamiętała ze zdjęcia w gazecie. Ale leżała koło niego na trawie w parku, brała go w swoje ramiona i przyciskała jego głowę do swoich piersi, wymawiała jego imię i czuła ciepło i ból, gdy był głęboko pomiędzy jej nogami. I on miał teraz umrzeć. Zginąć zastrzelony przez ludzi w mundurach.

Norah sięgnęła do podłogi, do kwadratowego dywanu, który przykrywał środek pokoju, po bokach którego były plastikowe płytki i szukała pod łóżkiem butów, ostrożnie, żeby go nie obudzić. Buty stały

pod łóżkiem, ponieważ pokój był za mały, żeby wstawić tu odpowiednio dużą szafkę, której potrzebowała. Były tam dwie pary: wieczorowe buty na wyjście i płaskie, do pracy w sklepie. Dalej były ostatnie numery gazet, które przyszły w czwartek rano i które spowodowały, że rano leżała długo w łóżku, spóźniła się na śniadanie i biegła do autobusu. Wyprostowała się powoli i delikatnie, nie śpiesząc się, dopóki nie wyciągnęła poduszki, którą miała za plecami. Razem wystarczy. Najpierw gazety, potem buty, potem poduszka. Jedną ręką podtrzymywała jego śpiącą głowę i odsuwała się w stronę ściany tak, żeby wyjść spod niego i zbudować sztuczny brzuch. Wysokość była ta sama i gdy opuściła jego głowę na poduszkę, oczy pozostały zamknięte i słyszała tylko głośny i nierówny oddech.

Nie zdradza go, pomyślała, tylko ofiaruje mu ratunek. W ten sposób przetrwa. Odejdzie z jej życia, to nieuniknione, ale przetrwa. Na parapecie leżały klucze od domu, które przyniósł ze sobą na górę. Wybrała ten, który otwierał frontowe drzwi.

Po trzeciej - zobaczyła na swoim zegarku, gdy wyszła na półpiętro boso, na palcach, bezgłośnie. Na górze schodów zaczęła nasłuchiwać odgłosów domu. Oddech McCoya był słyszalny, bolesny. Cichsze dźwięki wydobywały się z pokoju, w którym leżeli jej rodzice.

"Boże, żeby tylko się nie obudził" - powiedziała do siebie i postawiła nogę na pierwszym stopniu.

Famy przeszedł przez mur do parku. Gdy już tam był, wiedział, że będzie biegł dopóki nogi nie odmówią mu posłuszeństwa. Szybko, ciężko i prosto na południowy zachód. Wiele razy wpadał na krzaki i w przykryte trawą kałuże. Jego ręce były pocięte i podrapane, a spodnie porozdzierane. Karabin, ściskany kurczowo jak talizman, utrudniał bieg, miał tylko jedną rękę do ochrony się przed gałęziami. Ale McCoy poświęcił się. McCoy został tam, żeby on mógł oddalić się od pościgu. Nie miał pojęcia, o ile godzin ich wyprzedzi, czy polowanie zaczęło się już, czy zacznie o świcie, czy może dopiero za dzień? Ale Irlandczyk poświęcił się, prawdopodobnie oddał życie, żeby dać mu przestrzeń, którą teraz przemierzał. To wzmacniało go i gdy nogi uginały się, odpoczywał tylko po to, aby wzmocnić mięśnie, odzyskać kontrolę i biegł znów dalej.

Dużo wysiłku kosztowało go wejście na mur i raczej runął niż skoczył na ziemię po drugiej stronie. Wkrótce nie było już zasłony z drzew i w świetle latarni ulicznych, w późnym ruchu drogowym biegł koło domów, gdzie światła wciąż były zapalone i z których wydobywało się niebieskoszare migotanie aparatów telewizyjnych. Kiedy dotarł do rzeki, szedł wzdłuż brzegu, bojąc się, by nie zgubić mostu oznaczonego na mapie, a gdy go znalazł, przyśpieszył kroku. Teraz już nie będzie żadnych przeszkód tego typu, mapa to pokazywała, tylko sieć ulic i ogrodów, oddzielających go od dużej, otwartej przestrzeni płaskiego betonu, gdzie było lotnisko, z którego miał odlecieć David Sokarev.

Znał swoją drogę, nie mylił się w wytyczaniu trasy. Co dziewięćdziesiąt pięć sekund ryczał ponad nim podchodzący do lądowania samolot pasażerski, a czerwone i zielone światła przesyłały Arabowi daleko w dole wiadomość, że był na dobrej drodze.

18.

To policjant, przykucnięty w cieniu drzwi naprzeciwko numeru dwadzieścia pięć, pierwszy usłyszał ciche dźwięki odsuwane ryglu drzwi. Ustawił się w pozycji strzeleckiej, karabin FN przy ramieniu, lufa skierowana w kierunku oświetlonego ganku. Przez cały ten czas mówił do radia przypiętego do munduru.

Gdy minęło parę sekund od podania pierwszej wiadomości, usłyszał wokół siebie ruch - inni zaostrzyli czujność, więcej strzelców przygotowywało się. Głos głównego intendenta przedostawał się do niego przez miniaturowy głośnik w aparacie. Bezcielesne i nierealne słowa dotarły do niego:

- Jeśli wyjdą mężczyźni, strzelaj. Gdy będą mieli ręce w górze i będziesz miał pewność, że nie są uzbrojeni, wstrzymaj się. Jeśli będą mieli ze sobą zakładników - strzelaj. Pod żadnym pozorem nie mogą schować się w ciemności, żaden z nich.

"Łatwo ci mówić - pomyślał policjant - łatwo, jak się jest w wozie kontrolnym."

Drzwi uchyliły się, najpierw o parę centymetrów - czas dla policjanta, żeby zwolnić bezpiecznik po prawej stronie karabinu, około trzech centymetrów nad magazynkiem. Pocił się, czuł wilgotność rąk. Strzelał tylko na zajęciach praktycznych, a było to osiem miesięcy temu. Potem drzwi obróciły się na zawiasach, ale światło w dole drogi padało pod tak ostrym kątem, że korytarz był tylko czarnym prostokątem ciemności. Bezskutecznie wyteżał wzrok, żeby coś zobaczyć. Pewnie wyjdą szybko, wszyscy razem, rodzice i dziewczyna na przodzie, a mężczyzna z tyłu. A rozkazy mówiły, że ma strzelać. "Boże, pomóż mi" - myślał. Trzęsące się ręce powodowały, że to, co widział na końcu lufy, falowało i drgało. Normalnie prowadził wóz policyjny. Strzelcem nigdy wcześniej nie był. Tylko wspaniały wzrok zakwalifikował go do pozycji strzeleckiej, którą zajmował dwadzieścia kroków od drzwi.

Palec dotknął spustu, a potem zobaczył dziewczynę .wychodzącą z cienia i wahającą się na schodach. Poczował ulgę. Ci dranie nie byli przy niej. To da mu szansę, żeby w nią nie trafić, a uderzyć w nich. Bardzo cicho przekazywał każdy jej ruch podczas przechodzenia wyłożonej płytkami ścieżki, do frontowej furtki. Tu znów stanęła i piętnaście karabinów, które celowały w nią, gdy szła, przeniosło swoje celowniki w ciemność wnęki korytarza.

Sto metrów dalej, obserwując to przez lornetkę, główny intendent krzyknął do swojego mikrofonu:

- Powiedz jej, żeby weszła na środek drogi i trzymaj te cholerne drzwi na muszce!

Policjant wyprostował nogi ze zdrętwienia, które od długiego czasu paraliżowało jego stawy kolanowe. Dziewczyna jeszcze go nie widziała, nie widziała żadnego z nich i była zaskoczona ciszą i pustką panującą na ulicy.

- Idź dalej - powiedział szybciej niż chciał. Nerwowo. - Wyjdź na ulicę, ręce do góry. Na środek ulicy.

Dziewczyna wciąż wydawała się nieświadoma jego obecności, po prostu słuchała rozkazów. Wyszła na środek drogi i policjant widzi? jej szkliste oczy, widział też plamy krwi na bluzce, rozczochrane włosy i niepewne kroki. "Jak lunatyczka - pomyślał - jak ktoś, kto się uczy chodzić."

- Idź w dół, powoli. Jest tam lina wszerz drogi, sto metrów st Tam na ciebie czekają. I nie biegnij.

Dziewczyna obróciła się w prawo i powoli zaczęła iść, a uwag policjanta skierowała się z powrotem na otwarte drzwi. Czekał. Gdy doszła do liny, powitało ją mnóstwo rąk. Podtrzymywano ją na wypadek, gdyby miała zemdleć. Zrobiło jej się słabo, gdy dwa' detektywi rewidowali ją.

- To tylko formalność - powiedział głos za nią, ale bliski i przekonujący.

Nie próbowała zatrzymać łez, które płynęły, gdy prowadzili ją wozu kontrolnego.

Główny intendent powiedział cicho do swoich ludzi:

- Bądźcie bardzo delikatni. Gdy zacznie mówić, chcę, żeby to był dla niej łatwe. Jeśli będziecie ją popędzać, to zablokujecie na dobre.

Był zbyt starym wygą w przesłuchiowaniach, aby nie wiedzieć, że poganianie i niecierpliwe zadawanie pytań daje odwrotny skutek.

Podali jej krzesło, a główny intendent zapytał:

- Jesteś Norah, prawda? Kiwnęła głową.

- Powiedz nam, co się dzieje, Norah. Nie denerwuj się.

Otarła ramieniem czoło i zaczęła mówić. Jej głos był bardzo cichy, więc policjant i kapitan SAS, którzy też byli w wozie, pochylili się do przodu, żeby móc słyszeć.

- Powiedział, że zaatakujecie i jak wejdziecie, to zaczniecie strzelać. Zabijecie go. Wiem, że go zabijecie. - Twarze słuchaczy nie okazywały żadnej reakcji. - Nie mogę widzieć jak umiera, nie w ten sposób. On jest ranny, ma straszną ranę... Ja mu ją przemyłam. Teraz śpi. Spał, gdy go zostawiłam... On potrzebuje pomocy, lekarza. Pomyślałam, że jeśli was wpuszczę, to weźmiecie go żywego, nie zastrzelicie go.

- Mała suka. - szepnął za jej plecami detektyw, w połowie do siebie.

- Drzwi są otwarte. Jest na górze, w małym pokoju z frontu. To mój pokój. On leży tam na łóżku. Śpi. Nie wie, że wyszłam. Zabiłby mnie.

- Łzy znowu pojawiły się i głowa opadła na drobną klatkę piersiową.

- Jaką ma broń? Gdzie ona jest? - zapytał kapitan wojskowy, pochylając się nad nią.

- Karabin, mały. Ma go w ręce i granaty. Leżą koło niego, to wszystko, co ma.

- Norah, posłuchaj, ponieważ to jest bardzo ważne, jeśli mamy pomóc temu mężczyźnie. Główny intendent mówił miękkim, ojcowskim tonem, budzącym zaufanie. - Musisz nam powiedzieć, gdzie w domu jest ten drugi mężczyzna. Ten, który leży na twoim łóżku to Irlandczyk, a gdzie jest ten drugi mężczyzna, Arab?

Spojrzała w jego twarz, która była bardzo blisko jej zmęczonych i podkrążonych oczu. Od kilku dni nie golona broda, biały kołnierzyk z otoczką brudu. Więc McCoy wiedział, do czego zmierza. Chciało jej się śmiać. Było tak, jak powiedział. Kupował czas dla przyjaciela i ile zyskał? Ile godzin? Cztery, może pięć? Czyli oni nie wiedzieli. Byli oszukiwani przez człowieka zjedną zdrową ręką i przestreloną klat-

ką piersiową. Wszyscy gliniarze i to McCoy ich zrobił. Powoli pojawiający się uśmiech przerodził się prawie we współczucie.

- On poszedł już dawno. Poszedł na samym początku. Po prostu wybiegł z domu. Jest tylko Ciaran...

- Cholera! - zaklął główny intendent, a dobroćliwość zniknęła z jego twarzy.

- Pójdziemy i dostaniemy tego drania - powiedział kapitan nad ramieniem, prawie już poza ciężarówką.

Główny intendent usiadł znów przy swoim "biurku".

-1 nie przyszłaś do nas, by ocalić matkę i ojca, nawet nie wspomniałaś o nich. Ani po to, żeby pomóc oddziałom, które miały się włamać za niecałą godzinę i ryzykować życie, do cholery. Jediną rzeczą, która ma znaczenie to to, żeby Ciaran mógł mieć opatrzone rany. Prosto do szpitala.

Teraz była z siebie zadowolona. Widzieli przekorę w jej oczach i drgający podbródek.

- Więc gdzie jest Arab? - Inny ton, ostry, znaczący, że zabawa skończona.

- Nie powiedział. Po prostu przebiegł przez dom i wyszedł tyłem. Godziny temu.

- Dokąd, na Boga?

- Nie powiedział, mówiłam już. Ciaran mówił, że w całej sprawie idzie o to, żeby wygrać czas.

- Jak długo go znałaś, tego McCoya?

- Dwa tygodnie.

-1 wiedziałaś co zrobił?

- Wiedziałaś - rzekła i znów się uśmiechnęła.

"Ładny uśmiech - pomyślał główny intendent - ładna buzia. Tak samo głupia, jak te wszystkie, które spotykają swojego McCoya. Wypaczył ją, wypaczył jej życie. Tak jak zwykle."

Wyszedł z wozu.

Świt miał przyjść za dziewięćdziesiąt minut.

Pęknięta deska w podłodze, do której zreperowania ojciec Norah tak długo się zabierał, zdradziła Ciaranowi McCoyowi, że na schody wszedł sierżant SAS. Skrzypnięcie, kiedy żołnierz stanął na pęknię-

tym drewnie, wdarło się w jego lekki sen, powodując, że usiadł nagle, odruchowo, zanim ból nie szarpnął go z powrotem do tyłu. Poczuł kształt karabinu spoczywającego w jego ręce i przycisnął go do uda, ale gdy ruszył ramieniem w poszukiwaniu ciała dziewczyny, zdał sobie sprawę, że jej nie ma. Zdjął rękę z karabinu i wymacał nią poduszkę, buty i gazety. Na schodach usłyszał szept, syk uciszenia, potem szuranie nóg. Przez ułamki sekund miał możliwość' podjęcia decyzji, czy podniesie broń i wyrzuci granaty, czy będzie leżał biernie... ale jego umysł nie mógł sprecyzować myśli, a reakcje były przytępione. Kiedy sierżant wszedł i zacisnął palec na spuście maszynowego karabinu Sterling, McCoy leżał na łóżku, a lufa karabinu skierowana donikąd, nie stanowiła zagrożenia. To, że żył przez te trzy sekundy, gdy mężczyzna z SAS przyzwyczajają się do światła w pokoju, zawdzięczał jego profesjonalizmowi i wiedzy o tym, kiedy trzeba było strzelać, a kiedy nie. Zobaczył skurczoną postać, karabin, rękę z dała od granatów. A potem pojawiło się ich więcej w pokoju, stojących nad McCoy-em. Włączyli światło. Jeden z nich wyciągnął broń z jego ręki, wyjął kule z magazynku i zebrał granaty. Przeszukali McCoya, czy nie ma innej broni, podnieśli go delikatnie z łóżka i rozerwali bladoniebieskie prześcieradło; leżał teraz tylko na mocno skreconych sprężynach.

Ciaran obserwował spod półprzymkniętych powiek, jak szybko i dokładnie, bez słowa przeszukują pokój. "Koniec drogi, Ciaran." Był tak zmęczony, tak wyczerpany, że gównu go obchodziło, co się dzieje. Zadowolony w pewnym sensie, że ma to już za sobą. W jaki sposób, nieważne, tylko ulga, że się skończyło. Ale Arab przynajmniej miał swój start, swoją szansę. I musiał znowu przez to przejść, biedny drań. I to sam. "A ty już z tego wyszedłeś, chłopie." Kapitan nachylił się nad nim.

- Przyprawdźcie lekarza - powiedział. - Szkoda, że ta cholerna kulka nie trafiła piętnaście centymetrów niżej. Zaoszczędziłoby nam to wielu kłopotów.

Przez drzwi McCoy słyszał głosy rodziców Norah, wystraszone, bełkoczące i szukające bezpieczeństwa.

- Weszło mu w krew to brykanie, co?

Lekarz trzymał rękę na pulsie McCoya, a jego oczy, wypełnione jeszcze troską o starszych, przerażonych ludzi, odwróciły się od ran i zatrzymały na zagojonej bliźnie na boku McCoya

- Można go wynieść - powiedział główny intendent - ale bez narkozy. Pogadamy z nim w karetce i jak będą go myć.

Rodzice Norah wciąż stali na półpiętrze, gdy wynosili przywiązanego do noszy McCoya. Patrzyli na niego z nienawiścią i strachem.

Przejście wąskimi schodami było trudne i powolne, i gdy byli w połowie drogi, manewrując noszami na zakręcie, McCoy usłyszał płaczliwy i żalony głos matki Norah.

- Gdzie jest nasza dziewczynka? Co się stało z naszą Norah? Co on jej zrobił?

"Wkrótce się przekonacie" - pomyślał Irlandczyk. Ubawiło go to i gdyby nie ból, zaśmiałby się. "Niedługo się dowiecie i będziecie żałować, że w ogóle się zapytaliście, a jak wam powiedzą, będziecie żałować, że to zrobili. Zawsze to samo. Zawsze dziewczyny wloką się za facetami, atrakcyjne jak suka dla psa, jak słoik po dżemie dla much. I zawsze to one wkopują. Ty nie jesteś pierwszy, Ciaran. Tak samo jak tych dwóch koleś w Belfaście. Wzięli ze sobą swoją panienkę, zaszyli się w eleganckim domu, w eleganckiej dzielnicy, a ona wciąż chodziła w rannych pantoflach i wałkach na głowie po mleko do sklepu na rogu, kiedy całej reszcie dzielnicy donoszono je do domu. Była o milę od domu, kiedy zobaczył ją gliniarz na patrolu i złapali ich."

Gdy wynoszono go na noszach na ulicę, wciąż zastanawiał się, dlaczego dziewczyna go zdradziła.

Były tam już lampy telewizyjne. Pozwolili kamerzystom otoczyć go pierścieniem na szczycie wzgórza.

"Pokaż, co potrafisz, McCoy. Niech mają zdjęcia Niech nie widzą, że jesteś w dole."

Światła były skierowane na jego twarz i siną skórę nagiej klatki piersiowej, która uwydatniała biel płótna opatrunkowego, zakrywającego ranę.

- Niech żyje PFRA! - krzyknął, a policjant, który niósł nosze za jego głowę, szarpnął silnie, powodując nowy przyływ bólu.

"Dranie. I wszystko zależy od tego cholernego Araba, żeby zetrzeć" im uśmiech satysfakcji z gęby. Cholerny Arab i jego Człowiek Grzyb."

Zanim wnieśli go do karetki, McCoy stracił przytomność.

Efekty kuracji, które miał za sobą, drogich i nieprzyjemnych, nigdy nie trwały długo dla Jimmy'ego. Tęsknota za alkoholem, środkiem uodporniającym go na presję i strach, pozostała, dokuczając mu i pokutując w jego życiu. Próbowali większości przyjętych metod, żeby go z tego wyciągnąć. Obóz zdrowotny w Hampshire kosztował najwięcej i był ostatni przed jego powrotem do zewnętrznego świata. Odwykowy program praktykowany w klinice za Brixton Statin był najstraszniejszy i najdłuższy. Ale każde załamanie, kiedy Jimmy wracał do swojej pracy zarobkowej i burzliwego życia z nią związanego, osłabiało jego wolę. Nie panował nad sobą, kiedy ogarniała go złość i rozgoryczenie. Nie patrzył wtedy na konsekwencje.

Kiedy wrócił, mieszkanie było puste. Nie było Helen, poszła do siebie. Nie mógł jej winić, nie wiedziała, o której się pokaże i w jakim stanie. Łóżko nie było słane od poprzedniego spania. Naczynia nie zmyte, fusy po herbacie w zlewie, koło zatyczki. Pranie nie zdjęte. Jeśliby przyszła, zrobiłaby rytualne porządki. Ale przynajmniej nie musiał mówić jej o samochodzie. Ubezpieczenie...? Nie wiedział. To będzie trudna rozmowa. Znienawidzi go za to. Nie mógł jej winić - to była jej duma i radość... i poszła z dymem.

Odkręcił korek butelki taniej brandy. Dla niego jednak cholernie drogiej. Gdy płacił portierowi jego działkę, wydał wszystko, co przeznaczono na jego wydatki. W departamencie patrzyli na te pieniądze ciężkim okiem, ale mógł je stracić, nie jadł cały dzień, więc teraz wleje to sobie do gardła. Prosto, bez wody. Woda w kranie może być ciepła, a on nie napełnił pojemnika na lód w lodówce. Zacznie od paru centymetrów, cztery łyki. Musiał zacząć powoli, żeby żołądek przyjął pierwszą dawkę.

Rozwalony w krzesło, na sprężynach ledwie przytrzymywanych przez obicie, nogi położył na stole. Zakaszłał parę razy i pochylił się, aby sięgnąć po butelkę. Był taki zmęczony. Ten wysiłek trwał chyba pół życia. Żadnych myśli, chciał tylko odciąć się od tego wszystkiego.

Jones ze swoją mową, kapitan SAS i ci dranie w domu. To powinien być twój dzień Jimmy, a teraz wysłali cię do domu i powiedzieli, żebyś zajął się papierkami.

Na początku nie usłyszał dźwięku telefonu. Minęło trochę czasu, zanim do niego dotarł, a jeszcze więcej, zanim zdecydował się opuścić wygodną pozycję, którą sobie obrał, i odpowiedzieć na wezwanie. Zatoczył się przez pokój do łóżka. Zastanowił się przez moment, czy odebrać, i wreszcie podniósł słuchawkę.

- Jones z tej strony, Jimmy. Skończyliśmy na tym etapie.

- Gratulacje - Jimmy miał trudności, słowa przychodziły powoli.

- To nie tak, Jimmy. Mamy McCoya, ale Araba nie. Zgubiliśmy go.

- No to nieprzyjemnie. Który taki mądry pozwolił mu się wymknąć?

- Wyszedł, gdy ty tam byłeś, Jimmy. Ulotnił się, zanim policja...

- Byłem sam, do cholery, tak czy nie? Nie mogłem być dookoła całego domu. Nie wyszedł z frontu. Zawsze to samo, cholerne brygady bohaterów.

- Nie rozrzewniaj się, Jimmy. Nikt cię nie krytykuje. To jest stwierdzenie faktu. Wymknął się gdzieś pięć godzin temu. Chcę, żebyś przyjechał do szpitala West Middlesex i to zaraz. Nie grzeb się i schodź już na dół. Szyją teraz McCoya i trzymamy sierżantów z dala od niego, póki nie przeprowadzimy wstępnego przesłuchania. Potem pójdzie pod narkozę i wyjmą z niego twoją kulkę.

- Zostawcie ją, do cholery.

- Nie denerwuj mnie, Jimmy. Musimy wiedzieć, do czego zmierza Arab. McCoy musi nam powiedzieć.

- Masz innych, którzy mogą to zrobić.

Dlaczego ten cholerny koleś nie skończy mówić i nie zostawi go przy butelce i w krześle? Dlaczego on, dlaczego nie któryś z młodszych, który maczał już łapy w przesłuchaniach? Są całe szwadrony tych dobrze zapowiadających się.

- Jimmy, przestań głądzić i marudzić i rusz dupę. Yard jest tam. Ja też tam jadę. Wysłałem po ciebie samochód, będzie za dziesięć minut pod twoimi drzwiami. Chcę, żebyś porozmawiał z McCoyem, to wszystko.

Nawet pijany, Jimmy wiedział, dlaczego po niego zadzwonił. Jego umysł pracował tak, jak umysł Jonesa. Kto był na tej samej częstotliwości fal co ten irlandzki drań, kto był w stanie go przestraszyć? Kto był w stanie wygrać z nim, wyciągnąć to z niego? Nie gliniarz, nie żaden z tych mądrali ze Służby Wywiadowczej, nie sam stary Jones. Tego chciał, chciał ich połączyć. Dwa szczury, oba w tej samej dziurze, oba głodne. Dwa karaluchy kłócące się o muchę.

Jimmy przerwał drzemkę, gdy samochód wjechał przez szeroką bramę na plac szpitalny. "Spój, ile możesz, podstawowa zasada, wykorzystaj każdą możliwość". Zawsze to samo, kiedy ktoś inny przejmuje inicjatywę, dyktuje rozkład zajęć. Żałował teraz whisky, której nie zostało dużo w butelce, ruch samochodu też nie pomagał mu wytrzeźwieć. Głowa kiwała się, zataczała niekontrolowane koła. Zaczynało się przejaśniać. Dziewiętnastowieczne bloki coraz wyraźniej rysowały się w nadchodzącym świetle. Białe - niebieskie tablice w każdym kierunku: NAGŁE WYPADKI, MATKI, PROMIENIE X, PACJENCI AMBULATORYJNI. Nazwy oddziałów od imion lokalnych dygnitarzy i fundatorów. Zobaczył policyjną ciężarówkę i grupę młodych umundurowanych mężczyzn przed "nagłymi wypadkami" i tam zatrzymał się samochód.

Jones czekał już na niego. Zobaczył stan, w jakim był Jimmy, i skrzywił się z niesmakiem na twarzy.

- To nie może trwać długo. Chirurdzy niecierpliwiają się. Chcą wziąć go w swoje łapy. Policja nic z niego nie wydobyła. Śmieje się z nich. Jest słaby, ale powinien przetrwać. Chyba dostał głupiego Jasia albo morfinę.

Jones prowadził go przez korytarz za "nagłymi wypadkami", za boksami praktykantów i pielęgniarek, którzy czekali na wypadki drogowe i samookaleczonych pijaków. Przy schodach stali mężczyźni w cywilnych ubraniach z papierosami w rękach. W ciszy rozlegały się tylko ich kroki. Weszli schodami na pierwsze piętro, do wejścia na oddział po prawej stronie.

- Maksymalnie piętnaście minut - powiedział Jones. - Ty i ja Ja będę notował. Zrób wszystko, żeby ten drań mówił.

Pokazał swoją kartę policjantom przed drzwiami, niedaleko głównego wejścia na oddział i wszedł do pokoju. Był on mały, mieściło się tam zaledwie łóżko, stół i krzesło. Wniesiono też małą szafkę i dwaj mężczyźni musieli przeciskać się między tymi przeszkodami, żeby dojść do łóżka. U stóp McCoya siedziała pielęgniarka, niska Hinduska. Jej stopy kiwały się nad podłogą. Musiała odczekać jakiś czas, żeby wyjąć termometr, który wystawał z ust Irlandczyka. Dwaj mężczyźni nic nie powiedzieli, pozwalając jej przyjrzeć się szklanej rurce i zapisać wynik na tablicy. Przeszła koło nich i wyszła na korytarz. Detektyw, który siedział w pokoju, wyszedł za nią.

Jimmy zajął miejsce pielęgniarki na łóżku, Jones ulokował się na krześle.

- Na imię mam Jimmy - powiedział, wskazując palcem w jego nos. - Jestem tutaj, żeby z tobą skończyć przesłuchanie. Potem będziesz miał operację, ale najpierw pogadamy. Nie ma dla nas znaczenia, c to będzie za dziesięć minut, czy za dziesięć godzin, czy dziesięć dni..

- Lekarze mówią inaczej... - McCoy mówił słabo, szeptem.

- Nie licz na lekarzy, McCoy. Wejdą przez te drzwi dopiero wtedy kiedy im powiemy.

- Powiedzieli...

- No cóż, pomylili się. Mamy kupę czasu. Ty go nie masz, bo twoja rana.

McCoy odwrócił głowę w stronę Jimmy'ego i udało mu się minimalnie podnieść, tak że mógł spojrzeć w jego oczy, szaroniebieski" bezlitosne, z czerwoną obwódką. Był kiedyś podobny do niego czł wiek w Armagh City. Przyszedł, żeby wykonać egzekucję. Wydawał się, że mniej to dla niego znaczy niż zarzynanie świni na czwartko rynek.

- Wiem o kuli. Ja ją wystrzeliłem. Nie za dobry strzał, miał ci zabić. Cały czas byłem wczoraj za wami. Wystrzeliłem najpierw n spotkaniu, a potem pojechałem za wami i śledziłem przez cały cGdy stałeś na chodniku, oddałeś "świąteczny" strzał. Para cholernych p ralityków. Wzruszające McCoy, a my myśleliśmy, że jesteś fachów cem. Twoi mają za mało ludzi po drugiej stronie morza, co?

"Dobra robota, Jimmy - myślał Jones. - Jeszcze nic do zapisania w notesie, ale dobrze się do niego zabiera. Kopie w dumę chłopaka, kłuje go i to mocno."

McCoy przypomniał sobie, choć jego koncentracja ulatywała, jak żołnierze złapali go parę lat temu. Byli szorstcy, ale mieli pewien układ zasad w tym wszystkim. Nie obchodzili się z nim delikatnie, ale nigdy nie straszili, że go zabiją. Ten mężczyzna był inny. Ani żołnierz, ani policjant... Inny. Wróg.

- To nie ja strzelałem.

- Pewnie, że nie. To byłby szczyt wszystkiego, co? Nie spodziewałeś się, że będziesz tam, że będziesz stał przy oknie, gdy zaczniemy wszyscy strzelać. Zostawiłeś karabin dzieciakowi, co?

- Famy chciał strzelać, po to przyjechał.

Długopis Jonesa zaczął się poruszać, pierwsze słowa na czystej kartce papieru. Wreszcie imię przypisane do twarzy. Ale teraz tak naprawdę nie było ważne, mimo że porządkowało pewne sprawy. Jest się bliżej, kiedy ma się podpisać pod obrazkiem. I wszystkie te godziny, które spędzili na znalezieniu imienia okazały się teraz niepotrzebne - nic nie warte w porównaniu z posiadaniem twarzy. Jimmy też to zauważył: teraz już się nie zatrzyma.

- Był gorszy od ciebie i teraz jest już skończony. - Głos Jimmy'ego był cichy, niedbały. Jak gdyby rozmowa przebiegała między dwoma turystami na tarasie. McCoy mógłby podjąć tę formę, był jej świadomy, ale zbyt zmęczony i poraniony, by walczyć z przeciwnikiem.

- Jeszcze nie koniec z nim - rzekł.

- Tylko dlatego, że ucieka. Ucieka z kupą w majtkach i toaletowym w ręce.

- On ci jeszcze pokaże, ty brytyjska, cholerna świni! Czekaający w korytarzu lekarze i pielęgniarki zebrani koło straży policyjnej słyszeli, jak Irlandczyk próbował krzyczeć. Spoglądali na zegarki. Nie wiadomo było, ile to jeszcze zabierze czasu.

- Pokaże nam jedynie, jak daleko potrafi uciekać.

- On nie jest skończony. Myślisz, że po co zostałem z tyłu? Po to się przecież tam zasyłem, żeby dać mu czas. Nie byłem tam tylko po to, żeby mógł uciec, ale po to, żeby was rozwalił, was i Żyda.

Jimmy zaśmiał się przesadnie głośno, cynicznie.

- Nigdy go nie zobaczy.
- Zobaczy i dostanie go.
- A myślisz, że co my będziemy robić, ty świński ryju? Patrząc, jak się przechadza po ulicach? Poić ptasim mleczkiem? Miał szansę i spieprzył ją.
- Nie będziecie trzymać Sokarewa w zamknięciu przez cały czas. Będzie musiał postawić stopę na ziemi...
- Jest tylko jedno miejsce...
- Tak - syknął McCoy.

Jimmy widział jak drży, jego klatka piersiowa wznosiła się i opadała, oddech był pełen emocji.

- Lotnisko. Na schodach. Mały człowiek wchodzi, a twój bohater robi ostatni krok. - Jimmy wyrzucił z siebie te słowa, poszedł za ciosem.

McCoy wyszeptał:

- Masz rację. Po raz pierwszy, do cholery.

Jimmy nic nie powiedział. Zaległa nagła, całkowita cisza. Oczy McCoya zacisnęły się. Potworność tego, co powiedział, najpierw powoli zepchnęła go w dół, a potem zmiażdżyła. Zdradził **gol** Ciaran McCoy, ochotnik i oficer Irlandzkiej Armii Republikańskiej zdradził!

- Święta Matko, wybacz mi. - Jego usta poruszyły się niezauważalnie i Jimmy nie słyszał tych słów.

Wstał z łóżka i podszedł do drzwi. Jones kroczył za nim. Przy drzwiach zatrzymał się i powiedział jakby od niechcenia:

- Chirurgzy dali nam tylko piętnaście minut. Myśleliśmy, że to wystarczy. I nie myliliśmy się, Ciaran. Masz jeszcze cztery i pół minuty w zapasie, a już cię oddajemy w delikatne ręce.

McCoy nie widział, jak wychodzili. Nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie zaznał takiego cierpienia.

Zmiana kierunku przy murze parku, a potem poszukiwanie mostu nad Tamizą kosztowały Famy'ego przejście okreśną drogą - przedłużenie trasy z sześciu do dziewięciu mil. Gdy doszedł do sklep*ów i biur, które otaczały lotnisko Heathrow, blade światło zaczynało się nasilać. Poczł teraz nową otuchę. Był sam i w nowym ubraniu na grzbiecie

błękitne džinsy i bladozielona koszula, nowe ubranie, które odróżniało go od przestarzałego rysopisu podanego policji w Richmond.

Famy zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa wejścia na teren lotniska. Teraz potrzebował jedynie czasu. Czasu, żeby ruszyć do pozycji. Czasu, żeby przygotować się, zanim samolot będzie stał na lotnisku. Musiał się tam dostać, a potem czekać i obserwować.

Obserwować rzeczy i ludzi, czekać na znaki mówiące, że Sokarev nadchodzi. Musiał się dostać tam, gdzie samolot zabierze swoich pasażerów na pokład, a potem być cierpliwym i uważnym i szukać ludzi z ochrony - mężczyzn o twardych spojrzeniach, którzy zdradzą mu, że ofiara jest blisko.

W Fatehland pewnie się teraz budzą. W namiotach ustawionych pomiędzy zaroślami i skałami jego koledzy w wojsku spędzili noc, marząc o możliwości takiej, jaką mu dano, oczekując tego jako własnego przeznaczenia. Nowy dzień wstaje nad obozem. To samo słońce wschodzące nad górami na wschodzie Nablusu, gdzie droga schodzi nisko do doliny Jordanu, gdzie jego ojciec wstał już z łóżka, a matka jest w kuchni na zewnątrz za bungalowem, a jego bracia ubierają się do szkoły. I w Hajfie, w Netanya, w Ashkoln i Beer Szewie Żydzi też się budzą. Wszyscy będą wymawiać jego imię, gdy nadejdzie następna noc. Niektórzy z chlubą, niektórzy z rezygnacją, inni z odrazą. Cios, który zada, będzie potężny, dla milionów będzie wstrząsem dla spokoju ducha, a dla tych, którzy żyją po drugiej stronie drutu, za polami minowymi i którzy tęsknią za przekroczeniem ich, on przyniesie nadzieję i wiarę.

Biło z niego podniecenie bliskie szczęściu. Już na terenie lotniska szedł drogą biegnącą równolegle do autostrad, trzymając się z dala od ruchu samochodów. Mógł wydawać się tym, którzy go zobaczyli, jednym z wielu tysięcy imigracyjnych pracowników, idących do swojej pracy: do zmywania naczyń, zamiatania korytarzy, do sprzątania toalet. Jego torba nie wydawała się już tak ciężka. Światła samochodów oświetlały drogę. Był bardzo blisko celu.

W Libanie powiedzieli mu o tunelu, który był jedynym przejściem z zewnątrz do kompleksu budynków lotniska. Pokazali mu fotografię wejścia, wskazując na chodniki dla pieszych, które biegły oddzielnie od drogi dla samochodów. Jeśli chodniki będą strzeżone, nie powinien

podejmować ryzyka. Zobaczył kolejkę do autobusu sto metrów przed sobą na wzgórzu, przy tunelu; ludzi o brązowych twarzach, w turbalach i hinduskich szatach, wielu trzymających torby, w których mieli ubrania robocze, a które nie różniły się od tej, która spoczywała przy jego stopach, gdy się do nich przyłączył. "Zmieszaj się z nimi, jeśli nie zwrócą na ciebie uwagi" - tak mu powiedzieli. A autobus zabierze go do centrum terminalu. Musi tam poszukać kantyn i pokojów wypoczynkowych, gdzie pracownicy zbierają się na przerwach. Musi poszukać mężczyzny, którego praca, wygląd i dokumenty dadzą Famy-'emu przepustkę na pas startowy, gdzie Jumbo będzie tankowany i wypełniany powtórnie pasażerami. Jeden człowiek z tych wielu, którzy tam będą. Jeden człowiek będzie mu potrzebny.

19.

Autobus telepał się okropnie wolno. Jadąc podziemnym tunelem, wciśnięty między samochody osobowe, ciężarówki i autokary, nie mógł rozwinąć żadnej przyzwoitej prędkości.

Światło dużych, niebieskich lamp przymocowanych pod kątem, tam gdzie ściany stykały się z dachem, sprawiło, że Famy odwrócił się do okna, chowając twarz przed wzrokiem pasażerów. W autobusie prawie nie rozmawiano. Mężczyźni i kobiety, wszyscy obcy sobie, umysły tępe o tej porze dnia, tylko oczekiwanie na nudę i frustrację w pracy przez następne dziewięć godzin. " Byli tacy ulegli - myślał Famy. Bez sił i pragnienia aby zakwestionować swoją poniżającą rolę. Brak inicjatywy i nadziei. Daleko od własnego kraju. Przywiezieni żeby tu usługiwać." Famy traktował ich z lekkim pobłażaniem. Nie mogliby zrozumieć jego misji i tego, co chciał dla nich zdobyć. Nie będą w stanie pojąć znaczenia ciosu zadanego przez MI, nie rozumieją, że to dla ich wolności, jak i dla wolności mężczyzn, kobiet i dzieci w obozach Chetile i Sabra.

Kiedy dzień się skończy i wsiądą znów do autobusu, którym wrócą tą samą drogą i będą znów w domach, jak zareagują na wiadomości o operacji, którą Abdel-EI-Famy planował, kiedy oni byli w pracy? Są zbyt głupi, większość z nich. Niewielu przyzna, że jego czyn był poświęcony dla nich, dla wszystkich mniejszości, którym brak bogactwa. Ci ludzie byli w pułapce, w takiej samej pułapce, jak Palestyńczycy. Bez kraju, bez pól, bez bydła, bez możliwości wypowiedzenia się.

Autobus zwiększył szybkość, wjechał w jasność na końcu tunelu i wspiał się na wzgórze, jadąc na wybranym pasie, który poprowadzi ich bezpośrednio do głównych budynków lotniska.

Autobus zatrzymał się na światłach, a potem skręcił w prawo, w stronę przystanku, gdzie czekali pracownicy z nocnej zmiany. Wielu już wstało, podnosząc swoje torby, a nagły pisk hamulców, gdy autobus zatrzymał się, spowodował, że kilku z nich straciło równowagę.

Potem śpieszyli się do wyjścia, bojąc się spóźnić i w tym pośpiechu wymietli ze sobą Famy'ego.

Obserwował drogę, którą szli ludzie, gdy opuścili przystanek autobusowy. Rozdzielali się, mężczyźni szli w jedną stronę, kobiety w drugą. Za nim już stały następne autobusy, a puste odjeżdżały. Potok ludzi zgarnął go ze sobą w podwójne, otwarte drzwi budynku z czerwonej cegły, otoczonego niebieskimi oknami ośmiokątnej wieży kontrolnej. Przed wejściem były tablice - "KANTYNA" i "WSTĘPTYLKO DLA PRACOWNIKÓW". Żadnej kontroli, nie było widać żadnego człowieka z ochrony, ale na to było jeszcze za wcześnie. Nie zauważył nic podejrzanego, żadnego niebezpieczeństwa. Odpowiadało mu to, że był z daleka od wschodzących promieni słońca, anonimowy pomiędzy masą pracujących ludzi. Tu nie będą go szukać. To było miejsce, gdzie mógł odetchnąć, gdzie jego obolałe nogi mogły odpocząć, gdzie mógł przywrócić jasność umysłu, którą będzie potrzebował po południu. Kobieta, która obsłużyła go za długą ladą, była zdziwiona drżeniem rąk, gdy zabierał filiżankę i talerzyk. Złożyła to na karb nerwów. "Jak połowa tych Azjatów - myślała - przerażeni do granic rozumu. Co mają robić? Tylko czyścić kible i machać miotłą dookoła." To ją ubawiło, dało poczucie wyższości. Ale myliła się. W Famym nie było teraz strachu. To, że drżała mu ręka, było spowodowane przesileniem po niesieniu torby przez tyle godzin. Ale żadnego lęku w nim nie było. A wiara jest podstawową wartością dla zamachowca. Musi wierzyć w swoje męstwo, w swój cel, musi wierzyć w swoje możliwości, tak samo jak w dane od Boga prawo domagania się kary. Ci, którzy zobaczyli nieznaną twarz, siedzącą przy nie przykrytym obrusem stole przy oknie, mogli widzieć na niej ogromne zadowolenie, spokój i cierpliwość. Był teraz najbardziej niebezpieczną i śmiertelnie groźną postacią od czasu, kiedy wylądował w Anglii. Pogodził się ze swoją misją i z jej znaczeniem. Był gotów zabić.

Wsypał trzy łyżeczki cukru do kawy, pomieszał ją powoli i rozejrzał się.

Wzdłuż drogi Great West Road, prowadzącej z Windsoru do Londynu, uformował się wojskowy konwój. Landrovery i piętnaście trzy

tonowych ciężarówek, z których każda przewoziła dwudziestu żołnierzy. Straż grenadierów, której cienkie, ceremonialne mundury, z czerwonymi lampasami zastąpiono cętkowanymi, maskującymi drelichami, mundurami partyzanckiej wojny na ulicach Północnej Irlandii.

Razem czterystu mężczyzn. Karabiny FN. Głównie broń maszynowa. Ręczne wyrzutnie rakiet Carl Gustav. Wszystko, aby ochronić jednego człowieka z rąk równie samotnego napastnika.

Wiele razy rezydujące w windsorskich barakach bataliony odbywały ćwiczenia praktyczne mające zabezpieczyć Heathrow, ale tym razem wśród mężczyzn, którzy siedzieli na drewnianych ławkach ciężarówek, panowało skupienie i cisza. Nigdy wcześniej nie powiedziano im, że ryzyko było prawdziwe, potwierdzone.

Pomiędzy ciężarówkami jechały pancerne wozy dwóch szwadronów husarskich, saladyny ze szmatkami koloru khaki, zawiązanymi na wylocie lufy i saraceny do przewozu załóg obsługujących.

Dodatkowe siły były mobilizowane z dywizji okręgu policji stołecznej, również z miejskich sił Thames Valley. O dziewiątej rano wejście na lotnisko zostanie uszczelnione, hole będą pod strażą, pas startowy patrolowany. Później plany bezpieczeństwa lotu El Ala do Tel-Awiwu zostaną jeszcze raz omówione na posterunku policji na końcu tunelu, gdzie ustawią się punkty kontroli sił bezpieczeństwa i zostanie zorganizowany system komunikacji.

Premier dokładnie określił zadania Brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ochrony.

- Siły mają być o takiej mocy, żeby Arab nie miał najmniejszej możliwości ataku. Zamknąć drania w pułapce, nie może być nawet szpary.

Famy przez okno obserwował ruch. Duże, rozciągnięte kolumny wojska, karabiny niesione ostrożnie w poprzek ciał. Spieszący cywile stawali coraz bliżej, przyglądając się im z zaciekawieniem. Niektórzy mieli na sobie pasy z nabojami broni maszynowej. Jeden człowiek w każdym patrolu przeginał się do przodu pod ciężarem aparatów radiowych umieszczonych wysoko na plecach. Pomiędzy zwykłym szumem ruchu ulicznego słyszał przeszywający jazgot dużych silników opancerzonych rolls-royce'ów i zobaczył, jak przechodnie zatrzymy

wali się i gapili na nie. Wszyscy czytali poranne gazety, słyszeli radiowe wiadomości. Poczekają na pięciominutową rozrywkę, na pokaz. Znowu tak wielu, ale nikt nie będzie z nim dzielił blasku reflektorów. Po chwili był już zmęczony przyglądaniem się ruchom przeciwnika i skończył swoją kawę. Podeszedł z powrotem do lady, zamówił następną filiżankę i kanapkę z suchym, pomarszczonym serem i plasterkiem przejrzałego pomidora.

Minie jeszcze wiele godzin, zanim przyjdzie czas, by się ruszyć, ale widok za oknem podbudowywał go. Jego największe nadzieje zostały potwierdzone. Brygady z bronią nie przybyły tylko po to, by wytropić Abdela-EI-Famy'ego. Był o wiele bardziej przekonujący i ważniejszy powód. Człowiek Grzyb miał odbyć podróż, przybyć na spotkanie. Mucha w pajęczynie, lew w sidłach. I wszyscy żołnierze, i policja będą tylko dodatkiem, widownią.

Ze stolika obok wziął gazetę i przeczytał wersję wydarzeń poprzedniej nocy. Jego znajomość angielskiego była dobra, wystarczająca, aby rozumiał, co napisano. Dowiedział się, że "uciekał", był "prawdopodobnie pod wpływem narkotyków", był "fanatykiem". Ludność była ostrzeżona, by trzymać się od niego z daleka, nie "uciekać", ale powiadomić policję, jeśli się go rozpozna. Broń została dokładnie opisana. Na pierwszej stronie było pełne plam i nic nie znaczące zdjęcie domu, w którym zostawił McCoya, policjant z karabinem w ręku, a pod artykułem wiadomość o schwytaniu współnika, określona jako "wiadomość z ostatniej chwili". Przeczytał, że McCoy, choć ranny, będzie żył i ucieszyło go to. "Ale oni nie rozumieją - myślał. - Nie ma ani słowa o Palestynie, o bombie, ani słowa o obozach i o cierpieniu." Ogarnęła go wściekłość, chciał krzyczeć do tych, którzy dzielili z nim kantinę. Czy tak mało obchodziła ich Palestyna, że nawet nie pofatygowali się, żeby zapytać, dlaczego? "Myślę, że dlaczego jesteśmy gotowi umrzeć? Głupie, gówniane dranie, czy cieszymy się myślą o śmierci? Czy nie może być nic świętego w tym, co robimy? Czy nigdy nie możemy mieć racji, usprawiedliwienia poza naszymi granicami?"

Potem uspokoił się. Na pierwszych stronach pod skrótem wiadomości było powiększone zdjęcie Davida Sokareva. Było później zrobione niż to, które pokazali mu w Libanie. Mógł oglądać twarz w sposób, który nie był możliwy podczas tych krótkich sekund, gdy

wpatrywał się w niego w sztucznym świetle sali. Zapamiętać ją dobrze, przestudiować szczegóły. Będzie miał mało czasu między samolotem i schodami, będzie się śpieszył, a wokół będą ludzie.

Rozpoznanie musi być instynktowne, nie jak to było na sali, kiedy jego oczy musiały szukać. Tym razem będzie szybciej.

Pozna go. Nawet jeśli będzie nisko skulony, w kapeluszu, z postawionym kołnierzem płaszcza, jak szybko by nie szedł, pozna go.

Alkohol, który Jimmy wypił wcześniej rano potrzebował więcej czasu, aby rozejść się po krwiobiegu. Nie wyspany i wciąż w dużym napięciu przyszedł do hotelu. Adrenalina, która przez krótki czas walczyła z whisky i przejęła kontrolę nad jego żyłami, gdy rozmawiał z McCoyem, teraz została pokonana. Johnny Walker zwyciężył. Głowa pękała mu z bólu. Chciał odpocząć, chciał po prostu zwinąć się i przespać to. Ale nie pozwolono mu na żaden odpoczynek. Powiedziano, gdzie jest jego miejsce - przy Sokarevie. "Wróciłeś do kursu, Jimmy, przyjmujesz polecenia, robisz to, co szef każe."

Mężczyzna z Oddziałów w foyer rozpoznał go z poprzedniego dnia, kiwnął głową na przywitanie i przekazał jego przejście do windy przez mały radiodbiornik. "Nie było tego wcześniej, wzmacniają straże i tak powinno być." Na czwartym piętrze stał następny człowiek, tym razem zdziwiony i podejrzliwy. Mężczyzna, którego wcześniej nie widział i który zagroził mu przejście do pokoju Izraelczyka. Jimmy zaczął grzebać w kieszeni, wyjął portfel i szukał swojej karty. Powinien ją znaleźć od razu. Wiedział, że gdzieś włożył, do cholery, ale nie mógł znaleźć. Zawsze kładł ją w to samo miejsce, ale gdzie? W końcu znalazł. Była widoczna, wystarczyło tylko spojrzeć od razu w tamto miejsce. Jimmy zażenowany wymamrotał przeprosiny. Detektyw miał na sobie czystą koszulę, był ogolony, ubrany do pracy. "A ty, ty wyglądasz jak wrak, śmieć." Policjant sprawdził kartę, spojrzał na twarz Jimmy'ego i zrobił krok na bok, aby mógł przejść. Przy drzwiach było więcej mężczyzn. Widzieli wcześniejszą kontrolę, ale znów rutynowo ją przeprowadzili. "Cholerni gliniarze." Jimmy zapukał. Otworzył mu Elkin. Powitanie było obustronnie chłodne. Musiało takie być, po ostatniej nocy. Żadnej okazji do gratulacji. Jimmy zauważył, że zasłony okna były zaciągnięte, nocna lampka zapa-

łona, żadnej możliwości, żeby ktoś z zewnątrz zajrzał do pokoju - podstawowe środki ostrożności, tak jak powinno być. Rozłożony na drugim łóżku leżał nowy człowiek z uzi przy prawej ręce. Elkin przeszedł prosto do ataku.

- Będzie inaczej niż wczoraj. Jakikolwiek plan dotyczący nas, musi być przez nas uznany.

- Zrobicie to, co wam powiemy, do cholery. - Jimmy nie oczekiwał ataku tak szybko.

- Po ostatniej nocy my będziemy podejmowali decyzje.

- Wy będziecie podejmowali decyzje, jak będziecie już w tym pieprzonym samolocie.

- Zostawiliśmy to wam i była to katastrofa.

- Powiedzą wam, co i jak ma być, a jak nie chcecie, to mo wyjść na ulicę i iść na lotnisko!

Kiedy zaczął krzyczeć, przed oczami pojawiły mu się plamy. Zamknął oczy. Wszystko wydało mu się takie cholernie idiotyczne, dziecinne. Gdy zaciskał mocno powieki, mógł znieść ból.

- Uspokój się, na Boga - powiedział jak człowiek, który chce zakończyć dramatyczną kłótnię i zapomnieć o niej do rana. - Spałeś ostatniej nocy?

Elkin zaprzeczył kiwnięciem głowy. Worki pod oczami, rozciągające się na policzki, oczy czerwone, zapuchnięte. Płakał, Jimmy widział to.

- Mamy Irlandczyka. Zostaje tylko tamten. Spotkamy go na tomisku, gdy wasz człowiek będzie wyjeżdżał dziś po południu. Jest skończony. Ma mniejsze szanse niż kurczak w Biafrze, nie ma żadnych.

Trasę przejazdu opracują trochę później, nic dla was, dopóki nie zostanie wykreślona. Do tej pory powinieneś trochę się przespać.

Elkin podszedł do swojego łóżka i usiadł na nim ciężko. Jimmy widział, że będzie próbował walczyć ze snem i przegra. "Biedny dureń, nie ufa nam - a dlaczego miałby ufać? Boi się, że coś zgotujemy jak będzie kimał. I wszyscy są tak cholernie zmęczeni, nigdy jeszcze nie było takiej akcji, żeby wszyscy wili się jak pytony... To Jones powiedział, co? Głupi stary skurwiel."

Jimmy zdjął płaszcz i rzucił na podłogę, wyjął pistolet z futerału pod ramieniem i przycisnął go do pasa spodni, a potem opadł w zdo

biony fotel. Myślał, że łatwo będzie mu zasnąć pod wpływem wielkiego wyczerpania, ale bez rezultatu, a było jeszcze trudniej, gdy widział nieruchomą postać Elkina na łóżku.

Za drzwiami, w drugim pokoju spał David Sokarev. Jimmy nie słyszał żadnego ruchu, żadnego skrzypienia sprężyn łóżka i nacisnął klamkę, uchylając lekko drzwi. "Śpi jak aniołek. Żadnych złych snów, pigułki tego dopilnowały. Głuchy na świat, ślepy, niewrażliwy na wszystko. Módl się, żeby lek dalej tak działał." Spotkał raz mężczyznę w pubie, mocno podchmielonego. Mówił, że był klawiszem w więzieniu. Raz robił w celi śmierci. Nie zgłosił się na ochotnika, po prostu wpisali go na listę kolejności. I spał, a wszyscy inni robili cuda i przerażały ich polecenia naczelnika. Spał przez zmianę strażników, a nowe papierki nadchodziły bardzo powoli. Pozwolili, żeby jego śniadanie ostygło, przerażeni, co zrobi, gdy obudzi się. To był brutalny skurwiel, ten który opowiadał mu tę historię. Zmieniał się, gdy o niej mówił. I im dłużej Sokarev będzie spał, tym lepiej. Wtulić się w poduszeczkę przed wyjazdem. Tylko taką ma obronę. Ma słabą twarz, podatną na ciosy ze swoją starczą szczecina.

A późnym popołudniem Sokareva już nie będzie. Wtedy umyje ręce i będzie ze swoją dziewczyną. Żadnych telefonów i powetuje sobie straty w butelce. Będzie w nędznym stanie po południu, w bardzo nędznym.

Przez pół ranka Famy przyglądał się mężczyznom wchodzącym do kantyny. Niektórych zwalniał od razu - nie było z nich pożytku, innych obserwował dłużej, przyglądał się ich rysom i budowie, a potem odrzucał ich również jako nieodpowiednich.

Było po jedenastej, kiedy zobaczył tego, którego chciał. Hindus, odpowiedni wzrost, trochę mniej niż metr osiemdziesiąt. Młody, po dwudziestce i jeszcze nieotyły na twarzy. Turban - dobry, bo zniekształcał rysy, biały i starannie ułożony. Rzadkie wąsy, prawie niewidoczne, ale Famy miał czas użyć swojej maszynki do golenia i sprostać to. Biały kombinezon, naznaczony na lewej stronie klatki piersiowej znakiem Brytyjskich Linii Lotniczych i, co najważniejsze, zabrudzony plamami oleju i upaprany smarem. Remonty. Mężczyzna, który pracował przy silnikach. Opiekujący się samolotami, gdy były u

granic sił, mający dostęp do nich, gdy były kalekie. I gdzie pracował? Na pasie startowym, gdzie przylatywały samoloty. Praca, która daje dostęp do ukrytych i sekretnych miejsc, nie znanych zwykłym cywilom, bilet za druciane ogrodzenia i punkty kontrolne. Famy opuścił swój stolik i trzymając torbę, ruszył przez kantinę w kierunku stołu, przy którym siedział Sikh, samotny, nieświadomy mężczyzny, który się do niego zbliżał.

Gdy samochód oddalał się od ślepej uliczki Downing Street, obawy ambasadora izraelskiego zmalowały. Na spotkanie z brytyjskim premierem zabrał ze sobą attaché bezpieczeństwa, ale zostawił go za ciężkimi, dębowymi drzwiami osobistego gabinetu premiera. Sam z brytyjskim szefem rządu przedyskutował atak poprzedniej nocy. Od przeszłości przeszli do planów, które zostały przygotowane na wyjazd Davida Sokareva późnym popołudniem.

- Premier wyjaśnił mi - mówił ambasador swojemu towarzyszowi - że jego rząd w żaden sposób nie może być posądzony o umywanie rąk od tej sprawy. Powiedział, że to z jego osobistego polecenia przygotowano atak na dom, gdzie schronili się terroryści. Powiedział, że bezpieczeństwo zakładników było na drugim miejscu. Nie mogę tego zakwestionować. I szybko przeprowadzili przesłuchanie tamtego drugiego, którego zatrzymali. Powiedział im, że Arab będzie próbował końcowego ataku na lotnisku. Przyznał, że na uniwersytecie panowało rozprzężenie, ale mam jego zapewnienie, że to się nie powtórzy. Trudno było mi wyłożyć polecenia Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Attaché bezpieczeństwa nie był zbyt zainteresowany prywatnymi, dyplomatycznymi rozmowami, do których doszło pomiędzy mężczyznami i których nie słyszał.

- Jakie mają plany na lotnisko? - zapytał.

- Wprowadzili wojsko na Heathrow. Strażnicy i lekka kawaleria.

Zbierają też więcej policji. Będzie około tysiąca ludzi, tak powiedział. Premier poinformował mnie, że Arab jest w posiadaniu karabinu M1 o maksymalnym zasięgu trzystu metrów. Dlatego ustawią wojsko i policję na kole o promieniu czterystu metrów od samolotu. Wewnątrz tego terenu nie będzie mógł być nikt, oprócz załóg obsługi, naszych

305

ludzi i ludzi z bezpieczeństwa. Na pokładzie będą już pasażerowie, gdy Sokarev wejdzie...

- Jak zostanie przewieziony na lotnisko?

- Brytyjczycy uważają, że najlepszą metodą jest konwój. Na Heathrow jest wiele punktów wjazdu i stwierdzili, że tam nie powinno być niebezpieczeństwa, nie będzie wiedział, którądy wjedziemy. Nie widzę potrzeby kwestionowania tego. Mają nadzieję, że demonstracja siły będzie tak uderzająca, że powstrzyma mężczyznę, dopóki Sokarev nie będzie bezpiecznie w powietrzu, potem skoncentrują się na jego schwytaniu.

- Więc znów się z nami nie skonsultowali. - Attaché mówił spokojnym głosem, nie patrząc na ambasadora, przyglądając się samochodom.

- Skonsultowali się ze mną.

- Ty nie jesteś ekspertem w tych sprawach.

- To brzmi jak obelga.

- Nie wiesz, czy w planie były jakieś usterki, czy nie.

- Gdzie są usterki, o których ostrzega cię twoje doświadczenie?

- Co mogę powiedzieć? Jak mogę to oszacować? Miałem nadzieję zobaczyć plany. Przedyskutować je. Opracować alternatywy, dowiedzieć się o ewentualnych ubocznych wadach. Nie mam teraz takiej szansy.

Ambasador milczał, myśląc nad tym, jak zachował się parę minut wcześniej. Kariera, przyszłość, awans na wyższe stanowisko w ministerstwie w Jerozolimie, wszystko mogło zależeć od tego układu, zawartego z premierem. Attaché nic więcej nie powiedział. Decyzja została powzięta i nie było sensu odwracać jej. Brytyjczycy zrobią, co tylko będą mogli. Pewnie licząc na przypadek, ale na pewno wszystko, co tylko będą mogli. Tylko że oni nie rozumieli palestyńskich bojowników, byli amatorami. Europejczycy byli naiwni w swojej wiedzy na temat terroryzmu. Ale tacy dumni z niej, tacy zdecydowani podejmować własne decyzje. Czy brali pod uwagę niezniszczalność sił zamachowca, który jest gotów umrzeć, aby dojść do celu? Wątpił w to.

Mahan Singh był szczęśliwy w towarzystwie drugiego mężczyzny Rzadko mógł porozmawiać z kimś podczas przerwy na wczesny lunch, gdyż stosownie do grafiku pracy wychodził na posiłek wcześniej niż większość jego kolegów. Obcy słuchał jego wynurzeń o problemach, życiu i nauce, okolicznościach, jakie przywiodły go do Anglii i trudnościach w znalezieniu opłacalnej pracy, którą teraz mówił o rodzinie - o żonie i trójce małych dzieci - jak żyli w dwóch pokojach na tyłach domu wuja w Haunslow, jak był zobowiązany słać pieniądze do Amritsar, aby utrzymać swoich starych rodziców Nie zwracał uwagi na to, że mężczyzna, z którym siedział przy stole mówił bardzo mało, kiwał tylko głową, uśmiechał się i zachęcał go.

To nie będzie już długo trwało, Famy wiedział to. Siedział już przy stole od piętnastu minut, a następne piętnaście ma pewnie na dojdzie do pracy. Wskazówki ściennego zegara obracały się, nie zostało dużo czasu. Wypili swoje kawy. Famy podszedł do lady i odebrał dwie filiżanki. Postawił je na stole i pochylił głowę, aby słuchać dalej tego, co Hindus chciał z siebie wyrzucić. Nie czuł nic, wiedział tylko, że zabije tego człowieka. To nic nie znaczyło. Ani wróg, ani przyjaciel, po prostu narzędzie, które jest środkiem do jego celu. McCoy zrobiłby to lepiej, ale McCoy złożył siebie w ofierze, a on nie mógł teraz zawieść jego zaufania.

Mężczyzna nudził już Famy'ego. Narzekał, ale bał się, nie miał odwagi, by walczyć o to, czego chciał. Umrze szybko, uległy swojemu losowi. Hindus skończył kawę, zakaszał.

- Muszę wrócić do pracy, spóźnię się na popołudniową zmianę. Miło było...

- Chciałbym umyć ręce - przerwał Famy. - Czy wskazałbyś mi drogę do toalety? - starał się sprawiać wrażenie obcego, bezbronnego, potrzebującego pomocy.

- Pokażę ci - odpowiedział Hindus. - Trudno ją znaleźć, jeśli jest się tu nowym.

Poszli razem korytarzem budynku, dwadzieścia, może trzydzieści metrów i za dwoma zakrętami podeszli do drzwi męskiej toalety, oznaczonej tabliczką ze spodniami.

Hindus uśmiechnął się.

- To tutaj. Niełatwo znaleźć.

Odwrócił się, żeby odejść, ale Famy powiedział szybko, w tym samym czasie popychając drzwi i wchodząc do środka.

- Chciałbym się znowu z tobą zobaczyć. Gdzie moglibyśmy się spotkać?

Mohan Singh wszedł za nim. Famy nie słuchał już, układał plan. Na końcu kabiny były pisuary. Stał tam człowiek, ale za chwilę wyjdzie. To nie było miejsce, gdzie mężczyźni przebywają dłużej niż muszą. Stał przy umywalce, woda płynęła głośno, zagłuszając tamtego, którego i tak nie chciał słyszeć.

- Poczekaj chwilę, zaraz skończę - rzucił ponad ramieniem. W lustrze zobaczył, jak mężczyzna przeszedł w stronę drzwi i zamknął je za sobą.

Famy wytarł ręce w dzinsy i odwrócił się twarzą do Hindusa. Żadnych słów teraz i ile sekund, zanim wejdzie następny mężczyzna? Hindus zaczął mówić, kiedy przedramię Famy ego z rozmachem uderzyło w wypukłość gardła - w jabłko Adama. Gulgoczący, zaklinowany dźwięk protestu. Zdziwienie w oczach. Famy złapał go, gdy upadał i pociągnął, miękkiego teraz i nie protestującego do najdalszej kabiny. Wciągnął przez drzwi do ciasnej przestrzeni naprzeciw muszli klozetowej. Jeszcze żywy, ale musiał zostać zabity. Zamknął za sobą drzwi i przekręcił zasuwkę. "Zajęte" będzie mówił napis każdemu, kto przyjdzie. I będzie słyszał, kiedy główne drzwi otworzą się i wejdzie intruz. Czekał na tego człowieka przez cały ranek i teraz był niecierpliwy.

Zamknął oczy, stanął, tak jakby się modlił szukając siły, która teraz była najważniejsza, palce pobielały, paznokcie wbiły się w dłoń.

Podniósł głowę Hindusa, zdjął z niej turban i powiesił go na haku w drzwiach, ostrożnie, żeby się nie rozwiązał. Potem pociągnął za zamek błyskawiczny kombinezonu w dół, do pasa i zdjął mu go z ramion. Kombinezon, tak samo jak turban, był zbyt ważny dla niego, więc nie mógł być poplamiony. I teraz był gotowy. Podniósł głowę Hindusa i z całej siły uderzył nią w twarde, porcelanowy brzeg muszli klozetowej. Raz, drugi, trzeci. Krew zabarwiła na czerwono wodę na dnie muszli. Singh nie ruszał się już. Famy podniósł go jeszcze, aby przyjrzeć się ranom, które zadał i zdjąć z niego kombinezon. To był

gorący dzień i Hindus miał pod spodem tylko podkoszulkę, teraz mocno poplamioną, i slipy.

Zostawił ciało w pozycji klęczącej, z głową w muszli klozetowej. W kieszeni na piersi Mohana Singha znalazł małą, okrytą plastikiem polaroidową kartę, przeczytał imię człowieka, którego przed chwilą zabił dla sprawy Palestyny, i spojrział na fotografię. Trzy minuty później, mając na sobie kombinezon, wspiał się na działową, drewnianą ścianę i wślizgnął do następnej kabiny. Pośpieszył do umywalki, umył ręce, pozbył się kilku plam krwi, potem sprawdził w lustrze, czy turban był prosto i mocno nałożony. Jego torba była tam, gdzie ją zostawił - pod umywalką.

Na korytarzu spojrział na zegarek. Jeśli jumbo-jet nie miał opóźnienia, będzie za trzy godziny i czterdzieści minut. Następne sześćdziesiąt minut zajmie tankowanie. Miał jeszcze przed sobą daleką drogę, z każdym krokiem bardziej niebezpieczną. Czuł, że po raz pierwszy w swoim krótkim życiu naprawdę zabił. Strzelał do mężczyzn w sali wykładowej, ale oni byli inni - abstrakcyjni, nieznani. Ten był zabity jego rękami, przy użyciu własnej siły, własnej woli. I podjął ten nieodwracalny krok.

20.

Cztery lata wcześniej Wielka Brytania po raz pierwszy obudziła się, a potem opieszale zaczęła otwierać oczy na zagrożenie jej głównego lotniska. O kontynentalnych środkach bezpieczeństwa - patrolujących oddziałach i uzbrojonej policji wojskowej na pasach startowych i w terminalach, myślano jako o europejskim dziwactwie, dopóki żołnierze i ich pojazdy pancerne nie opuściły Windsoru i po raz pierwszy nie wyjechały na Heathrow. Wielu widziało to jako erozję pewnej szczególnej cechy brytyjskiej, którą jest narodowa powściągliwość, przegrywająca, niestety, z gwałtownymi niekiedy obyczajami sąsiadów. Czasy się zmieniły i oddziały przyjeżdżały coraz częściej, nie wzbudzając już specjalnego zainteresowania.

W Zarządzie Linii Brytyjskich ciało kierownicze, zarządzające dwa tysiące siedmiuset akrami płaskiej jak stół bilardowy powierzchni trawy i cementu, tego letniego dnia było gospodarzem blisko tysiąc-a samolotów. Nazywali swoją służbę "podstawą obrony narodowej" i napisali w rocznym sprawozdaniu o "poważnym zadaniu w nowej walce", mając na myśli ataki terrorystyczne.

Powszechność przytępiła jednak fascynację uzbrojonymi mężczyznami, podekscytowanie umarło śmiercią naturalną. Każdego roku przylatywało i odlatywało dwadzieścia milionów pasażerów i niewiele z nich mogło pochwalić się, że widzieli karabin, półukrytą kolbę rewolweru na biodrze policjanta, nie mówiąc o czołgach.

Więc w środe zapachniało sensacją i było wystarczająco dużo słońca, by przyciągnąć tłumy. Ci, którzy odlatywali, przyjeżdżali wcześniej, czekając na wydarzenia. Praca lotniska nieprzerwanie trwała nadal, ale uszy wszystkich były nadstawione, aby usłyszeć syreny i strzały, a nade wszystko zobaczyć niezliczone zastępy wojska.

Famy czuł się dziwnie i nieswojo w turbanie na głowie. Nie, żeby był ciężki czy nie pasował, ale dlatego, że był ewidentnym znakiem tożsamości, pod jaką teraz się podszywał. Kombinezon był dobry,

luźny i workowaty, nie uwydatniał kształtu ciała i maskował karabin, umieszczony pod paskiem z przodu spodni. To była jedna z wielu praktycznych rad, które mu dali: chować broń magazynkową na przodzie ciała. Ręce zawsze przeszukują boki i sprawdzają pachwiny. Z granatami byłoby trudniej coś zrobić, gdyby nie to, że Hindus miał przy sobie małe żółte pudełko w kieszeni spodni. V40 zostały zawinięte dokładnie w papier, w który żona bez twarzy i imienia zapakowała jedzenie męża.

Famy szedł w kierunku punktu kontroli, pomiędzy dwoma gigantycznymi budynkami, które tworzyły terminal trzeci. "ODLOTY W PRAWO", "PRZYLOTY W LEWO", a na wprost podnoszony szlaban, nie do przeoczenia ze swoją białą-czerwona jaskrawością i z dużym, zdecydowanym znakiem "STOP". Przed nim był wewnętrzny świat lotniska, do którego musiał się przyłączyć; królestwo ciężarówek i maszyn, obsługi samochodów i pasażerów. Ludzie z ochrony Brytyjskich Linii Lotniczych, w niebieskich mundurach i czapkach z białymi obramowaniami, kierowali ruchem za szlabanem, ze szklanej kabiny z boku. Był tam żołnierz, a dalej landrover, pomalowany standardowo w maskujące parabole. Więcej żołnierzy stało przy samym szlabanie. Byli rozluźnieni, pewni siebie, bezpieczni w takiej wielkiej grupie i z taką ilością broni. Cały czas docierały do nich meldunki. Dowódca batalionu do dowódcy kompanii, dowódca kompanii do dowódcy plutonu, dowódca plutonu do dowódcy oddziału. Tylko jeden człowiek stanowił zagrożenie. Mieli jego zdjęcie w swoich umysłach i opis jego ubrania.

Hindus w kombinezonie roboczym Brytyjskich Linii Lotniczych w żaden sposób nie mógł zwrócić uwagi i wzbudzić podejrzeń strażników. Spojrzeli do torby, ale z ciekawości i zaśmiali się, gdy zapytał piskliwym, nerwowym głosem, który wzięli za naleciałość jego ojczystej mowy, czy ma zdjąć turban. Gdy przepuścili go, krzyknął do mężczyzn w budce:

- Powodzenia!

Ich śmiech zamienił się w rechot. "Tysiąc przeciwko jednemu. Potrzeba nam powodzenia? Z tymi nierównymi szansami posiedzimy tu jeszcze następne pół dnia, a potem karabiny będą z powrotem w składzie broni, a my w pubie." Przyglądali mu się jak szedł, ale ich uwaga

została wkrótce odwrócona przez zaopatrzeniową ciężarówkę lotniska - trzeba było wspiąć się do niej i przeszukać.

Powiedzieli mu w obozie, że El Al będzie stał na stanowisku siódmym, na samym końcu szklanych i wykonanych z prefabrykatów korytarzy, którymi pasażerowie szli do samolotów. El Al był nieco oddalony od innych samolotów.

Koło niego było stanowisko szóste, zajęte przez jumbo 747 - Brytyjskich Linii Lotniczych, dalej Pan American, Trans World Airlines, Japońskie Linie Lotnicze i Linie Lotnicze Środkowego Wschodu. Obrzucił je spojrzeniem, mierząc przy okazji odległość, na którą będzie mógł sobie pozwolić, aby nie wyglądało to, jak przygotowanie do ataku i nie przyciągnęło uwagi. Ani nie za blisko maszyny, ani zbyt daleko od pasa startowego, gdzie rzucałby się w oczy.

Przed nim było więcej żołnierzy i opancerzony wóz. Siedząc i kucając blisko kolegi, który zdjął z ramienia radio, uważni, ale jeszcze nie czujni, czekali na przyjazd.

Mieli rację tam w obozie. Famy był dumny z ich skrupulatności i zastanawiał się, skąd mają tak dokładne informacje. Wszystko się zgadzało, właśnie tu miał przybyć Sokarev. Policjanci stali w oddzielnych grupach, a ich psy siedziały cierpliwie koło swoich panów. Gdy przeszedł za szóste stanowisko, zobaczył więcej grup "powitalnych". Dwa następne pancerne wozy, ukryte pod schodami dalszego i ostatniego stanowiska. Ogromne maszyny. Zamontowane lufy karabinów skierowane w niebo. Siła strzału, siła mocy, siła zabijania. Wszystko to dla Abdela-El-Famy. Widział podwójnie zranionego McCoya, widział, jak krew wypływała z jego ciała, widział, jak ból ogarniał jego twarz. Ale to były strzały z pistoletu, nie śmiertelne. Inne od siły i szybkości broni, którą widział teraz jak na dłoni. To była śmiertelna broń. Ludzie nie podnosili się już, nie prowadzili samochodów, nie oglądali następnego świtu, gdy zostali uderzeni jej siłą. Mł, przyciśnięty do jego pachwiny był nieporównywalny. Tylko kałasznikow mógłby z nim konkurować, może nawet był lepszy. Broń, z którą ćwiczył, broń żołnierska, broń wojenna. Ćwiczył? Ćwiczył co? Tak łatwo było w suchym upale obozu mówić o wojnie i machać na pożegnanie tym, którzy szli bez nadziei na powrót, i których miejsca przy stołach zapelniali potem inni o błyszczących oczach, pełnych zapału. A jaka tu była

wojna? W obcym, nienawistnym świecie. Uragająca. Polowanie. Wojna tylko z jednym celem - śmiercią Sokareva. A jeśli w drodze do tego celu Famy zginie, nie będzie to miało znaczenia. To, że Famy był gotowy na śmierć dla Palestyny, nie było ważne. Nie miało związku z tematem. Zapomniane z ostatnim uderzeniem jego serca, jakby go w ogóle nie było. Ale w obozie, czy oni będą pamiętali? Sukces może nadejść tylko z męczeństwa. Jedynie sukces, nie było innej możliwości. Idziemy jak we śnie, przedstawiamy argumenty i kontrargumenty, szukamy odpowiedzi, których nikt nie dostarczy. Dlaczego wiedząc co nas czeka, próbujemy tak usilnie wbić się w pamięć przyjaciół, w ich umysły i serca? Famy nie wiedział, nie miał pojęcia, chciał tylko, by opłakiwano go po śmierci. Ale znał cenę. Aby być wspomnianym ze łzami w oczach, musiał zabić Sokareva. Tylko wtedy będą szlochać za nim chłopcy z miedzianobrazowymi oczyma, którzy dzielili jego namiot w obozie.

- Gdzie, do diabła, leziesz? - usłyszał naraz szorstki i obcy głos.

-Wynoś się stąd.

Famy zeszywniał. Przerazenie, że został rozpoznany, katastrofa. Powieki mu drgały, ciało znieruchomiało. Podnośny przewoźnik bagażu był półtora metra od niego, pomalowany w żółte i niebieskie pasy. Kolory El Ala.

- Lepiej patrz, gdzie idziesz, koleś.

- Przepraszam - wyjąkał Famy.

- Nie będziesz przeproszał, jak to przejedzie po tobie.

- Po co myślisz są te linie, te białe? Są dla ciężarówek. Przejazd dla ciężarówek.

- Przyglądałem się żołnierzom.

- Głupie skurwiele, łążą tak z powodu tego Araba i Żydka. Jeśli byś pracował dla El Ala, widziałbyś ich dość.

Famy odetchnął, był spokojniejszy. Ten człowiek nie był jednym z nich. Pracownik, ale nie z ich krwi.

- Dziś po południu będzie niezły pokaz wszystkich uzbrojonych oddziałów, gdy przyjedzie Izraelczyk.

- Jak będzie wchodził na pokład, to pewnie będzie dużo goryli.

- Nie będzie tu wlaził. Rozpatrzyli to. Nie są takimi głupcami. Tu go załadują, potem przejedzie do 28L, przez hol dla bardzo ważnych

osobistości i wyładują go tam wysoko i daleko, a wojacy i gliniarze będą mogli iść do domu.

- Nie wiedziałem, że tu jest jakiś teren dla cholernie ważnych. - Famy czekał, niepewny odpowiedzi.

- To nowe. Tam, gdzie wsiada dziewczyna, gdy wylatuje do Balmoral, gdzie ustawiają Kissingera, zaraz przy wyładunku.

- Przepraszam, że wszedłem ci w drogę. - Famy uśmiechnął się, odwrócił i zaczął iść w stronę najbliższego samolotu Brytyjskich Linii Lotniczych.

Cieżarówki kompanii krążyły koło wypukłego kształtu samolotu. Tam Sokarev będzie wchodził. Powie, że jest nagle potrzebny przy wyładunkach, to zabierze jakiemuś facetowi tylko parę minut, żeby go zawieźć. I wtedy będzie blisko. W zasięgu nawet jego M1.

Ulga, która ogarnęła Jimmy'ego, została przerwana przez przyjazd Jonesa do pokoju hotelowego. Był świadom przyciszonych głosów, zanim jego oczy nie otworzyły się, żeby po chwili zobaczyć wypoczętego Elkina, który stał teraz w drugim końcu pokoju, blisko Jonesa. Studiowali plik papierów wypisanych na maszynie. Był z nimi attaché bezpieczeństwa, ale rozmowa przebiegała między Elkinem i Jonesem, i attaché nie brał w niej udziału.

"Żadnego śladu Sokarewa. Biedny dureń - pomyślał Jimmy - wciąż uwięziony w swoim gniazdku i czekający, by go stamtąd wydostać." Jones przywitał się z nim chłodno.

"Tak naprawdę nie lubi mnie, jednak po wszystkich tych latach toleruje. Zaakceptował, że dzisiaj jestem potrzebny, ale jutro będzie szybki uścisk dłoni, a potem odpieprz się i nie pokazuj twarzy, dopóki nie wejdiesz pod kran z zimną wodą. Żadnych zobowiązań, nic, aż do następnego razu, nic, dopóki nie będzie trochę brudu, który trzeba będzie zmieść z dywanu, albo rowu wodnego, który trzeba będzie wyczyścić, bo za bardzo śmierdzi dla pana Jonesa."

- Cieszę się, że do nas wróciłeś, Jimmy - powiedział Jones. - Zbierałem się na odwagę, żeby cię kopnąć, bo chrapałeś jak dzik.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś, gdy pogawędka się zaczęła?

- Nie ma tu nic ciekawego, a tak ślicznie wyglądałeś. Pan Elkin i ja przejrzelśmy to.

"Nadęty skurwiel. Nie jest już taki, jak wtedy, gdy chciał, żebym pogadał z McCoyem. Myśli, że teraz wszystko pójdzie cholernie łatwo. I nie może pójść źle. Ten Arab musiałby być cholernie szalonym draniem, żeby się pokazać.

- Jaki jest teraz mój udział w tej imprezie? - zapytał Jimmy wciąż rozwalony w krzesło.

- Jedziesz z Sokarevem na lotnisko. Trzymasz go cały czas za rączkę. Zaprowadzisz ostrożnie na schody, zapniesz pasy bezpieczeństwa i ostatnia rzecz jaką zrobisz, to zejdziesz po rampie w dół. Bardzo proste, bardzo jasne.

- Skąd odlatuje?

- Południowa strona, teren dla bardzo ważnych osobistości. Samolot przejedzie z terminalu trzeciego i weźmie go na pokład pod naszym okiem. To już zaplanowane, nie musisz się szarpać.

- Jakie wiadomości o Famym?

Jones zaczynał być coraz bardziej zirytowany. Nie był zadowolony z lekceważącego tonu rozmowy, przebiegającej w obecności obcych. - Ani słowa o nim. Ale lotnisko jest zablokowane. Wojsko, policja, broń, nie musisz się obawiać.

- Ja się nie obawiam. To nie mój interes, żeby dowiedzieć się, gdzie jest ten mały drań.

Sześciuset ludzi pracowało na terenie terminalu przeładunkowego na Heathrow przy wyładunku i ładowaniu ponad tysiąca ton frachtu dziennie. Ktoś obcy nie powinien być wśród nich zauważony.

Famy schylił się nisko przy swojej torbie, naprzeciwko dużej, tranzytowej zajezdni Brytyjskich Linii Lotniczych. Dookoła niego inni obserwowali żołnierzy pilnujących i ochraniających pustkę pasa startowego. Z nikim nie rozmawiał, nikt się do niego nie odzywał.

Więcej oddziałów było na rogu budynku zajezdni, a za nim otwarty teren, który rozciągał się do białego, drewnianego płotu, osłaniającego bungalów holu dla ważnych osobistości od wzroku zwykłych cywilów. Obecność obcego w turbanie nie zdziwiła nikogo. Samoloty frachtowe były weteranami i wiadano, że często się psują i potrzebują naprawy.

Było gorąco i kształty w dali falowały jakby zamglone przez upał. Musiał przymrużyć oczy, by utrzymać koncentrację na samolocie wi

docznym w całości na pasie startowym. Blask odbijał się na kadłubie odrzutowca El Ala, niecałe sześćset metrów od niego.

Widział samochody pancerne, czarne w cieniu, i od czasu do czasu postacie żołnierzy dookoła nich. Pod prawym, górnym zamkiem kombinizonu był karabin uciskający jego ciało. Minie jeszcze wiele minut, zanim samolot będzie gotowy do zabrania Davida Sokareva na pokład. Czuł w sobie zadziwiający spokój. Żadnego zdenerwowania, tylko pragnienie, by marzenie stało się rzeczywistością. Wszystko takie jasne. Nie było żadnej przeszkody na jego drodze.

Sokarev przestał już narzekać i podporządkował się całkowicie, gdy prowadzili go przez kuchenne drzwi hotelu. Wydawało mu się, że jego eskorta jest zbyt zajęta swoimi problemami i zmartwieniami, żeby wyjaśniać mu czy usprawiedliwiać plan odlotu, na który się zdecydowano. Czekająca ciężarówka była pomalowana na niebiesko, nie oznaczona i z zaciemnionymi oknami, aby nikt z zewnątrz nie mógł spojrzeć do środka. Było w niej pięciu ludzi, którzy mieli dzielić z nim dwa rzędy siedzeń za kierowcą. Attaché bezpieczeństwa zagłębiony w myślach, Jones, który ignorował wszystkich wokół siebie, Elkin -zdenerwowany, chcący, by podróż już się skończyła i wciąż spoglądający na zegarek, z uzi na kolanach. Koordynował konwój Oddziałów Specjalnych, rozmawiając cały czas przez radio i kręcąc gałkami, gdy odpowiedzi przychodziły w innym natężeniu. I był tam Jim my, wyjmujący zapalkę brud z za paznokci, w rozpiętym płaszczu, z bronią na wierzchu i głową spuszczoną w dół, zamyślony i zatroskany, nie dzielący się z nikim swoimi myślami. Za nimi jechał samochód z ludźmi z Oddziałów i tymi, którzy zastąpili Mackowicza. "Jakby mnie karali" - myślał Sokarev. Jakby w jakiś sposób był odpowiedzialny za to, co się stało. Wciąż był poddenerwowany, niespokojny. "Usunęli mnie ze swojej drogi, gdy opracowywali plany. Wtedy musiałem być nieobecny, a najłatwiej było załatwić to pigułką" - myślał. Ale nie przyniosła prawdziwego snu. I zauważył, że ludzie przy nim byli zmęczeni, widział to w ich twarzach, w sposobie w jaki mówili do siebie, w ich zniecierpliwieniu. Coś podobnego często spotykał w Dimonie. Zmęczeni ludzie działają ze zmniejszoną wydajnością i to przstraszyło go. Poczł duszności i szukał powietrza,

połużniając kołnierzyk i zdejmując kurtkę, którą włożył na podróż. Wszystkie otwory wentylacyjne w ciężarówce były pozamykane. Chciał, aby choć jeden otworzono, by wypuścić spaliny i zapach ciał, ale czuł, że nie ma prawa o to poprosić. Nie chciał być poniżany, siedział w swoim siedzeniu i cierpiał, a potem poczuł dreszcze i chorobę. Nikomu nie mógł tego powiedzieć.

Na podwórzu posterunku policji w Hammersmith, za zamkniętą bramą, został przeprowadzony do następnego samochodu. Eskorta była z przodu i z tyłu, ale przypadkowy przechodzień nie mógł rozpoznać konwoju. Attach bezpieczeństwa, Jones i dwóch mężczyzn z Oddziałów stłoczyli się teraz w przodzie, a Sokarev został wciśnięty między Elkina i Jimmy'ego.

Gdy dotarli na schody kolumnowego holu odlotów, który dwa dni temu Sokarev przekraczał, poczuł pociągnięcie za rękaw. Odwrócił się i spojrzał na Jimmy'ego, który powiedział:

- Niech pan nie zwraca za dużej uwagi na tych skurwieli. Wszyscy są posrani ze strachu, tak jak pan. I będą, dopóki nie pomachają panu na do widzenia.

Cała uwaga Famy'ego była przykuta do dużego odrzutowca. Trzysta pięćdziesiąt ton powoli toczyło się z końca stanowiska siódmego do osi pasa startowego. Na przodzie dwa saraceny, pomniejszone przez ogromne, koncentryczne linie kadłuba. Małe okna kabin, wysoko nad ziemią, tam gdzie siedział pilot i jego załoga. Wszyscy mogli go widzieć, ale nie mogli rozpoznać w nim twarzy wroga.

"Pamiętaj Daniego, pamiętaj Bouchiego, pamiętaj McCoya." Niekończące się, odległe twarze przewijały się przed jego oczami, coś zaciemniającego i utrudniającego widzenie rzeczywistości. Twarze jego przyjaciół, tych, którzy w niego wierzyli.

Samolot był otoczony kordonami żołnierzy. Skupiony wzrok, zwarci, oczekujący, najbliższy stał zaledwie sześć metrów od Famy'ego. Kapral. Dwa czarne znaki w kształcie litery V na ramionach munduru, samoładująca broń, butelka wody, taśmowy pas. Famy widział, jak jego ręce chwyciły karabin. Palec na bezpieczniku cyngla, kciuk na zatyczce bezpieczeństwa, parę sekund i broń była uzbrojona, śmiertelna. Żołnierz nie patrzył na niego, był przyzwyczajony, że przyglądano

mu się. Na swojej pozycji, stojąc na kwadracie betonu, był teraz wrogiem Famy'ego.

- Jumbo odwraca się w parametr wejścia Hatton, sir - kapral przy radiu w landroverze mówił do swojego dowódcy kompanii. Major podniósł rękę, sygnalizując przyjęcie wiadomości. Cholernie głupie nazwy dawali tym operacjom.

- Sunray, wszystko dobrze? - zapytał major.

- Wszystko dobrze, sir, nie tylko CO, konwoje na wszystkich stacjach.

- Rozkaz wzmożonej czujności.

- Rozkaz, sir.

Major zobaczył za kordonem linię cywilnych ciężarówek i samochodów, ćwierć mili od samolotu. Przed sobą miał pustą przestrzeń. Żadnych obcych osób w środku linii, wyśmienite pole do strzału dookoła trzystu sześćdziesięciu stopni. Tylko róg hangaru Brytyjskich Linii Lotniczych wchodził do koła, łamał jego geometrię. Widział tam ładowaczy, stojących, siedzących i kucających - obserwujących, zamiast pracować. Nie powinni tam być, ale nic nie szkodzi. Kapral sobie z nimi poradzi. Widział turban, czysty i zawiązany, grało na nim słońce.

Zwrócił się w kierunku przejścia dla bardzo ważnych osobistości, przez które przejedzie konwój.

Samochody wjechały szybko za prostą linię wewnętrznego obwodu, przed nimi motocykle, wszystkie zbliżające się pojazdy zablokowane daleko z przodu. Sokarev widział strzałki i znaki po prawej stronie, wskazujące drogę do terenów dla bardzo ważnych osobistości.

- To gdzieś tam, sir - powiedział Jimmy. - Żadnych zegnających na pasie startowym. Samochody podjeżdżają do samych schodów i ma pan od razu na nie wejść. Proszę się nie zatrzymywać. Nie wahać. Po prostu iść przed siebie. Jak będzie pan wewnątrz, proszę nie podchodzić do okien, od razu usiąść. Oni nie będą się tu wałęsać do końca dnia.

Sokarev nie odpowiedział. Jimmy widział nerwowość na jego starczej twarzy, zmarszczki, oczy szeroko otwarte, patrzące, ale pustym wzrokiem, i usta, lekko uchylone, oddech przychodzący w nieregularnych odstępach.

"Biedny skurwiel, nie przyjmuje tego najlepiej. Do cholery, dziesięć do zera, że nogi odmówią mu posłuszeństwa w połowie drogi i będziemy musieli go wnosić."

Konwój przejechał koło niskiego holu, ozdobionego kwiatami ciepłarnianymi. Margaretki, lwie paszcze i rododendrony. Przed nimi był Jumbo.

- Do widzenia, Elkin - Jimmy przechylił się nad Sokarevem, wyciągając rękę. Nie uściśnął jej. Uwaga Izraelczyka była skierowana za okno, palce zaciśnięte na broni.

Samochody przejechały przez przejazd w płocie i skierowały w kierunku odrzutowca. Jones zastanawiał się nad wulgarnością tego wszystkiego. "Wielcy ludzie trącający się łokciami i zbici w kupę na swoich siedzeniach. Tak trudno to wszystko traktować poważnie, po prostu zabawa dla dorosłych. Tylko Sokarev w nią gra, chociaż on. Wszyscy będziemy widzami - myślał Jones - jak tylko ten stary człowiek wyjdzie na tę przestrzeń. Żadnej powagi chwili, nic ze wzniosłości trzeciego piętra departamentu i Jimmy pomiatający wszystkimi. Nie do wytrzymywania, naprawdę, trzeba będzie z nim porozmawiać."

Samolot był teraz ogromny w swojej srebrnej bliskości, forteca sama w sobie. I były tam ustawione schody, czekające na nich.

Zesztywnienie żołnierzy, sposób w jaki zmienili układ rąk na broni, poinformowały Famy'ego o bliskości przyjazdu Sokarewa.

Jego palce zanurzyły się pod kombinezon szukając M1, już naładowany, z kulą spoczywającą w lufie. Sto metrów od schodów samolotu. Zabierze to dwanaście do trzynastu sekund. Łatwe i proste. Kiedy pojawią się samochody, będzie musiał zacząć biec. Szybko, ale robiąc uniki nisko przy ziemi, i strzelić, kiedy mężczyzna będzie u podnóża schodów. "Liczy na zamieszanie. Jak bardzo by się na ciebie nie przygotowali, nigdy tak naprawdę nie oczekiwali twojej obecności - powiedzieli mu ludzie w obozie. - Zawsze będzie zamieszanie - to będzie największa broń w twoich rękach."

Trzy samochody konwoju, ryczące za zakrętem, nie spodziewające się tak ostrego jego kąta. Famy wstał. Bez wahania, jednym ruchem pociągnął za zamek błyskawiczny w dół klatki piersiowej. Strażnik

nie widział, jak Famy wyciągnął karabin. Kula uderzyła go nisko w mięśnie brzucha, odrzucając do tyłu. Droga była wolna. Przed nim, jakby w zwolnionym tempie otwierano drzwi samochodów i wyskakiwali z nich mężczyźni w garniturach. Nieświadomi, nie wiedzący, co się dzieje. Szalona radość, że udało mu się ich zaskoczyć. "Biegnij, rób uniki, nisko, zachowaj rytm. Niech nikomu nie będzie łatwo w ciebie trafić." Kiedy dosięgnie go kula? Ile jeszcze czasu? Szary punkt, wspomagany przez ciemny garnitur, niechętnie wychodzi z samochodu, zwalnia, utrudnia im. Pierwsza kula blisko jego stóp. Jest w połowie drogi. Widać Sokareva, widać jego głowę, jego ciało półosłonięte przez otaczających go mężczyzn. Gaje pomarańczowe, drzewa - proste, uszeregowane, zanim wiosna nie przyniesie słońca do Palestyny i nie pozwoli wypuścić im liści i wydać owoców. Wizja drzew i ostrość rzeczywistości splatały się ze sobą, gdy biegł do przodu.

Coraz więcej kul, przysuwały się coraz bliżej, odgłosy uderzeń o beton i ostre jęki rykoszetów. Regularne, przypełzające strzały z dużego karabinu maszynowego. Sokarev blisko schodów, szamoczący się z ludźmi dookoła niego. Zabierają go w stronę samolotu. Nie chce iść, mały drań, chce czołgać się, schować i zagrzebać. Czas na strzał. W pełnym biegu Famy rzucił się, jak przy klasycznym skoku do wody, z dziwną gracją, na pas startowy. Materiał na kolanach i łokciach podarł się od uderzenia. Broń miał przy oku, patrzył w celownik. Oczy zaszyły mu łzami, mrugnął parę razy, aby pozbyć się ich. Mężczyzna w szarym garniturze wciąż szamotał się. Wystrzelił. Wyczuwając instynktownie śmierć, był na nią przygotowany i nie bał się jej nawet wtedy, gdy poczuł szarpnięcie w ramieniu i usłyszał pusty łoskot wyrzuconej łuski naboju. Chwila ciszy, potem znów broń maszynowa.

Już nie zobaczy Sokareva, wszystko wokół niego takie nieruchome, żadnych ludzi. Odeszli, zniknęli. Przy schodach nie było już celu. Żołnierzom kazano oddawać cztery strzały pod rząd po naładowaniu broni. Przy większej ilości strzałów lufa trzęsła się tak silnie, że nie można było dokładnie celować. Jedną kulę dostał w prawą stopę, dwie w łydkę, czwarta uderzyła w biodro. Nie celowali w twarz. Nie miał już niczego w rękach, mógł tylko chwycić się tłustego od oleju,

płaskiego betonu. Karabin leżał daleko z przodu, widoczny, ale po jego zasięgiem. Z daleka doszedł głos komendy, który odbijał się jego głowie jak echo:

- Wstrzymać ogień.

Jones i Elkin nieśli Sokareva w górę, po schodach samolotu. Elki trzymał go za ramiona, Jones za nogi. Obaj mężczyźni dyszeli ciężk a wąskie schody nie pomagały.

Jimmy podniósł się z kolan, tam gdzie zasłonił naukowca pomi; dzy schodami i drzwiami samolotu i zaczął iść wolno w stronę Famy 'ego. Miał teraz mnóstwo czasu. Wokół niego żołnierze podnosili si ze swoich pozycji strzeleckich, niepewni, co robić i niespokojni w nagle zaległej ciszy. Tak ich wielu i tak wiele karabinów i rewolwerów i tylko jeden wróg w walce. Widział, że oczy tamtego, leżącego twarzą w dół, wbiły się w karabin, cierpiące. Był poza jego zasięgiem, poza zasięgiem jego bohaterstwa. Jimmy machnął nogą, leniwie i niedbale kopnął karabin dalej.

- Dobra robota, chłopcze - powiedział cicho. Wyrażał prywat zdanie. Famy obserwował go, było mu niewygodnie, wyciągnął szyję, na jego twarzy nie było żadnego wyrazu.

- Dobra robota. Ale nie wystarczająco dobra. - Jimmy podniósł: głos, tak żeby Arab mógł go dobrze słyszeć. - McCoy nam powiedział że tu będziesz. Powiedział nam dziś rano. Nie myśleliśmy, że za; dziesz tak daleko. Ale to nie było wystarczająco daleko. Oddałeś jed strzał, tylko jeden. W stronę celu. Dobrze wyglądało, dramatycznie, ale za dużo chciałeś. Powinienieś był celować strzelając. Nigdy się nie udaje takie strzelanie na chybił trafił, nie z taką bronią

Zobaczył uśmiech Famy'ego przewyciężający ból, jego poruszające się bezgłośnie usta.

- Co ci tam dali? MI? Nie za bardzo hojni, nie jest za stosowny do tej okazji. Chciałbyś mieć coś większego, co, chłopcze?

Famy kiwnął głową z gestem aprobaty. Tak daleko jak tylko widział, nikt w niego już nie celował, żołnierze i policjanci stali z karabinami skierowanymi w ziemię lub niebo.

Jimmy włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej PPK. Famy próbował ruszyć się, ale był sparaliżowany ranami w nogach i biodrze.

- Nie rób trudności, chłopcze. Wiedziałeś, o co w tym wszystkim chodzi, gdy przyjechałeś na tę miłą przejażdżkę. I w sumie nieźle się spisałeś.

Jimmy wystrzelił w środek pobladłego, brązowego czoła, tuż poniżej białego obramowania turbanu.

Odgłos strzału został zagłuszony przez cztery odrzutowe silniki kołującego 747.

Zza samochodu, nieruchomego, z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami, Jones obserwował całe zajście. Próbował coś powiedzieć, zawołać, żeby Jimmy wrócił, ale huk silników nie pozwolił, żeby słyszał go ktokolwiek inny niż najbliższej stojący.

Widział pistolet w ręce Jimmy'ego, mały i niewyraźny z tej odległości. Nie dopilnował tego. Samolot odwracał się w stronę pasa, a jego huk stawał się coraz bardziej ogłuszający, gdy oddalał się od grupy mężczyzn w ciemnych garniturach.

- Cholernie dobra robota - wymamrotał mężczyzna z Oddziałów Specjalnych, który ani na chwilę nie spuścił wzroku z Jimmy'ego. Jones przesunął się do tyłu. W jego stronę szedł Jimmy, a człowiek, którego znał tylko z imienia, leżał porzucony z twarzą, na której malował się chłopięcy, szeroki uśmiech zadowolenia.

- Cholernie dobra robota. Tak powinno być za każdym razem - powtórzył mężczyzna z Oddziałów, a Jones zagryzł wargi, nie mogąc się wysłowić i wyrazić tego, co czuł.

No cóż, tym razem opłaciło im się utrzymywać Jimmy'ego. Zapracował na swoją zaliczkę. Miał masę papierkowej roboty, więc poszedł w poszukiwaniu samochodu jadącego do centrum Londynu. Jego umysł zaprzętała wciąż ta sama myśl: "To było to, czego chcieli ci cholerni politycy, wydający rozkazy z góry. I teraz już mają to, co chcieli."

Sokarev i Elkin siedzieli w kabinie pierwszej klasy na dwóch tylnych siedzeniach. Pilot okręcił samolot i skierował się na trzy tysiące sześciusetmetrowej długości pas startowy numer pięć, mając pier
323

wszeństwao przed wszystkimi innymi lotami. Załatwienie formalności z wieżą kontrolną było natychmiastowe i samolot oddalał się przez 28L.

Tuż przed wzbiciem się w powietrze, Sokarev wyszeptał w uc' Elkina, że jest mu niedobrze.

- Proszę się nie martwić. Wszystko już za nami. Skończyło s'

Wracamy teraz do kraju. Nie ma się czego obawiać.

Wszyscy wracali do kraju. Mackowicz w małej skrzynce na pokładzie frachtowym pod nimi, Elkin, który był jego przyjacielem i Soka-rev, który był jego zadaniem. Elkin zobaczył bladość na twarzy ukowca, pot na łysiejącej głowie i sposób, w jaki się wypręzał, a wciągnąć zimne powietrze w nozdrza. Gdy już będą lecieć, poleps mu się, pomyślał sobie i zagłębił się w wygodne, głębokie siedzenie.

324

21.

Na początku ból był słaby i skoncentrowany głównie w klatce piersiowej, ale mdłości i odruchy wymiotne były nie do wytrzymania. Elkin spał. Sokarev przeszedł ponad jego nogami za róg, do toalety. Nie jadł dużo i nudności były bolesne. Gdy byli nad Morzem Śródziemnym ból coraz bardziej się rozprzestrzeniał i był coraz silniejszy, a Elkin wciąż miał zamknięte oczy, nieczuły na zewnętrzny świat. Sokarev usiadł w swoim fotelu, krzyżując ręce na piersiach, i kiedy wreszcie stewardesa zauważyła jego złe samopoczucie, główny steward wezwał przez mikrofon lekarza. Elkin stał z boku bezsilny, nie mogąc zaoferować pomocy człowiekowi, którego miał ochraniać. Lekarz zgiął się nad ciężkim ciałem Sokarewa, którego położyli na dwóch siedzeniach, chowając wcześniej oparcia.

Kiedy lekarz wyprostował się, młody, w koszulce z napisem Hamburg, gdzie spędzał wakacje, zapytał, kto towarzyszy temu pasażerowi. Elkin stanął obok i na pytanie, czy chory jest podatny na silne ataki wieńcowe, skinął głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, przerażony odkryciem. Teraz, po tym wszystkim...

- Musiał być w dużym stresie? - głos lekarza wypełniony był troską.

- To David Sokarev.

- Nie znam tego nazwiska, nie było mnie w Izraelu przez parę tygodni.

- To ten, którego próbował zabić Arab. Na lotnisku.

- To on był powodem obecności wojska? To on był na samym końcu lotniska?

-Tak.

- Czy był w silnym stresie?

- Tak. Próbowano zamachu na jego życie. Ale dosyć gadania. Trzeba powziąć jakieś kroki.

- Potrzebuję morfinę - powiedział lekarz. -I...

-1 nie mam morfiny. Nie wożę tego ze sobą. Elkin odwrócił wzrok od lekarza i dostrzegł ból malujący się na twarzy profesora.

- Proszę wezwać kapitana. Niech tu przyjdzie.

Pilot, po czterdziestce, w koszuli z rękawami, siwowłoso, nie zaoferował żadnego wyboru:

- Kierujemy się teraz na Ben Gurion. Liban i Cypr są najbliżej, ale nie możemy tam lądować. Bejrut to wiadomo, Larnaka - za krótki pas do lądowania. Ateny mogłyby zaoszczędzić trochę czasu, ale minimalnie, a możliwości w kraju są o wiele większe. Została niecała godzina do lądowania, tam już ludzie będą czekać.

- Jest za starym człowiekiem, żeby przechodzić przez to wszystko - powiedział głośno lekarz, pochylając się znów nad Sokarevem.

-Nadwaga, nie powinien brać udziału w takim zamieszaniu. Ci dranie zawsze uderzają w najmniej spodziewanym momencie.

Elkin nie rozumiał właściwie, dlaczego mu odpowiedział. Nie było żadnej potrzeby, żadnego żądania.

- Wiedzieliśmy od paru dni o planowanym ataku. Profesor też o tym wiedział.

-1 wzięliście go i wystawiliście? Świadomie zabraliście go do Europy? W tym wieku, w jego stanie?

- Podjęto taką decyzję.

- Na jego ciele nie ma żadnej rany. Zapamiętaj to. Ty i twoi ludzie będziecie odpowiedzialni, jeśli umrze.

Wokół mknącego samolotu panowała ciemność, gdy z każdą minutą było o dziesięć mil bliżej wybrzeża Izraela i lotniska.

Przez wewnętrzny telefon osobisty asystent zakomunikował, że dzwoni premier z Downing Street. Dyrektor generalny z rezygnacją odsunął papiery, wziął do ręki naostrzony ołówek i podniósł słuchawkę telefonu. Słyszał, jak premier był informowany, że linia jest wolna i że dyrektor generalny czeka. Cisza panująca w pokoju pasowała do sytuacji przed słowną zniewagą, której się spodziewał. Truizmem byłoby stwierdzenie, że premier był wściekły. Podniesiony głos. Szef Służby Bezpieczeństwa trzymał słuchawkę parę centymetrów od ucha.

- Pański człowiek zrobił z tego totalną katastrofę! - W jaki sposób, sir?

"Trzymaj na dystans tego nudziarza, nie przepraszaaj, nie tłumacz się."

- W jaki sposób?! W ten sposób, w jaki zrobił to na pasie startowym! Na samym środku, na oczach połowy świata!

- Musi mi pan to wyjaśnić, sir.

"Niech trochę ochłonie, potem kontratak."

- Niech pan nie robi ze mnie głupka! Pański człowiek zamordował - to jedyne słowo na określenie tego - tego Palestyńczyka czy kimkolwiek tam był, na oczach wszystkich...

- Pańskie polecenia były bardzo jasne, sir. Nie oczekiwał pan, że Arab przetrwa nasz atak.

"Pewnie podsłuchują to na Downing Street."

- Nie w ten sposób. Nie oczekiwałem, że będzie zabity w ten sposób, nie...

- Miał przy sobie granaty. Żył i był uzbrojony. Był cały czas w stanie użyć broni. Jego ręce poruszały się. Mógł użyć granatów.

- Usprawiedliwia pan swojego człowieka?

- Zamachowiec był cały czas uzbrojony i niebezpieczny. Mój człowiek podjął szybką i prawidłową decyzję. Mogliśmy stracić więcej ludzi, gdyby się zawahał. Działał prawidłowo.

- To stawia nas w bardzo złej sytuacji.

Zawsze to samo z tymi politykami. Nie potrafią się postawić, poprowadzić mocną ręką, zawsze słabi. Dyrektor generalny nie odsuwał już słuchawki od ucha, trzymał ją blisko.

- Zabicie tego człowieka może mieć bardzo poważne następstwa!

- Sądzę, że nasz człowiek uznał, że w tych okolicznościach zagrożenie życia ludzi było o wiele ważniejsze niż polityczne następstwa tej sprawy.

Nagle i bez dalszych uwag premier rozłączył się. Dyrektor generalny poczekał, aż linia się zwolni i wykręcił wewnętrzny numer biura Jonesa.

Jones siedział tego wieczoru długo w swoim biurze, sam przy biurku. Kawa w kubku była nie wypita i pokryła się cienką powłoką. He

len poszła już, z zaczerwienionymi oczyma, wiedząc o konsekwencjach, jakie spotkały Jimmy'ego. Cholerna strata, kiedy taki człowiek odchodzi, a raczej dostaje kopa. Wciąż jeszcze dziarski i długo jeszcze będzie. Cholerny drań, nie można temu zaprzeczyć, ale teraz musi sobie sam z tym poradzić. KłóUiwy, jak mu zależało, ale nie teraz. Odszedł z godnością, nie awanturował się, po prostu pozwolił, żeby to do niego dotarło, i odszedł bez protestów. Nie kłócił się, przyjął do wiadomości, przeprosił i wyszedł oddać broń w piwnicy. Jones widział przez swoje okno, jak wychodził na ulicę i szedł w kierunku metra. Mógł poprosić o samochód do domu, ale to nie byłoby w jego stylu, nie, gdy właśnie dostał kopa. Typowe dla tego cholernego departamentu. Stary nie mógł tego sam zrobić, wziął więc kogoś mniej ważnego od siebie, powiedział mu, czego chce premier i on miał to przeprowadzić... Dlatego Jimmy szedł do domu. Na śmietnik. I to najlepszy człowiek jakiego mieli.

Czy żaden z tych głupich drani nie rozumiał nowych reguł walki? Przeszłość minęła, minęły dni Queensberry. Muszą walczyć z McCoyami i Famymi i ich terrorem. Czy zostawiliby Sokareva półżywego i wsadzili do karetki, żeby zabrała go do szpitala? Czy zrobiliby tak? Gównu. Myślał, że już nigdy nie zobaczy Jimmy'ego. To nie było uznawane w departamencie, żeby kontaktować się z człowiekiem, który został wyrzucony. Przeszli razem długą drogę, wiele lat, wiele nocy i rozmów. Teraz wszystko skończone z powodu małej świni, Bóg wie skąd, z miejsca zwanego Palestyną, które może wcale nie istnieje.

Kiedy zadzwonił do domu, odebrał jego starszy syn. Żona była na zebraniu w komitecie kobiet Jedli, zanim wyszła. Pewnie nic dla niego nie zostało. I w zasadzie dlaczego miałyby zostać? Minał tydzień, od kiedy zadzwonił do domu i powiedział, że nie wróci na noc. To był najlepszy, cholerny tydzień za jego czasów w departamencie, a teraz skończył się i oddalił.

Detektyw musiał wsunąć nogi pod krzesło, aby dać trochę miejsca pielęgniarce, które krzątała się wokół McCoya. Poprawiała pościel i dogadywała swojemu pacjentowi, a potem wyszły jedna za drugą. Widać było światła parkingu, ukrytego w cieniu szpitala. Wydawało

się, że Irlandczyk od wieków, przerażająco długo leży tak nieruchomo, nawet bez drgnienia powiek, na białym prześcieradle.

Kiedy w końcu odezwał się, było zbyt ciemno w pokoju, żeby detektyw mógł widzieć jego twarz.

- Co się z nim stało?

Słowa przychodziły powoli, wymawiane tak cicho, że drugi mężczyzna musiał się nad nim pochylić, przeklinając w duchu odgłosy odległych samochodów.

- Zrobił to?

Detektyw nie był pewien, czy mógł to powiedzieć i milczał.

- Dorwał tego drania?

Słowa były skrupulatnie zapisywane.

- Dorwał go? Na Boga, powiedz mi.

- Próbował, ale tego nie zrobił. Zastrzelił żołnierza, strzelił do Izraelczyka, ale nie trafił. Już nie żyje, zastrzelili go na pasie startowym. Z łóżka dobiegł głęboki, ciężki oddech. McCoy nic więcej nie powiedział. W wyobraźni widział wszystko bardzo dokładnie. Jak wieści rozejdą się z Cullyhanna do Crossmaglen i o czym będą rozmawiać w Forkhill, Mulaghlin i Lislea, gdy będą leżeć wśród traw i paproci, przyglądać się i czekać z lornetkami na Armality. I poczuł wilgotność ścian celi, która teraz będzie jego domem. Będą zasuwki i ciężkie drzwi, okute buty i mundury, a on szczerze tam powoli, modląc się i mając nadzieję na miłosierdzie snu.

Z ukrytego pomiędzy odwróconymi butelkami za barmanem radia leciała muzyka - tańce północy. Wesoła, konwencjonalna i przeznaczona do rozbawienia klientów pubu. Wśród publiczności był duży hałas, a wkrótce miał nadejść ostatni łyk piwa przed zamknięciem. Rozmawiano o wydarzeniach dnia - nie o pieniądzach, inflacji, nie o sporcie, ale o bzdurach z wewnętrznych stron gazet. Uwaga była przykuta do wydarzeń na lotnisku. Zdjęcie pracownika agencji dopełniało londyńskie wiadomości. Nie było dużo szczegółów, postać na ziemi, a ponad nią mężczyzna z widoczną bronią i krzyczące nagłówki: "EGZEKUCJA" i "GORĄCE POPOŁUDNIE NA HEATHROW".

Jimmy siedział w rogu, blisko drzwi, samotny, niekomunikatywny i teraz już przy swojej piątej podwójnej whisky. Schylał się nisko, z

głową blisko szklanki, a jego wzrok zagłębiony był w bursztynowej cieczy. Przypatrywał się jej odbiciom w szkle i był zachwycony kształtnością bąbelków, które wydobywały się z topniejących kostek lodu. Żadnego rozgoryczenia. Tylko poczucie żalu i przemijania czasu. Koniec instytucji.

Barman zadzwonił dzwoneczkami wiszącymi ponad wypolerowaną ladą.

- Ostatnie zamówienia, panowie. Ostatnie zamówienia Jeszcze jeden łyk na drogę.

Przymusowy dla Jimmy'ego. Nigdy nie potrafił odmówić sobie ostatniego. Musiał go wypić, w deszczu czy w słońcu, po zwycięstwie czy po porażce. Wstał i rozpychając tłum, przebił się do przodu ze szklanką z resztkami płynu. Znajomy sygnał wiadomości wzmógł się, a potem ścichł ponad krzykami i zamówieniami. Usłyszał pierwsze słowa instynktownie, zagłuszone przez dużego mężczyznę, który chciał dużego drinka. Głupkowata twarz trącona alkoholem. Usłyszał słowa: "Sokarev" i "atak serca".

- Zamknijcie się! - wrzasnął Jimmy. - Zamknijcie twarze, do cholery! Odwrócili się w jego kierunku.

po godzinie przebywania na oddziale intensywnej terapii szpitala w Tel-Awiwie, Ministerstwo Spraw Zagranicznych Jerozolimy ogłosiło, że wysiłki lekarzy o uratowanie jego życia zawiodły. Profesor, pięćdziesięciorzyletni, był czołowym naukowcem kraju, pracującym w Centrum Nuklearnym w Dimonie na pustyni Negew. W Londynie Scotland Yard nie podał dotąd szczegółów na temat bezimiennego członka ochrony, który zastrzelił wcześniej już rannego arabskiego terrorystę na pasie startowym na Heathrow, po nieudanej próbie zamachu na życie profesora Sokarewa dzisiejszego popołudnia. Ale nasz korespondent donosi, że ministrowie rządu żądają akcji dyscyplinarnych w stosunku do...

Jego głośny, ochrypły śmiech wstrząsnął barem. Głowa odrzucona do tyłu, twarz purpurowa z napięcia ciało trzęsące się. A dookoła twarze pełne wrogości i niesmaku.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Nic, do cholery, z czego można by się było śmiać.

- Nalany drań.

- Co się z nim dzieje? Prawie się posikał.

Zignorował ich całkowicie. To było cholernie zabawne. Przezabawne. Śmiał się, dopóki nie zaczęło boleć go gardło, dopóki nie przyszedł ból klatki piersiowej. Wtedy wyszedł chwiejnym krokiem na ulicę.

"Oszukałeś ich wszystkich, ty mały skurwielu. Nie dałeś satysfakcji MCCoyowi i Famy'emu. Pieprzysz triumf naszej strony. Jaka jest cena teraz, cholerny panie Elkin, czy panie Jones? Ile szampana już wypitego i co dalej...? Wszyscy będą bekać w departamencie. I ty też, Jimmy. Ciebie też oszukał, po tym wszystkim. Cały ten cholerny ból serca. Oszukałeś wszystkich, panie Sokarev. Wszystkich nas. Obie strony. Nie wiedziałem, że masz w sobie małego, przebiegłego skurwiela."

Mieszkanie było puste. Nie spieszył się, by wejść w tę pustkę. Powoli szedł chodnikiem. Śmiech był przerywany czkawką, a potem był już tylko cichym chichotem.

Porażki często się zdarzały. Tyle misji wysłanych z dużymi oczekiwaniami, a tak mało sukcesów. Wiadomości z Londynu zostały dołączone szefowi Zjednoczonego Dowództwa Przeczytał nie komentując. Śmierć Famy'ego, ocalały Sokarev, lot odrzutowcem El Al z Heathrow. Wszedł na piasek, szukając samotności. Myślał, że to był dobry plan i wysłał dobrego człowieka ale to nie wystarczyło. Stał tam ponad godzinę. Zmierzch opadł na pustynię, a on był tak nieruchomy, że pokryta kurzem mysz przebiegła koło jego stóp prosto do kryjówki żmii. Jej śmierć była szybka, dostrzegł tylko zdziwiony wzrok. Delikatne i bezbronne stworzenie nie było w stanie przetrwać. Zapragnął tej szybkości i zdecydowania żmii, zapamiętał jej zimne, bezuczuciowe i mechaniczne uderzenie i postanowił przekazać to mężczyznom, którzy opuszczą obóz przed północą, odjadą jeepem w stronę granicy i pójdą dalej przez pola minowe do drutów i do wroga. Kiedy zapadła noc i gwiazdy pokazały się na niebie, wrócił do obozu i zobaczył tych czterech, którzy jedli ze swoimi przyjaciółmi, może już po raz ostatni. Ukrył swoją depresję pod humorem i cichymi namnieniami nie wspominając o wiadomościach z Europy. Kiedy nadszedł czas, poszedł z nimi do jepea, uściśnął ich mocno i ucałował

w oba policzki, a potem przyglądał się smudze świateł, zanim nie zniknęły pomiędzy niskimi wzgórzami.

Leżąc w swoim namiocie na płóciennym łóżku, czytał jeszcze raz plan operacji, który im w skrócie przekazał. Prawie już zasypiał, kiedy starszy człowiek odsunął płachtę namiotu i oświetlony przez lampę naftową wszedł do środka.

- Podawali izraelskie wiadomości. Sokarev nie żyje. Zmarł dzisiaj w Tel-Awiiwie...

- Na co? - Dowódca był zakłopotany. Pólsiedząc na zmiętym prześcieradle, powiedział: - W raportach nie wspomniano o tym, że był ranny.

- Izraelczycy mówią, że nie był ranny, dostał ataku serca w samolocie.

- Więc to nie stało się przez nas, nie z naszej ręki? - opadł na szorstką poduszkę, chwilowe podniecenie minęło.

- Ale nie żyje.

- Nie za naszą sprawą.

- Próbowaliśmy go zabić i nie żyje i...

- Posłuchaj, starcze. - Znużenie ogarnęło go już teraz nieodwołalnie. To nie była pora do dyskusji. - Posłuchaj. Jego śmierć jest nieważna, jeśli nie przyszła z naszych rąk. Chcieliśmy pokazać, że mamy siłę, aby w niego uderzyć. Zamiast tego pokazaliśmy, że nie jesteśmy w stanie tego zrobić. To nie jest zwycięstwo.

- Moglibyśmy powiedzieć... - Stary człowiek uciął zdanie, przypominając sobie, że już wcześniej mu przerwano i świadomy oddalającej się uwagi dowódcy.

- Nic nie moglibyśmy powiedzieć. Aby uczynić ludzi jakiegokolwiek kraju i z jakiegokolwiek części świata świadomymi groźby chmury w kształcie grzyba, która może się wznieść nad naszymi mężczyznami, kobietami i dziećmi, musimy zwyciężać, gdy atakujemy. Nie zwyciężyliśmy. Misja jest zakończona. Spij dobrze, starcze.

Gdy odszedł, a płachta namiotu opadła znowu na swoje miejsce, dowódca odwrócił się do płóciennej ściany, blisko jego głowy. I zanim zasnął, myślał o światłach jeepa i błyszczących, pełnych wiary oczach mężczyzn, których już nigdy nie zobaczy.